

Fenomenalny thriller.  
Najlepszy, jaki przeczytasz w tym roku.

STEPHEN KING

RILEY SAGER

# O CALAŁE



R I L E Y   S A G E R

# OCALAŁE

tłumaczenie Aleksandra Wolnicka



**OTWARTE**

Kraków 2018

*Dla Mike'a*

## PINE COTTAGE

godzina 1.00 w nocy

Las miał kły i pazury.

Skąły, ciernie i zarośla szarpały ciało Quincy, gdy ta biegła z krzykiem między drzewami. Nie zatrzymała się jednak: ani wtedy, gdy ostre kamienie raniły podeszwy jej bosych stóp, ani gdy jakaś witka cięła ją przez twarz niczym bat, aż policzek spłynął krwią.

Zatrzymanie się nie wchodziło w grę. Zatrzymać się znaczyło umrzeć. Biegła więc dalej, chociaż w którymś momencie pęd jeżyn owinął się wokół jej kostki, raniąc kolcami skórę. Naprężył się i pękł, a rozpedzona Quincy zdołała oswobodzić nogę. Jeżeli nawet ją zaboląło, to tego nie odczuła. Jej ciało nie było w stanie pomieścić w sobie więcej bólu.

Instynkt nakazywał jej biec – podświadome przekonanie, żeby gnać przed siebie bez względu na wszystko. Zdążyła zapomnieć, przed czym ucieka. Wspomnienia wydarzeń sprzed pięciu, dziesięciu i piętnastu minut wyparowały. Była pewna, że gdyby jej życie zależało od tego, czy sobie przypomni, co skłoniło ją do biegu przez las, od razu umarłaby tam na mchu.

Biegła więc. Krzyczała. Starła się nie myśleć o umieraniu.

W pewnym oddaleniu majaczyła biała poświata, ledwie widoczna przez gęstwinę drzew.

Światła reflektorów samochodowych.

Czyżby była już blisko drogi? Quincy miała taką nadzieję. Wraz z pamięcią straciła też wszelkie poczucie orientacji w terenie.

Biegła coraz szybciej. Krzyczała coraz głośniej. Gnała w stronę światła.

Znowu jakaś gałąź trafiła ją w twarz. Większa niż poprzednio, grubości kuchennego wałka. Impet uderzenia ogłuszył ją i na moment oślepił. Głowa zaczęła pulsować z bólu, wzrok się zaćmił, przed oczami zapłonęły błękitne iskierki. Kiedy zniknęły, w świetle reflektorów ujrzała jakąś postać.

To był mężczyzna.

*On.*

Nie, nie On.

Ktoś inny.

Była bezpieczna.

Quincy przyspieszyła kroku. Zakrwawione ramiona same wyciągały się do przodu, jakby to mogło przybliżyć ją do nieznanego. Ruch sprawił, że bark dziewczyny przeszył ostry ból. Nie wypełnił luk w jej pamięci, lecz wraz z nim spłynęło zrozumienie. Myśl tak potworna, że musiała być prawdziwa.

Tylko ona ocalała.

Pozostali zginęli.

Quincy była jedyną, która przeżyła.

Gdy dzwoni Jeff, dłonie mam całe w słodkiej polewie. Pomimo moich wysiłków krem francuski dostał się na knykcie i w zagłębienia między palcami rąk, gdzie zasechł na mur. Tylko mały palec jest względnie czysty i to nim naciskam klawisz włączający głośnik w telefonie.

– Carpenter i Richards, prywatne biuro detektywistyczne – mówię, naśladowując zmysłową sekretarkę ze staroświeckich kryminalów. – Z kim mam połączyć?

Jeff gładko wchodzi w rolę; ton twardziela plasuje go gdzieś między Robertem Mitchumem\* a Daną Andrewsem\*\*:

– Daj no mi do aparatu pannę Carpenter, złotko. Muszę z nią porozmawiać, *pronto*.

– Panna Carpenter jest teraz bardzo zajęta. Coś jej przekazać?

– Tak – odpowiada Jeff. – Powiedz jej, że mój lot z Chi-Town\*\*\* się opóźni.

Natychmiast przestają grać.

– Och, Jeff! Naprawdę?

– Przykro mi, skarbie. Kłopoty z wylotem z Wietrznego Miasta.

– Duże masz opóźnienie?

– Od dwóch godzin do „być-może-dotrę-do-domu-w-przyszłym-tygodniu” – oznajmia. – Jedyna korzyść, że dzięki temu ominie mnie początek sezonu wypieków.

– Chciałbyś, kolego.

– Nawiasem mówiąc, jak ci idzie?

Spoglądam na swoje dłonie.

– Opornie.

„Sezonem wypieków” Jeff nazywa wyczerpujący okres od początku października aż do końca grudnia, kiedy to jedne po drugich nieubłagane nadszycają różnorakie święta, w nich zaś kluczową rolę odgrywają desery. Zwykle wymawia te słowa złowieszczym tonem, unosząc ręce do góry i przebierając palcami na podobieństwo pajęczych odnóży.

Jak na ironię to właśnie przez pająka ręce mam całe w kremie. Zrobiony jest z masy czekoladowej i tułowiem balansuje na krawędzi babeczki. Jego czarne nogi częściowo spoczywają na wierzchu ciastka, częściowo zwisają po bokach. Kiedy skończę, wszystkie babeczki zostaną odpowiednio wyeksponowane, sfotografowane, następnie zaś wystawione na mojej stronie internetowej w zakładce z pomysłami wypieków na Halloween. Tegoroczny temat przewodni to „Zemsta psychotek”.

– Jak wygląda sytuacja na lotnisku? – pytam.

– Ścisk, ale przeżyję, pod warunkiem, że zdołam się zakotwiczyć przy barze w hali odlotów.

– Zadzwoń, gdyby samolot miał się bardziej opóźnić – proszę. – Będę na ciebie czekała, cała w słodkiej polewie.

– W takim razie piecz jak szalona – rzuca Jeff.

Rozłącza się. Pora wracać do pająka ze słodkiej masy i przyozdobionej nim czekoladowo-wiśniowej babeczki. O ile zrobiłam wszystko tak jak trzeba, po nadgryzieniu ze środka powinno wypłynąć czerwone nadzienie. Później przeprowadzę

stosowną próbę, ale na razie interesuje mnie głównie to, co na zewnątrz.

Dekorowanie babeczek jest trudniejsze, niż się wydaje. Zwłaszcza jeżeli efekty mają być podziwiane przez rzeszę internautów. Zacieki, smugi i kleksy są wykluczone. W świecie wysokiej rozdzielczości każda skaza jest natychmiast widoczna.

„Szczegóły mają znaczenie” – brzmi jedno z Dziesięciu Przykazań na mojej stronie, wciśnięte między artykuł zatytułowany *Miarki kuchenne twoimi najlepszymi przyjaciółmi* a *Nie bój się porażek*.

Kończę pierwszą babeczkę i biorę się za następną, gdy ponownie dzwoni komórka. Tym razem nie mam do dyspozycji ani jednego czystego palca, więc jestem zmuszona zignorować jej sygnał. Telefon nie przestaje wibrować i płaść po kuchennym blacie. W końcu milknie i na moment nieruchomieje, by zaraz wydać z siebie znajome piknięcie.

Mam nową wiadomość.

Zaciekawiona odkładam rękaw cukierniczy, wycieram ręce i odczytuję SMS-a.

Jest od Coopa.

*Musimy pogadać. W cztery oczy.*

Moje palce nieruchomieją nad wyświetlaczem. Chociaż podróż samochodem na Manhattan zajmuje Coopowi aż trzy godziny, w przeszłości nieraz ją odbywał, ilekroć chodziło o coś ważnego.

Odpisuję mu:

*Kiedy?*

Po kilku sekundach przychodzi odpowiedź:

*Zaraz. Tam, gdzie zwykle.*

Ze strachu ściska mnie w dole kręgosłupa. Coop jest już na miejscu. A to może oznaczać tylko jedno – że coś się stało.

Przed wyjściem w pośpiechu dokonuję tradycyjnych przygotowań do spotkania z nim. Myję zęby. Nakładam błyszczki. Łykam xanax i popijam niebieską tabletkę napojem winogronowym prosto z butelki.

W windzie dociera do mnie, że powinnam się przebrać. Wciąż mam na sobie swój strój roboczy: czarne dżinsy, starą koszulę Jeffa i czerwone pantofle na płaskim obcasie. Wszystko przyprószone mąką i noszące ślady zaschniętych barwników spożywczych. Na odwrocie dłoni dostrzegam resztki kremu czekoladowego; przez czarno-granatową masę prześwituje skóra. Wygląda to jak siniec. Zlizuję je.

Wychodzę na Osiemdziesiątą Drugą Ulicę i skręcam w Columbus, gdzie na chodnikach kłębią się przechodnie. Moje ciało spina się na widok tyłu obcych twarzy. Przystaję, by wsunąć zeszytniałą dłoń do torebki i znaleźć pojemnik gazu pieprzowego, z którym nigdy się nie rozstaję. W tłumie człowiek czuje się bezpieczniej, owszem, ale i znacznie mniej pewnie. Dopiero gdy pod palcami wyczuwam zasobnik z gazem, ruszam przed siebie z miną „zostawcie mnie wszyscy w spokoju”.

Chociaż świeci słońce, w powietrzu wyczuwa się chłód. To typowe dla początku października w Nowym Jorku; pogoda zmienia się jak w kalejdoskopie, raz jest ciepło,

raz zimno. Mimo wszystko jesień nadciąga wielkimi krokami. Gdy widzę przed sobą park Teodora Roosevelta, korony drzew oscylują między zielenią a złotem.

Nad nimi wznosi się tył gmachu Amerykańskiego Muzeum Historii Naturalnej, tego ranka obleganego przez dzieci w wieku szkolnym. Ich głosy śmigają wśród gałęzi jak ptaki. Gdy jedno głośniej krzyknie, reszta milknie, dosłownie na sekundę. Ja także zamieram na chodniku, wytrącona z równowagi nie przez krzyk, tylko przez ciszę, która po nim zapada. Zaraz jednak znowu rozlega się dziecięcy szczebiot, a ja oddecham z ulgą. Podejmuję przerwany marsz, kierując się do kawiarni oddalonej od muzeum o dwie przecznice na południe.

To nasze tradycyjne miejsce spotkań.

Coop czeka przy stoliku pod oknem. Wygląda tak samo jak zwykle. Ma ostre, kanciaste rysy twarzy, która w chwilach odprężenia przybiera melancholijny wyraz, jak teraz. Jego ciało jest zarazem długie i masywne. Ma ogromne dłonie; na palcu jednej zamiast obrączki tkwi studencki sygnet z rubinem. Jedyne, co się zmienia, to włosy, zawsze krótko przystrzyżone: przy każdym spotkaniu zauważam w nich coraz więcej siwych pasemek.

Jego obecność w kawiarni nie uchodzi uwagi nian oraz hipsterów na głódzie kofeinowym, których tutaj pełno. Nie ma to jak gliniarz w pełnym umundurowaniu, żeby wprowadzić wśród ludzi niepokój. Nawet bez munduru Coop może onieśmielać. To chłop jak dąb, istna góra mięśni. Wykrochmalona niebieska koszula i czarne spodnie w kant ostry niczym brzytwa sprawiają, że wydaje się jeszcze większy. Gdy wchodzę, podnosi głowę, a w jego oczach dostrzegam znużenie. Musiał przyjechać prosto z pracy.

Na stole przed nim zauważam dwa kubki. Herbata Earl Grey z mlekiem i dodatkowym cukrem dla mnie. Dla niego kawa – czarna, bez cukru.

– Quincy – mówi, skinąwszy mi głową na powitanie.

Zawsze to samo. Skinięcie głową to dla niego substytut uścisku dłoni. Nigdy się nie przytulamy, poza tamtym jednym incydentem w noc, kiedy się poznaliśmy, a ja rozpaczliwie się w niego wczepiłam. Ilekroć go widzę, tyle razy powraca tamto wspomnienie. Mój umysł odtwarza je niczym zapętłony film, dopóki się nie otrząsnę.

„Oni nie żyją – wyjąkałam, obejmując go z całej siły; słowa z bulgotem wydobywały mi się z gardła. – Wszyscy. A on nadal tam jest!”

Dziesięć sekund później uratował mi życie.

– To ci niespodzianka – mówię, siadając na krześle. Staram się zapanować nad drżeniem głosu. Nie wiem, dlaczego Coop chciał się spotkać, ale jeśli przywozi złe wiadomości, muszę je przyjąć ze spokojem.

– Dobrze wyglądasz – stwierdza, mierząc mnie szybkim, zatroskanym spojrzeniem, do którego zdążyłam przywyknąć. – Ale trochę schudłaś.

W jego głosie brzmi niepokój. Na pewno myśli o tamtym trudnym okresie, gdy pół roku po Pine Cottage apetyt całkiem mnie opuścił – do tego stopnia, że po raz kolejny wylądowałam w szpitalu i trzeba mnie było siłą karmić przez rurkę. Pamiętam, że obudziłam się i ujrzałam stojącego przy moim łóżku Coopa. Wpatrywał się w plastikowy przewód, którego końcówkę miałam wsuniętą do nosa.

„Nie zawiedź mnie, Quincy – powiedział wtedy. – Nie po to przeżyłaś tamtą noc,

żeby teraz umrzeć w taki sposób”.

– To nic – odpowiadam. – W końcu się nauczyłam, że nie muszę zjadać wszystkiego, co sama upiekę.

– Jak ci idzie? Z tym pieczeniem?

– Prawdę mówiąc, znakomicie. W ostatnim kwartale zyskałam pięć tysięcy followersów i następnego poważnego reklamodawcę.

– To świetnie – mówi Coop. – Cieszę się, że wszystko ci się układa. Któregoś dnia mogłabyś upiec coś dla mnie.

Obok skinienia głową to jeszcze jeden stały element naszych rozmów. Coop zawsze to powtarza, nigdy na serio.

– A co u Jeffersona? – zagaduje.

– W porządku. Biuro Obrońcy Publicznego wyznaczyło go do poprowadzenia dużej, ważnej sprawy.

Przemilczam fakt, że chodzi o obronę człowieka oskarżonego o zabójstwo detektywa z wydziału narkotykowego, zastrzelonego podczas nieudanego nalotu. Coop ma już dostatecznie niskie mniemanie o zajęciu Jeffa; nie ma potrzeby dolewać oliwy do ognia.

– To dobrze – mówi.

– Od dwóch dni nie ma go w domu. Poleciał do Chicago zebrać zeznania członków rodziny oskarżonego. Liczy na to, że zmiękczy w ten sposób ławę przysięgłych.

– Hmm – mruczy z roztargnieniem Coop. – Zgaduję, że jeszcze ci się nie oświadczył.

Zaprzeczam ruchem głowy. Zwierzyłam mu się wcześniej, że Jeff na pewno poprosi mnie o rękę podczas naszego sierpniowego urlopu na Outer Banks, ale do tej pory nie dostałam pierścionka. To prawdziwy powód, dlaczego ostatnio schudłam. Jak wiele dziewczyn w podobnej sytuacji zaczęłam uprawiać jogging, żeby się zmieścić w hipotetyczną suknię ślubną.

– Wciąż czekam – mówię.

– Doczekasz się.

– A co u ciebie? – pytam pół żartem, pół serio. – Znalazłeś sobie wreszcie dziewczynę?

– Nie.

Unoszę do góry brew.

– To może chłopaka?

– Spotkaliśmy się, żeby rozmawiać o tobie, Quincy – oznajmia bez choćby cienia uśmiechu Coop.

– Jasne. Ty zadajesz pytania. Ja odpowiadam.

Tak to się zawsze odbywa, kiedy spotykamy się raz, dwa, czasem trzy razy do roku.

Najczęściej przypomina to sesje psychoterapii, podczas których nie mam okazji zadać Coopowi żadnych pytań. Znane mi są jedynie podstawowe fakty z jego życia. Ma czterdzieści jeden lat, zanim został gliną, służył przez jakiś czas w piechocie morskiej i w zasadzie był jeszcze żółtodziobem, kiedy znalazł mnie na drodze, wrzeszczącą wniebogłosy. Wiem, że nadal patroluje ulice miasteczka, gdzie wydarzyły się te wszystkie



potworności, ale nie mam pojęcia, czy jest szczęśliwy. Czy choćby zadowolony. Albo samotny. Nigdy nie dostaję od niego pocztówek z wakacji. Ani razu nie przysłał mi kartki na Boże Narodzenie. Przed dziewięciu laty, na pogrzebie mojego ojca, usiadł w ostatnim rzędzie i wymknął się z kościoła, zanim zdążyłam podziękować mu za przybycie. Najwięcej ciepła okazuje mi w rocznicę moich urodzin – zawsze dostaję wtedy od niego identyczny SMS o treści: „Oto kolejny rok, którego prawie nie doczekałaś. Przeżyj go”.

– Jeff w końcu pójdzie po rozum do głowy – dodaje teraz, kierując rozmowę na wybrane przez siebie tory. – Założę się, że oświadczy ci się w Boże Narodzenie. Faceci często tak robią.

Pociąga solidny łyk kawy. Ja popijam herbatę i mrugam, przytrzymując zamknięte powieki w nadziei, że ciemność pomoże mi odczuć zbawcze działanie xanaxu. Zamiast tego denerwuję się bardziej, niż kiedy tutaj weszłam.

Otwieram oczy i widzę wchodzącą do kawiarni dobrze ubraną kobietę z puciołowatym, równie dobrze ubranym berbeciem. To najprawdopodobniej opiekunka, jak większość kobiet przed trzydziestką w tej okolicy. W ciepłe, słoneczne dni wylegają na chodniki – istna parada dziewcząt zaraz po studiach, uzbrojonych w dyplomy z literatury i kredyty studenckie. Ich twarze wciąż się zmieniają. Zwracam na nią uwagę tylko dlatego, że jesteśmy do siebie podobne. Świeża, rumiana twarz. Jasne włosy związane w koński ogon. Nie za chuda i nie za pulchna. Owoc krzepkiej, karmionej mlekiem populacji Środkowego Zachodu.

W innym życiu to mogłabym być ja. W życiu bez Pine Cottage, krwi i sukienki zmieniającej kolory jak w jakimś koszmarze.

To jeszcze jedno, o czym myślę zawsze, ilekroć spotykam się z Coopem: sądził, że moja sukienka była czerwona. Wyszeptał to do dyspozytora, kiedy zadzwonił po wsparcie. Jego słowa znalazły się w policyjnym zapisie tamtej rozmowy, który wielokrotnie czytałam, i na nagraniu, którego tylko raz zdołałam wysłuchać.

„Ktoś biegnie przez las. Biała kobieta. Młoda. W czerwonej sukience. Krzyczy”.

Rzeczywiście biegłam przez las. W zasadzie pędziłam. Spod moich stóp wzbijały się tumany liści, a ja byłam zbyt otępiała, aby czuć przeszywający ciało ból. I chociaż w moich uszach rozbrzmiewało wyłącznie bicie własnego serca, krzyczałam ile sił w płucach. Jedyna rzecz, co do której Coop się pomylił, to kolor sukienki. Jeszcze godzinę wcześniej była biała.

Część krwi była moja. Reszta pochodziła od innych. Głównie od Janelle, którą obejmowałam, zanim sama zostałam ranna.

Nigdy nie zapomnę wyrazu twarzy Coopa, kiedy zrozumiał swoją pomyłkę. Tych rozszerzonych oczu. Tej kreski warg, gdy ze wszystkich sił starał się nie otworzyć ust do krzyku. I zdumionego westchnienia, jakie mu się wyrwało. Dwie miary szoku, jedna miara współczucia.

To jedna z niewielu rzeczy, które w ogóle pamiętam.

Moje przeżycia w Pine Cottage dzielą się na dwie odrębne części. Jest początek, pełen strachu i dezorientacji, gdy z lasu wypadła Janelle, jeszcze żywa, chociaż niewiele czasu już jej zostało. I jest koniec, kiedy Coop znalazł mnie w mojej czerwonej nieczerwonej sukience.

Pomiędzy jednym i drugim ziele pustka. Plus minus godzina całkowicie wymazana z mojej pamięci.

„Amnezja dysocjacyjna” brzmi oficjalna diagnoza. Lepiej znana pod nazwą syndromu wyparcia. Zasadniczo wydarzenia, jakich byłam świadkiem, okazały się zbyt potworne, aby mój kruchy umysł zdołał je udźwignąć. Usunęłam więc koszarne wspomnienia. Wykonałam coś w rodzaju lobotomii na własnym mózgu.

Co nie przeszkodziło innym domagać się ode mnie, abym sobie wszystko przypomniała. W tej grupie znaleźli się pełni dobrych intencji członkowie rodzin ofiar, błędnie pojmujący niesienie pomocy znajomi oraz psychiatrzy, którym marzyła się publikacja na temat mojego przypadku. „Postaraj się – powtarzali chórem. – Pomyśl o tym, co się tam stało”. Jakby to mogło coś zmienić. Jakby fakt, że przypomnę sobie każdy makabryczny szczegół, mógł przywrócić życie moim przyjaciółom.

Mimo to próbowałam. Terapii. Hipnozy. Nawet tej idiotycznej zabawy mającej pobudzić pamięć sensoryczną, podczas której terapeutka o kędzierzawych włosach, zasłoniwszy mi opaską oczy, przysuwała mi do twarzy perfumowane karteczki, pytając za każdym razem, jakie to we mnie budzi uczucia. Nic nie pomagało.

W moim umyśle ta jedna godzina przypomina wytartą do czysta szkolną tablicę. Nie pozostało nic poza kredowym pyłem.

Rozumiem tę potrzebę uzyskania nowych informacji, ten głód szczegółów. Ale sama wcale za nimi nie tęsknię. Wiem, co zaszło w Pine Cottage. Nie muszę pamiętać, *jak* to dokładnie przebiegło. Szczegóły mają to do siebie, że potrafią odwracać uwagę. Jeśli jest ich zbyt wiele, przesłaniają brutalną prawdę o danym wydarzeniu. Stają się krzykliwym naszyjnikiem, zakrywającym bliznę po tracheotomii.

Ja nie usiłuję zakrywać swoich blizn. Po prostu udaję, że nie istnieją.

To udawanie znajduje swój ciąg dalszy w kawiarni. Jakby wmawianie sobie, że Coop nie zrzuci mi zaraz na głowę granatu złych nowin, jakoś mogło temu zapobiec.

– Przyjechałeś służbowo? – pytam. – Jeżeli zostajesz dłużej w mieście, Jeff i ja z przyjemnością zaprosimy cię na kolację. Zdaje się, że wszystkim nam podobała się ta włoska knajpka, gdzie byliśmy w ubiegłym roku.

Coop spogląda na mnie sponad blatu stolika. Jego oczy mają najjaśniejszy odcień błękitu, jaki kiedykolwiek widziałam. Są nawet jaśniejsze od tabletki, która właśnie w tym momencie wchłania się do mojego centralnego układu nerwowego. Nie jest to jednak kojący błękit. Spojrzenie Coopa jest tak intensywne, że muszę odwracać wzrok, choćbym nawet chciała zajrzeć mu głębiej w oczy w nadziei, że uda mi się odczytać jego ukryte myśli. Dokładnie taki kolor, w ostrym odcieniu błękitu, powinny mieć oczy kogoś, kto ma za zadanie nas chronić.

– Chyba wiesz, dlaczego tu jestem – mówi.

– Nie wiem, naprawdę.

– Przynoszę złe wieści. Nie trafiły jeszcze do gazet, ale wkrótce to nastąpi. Szybciej, niż można by się spodziewać.

*On.*

Taka jest moja pierwsza myśl. To musi mieć jakiś związek z Nim. Chociaż widziałam, jak ginie, mój umysł błyskawicznie i nieubłaganie pogrąża się w nierealnym

świecie, w którym On przeżył strzały Coopa, uciekł i latami się ukrywał, by teraz wyjść ze swojej pieczary z zamiarem odnalezienia mnie i dokończenia rozpoczętego dzieła.

*On żyje.*

Strach zalega mi w żołądku niby kula, ciężka, nie do ruszenia. Mam wrażenie, że uformował się tam guz wielkości piłki do koszykówki. Nagle okropnie chce mi się sikać.

– Nie o to chodzi – odzywa się Coop, bez trudu odgadując moje obawy. – Jego już nie ma, Quincy. Oboje dobrze o tym wiemy.

Chociaż miło jest słyszeć te słowa, w żaden sposób nie pomagają mi się one rozluźnić. Dłonie mam zaciśnięte w pięści, knykcie wbijam w blat.

– Powiedz mi po prostu, co się stało. Proszę.

– Chodzi o Lisę Milner – mówi Coop.

– Co z nią?

– Nie żyje, Quincy.

Ta nowina wysysa z moich płuc całe powietrze. Chyba się dławię. Nie jestem pewna, bo wszystko zagłusza dobiegające z oddali echo głosu Lisy.

„Chcę ci pomóc, Quincy. Chcę cię nauczyć, jak być Ocalałą”.

Zgodziłam się i pozwoliłam, by mnie uczyła. W każdym razie przez pewien czas. Zakładałam, że zna się na tym lepiej ode mnie.

A teraz jej nie ma.

Zostałyśmy tylko my dwie.

\* Robert Charles Mitchum – amerykański aktor telewizyjny i filmowy, zasłynął z ról w filmach noir (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

\*\* Carver Dana Andrews – amerykański aktor, gwiazda filmowa lat 40., najbardziej znany z roli w filmie *Najlepsze lata naszego życia*.

\*\*\* Slangowe określenie Chicago.

W przypadku Lisy Milner rolę Pine Cottage odegrał należący do korporacji studentek żeński akademik w stanie Indiana. Pewnej lutowej nocy przed laty do drzwi frontowych zastukał niejaki Stephen Leibman. Tłuszcioch o żółtawej twarzy, która trzęsła się jak kurzy tłuszcz. Nie skończył studiów i nadal mieszkał z ojcem.

Dziewczyna, która mu otworzyła, zobaczyła go na progu z nożem myśliwskim w ręce. Chwilę później nie żyła. Leibman wciągnął jej ciało do środka, zarygłował wszystkie wejścia, odciął przewód telefoniczny i zasilanie. To, co potem nastąpiło, okazało się mniej więcej godzinną jatką, w której życie straciło dziewięć młodych kobiet.

Niewiele brakowało, a Lisa Milner zaokrągliłaby ten wynik do dziesięciu.

Podczas masakry schroniła się w pokoju jednej z koleżanek. Skulona w szafie, otulona cudzymi ubraniami, modliła się w samotności, aby szalenciec jej nie odnalazł.

Jej modlitwy nie zostały wysłuchane.

Kiedy Stephen Leibman jednym szarpnięciem otworzył drzwi do szafy, pierwszą rzeczą, jaką ujrzała Lisa, był nóż. Dopiero potem zobaczyła jego twarz. Jedno i drugie ociekało krwią. Dostała cios w ramię, mimo to zdołała kopnąć mężczyznę w krocze i uciec z pokoju. Zbiegła na parter i była już prawie przy wyjściu, gdy Leibman dogonił ją i znów zaczął dźgać nożem.

Zadał jej cztery rany kłute w brzuch oraz klatkę piersiową, do tego doszło dziesięciocentymetrowe cięcie w rękę, którą próbowała się bronić. Kolejny cios by ją zabił, gdyby nie fakt, że krzyczącej z bólu i półprzytomnej od utraty krwi Lisie udało się chwycić Leibmana za kostkę.

Upadł i nóż wysliznął mu się z palców. Lisa błyskawicznie go pochwyciła i wbiła napastnikowi w brzuch aż po rękojeść. Stephen Leibman wykrwawił się, leżąc obok niej na podłodze.

Szczegóły. Tak łatwo o nie, kiedy ciebie nie dotyczą.

Miałam siedem lat, kiedy to się stało. Pamiętam, że chyba po raz pierwszy zwróciłam wtedy uwagę na coś, o czym mówiono w wiadomościach. Nic dziwnego, że zapadło mi w pamięć: matka zamarła przed telewizorem i z dłonią na ustach powtarzała wciąż te same słowa: „O słodki Jezu. O słodki Jezu”.

To, co zobaczyłam na ekranie, przestraszyło mnie, zdezorientowało i zasmuciło. Widok zapłakanych gapiów. Procesja nakrytych brezentem noszy przesuwająca się przez drzwi zaklejone na krzyż żółtą taśmą. Jaskrawa plama krwi na śniegu. W tamtym momencie dotarło do mnie, że na świecie istnieje zło. Że każdemu może stać się krzywda.

Wybuchnęłam płaczem, a wtedy ojciec wziął mnie na ręce i zaniósł do kuchni. Zanim łyzy obeschły, zastawił kuchenny blat miskami i napełnił je mąką, cukrem, masłem oraz jajkami. Wręczył mi łyżkę i pozwolił wszystko wymieszać. Tak wyglądała moja pierwsza lekcja pieczenia.

„Istnieje coś takiego jak nadmiar słodczy, Quincy – powiedział. – Wiedzą o tym najlepsi piekarze. Potrzebna jest przeciwwaga. Coś ciemnego. Albo cierpkiego. Albo kwaśnego. Gorzka czekolada. Kardamon i cynamon. Cytryna i limonka. Przełamują

słodczy, sprawiają, że wyczuwając ją, bardziej się to docenia”.

W tej chwili w ustach czuję jedynie suchość i cierpki posmak. Dosładzam herbatę i opróżniam kubek. Nic to nie daje. Wywołany nadmiarem cukru energetyczny kop neutralizuje działanie xanaxu, którego magicznej mocy właśnie zaczynałam doświadczać. Głęboko we mnie te dwie przeciwstawne siły ścierają się ze sobą, wywołując wewnętrzny dygot.

– Kiedy to się stało? – pytam Coopa, gdy tylko pierwszy szok zmienia się w coraz większe niedowierzanie. – I jak do tego doszło?

– Wczoraj późnym wieczorem. Policja z Muncie znalazła ciało około północy. Popełniła samobójstwo.

– O słodki Jezu.

Mówię to dostatecznie głośno, aby zwrócić na siebie uwagę mojego sobowtóra dwa stoliki dalej. Opiekunka zerka na mnie znad ekranu iPhone’a; przekrzywia przy tym głowę jak cocker spaniel.

– Samobójstwo? – powtarzam, a wypowiedziane słowo pozostawia gorzki smak na moim języku. – Myślałam, że była szczęśliwa. W każdym razie robiła takie *wrażenie*.

Wciąż słyszę głos Lisy, mówiącej: „Nie zmienisz tego, co się stało. Jedyne, na co masz wpływ, to jak sobie z tym poradzisz”.

– Ciągłe czekają na wyniki badań toksykologicznych, żeby się upewnić, czy coś piła albo zażyła jakieś narkotyki – odpowiada Coop.

– Czyli to mógł być wypadek?

– To nie był wypadek. Podcięła sobie żyły.

Serce zamiera we mnie na ułamek sekundy. Jestem świadoma pustki, którą powinno wypełnić kolejne uderzenie tętna. W tę pustkę wlewa się smutek i wypełnia mnie tak szybko, że dostaję zawrotów głowy.

– Chcę poznać szczegóły – mówię.

– Wierz mi, nie chcesz – ucina Coop. – To i tak już niczego nie zmieni.

– Czegoś przynajmniej się dowiem. Lepsze to niż nic.

Coop wpatruje się w swój kubek z kawą, jakby szukał na jej brunatnej powierzchni odbicia swoich jasnych oczu. W końcu odzywa się:

– Wiem tylko tyle: za kwadrans dwunasta Lisa zadzwoniła na numer alarmowy. Najwyraźniej dopadły ją wątpliwości.

– Co dokładnie powiedziała?

– Nic. Zaraz się rozłączyła. Ale dyspozytor namierzył połączenie i wysłał do jej domu dwoje mundurowych. Drzwi nie były zamknięte, więc weszli do środka. Znaleźli ją w wannie, obok leżała w wodzie komórka. Musiała wysunąć jej się z ręki.

Coop wygląda przez szybę. Widać, że jest zmęczony. Chyba obawia się, że któregoś dnia też spróbuję czegoś podobnego. Jednak samobójstwo nigdy nie przeszło mi przez myśl, nawet kiedy w szpitalu karmiono mnie przez rurkę. Wyciągam dłoń ponad blatem, ale cofa ręce, zanim zdążę ich dotknąć.

– Kiedy się o tym dowiedziałeś? – pytam.

– Dwie godziny temu. Zadzwoniła do mnie znajoma z policji stanowej w Indianie. Jesteśmy ze sobą w kontakcie.

Nie muszę pytać, skąd Coop zna jakąś policjantkę z Indiany. Nie tylko ocaleni z masakry potrzebują systemu wsparcia.

– Uznała, że powinienem cię uprzedzić – dodaje Coop. – Zanim o tej sprawie zrobi się głośno.

No tak. Prasa. Oczywiście. Lubię sobie wyobrazać dziennikarzy jako drapieżne sępy z ociekającymi krwią wnętrznościami w zakrzywionych dziobach.

– Nie zamierzam z nikim gadać.

Ponownie zwracam na siebie uwagę opiekunki, która podnosi głowę i przygląda mi się przez zmrużone powieki. Odpowiadam jej twardym spojrzeniem i nie odwracam wzroku, dopóki nie odłoży iPhone'a na stolik i nie zacznie udawać, że bardziej interesuje ją powierzony jej opiece dzieciak.

– Nie musisz – stwierdza Coop. – Ale powinnaś przynajmniej wziąć pod uwagę krótkie oświadczenie, w którym złożysz kondolencje rodzinie. Pismaki z brukowców dopadną cię jak wygłodniałe psy. Lepiej byłoby ich uprzedzić i zawczasu rzucić im jakąś kość.

– Dlaczego w ogóle mam się wypowiadać?

– Dobrze wiesz dlaczego – odpowiada Coop.

– Samantha nie może?

– Nie, bo wciąż się ukrywa. Wątpię, aby po tym, jak zdołała skutecznie zapaść się pod ziemię, po tylu latach miała się nagle ujawnić.

– Farciara.

– Zostajesz więc ty – ciągnie Coop. – Dlatego chciałem się z tobą spotkać i osobiście przekazać ci tę wiadomość. Nie zmuszę cię do niczego, na co nie będziesz miała ochoty, ale nie byłoby źle zaprzyjaźnić się z prasą. Po śmierci Lisy i zniknięciu Samantha tylko ty im pozostałaś.

Sięgam do torebki po telefon, który milczy już od dłuższego czasu. Żadnych nieodebranych połączeń. Żadnych nowych wiadomości. Tylko kilkadziesiąt służbowych e-maili, których rano nie zdążyłam przeczytać. Wyłączam komórkę, ale to tymczasowe rozwiązanie. Prędzej czy później dziennikarze i tak mnie wytropią. Coop ma rację: żaden nie oprze się pokusie zdobycia komentarza od jedynej dostępnej Ocalałej.

Bądź co bądź, sami nas stworzyli.

„Ocalała” to w slangu kinomaniaków bohaterka, która jako ostatnia dożywa końca filmu. Tak przynajmniej słyszałam. Już przed Pine Cottage nie przepadałam za horrorami; irytowały mnie sztuczna krew, gumowe noże i postacie podejmujące decyzje tak głupie, że – wstyd się przyznać – w moim mniemaniu same prosiły się o śmierć.

Sęk w tym, że w naszym przypadku – moim, Samantha i Lisy – to nie był film, tylko rzeczywistość. *Nasza* rzeczywistość. Krew nie była sztuczna, a noże okazały się zrobione ze stali i diabelnie ostre. Zaś ci, którzy zginęli, bynajmniej na to nie zasłużyli.

Jednak jakimś cudem to my krzyczałyśmy najgłośniej, uciekałyśmy najszybciej, walczyłyśmy najbardziej zawzięcie. Udało się nam *przetrwać*.

Nie wiem, kto po raz pierwszy użył tego określenia w odniesieniu do Lisy Milner. Prawdopodobnie któraś z gazet ze Środkowego Zachodu, jej rodzinnych stron. Jakiś lokalny reporter opisujący masakrę w żeńskim akademiku chciał być kreatywny,

a zwieńczeniem jego wysiłków okazał się ów przydomek. Dostatecznie makabryczny, a zarazem nieformalny, aby zaistnieć w sieci. Podchwyciły go świeżo powstałe internetowe serwisy informacyjne, a tradycyjna prasa, nie chcąc pozostać w tyle, natychmiast poszła w ich ślady. W pierwszej kolejności brukowce, potem gazety codzienne, wreszcie czasopisma.

W ciągu kilku dni dokonała się pełna transformacja. Lisa Milner przestała być zwykłą ofiarą masakry, której udało się ująć z życiem. Stała się Ocalałą rodem z hollywoodzkiego horroru.

To samo cztery lata później spotkało Samanthę Boyd, a po ośmiu latach – mnie. Chociaż w tym czasie nie brakowało wielokrotnych zabójstw, żadne nie przykuło uwagi opinii społecznej w takim stopniu jak te, w które byłyśmy zamieszane. Z jakiegoś powodu to my stałyśmy się szczęściarami, które przeżyły, podczas gdy reszta zginęła. Ładnymi dziewczynami unurzany w krwi. Traktowano nas w związku z tym jak rzadkie i egzotyczne zjawisko – jakbyśmy były ptakiem, który tylko raz na dziesięć lat rozkłada jaskrawo upierzone skrzydła. Albo kwiatem, który – ilekroć się w końcu rozwinie – wydziela smród zgniłego mięsa.

Przejawy zainteresowania wzbudzanego przeze mnie w pierwszych miesiącach po Pine Cottage oscylowały między życzliwością a dziwactwem. Czasami jedno nie wykluczało drugiego, jak w przypadku listu, w którym pewna bezdzietna para proponowała, że opłaci za mnie chesne na studiach. Odpisałam, że choć doceniam ich hojny gest, zmuszona jestem odmówić. Więcej się do mnie nie odezwali.

Zdarzała się też bardziej niepokojąca korespondencja. Straciłam rachubę, ile razy kontaktowali się ze mną przedstawiciele subkultury gotów albo więźniowie pragnący się ze mną umawiać, żenić, tulić mnie w swoich wytatuowanych ramionach. Pewien mechanik samochodowy z Nevady wymyślił, że przykuje mnie łańcuchem do ściany swojej piwnicy, żeby nic złego mnie już więcej nie spotkało. Jego szczerłość była zdumiewająca – naprawdę wierzył, że uwięzienie mnie będzie najlepszym z dobrych uczynków.

Dostałam też wiadomość, której nadawca twierdził, że trzeba mnie wykończyć, bo moim przeznaczeniem jest zostać zaszlachtowaną. List nie był podpisany, nie było też adresu zwrotnego. Na wszelki wypadek oddałam go Coopowi.

Zaczynam się trząść. To skutek piorunującej mieszanki cukru i xanaxu, której wpływ można porównać ze skutkami najmodniejszych narkotyków zażywanych ostatnio na imprezach. Coop wyczuwa moją nagłą zmianę nastroju i mówi:

– Wiem, że ciężko ci to wszystko udźwignąć.

Przytakuję.

– Chcesz stąd wyjść?

Ponownie kiwam głową.

– W takim razie chodźmy.

Wstaję, a opiekunka przy sąsiednim stoliku znowu udaje zajęta dzieckiem, żeby na mnie nie patrzeć. Może mnie rozpoznała i ten fakt ją krępuje. Nie byłby to pierwszy raz.

Przechodząc obok, niepostrzeżenie zwijam z jej stolika iPhone'a.

Kiedy wychodzę z kawiarni, tkwi głęboko w mojej kieszeni.

Coop odprowadza mnie do domu. Kroczy nieco przede mną, zasłaniając mnie dyskretnie swoim ciałem, jak agent Secret Service. Oboje lustrujemy chodnik w poszukiwaniu dziennikarzy. Na razie żadnego nie widać.

Dochodzimy do mojego budynku i Coop przystaje tuż przed osłaniającą wejście bordową markizą. Mieszkam w przedwojennej kamienicy, eleganckiej i przestronnej, mając za sąsiadów damy z towarzystwa o włosach barwionych błękitną płukanką oraz szykownych dżentelmenów w pewnym wieku, głównie gejów. Założę się, że ilekroć Coop widzi ten dom, zachodzi w głowę, jak dziewczyna prowadząca bloga o pieczeniu i obrońca z urzędu mogą sobie pozwolić na wynajmowanie mieszkania na Upper West Side.

Prawda jest taka, że w życiu nie byłoby nas na to stać. Nie przy pensji Jeffa, która jest żałośnie niska, i z całą pewnością nie przy moich zarobkach za prowadzenie bloga. Mieszkanie należy do mnie. Kupiłam je za pieniądze zdobyte w wyniku licznych procesów wytoczonych po Pine Cottage. Idąc za przykładem ojczyma Janelle, rodziny pozostałych ofiar pożywały, kogo się tylko dało. Zakład psychiatryczny, który pozwolił Mu uciec. Jego lekarzy. Firmy farmaceutyczne produkujące leki przeciwdepresyjne i przeciwpsychotyczne, które namieszały Mu w głowie. Nawet producenta szpitalnych drzwi z niesprawnym zamkiem, przez które zbiegł.

Wszyscy pozwani wybrali ugodę pozasądową. Zdawali sobie sprawę, że warto wyłożyć nawet kilka milionów dolarów, byle uniknąć czarnego PR-u. Gdyby wyszło na jaw, że stają okoniem wobec żądań pogrążonych w żałobie rodzin, straty wizerunkowe byłyby znacznie większe. Niektórych jednak nie uratowała nawet ugoda. Jeden z leków przeciwpsychotycznych został ostatecznie wycofany z rynku, a szpital psychiatryczny w Blackthorn rok po tragedii na dobre zamknął swoje wadliwe podwoje.

Jedynymi ludźmi, którzy nie byli w stanie nam zapłacić, okazali się rodzice mordercy, którzy zbankrutowali, wykosztowawszy się na leczenie syna. Jeżeli o mnie chodzi, nie był to żaden problem. Nie zależało mi na karaniu dwojga skołowanych i zrozpaczonych ludzi za Jego grzechy. Poza tym przypadająca mi w udziale suma odszkodowań okazała się aż nadto wysoka. Znajomy księgowy ojca pomógł mi zainwestować większość środków w akcje, gdy te były jeszcze tanie. Mieszkanie kupiłam zaraz po studiach, gdy rynek nieruchomości dźwigał się właśnie z potwornej zapaści. Dwie sypialnie, dwie łazienki, salon, jadalnia, kuchnia i kącik śniadaniowy, w którym urządziłam prowizoryczną pracownię – wszystko za bezcen.

– Wejdiesz? – proponuję Coopowi. – Nie widziałeś jeszcze, jak mieszkam.

– Może kiedy indziej.

Znowu to samo: zawsze tak mówi, nigdy na serio.

– Pewnie musisz już wracać – bąkam.

– Czeka mnie długa droga do domu. Poradzisz sobie?

– Jasne – przytakuję. – Jak tylko minie pierwszy szok.

– Zadzwoń albo napiszesz, gdybyś czegoś potrzebowała?

Tym razem mówi całkiem poważnie. Naprawdę jest gotów wszystko rzucić, żeby się ze mną zobaczyć – od tamtego poranka po Pine Cottage, gdy zdjęta bólem i żalem zawodziłam: „Chcę rozmawiać z tamtym policjantem! Pozwólcie mi do niego pójść!”.



W ciągu pół godziny był na miejscu w szpitalu.

Dziesięć lat później znowu jest przy mnie i kiwa mi głową na pożegnanie. Odwzajemniam skinienie, on zaś ukrywa swoje błękitne oczy za ciemnymi szklami ray-banów i odchodzi, aby wmieszać się w tłum przechodniów i zniknąć mi z oczu.

W mieszkaniu udaję się wprost do kuchni i łykam drugą tabletkę xanaxu. Napój winogronowy, którym ją popijam, w połączeniu z wypitą wcześniej słodką herbatą, dostarcza mi tyle cukru, że aż mnie bolą zęby. Mimo to nadal go sączę, łyżek za łyżkiem, wyjmując jednocześnie z kieszeni skradziony iPhone. Szybki przegląd zawartości telefonu pozwala mi stwierdzić, że jego właścicielka ma na imię Kim i nie używa żadnych zabezpieczeń. Mam dostęp do listy jej połączeń, historii wyszukiwań i odebranych wiadomości, w tym do ostatniego SMS-a od jakiegoś Zacha z kwadratową szczęką.

*Masz ochotę się dziś wieczorem zabawić?*

Dla jaj odpisuję mu:

*Pewnie.*

Telefon popiskuje mi w dłoni. Kolejny SMS od Zacha. Przesłał zdjęcie swojego fiuta.

Jak miło.

Dla bezpieczeństwa wyłączam dźwięk. Kim i ja może jesteśmy do siebie podobne, ale używamy zupełnie innych melodyjek. Odwracam telefon; jego srebrzysty tył jest cały pokryty odciskami palców. Wycieram go do czysta, dopóki nie zobaczę własnego odbicia – jest zniekształcone, jakbym się przeglądała w krzywym lustrze w lunaparku.

Nada się idealnie.

Muskam palcami złoty łańcuszek, którego nigdy nie zdejmuję z szyi. Wisi na nim kluczyk do jedynej szuflady w kuchni, która jest zawsze zamknięta. Jeff zakłada, że trzymam w niej ważne służbowe papiery. Nie wyprowadzam go z błędu.

W środku znajduje się dźwięcząca zbieranina różnych przedmiotów z połyskujących metali. Lśniące opakowanie szminki i gruba złota bransoleta. Kilka łyżek. Srebrna puderniczka świeżnięta z dyżurki pielęgniarek w dniu wypisu ze szpitala, niedługo po Pine Cottage. W drodze do domu wpatrywałam się w nią, aby się upewnić, że faktycznie nadal istnieje. Teraz, widząc zerkające na mnie zniekształcone odbicia własnej twarzy, odczuwam tę samą spokojną pewność.

Tak, nadal istnieje.

Dołączam iPhone'a do swojej kolekcji, zamykam szufladę i przekręcam kluczyk w zamku, po czym odwieszam go na szyję.

To mój sekret, promieniujący przyjemnym ciepłem w okolicach mostka.

Przez resztę popołudnia unikam patrzenia na niedokończone babeczki, które zdają się na mnie gapić z kuchennego blatu, najwyraźniej oczekując, że potraktuję je w ten sam sposób, co wcześniej dwie inne, które tkwią kawałek dalej, obie pięknie przybrane i bardzo z siebie zadowolone. Wiem, że powinnam je dokończyć, choćby po to, żeby się lepiej poczuć. Bądź co bądź pierwsze przykazanie mojego bloga brzmi: „Pieczenie jest lepsze niż terapia”.

Zazwyczaj w to wierzę. Wiara ma sens. To, co zrobiła Lisa Milner – nie ma.

Wiem jednak, że na równie podły nastrój nawet pieczenie nie pomoże. Dlatego przechodzę do salonu, muskając po drodze czubkami palców nieprzeczytane wydania „New Yorkera” i dzisiejszego „Timesa”. Wmawiam sobie, że nie wiem, dokąd idę. Oczywiście wiem doskonale i tam też ląduję: przy biblioteczce pod oknem. Staję na krześle, żeby dosięgnąć najwyższej półki i schowanej tam książki.

Książki Lisy.

Napisała ją rok po swoim spotkaniu ze Stephenem Leibmanem, nadając jej tragiczny z perspektywy najnowszych wydarzeń tytuł: *Wola życia: moja podróż przez ból do uzdrowienia*. Książka nieźle się sprzedała, jak to zwykle bywa, gdy czyjeś życie przypomina film.

Lisa przesłała mi ten egzemplarz zaraz po Pine Cottage. Zadeedykowała go: „Dla Quincy, mojej dzielnej siostry w sztuce przetrwania. Gdybyś kiedykolwiek chciała porozmawiać, jestem do Twojej dyspozycji”. Poniżej schludnymi, prostymi cyferkami dopisała swój numer telefonu.

Nie zamierzałam do niej dzwonić. Powtarzałam sobie, że nie potrzebuję pomocy. Na co mi ona, skoro i tak niczego nie pamiętam?

Nie byłam przygotowana na to, że każda gazeta i każda sieć kablowa w tym kraju będzie drobiazgowo relacjonowała morderstwa popełnione w domku letniskowym Pine Cottage. Tak to nazwali – „masakrą w domku letniskowym Pine Cottage”. Co z tego, że była to raczej stara chałupa niż domek letniskowy. Nagłówki lepiej brzmiały. Poza tym dom rzeczywiście nazywał się „Pine Cottage” – słowa te wypalono na obozową modłę na cedrowej desce i zawieszono nad wejściem.

Nie licząc pogrzebów, unikałam publicznych wystąpień. Z domu wychodziłam tylko do lekarzy i na spotkania z terapeutą. Ponieważ na naszym trawniku koczowali reporterzy, matka była zmuszona wyprowadzać mnie ukradkiem kuchennymi drzwiami, skąd przez podwórko sąsiadów docierałyśmy do samochodu zaparkowanego przy następnej przecznicy. Nie zapobiegło to umieszczeniu mojego zdjęcia ze szkolnej kroniki na okładce magazynu „People” z podpisem: „Jedyna uratowana” na wysokości usianego pryszczami podbródka.

Wszyscy chcieli uzyskać wywiad na wyłączność. Dziennikarze telefonowali, mailowali i ślali SMS-y. Jedna znana reporterka – obrzydzenie nie pozwala mi wymienić jej nazwiska – dobijała się do drzwi, podczas gdy ja siedziałam po drugiej stronie, oparta plecami o dygoczące drewno. Zanim odeszła, wsunęła jeszcze odręczny liścik przez

szparę pod drzwiami, proponując mi sto tysięcy dolarów za wywiad twarzą w twarz. Kartka pachniała perfumami Chanel No. 5. Wyrzuciłam ją do kosza na śmieci.

Pomimo złamanego serca i świeżych ran, z których jeszcze nawet nie zdjęto szwów, wiedziałam, co jest grane. Prasa uparła się zrobić ze mnie kolejną Ocalałą.

Może lepiej bym to znosiła, gdyby moje życie rodzinne było choć trochę ustabilizowane. Niestety nie było.

Prześladujący ojca rak powrócił i zaatakował ze zdwojoną siłą. Po chemioterapii był zbyt udręczony mdłościami i osłabiony, aby móc ukoić moje zszargane nerwy. Mimo wszystko próbował. Po tym, jak niemal mnie stracił, nie krył, że dobre samopoczucie córki jest dla niego najważniejsze. Dbał, abym jadła, spała i nie użalała się nad sobą. Zależało mu, żebym doszła do siebie, chociaż sam z każdym dniem czuł się coraz gorzej. Pod koniec doszłam do przekonania, że przeżyłam tylko dlatego, że ojciec zawarł jakiś pakt z Bogiem, oddając własne życie w zamian za moje.

Przypuszczałam, że matka też tak to odbierała, lecz miałam zbyt wielkie poczucie winy i za bardzo się bałam, żeby ją o to zapytać. Zresztą taka rozmowa i tak nie miałyby większego sensu. Matka zdążyła się przełączyć na tryb serialowej „gotowej na wszystko”, zdeterminowanej za wszelką cenę podtrzymywać pozory normalności. Wmówiła sobie, że kuchnia wymaga remontu, jakby nowe linoleum mogło w jakiś sposób złagodzić podwójny cios zadany nam przez raka i wydarzenia w Pine Cottage. Kiedy nie wozila nas z ojcem na umówione wizyty, porównywała blaty kuchenne i przeglądała próbki farb. Do tego starannie przestrzegала swojego grafiku, obejmującego treningi spinningowe i spotkania klubu książki. W jej odczuciu zaniedbanie któregośkolwiek z towarzyskich zobowiązań oznaczałoby przyznanie się do porażki.

Ponieważ moja pachnąca paczulą terapeutka uważała, że powinnam mieć w kimś oparcie, zwróciłam się do Coopa. Robił, co mógł, niech Bóg mu to wynagrodzi. W swoim czasie odebrał ode mnie w nocy sporo rozpaczliwych telefonów. Mimo to potrzebowałam kogoś, kto przeżył podobną jatkę jak ja w Pine Cottage. Lisa wydawała się wymarzoną kandydatką.

Zamiast uciec jak najdalej od traumatycznych wspomnień, postanowiła zostać w Indianie. Przez pół roku dochodziła do siebie, po czym wróciła na studia i zdobyła tytuł psychologa dziecięcego. W dniu wręczenia dyplomów zebrany tłum zgotował jej owację na stojąco, a dziennikarze tworzący żywy mur na tyłach audytorium uwiecznili ten moment w rozbłyskach fleszy.

Przeczytałam zatem jej książkę. A później odszukałam numer Lisy i zadzwoniłam. „Pomogę ci, Quincy – usłyszałam. – Nauczę cię, jak być Ocalałą”.

„A jeśli ja nie chcę nią być?”

„Nie ty o tym decydujesz. Wybór już się dokonał. Nie zmienisz tego, co się stało. Jedyne, na co masz teraz wpływ, to jak sobie z tym poradzisz”.

Według Lisy oznaczało to wzięcie problemu na klatę. zaproponowała, żebym zgodziła się na kilka wywiadów, ale na swoich warunkach. Stwierdziła, że publiczna rozmowa na ten temat pomoże mi się zmierzyć z traumą.

Posłuchałam jej rady i udzieliłam trzech wywiadów: jednego „New York Timesowi”, jednego „Newsweekowi” i jednego „pannie Chanel No. 5”, która zapłaciła

mi te obiecane sto tysięcy, chociaż ich nie żądałam. Kwota ta pozwoliła mi w znacznym stopniu sfinansować zakup mieszkania. A jeśli ktoś sądzi, że nie mam z tego powodu wyrzutów sumienia, grubo się myli.

Wywiady okazały się koszmarem. Czułam, że nie powinnam tak otwarcie mówić o zamordowanych przyjaciółach, którzy sami nie mogą się wypowiedzieć – szczególnie, że nie pamiętałam, co ich właściwie spotkało. Byłam przypadkowym obserwatorem, w takiej samej mierze, w jakiej byli nimi ci, którzy rzucili się na moje słowa jak dzieci na cukierki.

Każda rozmowa pozostawiała we mnie pustkę, której nie mogłam zapełnić żadną ilością jedzenia. W końcu przestałam próbować i pół roku po wyjściu ze szpitala ponownie w nim wylądowałam. W tym czasie ojciec ostatecznie przegrał walkę z rakiem i czekał już tylko na nokaut. Mimo to był przy mnie codziennie. Słaniając się z wyczerpania na wózku inwalidzkim, łyżkami pakował we mnie lody, żeby zagłuszyć gorycz antydepresantów, które zmuszona byłam przyjmować.

„Łyzeczka cukru, Quinn – powtarzał. – Piosenka nie kłamie\*”.

Gdy tylko odzyskałam apetyt i wypisano mnie ze szpitala, zgłosiła się Oprah. Nieoczekiwanie zadzwonił do mnie jeden z jej producentów i oznajmił, że chcą nas zaprosić do programu: Lisę, mnie, a także Samanthę Boyd. Trzy Ocalałe, nareszcie razem. Lisa naturalnie przyjęła zaproszenie. Samantha także, co było o tyle dziwne, że już wtedy usiłowała zapaść się pod ziemię. W przeciwieństwie do Lisy, ani razu nie próbowała się ze mną skontaktować po Pine Cottage. Była równie nieuchwytna jak moje wspomnienia.

Też się zgodziłam, choć niewiele brakowało, abym na myśl o publiczności w studiu, złożonej z cmokających ze współczucia gospodyń domowych, przed którymi przyjdzie mi stanąć, na powrót pogrążyła się w otchłani anoreksji. Chciałam jednak poznać wreszcie pozostałe Ocalałe, a zwłaszcza Samanthę. Potrzebowałam alternatywy dla przytłaczającej otwartości Lisy.

Niestety, do spotkania nie doszło.

Tego ranka, kiedy miałyśmy lecieć z matką do Chicago, ocknęłam się w świeżo wyremontowanej kuchni, która wyglądała jak pobojuwisko. Linoleum zaścielały rozbite talerze, z otwartej lodówki ciekł sok pomarańczowy, na blatach poniewierały się skorupki jajek i grudki mąki, a tu i ówdzie widać było tłuste ślady po ekstrakcie waniliowym. Wśród tego wszystkiego na podłodze siedziała moja matka i płakała nad córką, która nadal przy niej była, lecz wydawała się utracona na zawsze.

„Dlaczego, Quincy? – zawodziła. – Dlaczego to zrobiłaś?”

Za spustoszenia odpowiadałam oczywiście ja, nie żaden włamywacz-bałaganiarz. Zrozumiałam to, jak tylko zobaczyłam cały ten bajzel. W panującym wokół chaosie była logika, którą natychmiast rozpoznałam, chociaż w moim umyśle nie zachowało się ani jedno związane z tym wspomnienie. Minuty, podczas których dokonałam w kuchni dzieła zniszczenia, zostały z mojej pamięci wymazane równie doszczętnie, co tamta godzina w Pine Cottage.

„Nie chciałam – odparłam. – Nie wiem, co się tutaj stało, przysięgam!”

Matka udała, że mi wierzy. Wstała, otarła łzy i ukradkiem poprawiła fryzurę. Jednak rozbiegany wzrok zdradzał prawdziwe emocje. Zrozumiałam, że zwyczajnie się

mnie boi.

Podczas gdy ja sprzątałam kuchnię, matka zadzwoniła do producentów Oprah i odwołała mój przyjazd. Ponieważ w programie miałyśmy wystąpić wszystkie trzy albo żadna, swoim telefonem zaprzepaściła cały projekt. Słynne Ocalałe nie spotkały się w studiu telewizyjnym.

Później tego samego dnia matka zawiozła mnie do lekarza, który zasadniczo zalecił mi do końca życia przyjmować xanax. Matce tak pilno było mnie spacyfikować, że pierwszą tabletkę kazała mi połknąć już na parkingu przed apteką. Popiłam ją tym, co akurat było pod ręką – butelką letniego napoju winogronowego.

„Dość tego – oznajmiła mi. – Koniec z zanikami pamięci. Koniec z napadami szału. Koniec z odgrywaniem roli ofiary. Masz odtąd łykać proszki i żyć jak normalny człowiek, Quincy. Innego wyjścia nie ma”.

Przyznałam jej rację. Nie chciałam hordy dziennikarzy na swojej uroczystości rozdania dyplomów. Nie chciałam napisać książki ani udzielać kolejnych wywiadów, w których opowiadałabym o tym, że ilekroć nadciąga burza, pieką mnie blizny. Nie chciałam być jedną z dziewcząt naznaczonych piętnem przeżytej tragedii, wiecznie kojarzoną z najgorszym dniem swojego życia.

Nabuzowana pierwszą tabletką zadzwoniłam do Lisy i zapowiedziałam jej, że odtąd nie będę już udzielała wywiadów. Miałam dość bycia ofiarą.

„Nie jestem Ocalałą” – oświadczyłam.

Głos Lisy nieodmiennie ociekał ciepłością, co doprowadzało mnie do szału.

„Kim wobec tego jesteś, Quincy?”

„Jestem normalna”.

„Dla takich jak ty, ja i Samantha nie ma czegoś takiego jak normalne życie. Ale rozumiem, że chcesz przynajmniej spróbować”.

Życzyła mi powodzenia i dodała, że gdybym jej kiedyś potrzebowała, zawsze mogę na nią liczyć. Więcej ze sobą nie rozmawiałyśmy.

A teraz wpatruję się w twarz, której zdjęcie widnieje na okładce książki. Lisa ładnie na nim wyszła. Fotografia jest oczywiście wyretuszowana, ale w subtelny sposób. Życzliwe spojrzenie. Drobnny nosek. Podbródek może odrobinę zbyt wydatny, a czoło odrobinę za wysokie. Żadna klasyczna piękność, po prostu ładna dziewczyna.

Lisa nie uśmiecha się na tym zdjęciu, bo też i tematyka książki nie skłania do uśmiechu. Wyraz twarzy ma dokładnie taki jak trzeba: ani nazbyt pogodny, ani nazbyt surowy. Idealne połączenie powagi i samozadowolenia. Wyobrażam ją sobie ćwiczącą tę minę przed lustrem i na tę myśl ogarnia mnie smutek.

Potem myślę o Lisie skulonej w wannie, z nożem w ręce. Ta myśl jest jeszcze gorsza.

Nóż.

Tego właśnie nie rozumiem, bardziej niż samej idei samobójstwa. Życie jest do bani. Ludzi spotykają nieszczęścia. Czasem ich to przerasta i postanawiają się wymeldować. Smutne to, ale takie rzeczy stale się przytrafiają. Nawet osobom pokroju Lisy.

Ale ona użyła noża. Nie połknęła fiołki pigułek i nie popiła ich wódką (dla mnie

opcja numer jeden, gdyby kiedykolwiek miało do tego dojść). Nie zapadła łagodnie w śmiertelne objęcia tlenku węgla (opcja numer dwa). Wolała zakończyć życie przy pomocy narzędzia, które przed laty omal nie wyprawilo jej na tamten świat. Świadomie przeciągnęła ostrzem po przegubach, zadbawszy o to, aby rany były dostatecznie głębokie i dzieło rozpoczęte przez Stephena Leibmana ostatecznie się dokonało.

Nie potrafię przestać myśleć o tym, co mogłoby się wydarzyć, gdybyśmy nie straciły z Lisą kontaktu. Może w końcu byśmy się spotkały. Może zostałybyśmy przyjaciółkami.

Może mogłabym ją uratować.

Wracam do kuchni i otwieram laptopa, który służy mi głównie do prowadzenia bloga. Wpisuję w wyszukiwarkę Google nazwisko Lisy i widzę, że wiadomość o jej śmierci nie trafiła jeszcze do sieci. To, że wkrótce tam trafi, jest nieuniknione. Jak ten fakt wpłynie na moje życie, pozostaje jednak wielką niewiadomą.

Kilka kliknięć i jestem na Facebooku – w mdłym bagnie lajków, linków i fatalnej gramatyki. Sama nie funkcjonuję w mediach społecznościowych. Zero Twittera. Zero Instagrama. Miałam kiedyś profil na Facebooku, ale zlikwidowałam go po zalewie współczujących wpisów i zaproszeń od nieznanych mi ludzi, których kręcił mój status Ocalałej. Nadal jednak mam tam profil swojego bloga. To zło konieczne. Teraz zapewnia mi łatwy dostęp do profilu Lisy. Bądź co bądź była fanką *Słodkości Quincy*.

Widzę, że jej strona stała się wirtualną ścianą pamięci, pełną kondolencji, których Lisa nigdy nie przeczyta. Przewijam je. Są ich dziesiątki, większość dość schematyczna, ale płynąca prosto z serca.

„Będzie nam ciebie brakowało, Liso! XOXO”.

„Nigdy nie zapomnę twojego pięknego uśmiechu i niezwykłej duszy”.

„Spoczywaj w pokoju, Liso”.

Autorką najbardziej wzruszającego przesłania jest sarnioka brunetka o imieniu Jade.

„To, że przetrwałaś najtrudniejsze chwile swojego życia, zainspirowało mnie, aby zrobić to samo. Zawsze będziesz moim natchnieniem, Liso. Teraz, kiedy dołączyłaś do grona aniołów w niebie, czuwać nad tymi z nas, którzy zostali tutaj na ziemi”.

Wśród licznych zdjęć zamieszczanych latami przez Lisę w jej facebookowej galerii odnajduję fotografię Jade. Pochodzi sprzed trzech miesięcy i przedstawia je obie, pozujące twarz przy twarzy w czymś, co wygląda na park rozrywki. W tle widać skrzyżowane drewniane podpory kolejki górskiej. Lisa ściska w ramionach wielkiego pluszowego misia. Nie ulega wątpliwości, że ich uśmiechy są szczere. Nie sposób udawać takiej radości. Bóg mi świadkiem, że próbowałam. Mimo tej radości spowija je aura melancholii. Dostrzegam ją w ich oczach. Rozpoznaję ten sam podświadomy smutek, który wkrada się do moich zdjęć. Kiedy w ostatnie święta Bożego Narodzenia wybraliśmy się z Jeffem do Pensylwanii odwiedzić moją matkę, pozwaliśmy razem do zdjęć na tle choinki, udając prawdziwą, normalną rodzinę. Później, podczas przeglądania fotek na swoim komputerze, matka wzięła mój sztywny uśmiech za grymas i skomentowała go, mówiąc: „Chyba by cię nie zabiło, gdybyś się uśmiechnęła, Quincy?”.

Następne pół godziny upływa mi na szperaniu w galerii Lisy i oglądaniu urywków

jej życia, tak różnego od mojego. Wszystko wskazuje na to, że było ono udane, chociaż nigdy nie wyszła za mąż, nie ustatkowała się i nie miała dzieci. Otoczyła się ludźmi – krewnymi, przyjaciółmi i dziewczynami takimi jak Jade, które potrzebowały czyjejś życzliwej obecności. Mogłam być jedną z nich, gdybym tylko pozwoliła jej się do siebie zbliżyć.

Zamiast tego postępowałam dokładnie na odwrót. Trzymałam ludzi na bezpieczny dystans, a kiedy trzeba – odpychałam. Bliskość stanowiła luksus, na którego utratę nie mogłam sobie więcej pozwolić.

Przeglądając zdjęcia Lisy, wyobrażam sobie samą siebie na każdym z nich. Oto ja, pozująca razem z nią na krawędzi Wielkiego Kanionu. Oto my, ocierające wilgotną mgiełkę z twarzy nad wodospadem Niagara. I znowu ja, w grupie kobiet w kręgielni, wyrzucających w górę nogi w dwukolorowych butach. Podpis pod spodem brzmi: „Kumpele z kręgielni!!!”.

Zatrzymuję się dłużej przy fotce, którą Lisa zamieściła przed trzema tygodniami. To selfie zrobione pod dziwnym kątem, jakby od góry. Widać na nim Lisę w jadalni o ścianach wyłożonych drewnem, która trzyma w ręce butelkę wina. Podpisała je: „Czas na wino! LOL!”.

Z tyłu za nią stoi jakaś dziewczyna, ledwie widoczna w kadrze. Przypominają mi się rzekome fotografie Wielkiej Stopy pokazywane w obciachowych programach o zjawiskach paranormalnych: pasmo ciemnych włosów i głowa odwracająca się od obiektu.

Chociaż nie widzę jej twarzy, czuję z nią swego rodzaju pokrewieństwo. Podobnie jak owa nieznajoma, ja także odwróciłam się od Lisy, wycofałam poza kadr, wolałam być sama. Stałam się niewyraźnym kształtem – odartą ze szczegółów nieostrą, ciemną plamą.

\* Nawiązanie do piosenki *A Spoonful of Sugar* śpiewanej przez filmową Mary Poppins: „Łyżeczka cukru pomaga przełknąć lekarstwo”.

## PINE COTTAGE

godzina 15.37

Pierwsze skojarzenie Quincy dotyczyło bajki dla dzieci, głównie ze względu na wymyślną nazwę.

Pine Cottage. Sosnowa Chatka.

Już samo brzmienie wyczarowywało obrazy krasnali, księżniczek i leśnych stworzeń chętnych do pomocy w obowiązkach domowych. Ledwo jednak SUV Craiga wtoczył się na żwirowy podjazd i oczom ich ukazał się drewniany budynek, Quincy pojęła, że wyobraźnia spletała jej figla. Rzeczywistość okazała się znacznie mniej baśniowa.

Z zewnątrz Pine Cottage robiła wrażenie przysadzistej, solidnej i do bólu praktycznej. Niewiele bardziej wyszukanej niż budowla z klocków. Tkwiła między kępą wysokich sosen górujących nad jej pokrytym łupkiem dachem, przez co wydawała się mniejsza, niż była w istocie. Gęsto rosnące drzewa o splecionych konarach otaczały ją grubym murem, na który milcząco napierały inne, tworząc pasmo nieprzeniknionej ciemności.

Ciemny las. Skojarzenie z bajką okazało się słuszne, tyle że Quincy miała na myśli raczej wersję Disneya, nie braci Grimm. Kiedy wysiadła z samochodu i jej wzrok padł na nieprzeniknioną gęstwinę, przeszły ją ciarki.

– Więc tak wygląda kompletna głusza – stwierdziła. – Przyprawia o gęsią skórkę.

– Cykor – parsknęła Janelle. Szła tuż za Quincy, taszcząc nie jedną, ale dwie walizki.

– Juczna kobyła – zrewanżowała się Quincy.

W odpowiedzi Janelle wystawiła język i trwała w tej pozycji, dopóki do Quincy nie dotarło, że ma chwycić aparat i uwiecznić przyjaciółkę dla potomności. Posłusznie wygrzebała z torby swojego nowiutkiego nikon'a i strzeliła kilka fotek. Nie przestała nawet, gdy Janelle schowała język i napinając wątle ramiona, usiłowała dźwignąć z ziemi obie walizki.

– Quin-cee – rzuciła śpiewnym tonem, który Quincy znała aż nazbyt dobrze. – Pomożesz mi je zanieść? Pięknie proszę!

Quincy zawiesiła aparat na szyi.

– Nie ma mowy. To ty uznałaś za stosowne przytargać tutaj pół swojej szafy. Wątpię, abyś wykorzystała chociaż połowę ciuchów.

– Dzięki temu jestem przygotowana na każdą ewentualność. Jak to mówią harcerze?

– Bądź zawsze przygotowany – podsunął Craig, mijając je z lodówką turystyczną na swoim mocnym ramieniu. – Mam nadzieję, że jedną z rzeczy, które spakowałaś, jest klucz do tej chałupy.

Janelle natychmiast skorzystała z okazji, aby odstawić walizki i przetrząsnąć kieszenie w poszukiwaniu klucza. Znalazłszy go, podbiegła do drzwi frontowych i klepnęła cedrową tabliczkę z nazwą chaty.



– Grupowe zdjęcie? – zaproponowała.

Quincy nastawiła samowyzwalacz i umieściła aparat na masce auta Craiga, po czym pośpiesznie dołączyła do stojących przed chatą przyjaciół. Cała szóstka uśmiechała się szeroko w oczekiwaniu na znajomy trzask migawki. „Ekipa z East Hall”, jak ich ochrzciła Janelle podczas spotkania informacyjnego dla studentów pierwszego roku. Od dwóch miesięcy byli już na drugim roku i ciągle trzymali się razem.

Po sesji fotograficznej Janelle uroczyście otworzyła drzwi.

– I jak? – zapytała, ledwo uchyliły się z głośnym skrzypnięciem, zanim pozostali zdążyli się porządnie rozejrzeć. – Przytulnie, prawda?

Quincy przytaknęła, chociaż przytulność nie kojarzyła jej się z niedźwiedzimi skórąmi na ścianach i przetartym dywanikiem na podłodze. Osobiście użyłaby raczej określenia „podupadły”, z naciskiem na „upadły”. Utwierdził ją w tym widok zardzewiałego zlewu w kuchni i brunatnej wody ciekącej z kranu w jedynej łazience. Mimo wszystko budynek był całkiem spory jak na leśną chatę. Cztery sypialnie, na tyłach domu taras, którego deski tylko trochę uginały się pod stopami, no i wielki salon z kominkiem z kamieni polnych dorównującym wymiarami pokojowi w akademiku, który dzieliły Janelle oraz Quincy. Obok kominka leżała równa sterta pniaków.

Pobyty w chacie – właściwie cały ten weekendowy wyjazd – był prezentem urodzinowym dla Janelle od jej mamy i ojczyma. Aspirowali do miana „fajnych rodziców”, takich, którzy chcą być przyjaciółmi swych dzieci. I którzy zakładają, że ich córka-studentka z pewnością pije i pali zioło, więc czemu nie miałyby tego robić w miarę bezpiecznie w wynajętym domku letniskowym w Poconos? Czterdzieści osiem godzin bez opiekunów, stołówkowego żarcia oraz identyfikatorów, które trzeba przeciągać przez czytnik przy wszystkich drzwiach i windach w akademiku.

Aby jednak wymarzony weekend mógł się rozpocząć, Janelle kazała im schować komórki w drewnianej skrzyneczce.

– Żadnych telefonów i SMS-ów, a już na pewno żadnych zdjęć i filmików – oznajmiła, upychając skrzyneczkę w schowku samochodowym.

– A co z moim nikonem? – chciała wiedzieć Quincy.

– Pozwalam ci go zatrzymać. Pod warunkiem, że będziesz robić mi same udane zdjęcia.

– To się rozumie samo przez się – odparła Quincy.

– Mówię serio – przestrzegła ją Janelle. – Jeżeli cokolwiek trafi po tym weekendzie na Facebooka, usunę cię z listy moich znajomych. W sieci i w realu.

Potem, na dany przez nią znak, cała szóstka pognęła do swoich sypialni, usiłując na wyścigi zająć najlepszy pokój. Amy i Rodney zakleпали sobie ten z łóżkiem wodnym, które chlupotało jak szalone, kiedy się na nie rzucili. Betz, która nie miała chłopaka i przyjechała sama, bez gadania zaakceptowała pokój z piętrowym łóżkiem i natychmiast zaległa na dole z opasłym jak encyklopedia wydaniem *Harry'ego Pottera i Insigniów Śmierci*. Quincy wciągnęła Janelle do izby, gdzie dwa łóżka stały naprzeciwko siebie pod ścianami, tak jak u nich w akademiku.

– Zupełnie jak w domu – zauważyła. – W każdym razie całkiem podobnie.

– Może być – odparła bez szczególnego entuzjazmu Janelle. – Chociaż... czy ja

wiem?

– Możemy wziąć inny pokój. Ostatecznie to twoje urodziny. Masz pierwszeństwo wyboru.

– Słusznie. Wybieram zatem... – Janelle chwyciła Quincy za ramiona i ściągnęła przyjaciółkę z nierównego materaca – nocleg w pojedynkę.

Po tych słowach wyprowadziła Quincy na korytarz i pchnęła w kierunku sypialni na samym jego końcu – największej ze wszystkich, z wykuszowym oknem. Roztaczał się stamtąd panoramiczny widok na las. Ściany pokoju zdobiły ręcznie tkane narzuty – istny kalejdoskop kolorów i wzorów – zaś na podwójnym łóżku siedział Craig. Wzrok miał wbity w podłogę i utkwiony gdzieś między swoimi conversami. Ręce oparł na kolanach, splótł palce, kciukami kręcił młynka. Kiedy do pokoju weszła Quincy, poderwał głowę. W jego nieśmiałym uśmiechu dostrzegła pełne nadziei wyczekiwanie.

– Jestem pewna, że tutaj będzie ci *o wiele* wygodniej – oświadczyła porozumiewawczym tonem Janelle. – Bawcie się dobrze, kochani! – Mówiąc to, trąciła Quincy biodrem, wpychając ją głębiej do środka, i już jej nie było: zamknęła drzwi i oddaliła się korytarzem z radosnym chichotem.

– To był jej pomysł – zastrzegł Craig.

– Domyślam się.

– Nie musimy...

Urwał, zmuszając Quincy, aby w myślach dokończyła zdanie. Nocować razem? Spać ze sobą, jak to arbitralnie zarządziła Janelle?

– W porządku – powiedziała.

– Mówię poważnie, Quinn. Jeśli nie jesteś gotowa...

Quincy usiadła obok i położyła dłoń na jego drżącym kolanie. Craig Anderson, wschodząca gwiazda koszykówki. Kasztanowowłosy, zielonooki, tyczkowaty, seksowny Craig. Ze wszystkich dziewczyn na uczelni wybrał właśnie ją.

– W porządku – powtórzyła z całym przekonaniem dziewiętnastolatki, gotowej w końcu stracić cnotę. – Cieszę się.

Jeff zastaje mnie na kanapie z książką Lisy na kolanach i czerwonymi oczami. Przeplakałam całe popołudnie. Rzuca walizkę i bierze mnie w ramiona, a ja opieram głowę na jego piersi i ponownie zaczynam łkać. Po dwóch latach spotykania się ze sobą i kolejnych dwóch mieszkania razem wie, że nie powinien od razu pytać, co się stało. Zamiast tego pozwala mi się wypłakać. Odzywam się dopiero, kiedy kołnierz jego koszuli jest całkiem mokry od łez.

– Lisa Milner się zabiła – mówię.

Jeff mocniej mnie obejmuje.

– *Ta* Lisa Milner?

– Tak, ona.

Nie muszę mówić nic więcej. Jeff wszystko rozumie.

– Och, Quinn! Skarbie, tak mi przykro! Dlaczego? Kiedy to się stało?

Siadamy wygodniej na kanapie, ja opowiadam mu, co wiem. Jeff słucha z wielką uwagą – wyniesiony z pracy nawyk, który każe mu przyswoić wszystkie szczegóły, zanim odsieje ziarno od plew.

– Jak się czujesz? – pyta, kiedy kończę.

– Dobrze – odpowiadam. – Po prostu jestem w szoku. I w żałobie. Wiem, że to głupie.

– Wcale nie – przekonuje mnie Jeff. – Masz wszelkie prawo być przygnębiona.

– Czyżby? Przecież nigdy nawet się nie spotkałyśmy.

– Nieważne. Dużo ze sobą rozmawiałyście. Pomogła ci. Byłyście pokrewnymi duszami.

– Byłyśmy ofiarami – prostuję. – To jedyne, co nas łączyło.

– Nie musisz trywializować, Quinn. Nie w rozmowie ze mną.

Oto przemówił Jefferson Richards, obrońca z urzędu. Ilekroć się ze mną nie zgadza – co nie dzieje się często – uderza w prawniczy ton. Zazwyczaj jest po prostu Jeffem, chłopakiem, który lubi się przytulać, gotuje o niebo lepiej ode mnie i którego tyłek wygląda zabójczo w garniturach, które nosi do sądu.

– Nie próbuję sobie nawet wyobrazić, co tamtej nocy przeszedłeś – mówi. – Nikt nie zdoła tego zrozumieć. Z wyjątkiem Lisy i tej drugiej dziewczyny.

– Samantha.

Jeff automatycznie powtarza jej imię, jakby znał je od zawsze.

– Samantha. Jestem pewien, że ona czuje teraz to samo.

– To nie ma żadnego sensu – oznajmiam mu. – Nie pojmuję, dlaczego Lisa postanowiła się zabić po wszystkim, co przeszła. Taka bezsensowna strata! Sądziłam, że jest silniejsza.

W moich uszach ponownie rozbrzmiewa jej głos.

„Być Ocalałą to swoiste wyróżnienie – powiedziała mi kiedyś. – I szczególna łaska. Cierpiałymy, a mimo to przetrwałyśmy, dlatego możemy być przykładem dla innych cierpiących”.

Co, jak widać, okazało się stekiem bzdur.

– Przepraszam, że tak się rozkleiłam – mówię. – Samobójstwo Lisy. Moja reakcja. Wszystko wydaje mi się nienormalne.

– Nic dziwnego. To, co cię spotkało, *było* nienormalne. Ale nie pozwoliłaś, aby ta tragedia wpłynęła na to, kim jesteś. Miałaś w sobie dość siły, aby żyć dalej. Za to między innymi tak bardzo cię kocham.

Jeff mówił mi to już wcześniej, i to nie raz. Powtarzał tak często, że w końcu mu uwierzyłam.

– Wiem – przytakuje teraz. – Tak było.

– Dokonałaś jedyne rozsądnego wyboru. Tamto należy do przeszłości, to do teraźniejszości. A ja chciałbym wierzyć, że w teraźniejszości czujesz się szczęśliwa.

Jeff uśmiecha się do mnie. Ma uśmiech gwiazdora filmowego: promienny, olśniewający. CinemaScope i Technicolor mogą się schować. Dlatego zwróciłam na niego uwagę, kiedy się poznaliśmy na służbowej imprezie – tak nudnej, że postanowiłam się upić i trochę poflirtować.

„Niech zgadnę – powiedziałaś wtedy. – Reklamujesz pastę do zębów”.

„Bingo”.

„Jaką markę? Może zacznę jej używać?”

„Aquafresh. Ale celuję wyżej – moją ambicją jest reklamować Crest”.

Roześmiałam się, chociaż jego riposta nie była aż taka śmieszna. Było coś ujmującego w tym, jak bardzo próbował mnie zadowolić. Przypominał golden retrievera, łagodnego, wiernego, dającego poczucie bezpieczeństwa. Nie znałam jego imienia, mimo to wzięłam go za rękę. I właściwie od tamtej pory jej nie wypuściłam.

Pomiędzy Pine Cottage a Jeffem moje życie towarzyskie praktycznie nie istniało. Kiedy uznano, że mogę na nowo podjąć studia, nie wróciłam na dawną uczelnię, gdzie prześladowałyby mnie wspomnienia Janelle oraz innych. Zamiast tego wybrałam college nieco bliżej domu i przez trzy lata samotnie zajmowałam dwuosobowy pokój w akademiku.

Wieści o mnie rzecz jasna błyskawicznie się rozeszły. Wszyscy wiedzieli, kim jestem i co mnie spotkało. Nie wychylałam się, trzymałam na uboczu, łykałam codziennie swój xanax i popijałam napojem winogronowym. Zachowywałam się przyjaźnie, ale przyjaźni nie nawiązywałam. Byłam życzliwa, lecz rozmyślnie powściągliwa. Uważałam, że nie ma sensu zbliżać się do kogokolwiek.

Raz w tygodniu brałam udział w terapii grupowej, podczas której mierzyliśmy się z najrozmaitszymi nieszczęściami. Uczestniczki tych spotkań siłą rzeczy stały się moimi znajomymi – nie bliskimi, ale dostatecznie zaufanymi, abyśmy mogły do siebie dzwonić, gdy nagły napad lęku wykluczał samotny wypad do kina.

Mimo wszystko nie było mi łatwo wejść w relację z tymi rozchwiejanymi emocjonalnie dziewczynami, ofiarami gwałtów i pobić, okaleczonymi fizycznie w wypadkach samochodowych. Ich trauma całkowicie różniła się od mojej. Żadna nie wiedziała, jakie to uczucie, gdy w jednej chwili ktoś odbiera ci twoich najbliższych przyjaciół. Nie rozumiały, jakim koszmarem jest nie móc sobie przypomnieć najgorszej nocy swojego życia. Odnosiłam wrażenie, że zazdroszczą mi utraty pamięci. Niczego

bardziej nie pragnęły, niż właśnie zapomnieć, tak jakby zapominanie było czymś łatwiejszym od pamiętania.

Na uczelni nieodmiennie przyciągałam szczupłych, wrażliwych chłopców pragnących rozgryźć tajemnicę cichej, nieśmiałej dziewczyny, która wszystkich trzymała na dystans. Do pewnego stopnia im na to pozwalałam. Umawiałam się na krępujące randki pod pretekstem powtarzania materiału i na pogaduszki przy kawie, podczas których zabawiałam się liczeniem uników, jakie stosowali, aby tylko nie wymówić przy mnie nazwy Pine Cottage. Z rzadka, kiedy samotność wyjątkowo mi doskwierała, dawałam im się pocałować na dobranoc.

W głębi duszy wołałam koleśiów w typie macho, brylujących na hałaśliwych męskich imprezach przy piwie. Znacie ten typ: szerokie ramiona, umięśniona klatka i lekki piwny brzuszek. Takich, którzy mają gdzieś twoje blizny. Niezdolnych do czułości. Gotowych pieprzyć się jak króliki, całkowicie obojętnych na to, że po wszystkim dziewczyna znika, nie zostawiwszy im numeru telefonu.

Po spotkaniach z nimi byłam cała obolała, a zarazem dziwnie pobudzona. Kiedy dostaje się to, czego się chce, jest w tym coś ożywczego – nawet jeśli tym czymś jest wstyd.

Ale Jeff jest inny. Cudownie normalny w tych swoich koszulkach polo od Ralpha Laurena. Dopiero po miesiącu odważyłam się wspomnieć mu o Pine Cottage. Wcześniej sądził, że umawia się z Quincy Carpenter, studentką marketingu planującą założenie bloga o pieczeniu. Nie miał pojęcia, że w rzeczywistości jestem *tą* Quincy Carpenter, ocalałą z masakry.

Trzeba przyznać, że przyjął tę nowinę lepiej, niż się spodziewałam. Powiedział wszystko, co trzeba, dodając na koniec: „Głęboko wierzę, że nikt nie musi dźwigać brzemienia złych doświadczeń z przeszłości. Można się z nich otrząsnąć i iść naprzód. Tobie niewątpliwie się to udało”.

Po tych słowach wiedziałam, że warto z nim być.

– Jak ci poszło w Chicago? – pytam teraz.

Jeff wzrusza lekko ramionami, a ja domyślam się, że nie najlepiej.

– Nie zdobyłem informacji, na które liczyłem – odpowiada. – Szczerze mówiąc, wolałbym o tym nie rozmawiać.

– A ja wolałabym nie rozmawiać o Lisie.

Jeff podrywa się, jakby doznał nagłego olśnienia.

– W takim razie powinniśmy gdzieś wyjść. Elegancko się ubrać, pójść do wystrzałowej knajpy i utopić nasze smutki w obfitości jedzenia i alkoholu. Co ty na to?

Kręcę głową i po kociemu wyciągam się na sofie.

– Nie mam dzisiaj ochoty. Ale wiesz, o czym marzę?

– O winie z kartonu? – zgaduje Jeff.

– I?

– Pad thai na wynos.

Zmuszam się do uśmiechu.

– Znasz mnie jak mało kto.

Później Jeff i ja Kochamy się. Inicjuję seks, wrywając mu z rąk teczkę z aktami

sprawy i siadając na nim okrakiem. Jeff protestuje, ale tylko trochę. Bardziej na pokaz. Chwilę później jest już we mnie, niezwykle czuły i delikatny. W łóżku lubi sobie pogadać. Uprawianie z nim seksu wiąże się z udzielaniem odpowiedzi na całe mnóstwo pytań. „Dobrze ci?” „Nie za ostro?” „Lubisz, kiedy ci to robię?”

Zwykle doceniam jego troskliwość i wokalizowanie chęci zaspokojenia moich potrzeb. Dziś jest inaczej. Śmierć Lisy nie pozostała bez wpływu na mój nastrój. Zamiast fal rozkoszy czuję narastające w ciele niezaspokojenie. Brakuje mi bezosobowych, brutalnych pchnięć tamtych anonimowych chłopaków na studiach; wydawało im się, że mnie uwiedli, a było dokładnie na odwrót. Czuję się tak, jakbym miała potwornie swędzącą wysypkę, a Jeff tylko mnie gładził, zamiast porządnie podrapać. Udaję jednak, że jest wspaniale, stękam i pojękuję jak prawdziwa gwiazda porno. Kiedy Jeff domaga się sprawozdania z postępów, zamykam mu usta pocałunkiem, żeby wreszcie przestał mówić.

Po wszystkim leżymy przytuleni i oglądamy stare filmy na kanale TCM, jak to mamy w zwyczaju po każdym stosunku. Ostatnio ten etap zbliżenia stał się moim ulubionym: odpływam, czując przy sobie sprężyste, owłosione ciało, podczas gdy podawane w typowym dla lat czterdziestych tempie karabinu maszynowego dialogi kołyszają nas do snu.

Ale dzisiaj sen tak łatwo nie przychodzi. Częściowo to wina filmu *Dama z Szanghaju* – dobrnęliśmy do końca; Rita Hayworth i Orson Welles są w korytarzu luster, ich odbicia rozpryskują się pod gradem kul – a częściowo Jeffa, który nie przestaje niespokojnie kręcić się pod kołdrą.

W końcu pyta:

– Jesteś pewna, że nie chcesz pogadać o Lisie Milner?

Zamykam oczy, marząc, aby sen chwycił mnie za gardło i wciągnął w mrok.

– Właściwie nie ma o czym mówić – odpowiadam. – Chcesz pogadać o tym, co załatwiałeś w Chicago?

– Niczego nie *załatwiałem* – obrusza się Jeff. – To moja praca.

– Wybacz. – Wciąż na niego nie patrzę. Milczę przez chwilę, usiłując ocenić poziom jego poirytowania. – Chcesz porozmawiać o swojej pracy?

– Nie – rzuca i zaraz zmienia zdanie. – No, może trochę.

Przekręcam się na bok, unoszę i opieram na lewym łokciu.

– Rozumiem, że linia obrony kiepsko wygląda.

– Owszem. Nic więcej nie mogę ci powiedzieć, żeby nie złamać prawa.

Niewiele jest rzeczy, które Jeff może mi zgodnie z prawem powiedzieć. Klauzula poufności obowiązuje również w rozmowach ze współmałżonkami, w tym przypadku – potencjalnymi. To jeszcze jeden powód, dla którego tworzymy tak dobraną parę. On nie może rozmawiać ze mną o swojej pracy. Ja nie chcę rozmawiać z nim o swojej przeszłości. Tym samym omijamy tematy, które dla większości par stanowią pułapkę bez wyjścia. Dziś jednak po raz pierwszy od wielu miesięcy grozi nam, że w nią wpadniemy. Ze wszystkich sił staram się tego uniknąć.

– Śpijmy już – mówię. – Nie musisz być rano w sądzie?

– Muszę – odpowiada Jeff ze wzrokiem wbitym w sufit. – A nie przyszło ci do

głowy, że właśnie dlatego nie mogę zasnąć?

– Nie – przyznaję i opadam na poduszki. – Przepraszam.

– Chyba nie zdajesz sobie sprawy, jaka to duża sprawa.

– Mówili o niej w wiadomościach, Jeff, więc mam całkiem niezłe wyobrażenie.

Teraz dla odmiany Jeff podnosi się, opiera na łokciu i spogląda na mnie.

– Jeżeli wszystko wypali, to może być dla mnie przełom. Przełom *dla nas*. Myślisz, że do końca życia chcę pracować jako obrońca z urzędu?

– Nie wiem. Chcesz?

– Skąd! Wygranie tej sprawy byłoby trampoliną do prawdziwej kariery. Najlepiej w jakiejś dużej kancelarii, gdzie wreszcie zarabiałbym konkretną kasę i nie musiałbym się już gnieździć w mieszkaniu opłacanym przez moją dziewczynę z funduszu dla ofiar przestępstw.

Jestem zbyt dotknięta, żeby odpowiedzieć, widzę jednak, że Jeff już żałuje swoich słów. Oczy mu nieruchomieją, usta wykrzywia grymas zdenerwowania.

– Quinn, wiesz, że nie chciałem.

– Wiem.

Naga wysuwam się z łóżka. Czuję się obnażona i bezbronna, chwytam więc pierwszą rzecz, jaką mam pod ręką – sprany frotowy szlafrok Jeffa – i narzucam na siebie.

– Nic się nie stało.

– Stało się – odpowiada Jeff. – Jestem ostatnim dupkiem.

– Idź spać – mówię. – Jutro przed tobą ważny dzień.

Wychodzę do salonu, czując się całkowicie i nieodwołalnie rozbudzona. Moja wyłączona komórka leży na stoliku do kawy. Włączam ją; wyświetlacz jaśnieje w ciemności lodowatym błękitem. Mam dwadzieścia trzy nieodebrane połączenia, osiemnaście SMS-ów i ponad trzy tuziny e-maili. W zasadzie wszystkie są od dziennikarzy.

Wiść o śmierci Lisy już się rozeszła. Prasa oficjalnie na mnie poluje.

Przeglądam zawartość skrzynki pocztowej, nieotwieranej od poprzedniego wieczoru. Pod całą masą zapytań przedstawicieli mediów znajduję wcześniejsze, nieszkodliwe wiadomości od fanów mojego bloga oraz producentów przyborów do pieczenia, którzy chcieliby przekazać mi je do wypróbowania.

Jeden e-mail niczym srebrzystołoska ryba wyskakująca nad powierzchnię wody, wyróżnia się w zalewie nazwisk oraz cyfr.

*Lmilner75*

Gwałtownie odrywam palec od ekranu i wzdygam się – to silniejsze ode mnie. Jednocześnie wpatruję się w adres tak natarczywie, aż wypali się na siatkówce, a kiedy zamykam oczy, zostaje pod powiekami w charakterze powidoku.

Znam tylko jedną osobę, która ma taki adres mailowy, i wiem, że od ponad dwudziestu czterech godzin nie żyje. Na samą myśl z nerwów drapie mnie w gardle. Z trudem przetykam ślinę, zanim otworzę wiadomość.

*Quincy, muszę z Tobą porozmawiać. To bardzo ważne. Błagam, nie zlekceważ tego.*

Poniżej widnieje imię Lisy i ten sam numer telefonu co w dedykacji książki.

Kilka razy czytam treść wiadomości. Drapanie w gardle przeradza się w coś, co można jedynie określić mianem trzepotu. Zupełnie jakbym połknęła kolibra, a ten bił skrzydełkami o ściany mojego przelyku.

Sprawdzam, kiedy e-mail został wysłany. O jedenastej wieczorem. Biorąc pod uwagę fakt, że prześledzenie połączenia alarmowego i dojazd do domu Lisy zajęły policji ładnych parę minut, napisała do mnie mniej niż godzinę przed śmiercią.

Niewykluczone, że jestem ostatnią osobą, z którą próbowała się skontaktować, zanim się zabiła.



Nadchodzi poniedziałek, szary i senny. Kiedy się budzę, Jeffa już nie ma – pobiegł na spotkanie ze swoim oskarżonym, zabójcą policjanta.

W kuchni czeka na mnie niespodzianka: wazon pełen przyborów do pieczenia. Zamiast bukietu kwiatów, w środku tkwią drewniane łyżki, szpatułki do ciasta i solidne trzepaczki z uchwytem grubości mojego nadgarstka. Szyjkę wazonu opasuje czerwona kokarda, do której przytwierdzono okolicznościową kartkę.

*Jestem idiotą. Bardzo Cię przepraszam. Nie chcę żadnych innych słodczy poza Tobą. Kocham Cię, Jeff.*

Obok wazonu dostrzegam wczorajsze babeczki, które wciąż na mnie łypią, czekając na wykończenie. Ignoruję je i zażywam poranny xanax, popijając go dwoma łykami napoju winogronowego. Potem parzę kawę i szprycuję się nią w kącie śniadaniowym, żeby się wreszcie rozbudzić.

We śnie dręczyły mnie koszmary. Miałam nadzieję, że ta faza dawno minęła. Przez pierwszych kilka lat po Pine Cottage nie było nocy, żeby nie prześladowały mnie wizje ucieczki przez las, wypadającej zza drzew Janelle, Jego. Podręcznikowe, jeśli wierzyć terapeutom. Ostatnio jednak zdarzały się całe tygodnie, a nawet miesiące wolne od tego typu atrakcji.

Minionej nocy śnili mi się reporterzy: drapali w okna, pozostawiając na szybach krwawe ślady. Błazi i chudzi jęklonie powtarzali moje imię, podobni wampirom czekali, aż wpuszczę ich do środka. Zamiast kłów mieli w ustach zatemperowane ołówki, na ich ostrych czubkach połyskiwały strzępy ścięgien...

W jednym z koszmarów pojawiła się Lisa; wyglądała tak samo jak na zdjęciu z okładki swojej książki. Dobrze wyćwiczony wyraz twarzy nie zmienił się ani na jotę, gdy wyrwała jakiemuś reporterowi ołówek i przeciągnęła jego ostrym czubkiem po swoich przegubach.

E-mail od niej był naturalnie pierwszą rzeczą, o jakiej pomyślałam zaraz po przebudzeniu. Przez całą noc tkwił w moim umyśle niczym pułapka z naciągniętą sprężyną, czekając, aby jakiś okruczeństwo świadomości ją uruchomił. Jego wspomnienie nie opuszcza mnie, gdy wypijam pierwszą filiżankę kawy, a potem następną.

Przede wszystkim jednak nie mogę przestać myśleć, że jeśli nie liczyć przerwanych połączenia z numerem alarmowym, jestem najwyraźniej ostatnią osobą, z którą Lisa usiłowała się skontaktować. O ile to prawda, co nią kierowało? Czy chciała, abym akurat ja spróbowała zapobiec jej upadkowi w mentalną przepaść, na której krawędzi balansowała? Czy fakt, że w porę nie sprawdziłam poczty, czyni mnie w jakiś sposób odpowiedzialną za jej śmierć?

W pierwszym odruchu mam ochotę zadzwonić do Coopa i powiedzieć mu o e-mailu Lisy. Nie wątpię, że rzuciłby wszystko i po raz drugi przyjechał na Manhattan tylko po to, aby mnie zapewnić, że to absolutnie nie jest moja wina. Nie wiem tylko, czy chcę się z nim dzień po dniu spotykać. Od czasu Pine Cottage i następnego poranka nigdy mi

się to nie zdarzyło i nie jest to doświadczenie, które pragnęłabym powtórzyć.

Wysłałam mu więc SMS-a, starając się, aby brzmiał jak najbardziej naturalnie.  
*Zadzwoń, jak będziesz mógł. Nie ma pośpiechu. To nic pilnego.*

Jednak przeczucie mówi mi, że sprawa *jest* pilna. A w każdym razie może być. Skoro to nic ważnego, dlaczego od rana o niczym innym nie myślę? I dlaczego moim następnym odruchem jest zadzwonić do Jeffa tylko po to, żeby usłyszeć jego głos, choć dobrze wiem, że w sądzie wyłączył komórkę i wepchnął ją na samo dno teczki?

Staram się tym nie zadrećcać, co okazuje się niemożliwe. Według informacji na wyświetlaczu komórki znowu mam kilkanaście nieodebranych połączeń. Moja poczta głosowa spuchła od nieodsłuchanych wiadomości. Odtwarzam tylko jedną – niespodziewany komunikat od matki, która specjalnie zadzwoniła bladym świtem, wiedząc, że będę jeszcze spała. To jej najnowsza sztuczka, aby uniknąć rozmowy ze mną.

„Quincy, mówi twoja matka – zaczyna, jakby nie wierzyła, że rozpoznam jej nosowy, monotony głos. – Właśnie obudził mnie telefon od dziennikarza. Pytał, jak skomentuję to, co spotkało twoją znajomą, Lisę Milner. Odpowiedziałam, że powinien porozmawiać z tobą. Pomyślałam, że lepiej będzie cię uprzedzić”.

Nie ma sensu do niej oddzwaniać – to ostatnia rzecz, jakiej by sobie życzyła. Nasze stosunki układają się w ten sposób, odkąd wróciłam na studia. Świeżo owdowiawszy, oczekiwała, że będę dojeżdżać z domu na uczelnię. Kiedy wybrałam akademik, uznała, że ją porzucam.

Ostatecznie jednak to ja zostałam porzucona. Zanim skończyłam studia, matka zdążyła ponownie wyjść za mąż za dentystę imieniem Fred, który wniósł w posagu troje dorosłych dzieci z poprzedniego małżeństwa. Radosnych, nijakich i wiecznie szczerzących zęby. Nie było wśród nich ani jednej Ocalałej. Stali się jej rodziną, podczas gdy ja spadałam do roli z trudem tolerowanego reliktu przeszłości. Skazą na jej skądinąd idealnym nowym życiu.

Ponownie odsłuchuję nagranie, usiłując odnaleźć w głosie matki ślad jakiegokolwiek troski czy zainteresowania. Niczego nie znajduję, kasuję wiadomość i pochylam się nad dzisiejszym wydaniem „Timesa”.

Ku swemu zdziwieniu u dołu pierwszej strony dostrzegam artykuł poświęcony samobójstwu Lisy. Pochłaniam go z niesmakiem.

*MUNCIE, Indiana: Policja potwierdziła wczoraj, że Lisa Milner, wybitna psycholożka dziecięca i jedyna ocalała z masakry w żeńskim akademiku, która wstrząsnęła społecznością studencką w całym kraju, zmarła w swoim domu w Muncie. Miała 42 lata.*

Zasadniczo autor artykułu skupił się na potwornościach, których świadkiem była Lisa owej pamiętnej nocy przed laty. Tak jakby żadne inne wydarzenia z jej życia się nie liczyły. Daje mi to pewne wyobrażenie o tym, jak będzie wyglądał mój własny nekrolog. Aż mnie skręca w żołądku.

Jedno zdanie na dłużej przykuwa mój wzrok. Znajduje się pod koniec tekstu, jakby zostało dopisane po namyśle.

## *Śledztwo policyjne jest w toku.*

Jakie śledztwo? Lisa podcięła sobie żyły; jak dla mnie, to całkiem oczywista przyczyna zgonu. Potem przypominam sobie, co mówił Coop o badaniach toksykologicznych. Są niezbędne, aby stwierdzić, czy przed śmiercią Lisa czegoś nie zażyła.

Odrzucam na bok gazetę i sięgam po laptop. Otwieram wyszukiwarkę, pomijam serwisy informacyjne i od razu przechodzę do blogów poświęconych słynnym zbrodniom, których niepokojąco duża część skupia się na historiach Ocalałych. Prowadzący je – nawiasem mówiąc, sami faceci; kobiety mają najwyraźniej ciekawsze zajęcia – dotąd sporadycznie kontaktują się ze mną przez moją stronę, usiłując pochlebstwami nakłonić mnie do udzielenia wywiadu. Nigdy im nie odpowiadam. Do jedynej interakcji – o ile można to tak nazwać – doszło, gdy otrzymałam list z pogrózkami; Coop napisał wtedy do blogerów z zapytaniem, czy któryś nie jest przypadkiem jego nadawcą. Wszyscy oczywiście zaprzeczyli.

Zwykle nie zaglądam na tego typu strony z obawy przed tym, co się tam na mój temat wypisuje. Dziś jednak muszę zrobić wyjątek. Przeglądam kolejne blogi – niemal każdy zawiera jakąś wzmiankę o samobójstwie Lisy. Podobnie jak w przypadku artykułu w „Timesie”, również tutaj nie znajduję praktycznie żadnych nowych szczegółów. Większość wpisów zwraca uwagę na ironię losu, na jaką zakrawa fakt, że słynna na cały świat Ocalała zginęła z własnej ręki. Jeden z autorów ma wręcz czelność sugerować, że dwie pozostałe Ocalałe powinny pójść za przykładem Lisy.

Zdegustowana zamykam okno wyszukiwarki i zatrząskuję laptop. Muszę jakoś rozładować narastający gniew, który wraz z falą adrenaliny przenika moje ciało. Xanax, kofeina i niefortunne surfowanie w sieci sprawiły, że jestem podenerwowana i rozdrażniona. Na tyle, że wkładam sportowe ciuchy i sznuruję buty do joggingu. Ilekroć ogarnia mnie taki nastrój jak teraz – a zdarza się to dość często – jedynym lekarstwem jest biegać, dopóki nie przejdzie.

Dopiero w windzie dociera do mnie, że przed budynkiem mogą czekać dziennikarze. Skoro znają mój numer telefonu i adres e-mail, mam prawo przypuszczać, że wiedzą także, gdzie mieszkam. Postanawiam, że zamiast zwykłej przechadzki do Central Parku zaraz po wyjściu na ulicę puszczę się biegiem. Na wszelki wypadek od razu zaczynam przebierać nogami i z windy wypadam już żwawym truchtem.

Na zewnątrz orientuję się, że niepotrzebnie się stresowałam. Zamiast tłoczącej się przed wejściem hordy reporterów, spostrzegam tylko jednego. Wydaje się młody, nakręcony i przystojny w nieco kujonowaty sposób. Ma okulary jak Buddy Holly\* i fantastyczną czuprynę. Bliżej mu do Clarka Kenta\*\* niż do Jimmy’ego Olsena\*\*\*. Rusza w moją stronę, kiedy wybiegam z budynku. Kartki notesu furkoczą na wietrze.

– Panno Carpenter...

Przedstawia mi się – Jonah Thompson. Kojarzę to nazwisko. Jest jednym z tych, którzy nie tylko telefonowali, ale dodatkowo esemesowali *oraz* ślali e-maile. Natrętem z gatunku „do trzech razy sztuka”. Podaje mi nazwę gazety, dla której pracuje – jednego ze znanych codziennych brukowców. Zważywszy na młody wiek, musi być bardzo dobry

w tym, co robi, albo kompletnie pozbawiony skrupułów. Podejrzewam, że jedno i drugie.

– Bez komentarza – rzucam i przyspieszam.

Koleś próbuje dotrzymać mi kroku; podeszwy jego płaskich oksfordów klapią o chodnik.

– Tylko parę pytań o Lisę Milner.

– Bez komentarza – powtarzam. – Jeżeli nadal tu będziesz, jak wrócę, wezwę gliny.

Jonah Thompson zostaje z tyłu, a ja biegnę dalej. Czuję, że mnie obserwuje; jego wzrok wypala mi dziurę w karku. Narzucam większe tempo, lawiruję między kolejnymi przecznicami i docieram do Central Parku. Przed wejściem oglądam się przez ramię na wypadek, gdyby przeklęty pismak zdołał mnie jakimś sposobem dogonić.

Mało prawdopodobne.

Nie w takich butach.

Kieruję się na północ, w stronę zbiornika retencyjnego, mojego ulubionego miejsca do biegania. Teren jest tam bardziej płaski niż w pozostałych częściach parku, dzięki czemu wzrok dalej sięga. Żadnych wijących się ścieżek, gdzie nie wiadomo, co kryje się za zakrętem, żadnych kęp drzew, wśród których gęstnieją cienie. Same długie zwirowane odcinki, na których mogę zacisnąć zęby, wyprostować plecy i po prostu *biec*.

Lecz w ten rzeński poranek nie jest mi łatwo skoncentrować się na bieganiu. Moje myśli stale gdzieś błądzą. Rozmyślam o dziecinnej twarzy Jonah Thompsona i jego irytującym uporze. O artykule poświęconym samobójstwu Lisy i kompletnie pominiętej przez autora kwestii tragicznych wydarzeń, które tak namieszały jej w głowie, że zdecydowała się wbić nóż we własne żyły. Przede wszystkim jednak dumam o samej Lisie i o tym, jak się czuła, wysyłając do mnie tamten e-mail. Czy była smutna? Zdesperowana? Czy już wtedy w drżącej ręce ścisnęła nóż?

Nagle to wszystko zwyczajnie mnie przerasta i adrenalina odpływa z mego ciała równie szybko, jak je wypełniła. Inni biegacze zaczynają mnie wyprzedzać; o tym, że nadciągają, informuje mnie chrzęst żwiru pod ich stopami. Poddaję się i zwalniam. Trucht przechodzi w krok spacerowy, a ja przesuwam się na skraj ścieżki i wracam pieszo do domu.

Na miejscu z ulgą odnotowuję, że Jonah Thompson dał za wygraną. Zastąpiła go niestety inna dziennikarka, która kręci się niecierpliwie po drugiej stronie ulicy. Przyjrząwszy się jej uważniej, dochodzę do wniosku, że nie wygląda na zwykłą reporterkę. Wydaje się zbyt awangardowa jak na mainstreamowe media: przywodzi na myśl podstarzałą punkówkę, jedną z tych Riot Grrrls, które przed hipsterami rządziły Williamsburgiem. Kobietę, która ma gdzieś to, że ubrała się jak ktoś o połowę młodszy: w skórzaną kurtkę, narzuconą na obcisłą czarną sukienkę. Na nogach ma kabaretki i znoszone glany, kruczoczarne włosy z przedziałką pośrodku przypominają zasłonę, spod której tylko częściowo widać pociągnięte czarną kreską oczy oraz usta umalowane szminką w kolorze krwi. Przypuszczam, że to jakaś blogerka. Taka, której czytelnicy stanowią całkiem odmienną grupę od moich.

Mimo wszystko jest w niej coś znajomego. Chyba gdzieś ją już widziałam. Żołądek ścisną mi się jak zwykle, gdy nie poznaję kogoś, kogo najwyraźniej powinnam znać.

Za to ona z całą pewnością mnie rozpoznaje. Jej oczy szopa pracza mierzą mnie

czujnie zza zasłony ciemnych włosów. Odwzajemniam spojrzenie i patrzę, jak mi się przygląda. Powieka nawet jej nie drgnie. Kompletnie niewzruszona opiera się o ścianę budynku naprzeciwko, nawet nie próbując wtopić się w otoczenie. Z jej rubinowych warg zwisa papieros, z czubka unosi się dym. Już mam wejść do środka, kiedy słyszę, jak mnie woła.

– Quincy. – To nie pytanie, raczej stwierdzenie faktu. – Ej! Quincy Carpenter!

Przystaję, wykonuję półobrót i łypię na nią spod zmarszczonych brwi.

– Bez komentarza.

Grymas niezadowolenia niczym chmura gradowa rzuca cień na krajobraz jej twarzy.

– Nie chcę żadnego komentarza.

– Więc czego chcesz? – pytam, odwracając się do niej groźnie w nadziei, że zmuszę ją do odwrócenia wzroku.

– Po prostu pogadać.

– O Lisie Milner?

– No – przytakuje. – I o innych rzeczach.

– Czyli jesteś reporterką. A ja nie zamierzam niczego komentować.

– Chryste Panie! – mamrocze ona i ciska niedopałek na ulicę. Po czym schyla się po stojący na chodniku spory plecak. Jest wypakowany po brzegi i robi wrażenie ciężkiego; cokolwiek jest w środku, sprawia, że przetarty materiał napina się na szwach, kiedy kobieta podnosi plecak. Chwilę później przecina jezdnię i staje przede mną – tak blisko, że gdy upuszcza plecak, ten niemal ląduje na mojej prawej stopie. – Nie musisz być taką zołą – stwierdza.

– Słucham?

– Chcę tylko porozmawiać. – Z bliska jej głos brzmi ochryple i zmysłowo. Czuć od niej papierosami i burbonem. – Pomyślałam, że to dobry pomysł, po tym, co się stało z Lisą.

W tej samej chwili dociera do mnie, kim ona jest. Wygląda inaczej, niż się spodziewałam. Bardzo się różni od dziewczyny, której szkolną fotografię pamiętam sprzed lat z pierwszych stron gazet. Ani śladu wysoko upiętych włosów, rumianych policzków, podwójnego podbródka. Od tamtej pory znacznie wyszczuplała i bezpowrotnie straciła swój młodzieńczy, cherubinkowaty urok. Czas wyostrzył jej rysy, przez co stała się zmęczoną wersją dawnej siebie.

– Samantha Boyd – mówię.

Potakująco kiwa głową.

– Wolę Sam.

\* Buddy Holly, właśc. Charles Hardin Holley – legendarny muzyk amerykański, uważany za ojca rock'n'rolla.

\*\* Clark Kent – fikcyjna postać komiksowa, alter ego Supermana.

\*\*\* Jimmy Olsen – fikcyjna postać występująca jako fotoreporter w komiksach o przygodach Supermana.



Samantha Boyd.

Druga Ocalała.

Z nas trzech miała chyba najgorzej.

Gdy to się stało, od dwóch tygodni była absolwentką liceum. Zwykłą dziewczyną, pragnącą uzbierać dość pieniędzy na opłacenie dwuletniej szkoły pomaturalnej. W tym celu zatrudniła się jako pokojówka w motelu o nazwie Nightlight Inn przy autostradzie na przedmieściach Tamy. Jako nowa dostawała same nocne zmiany. Nosila czyste ręczniki umęczonym kierowcom ciężarówek, zmieniała cuchnącą potem i sperma pościel w pokojach wynajmowanych na pół nocy.

Czwartego dnia zdążyła przepracować dwie godziny. Potem w motelu zjawił się mężczyzna w worku na ziemniaki na głowie i rozpętało się piekło.

Był to wędrowny robotnik, tak zwana „złota rączka”; kręciły go pewne fragmenty Biblii, o których niechętnie się wspomina. Nierządnicą Babilońska. Sąd nad grzesznikami. Oko za oko i ząb za ząb. Nazywał się Calvin Whitmer, ale tamtego lata zapisał się w powszechnej pamięci jako Człowiek-Worek.

Pseudonim nie był przypadkowy, Calvin bowiem całe mnóstwo rzeczy przewoził w workach. Piętrzyły się na pace jego pikapa. Worki pustych puszek. Worki zwierzęcych skór. Worki piasku, soli oraz drobnych kamyków. Był wśród nich worek, który wniósł owej nocy do Nightlight Inn, pełen brzeszczotów, pił, dłut oraz gwoździ murarskich. Policja znalazła w sumie dwadzieścia jeden narzędzi, w większości pokrytych zaschniętą ludzką krwią.

Samantha miała pecha zawrzeć bliższą znajomość z dwoma z nich: zaostrzonym wiertłem, które dwukrotnie wbiło jej się w kark, oraz piłą do metalu, która skaleczyła ją w udo, przecinając tętnicę. Do spotkania z wiertłem doszło, zanim Człowiek-Worek przywiązał ją drutem kolczastym do pnia drzewa rosnącego na tyłach motelu. Piłą zaatakował ją po tym, gdy jakimś cudem zdołała się wyswobodzić.

Tamtej nocy w motelu zginęło sześć osób – czterech gości, nocny recepcjonista imieniem Troy oraz Calvin Whitmer. To ostatnie zabójstwo było dziełem Sam: gdy tylko się uwolniła, chwyciła wiertło – to samo, które wbiło się w jej kark – wskoczyła na Człowieka-Worka i dźgnęła go w pierś. A potem jeszcze raz. I jeszcze. Tak ją znalazła policja: oplątana drutem kolczastym, siedzącą okrakiem na trupie i bez opamiętania zadająca mu ciosy wiertłem.

Wiem to wszystko z „Time’a”, o którego lekturę rodzice nigdy mnie nie podejrzewali. Tamten numer tygodnika i tamten artykuł przeczytałam, ślęcząc pod kołdrą z kieszonkową latarką w spoconej dłoni. Przez cały kolejny tydzień miałam z tego powodu koszmary.

Historia Sam trafiła tymczasem do powszechnego obiegu w podobny sposób jak historia Lisy czy później moja. Podchwyciły ją wieczorne serwisy informacyjne, następnie dotarła na pierwsze strony gazet i okładki czasopism. Dziennikarze zbiegli się tłumnie – być może nawet ci sami, którzy koczowali potem na trawniku przed domem

moich rodziców. Sam udzieliła garści wywiadów prasie, a także jednego tej wyperfumowanej zdzirze z telewizji, rzecz jasna na wyłączność i prawdopodobnie za podobną cenę, jaką mnie zaproponowano.

Jedyny postawiony przez nią warunek dotyczył tego, aby nie pokazywać w kamerze jej twarzy ani nie publikować zdjęć w gazetach. Społeczeństwo знаło więc wyłącznie jej fotografię ze szkolnego albumu, a twarz widniejącej na nim dziewczyny zawsze już miała być kojarzona z tą konkretną tragedią.

Stąd taki szum, gdy zgodziła się wystąpić ze mną oraz Lisą u Oprah – na żywo, przed kamerą, żeby cały świat mógł ją zobaczyć. I jeszcze większy szum, gdy zrezygnowałam z udziału w programie. Przez mnie ludzie nie mieli okazji poznać prawdziwego wcielenia Samantha Boyd.

Rok później zniknęła.

Nie odbyło się to w nagły sposób. Nie przepadła jak kamień w wodę, tylko stopniowo się wycofywała, niczym ustępująca w słońcu poranna mgła. Dziennikarzom piszącym o dziesiątej rocznicy masakry w motelu Nightlight Inn nie udało się jej już namierzyć. W końcu matka Sam wydała oficjalne oświadczenie: przyznała, że straciła kontakt z córką. Władze federalne, które lubią mieć na oku ofiary brutalnych przestępstw, również nie mogły jej znaleźć.

Ulotniła się. Zapadła pod ziemię, jak to ujął Coop.

Nikt nie wiedział dokładnie, co się stało, co nie powstrzymało wysypu rozmaitych fantastycznych teorii, które mnożyły się jak wirusy. Jeden z czytanych przeze mnie artykułów sugerował, że zmieniła nazwisko i wyprowadziła się do Ameryki Południowej. Autor innego snuł domysły, że mieszka samotnie gdzieś na zachodzie. Karmiące się sensacją portale internetowe poświęcone zbrodniom preferowały mroczniejsze wersje: wśród rozpowszechnianych przez nie teorii spiskowych królowały samobójstwo, porwanie oraz zmowa rządowa.

A teraz Sam stoi przede mną. Tak mnie zaskoczyła, że brakuje mi słów. Mogę wyjąkać tylko:

– Co ty tutaj robisz?

Sam przewraca oczami.

– Powitania naprawdę nie są twoją najmocniejszą stroną.

– Wybacz – mówię. – Cześć.

– Brawo.

– Dzięki. Ale wciąż mi nie powiedziałaś, co tutaj robisz.

– Czy to nie oczywiste? Przyjechałam się z tobą zobaczyć. – Głos Sam przywodzi na myśl sekretne bary z czasów prohibicji: słyhać w nim papierosową chrypkę i wypity alkohol, a także ukryty, mroczny zaśpiew, który kojarzy się ze wszystkim, co zakazane. – Pomyślałam, że czas się w końcu poznać.

Przez chwilę przyglądamy się sobie nawzajem, próbując odnaleźć ślady przeżytej traumy. Odnoszę wrażenie, że Sam też musiała o mnie czytać, bo jej wzrok pada najpierw na mój brzuch, a zaraz potem na bark. Ja tymczasem zerkam ukradkiem na jej nogę i usiłuję sobie przypomnieć, czy przechodząc przez ulicę, utykała w widoczny sposób.

Przypominają mi się słowa Lisy. „Jesteśmy rzadkim zjawiskiem – powiedziała mi



kiedyś. – Dlatego musimy trzymać się razem”.

Teraz, gdy jej zabrakło, nikt inny nie zrozumie, przez co przeszliśmy. Wiemy to tylko ja i Sam. Dlatego choć nadal nie pojmuję, dlaczego postanowiła wyjść z ukrycia, żeby się ze mną zobaczyć, niechętnie kiwam głową.

– No to się poznałyśmy – mruczę, ciągle oszołomiona. – Wejdiesz na górę?

Siedzimy w salonie i nie pijemy kawy, którą zaparzyłam. Po powrocie przebrałam się i zamiast ciuchów do biegania mam teraz na sobie niebieskie džinsy, czerwone baleriny i turkusową bluzkę. Ta eksplozja koloru ma z założenia kontrastować z czernią ubioru Sam.

Przycupnęłam na fotelu o prostym oparciu, obitym fioletowym aksamitem. Twardy i niewygodny, nadaje się raczej do oglądania niż do siedzenia. Sam, która wybrała zabytkową kanapę, męczy się chyba podobnie jak ja. Siedzi ze złączonymi kolanami, trzymając ręce blisko siebie, i usiłuje prowadzić towarzyską pogawędkę, do czego najwyraźniej nie ma większego talentu. Słowa padają z jej ust krótkimi, gwałtownymi seriami niczym eksplodujące petardy.

– Ładnie mieszkaś.

– Dzięki.

– Sporo tu miejsca.

– Nie jest źle. Mamy tylko dwie sypialnie.

Wzdrygam się wewnętrznie na ten tekst. *Tylko* dwie sypialnie. Jakby mi czegoś brakowało. Sądząc po przydzwiganym przez Sam pękatym plecaku, można powątpiewać, czy w ogóle ma jakiś dach nad głową.

– Super.

Wierci się na kanapie. Wyczuwam, że walczy z pokusą zrzucenia butów i przybrania nieco wygodniejszej półleżącej pozycji. Wygląda na równie skrupowaną jak ja.

– Nie chodzi o to, że jest nam ciasno – dodaję prędko, chcąc jej rozpaczliwie udowodnić, że wcale nie jestem zepsuta. – Doceniam to, co mam. Druga sypialnia przydaje się, kiedy odwiedza nas rodzina Jeffa. Jeff to mój chłopak. Jego rodzice mieszkają w Delaware, a brat, bratowa i dwóch bratanków w Maryland. Bardzo lubią przyjeżdżać z wizytą. Miło jest od czasu do czasu widywać się z dziećmiakami.

Uwielbiam rodzinę Jeffa, idealną jak z katalogu. Są równie doskonali jak sam Jeff. Wiedzą wszystko o Pine Cottage. Jeff im powiedział, jak tylko stało się jasne, że łączy nas coś poważnego. Powieka im nie drgnęła, jak przystało na porządnych protestantów z klasy średniej. Matka Jeffa przysłała mi nawet kosz owoców z odręcznym liścikiem; napisała, że ma nadzieję w ten sposób umilić mi dzień.

– A twoja rodzina? – pyta Sam.

– Co z nimi?

– Często cię odwiedzają?

Myślę o matce i jak dotychczas jedynej wizycie, jaką mi złożyła. Sama się wprosiła, pod pretekstem cichych dni z Fredem. Twierdziła, że chce od niego odetchnąć przez weekend. Jeff uznał to za dobry znak. Naiwnie też tak myślałam. Sądziłam, że matka będzie pod wrażeniem nowego życia, jakie udało mi się zbudować. Zamiast tego przez

cały weekend wszystko krytykowała, począwszy od moich strojów, a na ilości wina wypitego przeze mnie do obiadu skończywszy. Kiedy wyjeżdżała, praktycznie się do siebie nie odzywałyśmy.

– Nie – odpowiadam. – Rzadko. A twoi?

– To samo.

Panią Boyd widziałam raz w programie „20/20” – niedługo po tym, jak świat zdał sobie sprawę ze zniknięcia Sam. Nieduża kobieta o skórze pokrytej czerwonymi plamami, tlenionych włosach i ciemnych, pięciocentymetrowych odrostach. W trakcie wywiadu robiła nieprzyjemne wrażenie osoby kompletnie pozbawionej sentymentów, jeśli chodzi o córkę. Ostro wysunięta szczeka sprawiała, że jej głos brzmiał szorstko i niezyczliwie. Wyglądała na wykończoną i rozdrażnioną. I choć dostrzegam emanującą z Sam podobną aurę zmęczenia, rozumiem, dlaczego chciała od niej uciec. Pani Boyd przypominała dom udręczony przez zbyt wiele burz.

Moja matka stanowi jej całkowite przeciwieństwo. Sheila Carpenter nie dopuszcza, aby ktokolwiek dostrzegł w niej jakikolwiek ślad zmęczenia materiału. Kiedy po Pine Cottage leżałam w szpitalu, każdego ranka zjawiała się w pełnym makijażu i z nienaganną fryzurą. Co prawda jej jedynej córce ledwo udało się ująć z życiem z rąk szaleńca, który brutalnie zamordował resztę jej przyjaciół, ale to nie powód, aby się zaniedbywać. Podczas gdy matka Sam jest niczym nieruchomość wymagająca gruntownego remontu, moja to rozpadająca się w środku podmiejska McPosiadłość.

– Słyszałam, że się ukrywasz – mówię.

– Tak jakby – przyznaje Sam.

– Gdzie byłaś przez te wszystkie lata?

– Tu i tam. Rozumiesz, nie wychylałam się.

Dociera do mnie, że siedzę z ramionami skrzyżowanymi na piersi i dłońmi wciśniętymi pod pachy. Wyciągam je i układam sztywno na kolanach. Kilka sekund później wracają na poprzednie miejsce. Całym ciałem łaknę xanaxu.

Sam niczego nie zauważa. Zbyt jest zajęta utykaniem włosów za uszami, żeby móc jeszcze raz rozejrzeć się krytycznie po pokoju. Urządziłam mieszkanie w stylu shabby chic, starymi, naznaczonymi zębem czasu przedmiotami. Nic tu do siebie nie pasuje: pomalowane na niebiesko ściany, wyszperane na targu staroci lampy, biały dywan futrzak, który kupiłam dla żartu, a potem autentycznie go pokochałam. Zdaję sobie sprawę, że może to wyglądać na próbę ukrycia prawdziwego statusu finansowego, nie potrafię jednak stwierdzić, czy Sam jest pod wrażeniem, czy raczej poirytowana.

– Pracujesz? – zagaduje mnie.

– Tak. Jestem... hm...

Zwlekam z odpowiedzią, jak zwykle, gdy muszę się komuś przyznać do swojej frymuśnej, mimo wszystko pretensjonalnej pracy. Szczególnie komuś takiemu jak Sam, za kim wlecze się cień życia w biedzie. Świadczą o tym oczka w jej kabaretkach, buty oklejone taśmą izolacyjną, harde spojrzenie. Aura desperacji otacza ją na podobieństwo fal radiowych, gęsta i rozwibrowana.

– Nie musisz mi mówić – wtrąca. – W sumie się nie znamy.

– Jestem blogerką? – Brzmi to jak pytanie, jakbym nie miała pojęcia kim jestem. –

Prowadzę stronę internetową. Nazywa się *Słodkości Quincy*.

Sam uśmiecha się uprzejmie.

– Ładna nazwa. To coś o kociakach i takich tam?

– O wypiekach. Ciastach, ciasteczkach, muffinkach. Zamieszczam zdjęcia i porady na temat przybrania. No i przepisy. Całe mnóstwo przepisów. Pisali o mnie na Food Network.

Chryste. Chwalę się przed nią wzmianką na Food Network? Mam ochotę dzielić się po głowie, ale Sam tylko przytakuje obojętnie.

– Fajnie.

– Mam z tego sporo frajdy. – Wreszcie udało mi się wydobyć z siebie niższy ton głosu.

– Dlaczego akurat ciasta? A nie polityka, problem głodu na świecie albo...

– Kociaki i takie tam?

Tym razem uśmiech Sam jest szeroki i szczery.

– Właśnie.

– Zawsze lubiłam piec. Pieczenie to jedna z niewielu rzeczy, w których jestem dobra. Odpręża mnie. Sprawia, że czuję się szczęśliwa. Po tym... – Znowu się waham, z całkiem innego powodu. – Po tym, co mnie spotkało...

– Masz na myśli masakrę w Pine Cottage? – upewnia się Sam.

W pierwszej chwili jestem zaskoczona, że zna tę nazwę. Potem dociera do mnie, że nic w tym dziwnego. Ja też słyszałam o Nightlight Inn.

– Tak – przyznaję. – Po tamtych wydarzeniach, gdy jeszcze mieszkałam w domu, sporo piekłam dla znajomych i sąsiadów. Chciałam im jakoś podziękować za życzliwość. Tygodniami co wieczór dostarczali mi świeżą zapiekankę.

– Tyle żarcia – mówi Sam, unosząc palce do ust i ogryzając skórki. Rękaw skórzanej kurtki zsuwa się, odsłaniając ciemną plamę na jej nadgarstku. Tatuaż, ale niewidoczny. – Musiałaś mieszkać w miłej okolicy.

– Fakt.

Sam chwyta zębami skórkę przy paznokciu, szarpie, odrywa i wypluwa.

– Moja taka nie była.

Zapada cisza, w której przez głowę przelatują mi setki pytań. Głównie osobistych, na które Sam wcale nie musi chcieć odpowiadać. Jak długo tkwiłaś przywiązana drutem kolczastym do tamtego drzewa? Jak się wyswobodziłaś? Jak się czułaś, wbijając wiertło w serce Calvina Whitmera?

Zamiast tego rzucam:

– Porozmawiamy o tym, co się stało z Lisą?

– Mówisz tak, jakbyśmy miały jakiś wybór.

– Nie musimy tego robić.

– Zabiła się – stwierdza Sam. – Oczywiście, że musimy.

– Jak myślisz, co ją do tego pchnęło?

– Może nie mogła tego dłużej znieść.

Wiem, co Sam ma na myśli. „Tego”, czyli poczucia winy, nocnych koszmarów, nieustannego smutku. Przede wszystkim zaś dręczącego, niezachwianego przekonania, że

nie powinnyśmy były przeżyć. Że nie jesteśmy niczym innym jak żalonym, wijącym się robakiem, którego los zapomniał rozdeptać.

– Czy to z powodu samobójstwa Lisy po tylu latach postanowiłaś wyjść z ukrycia?  
Sam wbija we mnie spokojne spojrzenie.

– A jak ci się wydaje?

– Myślę, że tak. Jesteś tym tak samo wstrząśnięta jak ja.

Sam milczy.

– Mam rację, prawda?

– Może.

– Poza tym chciałaś w końcu się ze mną spotkać. Ciekawiło cię, jaka jestem.

– Och, wiem o tobie wszystko – odpowiada Sam.

Odchyła się na oparcie kanapy. Wreszcie pozwala sobie na większą swobodę: zakłada nogę na nogę, lewą stopę w bucie opiera od niechcienia na prawym kolanie. Odrywa ramiona od boków i rozkłada je niczym skrzydła na licznych poduszkach. Ja też się otwieram. Opuszczam luźno ręce i pochylam się naprzód w fotelu.

– Żebyś się nie zdziwiła.

Sam unosi do góry brew. Ma je wyrysowane czarną konturówką i ruch mięśni odsłania pod ciemną smugą kilka cienkich włosów.

– Panna Quincy Carpenter rzuca nieoczekiwane wyzwanie.

– To nie wyzwanie – zaprzeczam. – Raczej stwierdzenie faktu. Mam parę tajemnic.

– Wszystkie mamy jakieś tajemnice – odpowiada Sam. – Pytanie jednak brzmi: czy jesteś kimś więcej niż tylko młodą Marthą Stewart, którą udajesz na swoim blogu?

– Skąd wiesz, że udaję?

– Bo jesteś Ocalałą. My jesteśmy inne.

– Nie jestem żadną Ocalałą – protestuję. – Nigdy nią nie byłam. Jestem po prostu sobą. Nie zamierzam cię okłamywać i twierdzić, że nie myślę o tym, co się stało. Myślę. Ale niezbyt często. Dla mnie to już przeszłość.

Sam ma taką minę, jakby mi nie wierzyła. Obie wyrysowane konturówką brwi są teraz uniesione.

– Chcesz mi powiedzieć, że odkryłaś uzdrawiającą moc pieczenia?

– To mi pomaga – zapewniam ją.

– Udowodnij.

– Mam ci to udowodnić?

– Tak – potwierdza Sam. – Upiecz coś.

– W tej chwili?

– Dlaczego nie? – Sam podnosi się, przeciąga i szarpie mnie za rękę, zmuszając do wstania z fotela. – Pokaż mi swoją prawdziwą twarz.

Pieczenie to nauka ścisła, tak samo jak chemia czy fizyka. Trzeba przestrzegać określonych zasad. Zbyt wiele jednego i zbyt mało drugiego może doprowadzić do katastrofy. Znajduję w tym swego rodzaju pociechę. Światem zewnętrznym rządzi chaos, grasują w nim mężczyźni uzbrojeni w ostre noże. W pieczeniu króluje porządek.

Dlatego powstały *Słodkości Quincy*. Kiedy po skończeniu studiów i uzyskaniu dyplomu z marketingu przeniosłam się do Nowego Jorku, wciąż miałam się za ofiarę. Inni też tak o mnie myśleli. Pieczenie wydawało się jedynym sposobem, aby to zmienić. Chciałam przelać swoją bezkształtną, nijaką egzystencję do formy w kształcie człowieka, podkreślić temperaturę, po czym wyjść z pieca nowa, miękka i sprężysta.

Dotychczas to się sprawdzało.

Na kuchennym blacie ustawiam dwa rzędy misek, uszeregowanych według wielkości i zawartości. W tych największych jest baza – kopczyki mąki i cukru usypane w kształcie śnieżnych zasp. W średnich spoiwo, czyli woda, jajka oraz masło. W małych to, co nadaje smaku całości. Tutaj obowiązuje reguła: im mocniejszy aromat, tym mniejsza ilość dodatku. Dyniowe purée i skórka pomarańczowa, cynamon i żurawina.

Sam spogląda niepewnie na to bogactwo składników.

– Co z tego upieczesz?

– Razem upieczemy chleb dyniowo-pomarańczowy.

Zależy mi, żeby Sam naocznie przekonała się, jak uporządkowaną czynnością jest pieczenie i doświadczyła poczucia bezpieczeństwa, jaką ono daje; chcę, aby zrozumiała, że dzięki niemu stałam się kimś więcej, niż tylko dziewczyną gnającą z krzykiem przez las otaczający Pine Cottage.

Jeżeli mi uwierzy, może się okazać, że to rzeczywiście prawda.

Sam ani drgnie, popatruje tylko to na mnie, to na najbliższe otoczenie. Moim zdaniem kuchnia jest przytulna, urządzona w kojących odcieniach zieleni oraz błękitu. Na parapecie stoi wazon stokrotek, na ścianach wiszą kiczowate rękawice kuchenne. Sprzęty są nowoczesne, ale zaprojektowane w stylu retro. Sam przygląda się temu wszystkiemu z ledwo skrywanym przerażeniem. Przypomina zdziczałe dziecko, które niespodziewanie musi się skonfrontować ze zdobyczami cywilizacji.

– Potrafisz piec? – pytam ją.

– Nie – odpowiada. – Tylko włączyć mikrofalówkę.

Wybucha śmiechem: ochryplym, gardłowym, rezonującym w całej kuchni. Podoba mi się ten dźwięk. Kiedy jestem sama, otacza mnie cisza.

– Wierz mi, to nic trudnego – mówię.

Ustawiam ją przed jednym rzędem misek, sama staję przed drugim. Krok po kroku pokazuję jej, jak ucierać masło i cukier, a następnie łączyć je z mąką, wodą oraz jajkami. Jak dodawać bakalie – pojedynczo, nie wszystkie naraz. Sam przygotowuje masę w podobny sposób, jak mówi: szybkimi, gwałtownymi ruchami. Z jej miski wzbijają się obłoczki mąki, chłapie dyniowe purée.

– Dobrze to robię?

– Prawie dobrze – odpowiadam. – Musisz być bardziej delikatna.

– Jakbym słyszała swoich byłych facetów – żartuje Sam, ale słucha mojej rady i miesza składniki nieco mniej energicznie. Od razu widać rezultaty. – Hej, to działa!

– „Nie spiesz się, bądź wytrwała”. Tak brzmi dziesiąte przykazanie mojego bloga.

– Powinnaś napisać książkę kucharską – oświadcza Sam. – *Pieczenie dla idiotów*.

– Myślałam raczej o tradycyjnej książce z przepisami.

– A o wspomnieniach z Pine Cottage?

Sztywnieję, słysząc te dwa słowa, wypowiedziane jedno po drugim. Osobno nie mają nade mną żadnej władzy. Pine, sosna. Cottage, chata. Zwykle, niegroźne rzeczowniki, które w połączeniu ze sobą tną niczym nóż, który On wbił mi w bark oraz w brzuch. Wiem, że jeśli tylko mrugnę, zobaczę wypadającą zza drzew Janelle, teoretycznie ciągle żywą, lecz już nieodwołalnie martwą. Wytrzeszczam więc oczy i wbijam wzrok w gęstniejącą na dnie miski masę.

– To byłaby bardzo krótka książka – stwierdzam.

– No tak. – W głosie Sam pobrzmiwa fałszywa nuta, jakby dopiero teraz sobie przypomniała, że straciłam pamięć. – Racja.

Ona też wpatruje się nieruchomo, tyle że nie w miskę, a we mnie. Czuję na policzku jej spojrzenie, równie ciepłe jak padające przez kuchenne okno promienie popołudniowego słońca. Mam nieprzyjemne wrażenie, że mnie w jakiś sposób sprawdza. Jeżeli nie odwzajemnię spojrzenia, pokrzyżuję jej szyki. Gapię się więc dalej na ciasto, gęste i połyskliwe.

– Czytałaś książkę Lisy? – pytam.

– Nie – odpowiada Sam. – A ty?

– Też nie.

Nie wiem, dlaczego ją okłamuję. To też kłamstwo: doskonale wiem – próbuję zbić Sam z tropu. Z pewnością zakłada, że przeczytałam książkę Lisy od deski do deski, i się nie myli. Nie ma nic gorszego, jak być przewidywalnym.

– Nigdy się nie spotkałyście? – pytam.

– Lisa nie dostąpiła tej przyjemności – uśmiecha się krzywo Sam. – A ty? Poznałaś ją?

– Rozmawialiśmy przez telefon. O tym, jak sobie radzić z traumą i czego oczekują od nas inni. To nie to samo co spotkanie twarzą w twarz.

– Albo wspólne pieczenie chleba.

Sam trąca mnie biodrem i znów śmieje się ochryple. Jeżeli mnie sprawdzała, to chyba zdałam egzamin.

– Pora to włożyć do pieca – zarządzam.

Przy pomocy szpatułki przekładam masę do prostokątnej blaszki. Sam po prostu przechyla swoją miskę, ale za daleko ją trzyma i ciasto ścieka na blat.

– Cholera – mamrocze. – Skąd wziąć takie płaskie ustrojstwo?

– Masz na myśli szpatułkę? Są tam. – Wskazuję jedną z szuflad za jej plecami. Sam pociąga za uchwyt szuflady poniżej. Zamkniętej szuflady. *Mojej* szuflady. W środku coś grzechocze.

– Co tam chowasz?

– Zostaw!

Brzmi to bardziej histerycznie, niż zamierzałam; w moim głosie dźwięczy gniew. Odruchowo dotykam dłonią łańcuszka, sprawdzam, czy wciąż mam na szyi kluczyk, jakby jakimś tajemniczym sposobem mógł sam znaleźć się w zamku. Rzecz jasna jest na swoim miejscu, gładko przylega do mojej piersi.

– Mam tam przepisy – zmyślam na poczekaniu. – Najtajniejsze z tajnych.

– Wybacz – mówi Sam i puszcza uchwyt szuflady.

– Nikomu ich nie pokazuję – dodaję.

– Jasne. Spoko.

Sam unosi dłonie do góry. Rękaw kurtki znowu się zsuwa, tym razem całkowicie odsłaniając tatuaż na jej nadgarstku. Widzę pojedyncze słowo, wypisane czarnym tuszem.

*PRZETRWAŁAM*

Drukowane, pogrubione litery. Jednocześnie deklaracja i wyzwanie. „No, dalej – zdaje się mówić. – Spróbuj ze mną zadrzeć”.

Godzinę później wczorajsze babeczki są udekorowane, a na kuchence stygną dwa bochenki chleba dyniowo-pomarańczowego. Sam ze skrywaną dumą podziwia rezultaty naszej pracy; smuga mąki znaczy jej policzek na podobieństwo barw wojennych.

– Co teraz? – chce wiedzieć.

Układam babeczki na grubych ceramicznych talerzach. Czarna polewa lśni na tle bladozielonego szkliwa.

– Teraz zrobimy odpowiednią aranżację dla obu wypieków i sfotografujemy je na potrzeby mojego bloga.

– Mówiłam o nas – wyjaśnia Sam. – Spotkałyśmy się. Pogadałyśmy. Upiekłyśmy razem chleb. Czysta magia. Co teraz?

– Zależy, po co tu przyjechałaś – mówię. – Naprawdę z powodu tego, co się stało z Lisą?

– A to niewystarczający powód?

– Mogłaś zadzwonić. Albo wysłać e-mail.

– Chciałam spotkać się z tobą osobiście – stwierdza Sam. – Po tym, co zrobiła Lisa, chciałam zobaczyć, jak się trzymasz.

– No i jak się trzymam?

– Trudno powiedzieć. Ułatwisz mi to czy mam zgadywać?

Pochyliłam się nad babeczkami, wypróbowując różne ustawienia. Sam staje za mną.

– Quincy?

– Dobra, jest mi smutno, okej? – Odwracam się na pięcie i stoję twarzą do niej. – Samobójstwo Lisy mnie zasmuciło.

– A mnie wcale nie jest smutno. – Sam ogląda sobie dłonie, wydłubuje spod paznokci zaschnięte ciasto. – Jestem wkurzona. Żeby umrzeć w taki sposób po tym wszystkim, co przeszła? Doprowadza mnie to do szału.

Chociaż dokładnie to samo powiedziałam wczoraj wieczorem Jeffowi, teraz ogarnia mnie irytacja. Znowu pochylam się nad blatem.

– Nie wściekaj się na Lisę.

– Nie wściekam się – odpowiada Sam. – Jestem wkurzona na siebie. Za to, że nigdy się do niej nie odezwałam. Ani do ciebie. Może gdybym to zrobiła...

– Mogłabyś temu zapobiec? – dopowiadam. – Witaj w klubie.

Mimo że wciąż stoję tyłem do Sam, wiem, że znowu się na mnie gapi. Tym razem w jej palącym spojrzeniu wyczuwam jakby odrobinę chłodu. Niewypowiedzianą ciekawość. O niczym innym nie marzę, jak tylko żeby opowiedzieć jej o e-mailu Lisy wysłanym tuż przed jej śmiercią. Wiem, że dzieląc się z Sam ciężarem urojonego poczucia winy, poczułabym ogromną ulgę. Z drugiej strony właśnie poczucie winy po części ją tutaj przygnało; nie zamierzam go jej dokładać, zwłaszcza jeżeli ta wizyta ma być czymś w rodzaju nienazwanego aktu pokuty.

– To, co się stało z Lisą, jest do dupy – mówi Sam. – Czuję się okropnie, wiedząc, że mogłam... mogłyśmy jej pomóc. Nie chcę, żeby ciebie spotkało to samo.

– Nie mam skłonności samobójczych – uspokajam ją.

– Skąd niby miałam to wiedzieć? Gdybyś kiedykolwiek potrzebowała pomocy albo coś, koniecznie mi powiedz. Ja zrobię to samo. Musimy się o siebie troszczyć. Wiedz, że możesz mi o wszystkim opowiedzieć. Jeśli kiedyś będziesz miała taką potrzebę.

– Nie martw się – mówię. – Jestem szczęśliwa.

– Świetnie. – Brzmi to zdawkowo, jakby mi nie wierzyła. – Cieszę się.

– Serio. Mój blog się rozwija. A Jeff jest fantastyczny.

– Wolno mi będzie poznać tego Jeffa?

To pytanie z rodzaju pytań-matrioszek, kryjących w sobie inne, niewypowiedziane. Jeżeli otworzę „Czy poznam Jeffa?“, znajdę w środku „Czy mnie lubisz?“, z którego z kolei wyskoczy „Czy to już przyjaźń?“. W nim zaś będzie ukryte ostatnie, kluczowe pytanie. Sedno całej sprawy: „Czy jesteście takie same?“

– Oczywiście – odpowiadam na wszystkie jednocześnie. – Musisz koniecznie zostać u nas na kolacji.

Kończę aranżację, ustawiając babeczki pod takim kątem, aby pająki ze słodkiej masy wypełniły cały kadr. Jako tło wybieram wyrazisty bieżnik z lat pięćdziesiątych i kupione na targu staroci ceramiczne dynie.

– Uroczo – komentuje Sam, marszcząc przy tym nos, co wskazuje, że nie jest to komplement.

– Prowadzę bloga o pieczeniu – zwracam jej uwagę. – W tym biznesie urocze najlepiej się sprzedaje.

Stoimy ramię w ramię, oceniając aranżację. Coś nadal nie gra, pomimo pieczołowicie dopracowanych szczegółów. Czegoś brakuje. Jakiejś iskry, niuansu, o którym zapomniałam.

– To jest zbyt perfekcyjne – oznajmia Sam.

– Wcale nie – zaprzeczam, chociaż naturalnie ma rację.

Aranżacja robi wrażenie płaskiej jak martwa natura. Wszystko jest tak nieskazitelne, że równie dobrze babeczki mogłyby być sztuczne. W każdym razie tak właśnie wyglądają: plastikowa polewa na bazie z poliuretanowej pianki.

– Co byś zmieniła?

Sam podchodzi bliżej. Palcem wskazującym dotyka z namysłem podbródka. Potem



zaczyna działać, z rozmachem Godzilla tratującej Tokio. Z części talerzy zdejmuję babeczki i układa je byle jak jeden na drugim. Ceramiczna dynia zostaje przewrócona na bok, a papierowa serwetka zmięta i od niechcienia ciśnięta na środek. Z trzech babeczek Sam zdiera papilotki i również rzuca je na blat.

W do niedawna sterylną aranżację wkradł się chaos. Bałagan przywodzi na myśl stół po wyjątkowo udanym przyjęciu: emanuje radością i jest prawdziwy.

Po prostu doskonały.

Chwytam aparat i zaczynam pstrykać zdjęcia, robiąc zbliżenia zdemolowanych babeczek. Za nimi piętrzy się nieporządna sterta ceramicznych talerzy – gdzieniegdzie na tle zieleni lśnią maźnięcia czarnej polewy.

Sam łapie babeczkę i odgryza solidny kęs, aż sypią się okruszki, a ze środka wylewa się nadzienie.

– Zrób mi zdjęcie.

Waham się, z powodów, których nie jestem w stanie zrozumieć.

– Nie zamieszczam na blogu zdjęć ludzi – mówię. – Tylko jedzenia.

*W ogóle* nie fotografuję ludzi, nie tylko na potrzeby bloga, ale nawet prywatnie. Nie dla mnie selfie, jakie robiła sobie Lisa. Nie po Pine Cottage.

– Raz możesz zrobić wyjątek – zauważa Sam i wydyma usta, udając, że się dąsa. – Dla mnie?

Niezdecydowanie spoglądam w wizjer aparatu i ze świstem wciągam powietrze. Czuję się, zupełnie jakbym spoglądała w magiczną kulę i zamiast przyszłości widziała przeszłość. Oto Janelle przed Pine Cottage, przybierająca cudaczne pozy, objuczona licznymi walizkami. Nie zauważyłam wcześniej podobieństwa, które teraz wydaje się oczywiste. Chociaż Sam i Janelle nie przypominają sobie fizycznie, emanuje z nich taka sama energia. Są żywiołowe, niepokorne, pełne radości życia. Żywe.

– Coś nie tak? – pyta Sam.

– Skąd. – Zwalniam migawkę, robiąc tylko jedno zdjęcie. – Wszystko w porządku. Sam dopada mnie i szturcha, dopóki nie pokażę jej fotki.

– Podoba mi się – oznajmia. – Musisz ją koniecznie zamieścić na swoim blogu.

Żeby jej sprawić przyjemność, obiecuję, że to zrobię, chociaż przy pierwszej nadarzającej się okazji zamierzam skasować zdjęcie.

Czas, aby po wykonaniu odpowiedniej aranżacji sfotografować chleb dyniowo-pomarańczowy. Pozwalam Sam pokroić jeden z bochenków; nierówne kromki układają się wachlarzowato niczym wydarte z książki stronicy. W miejsce ceramicznych dyń ustawiam na blacie stare filiżanki, wypatrzone tydzień wcześniej w West Village. Nalewam do nich kawy tak, aby w każdej znalazła się inna ilość. Kiedy trochę brunatnego płynu chlapie na blat, nie wycieram go, pozwalając, aby utworzył kałużę u podstawy jednej z filiżanek. Sam nadaje całości ostateczny szlif: podnosi filiżankę do ust i siorbiąc, upija spory łyk. Jej szminka pozostawia na krawędzi wyraźny ślad: rubinowy odcisk warg, tajemniczy i uwodzicielski. Następnie cofa się, żebym mogła zrobić zdjęcie. Zafascynowana chaosem, raz za razem zwalniam migawkę, robiąc więcej zdjęć niż to konieczne.

Kolację poprzedzają gorączkowe przygotowania. Uwijam się jak w ukropie, do ostatniej chwili dopracowując szczegóły. Mieszam linguini z domowej roboty sosem puttanesca, który nauczyła mnie robić matka Jeffa. Jest też zielona sałata, świeżo upieczone paluszki chlebowe i wino – z butelki, nie z kartonu – wszystko pięknie ustawione w jadalni na stole z grubo ciosanego drewna, który kupiliśmy ostatniego lata w Red Hook.

Wracającego z pracy Jeffa wita Rosemary Clooney, której największe przeboje sączą się z głośników wieży w salonie, oraz ja, z błyszczącą, zaróżowioną twarzą, ubrana w sukienkę koktajlową z połowy lat pięćdziesiątych, którą po prostu musiałam na siebie włożyć. Bóg jeden wie, co przelatuje mu przez głowę na ten widok. Z całą pewnością jest zdezorientowany. Może nawet trochę się martwi, że mi odbija. Fakt, jest w tym wszystkim sporo przesady, mam jednak nadzieję, że Jeff odczuwa zarazem coś w rodzaju dumy z tego, czego dokonałam: oto po tylu niezobowiązujących spotkaniach z jego liczną rodziną nareszcie doczekałam się gościa.

Potem z jadalni wyłania się Sam – z twarzą obmytą ze śladów mąki i świeżo umalowanymi ustami – a ja jestem w stanie dokładnie przewidzieć reakcję Jeffa: na jego twarzy odmalowuje się zaskoczenie zmieszane z niepokojem i lekko zabarwione podejrzliwością.

– Jeff, to jest Sam – dokonuję oficjalnej prezentacji.

– Samantha Boyd? – upewnia się Jeff, zwracając się raczej do mnie niż do niej.

Sam uśmiecha się, wyciąga do niego rękę.

– Wolę Sam.

– Jasne. Cześć, Sam. – Jeff jest tak wytrącony z równowagi przez całą sytuację, że niemal zapomina odwzajemnić gest Sam. Kiedy w końcu przytomnieje, jest to raczej muśnięcie dłoni niż uścisk. – Quincy, możemy zamienić słówko?

Przechodzimy do kuchni, gdzie szybko streszczam mu wydarzenia dzisiejszego popołudnia, a na koniec dodaję:

– Poprosiłam ją, żeby została na kolację. Chyba nie masz nic przeciwko temu?

– Nie ukrywam, że to dla mnie spore zaskoczenie.

– Wiem. Wszystko stało się tak nagle.

– Powinnaś była mnie uprzedzić.

– Wtedy próbowałbyś wybić mi to z głowy – mówię.

Jeff pomija moją uwagę milczeniem; wie, że mam rację.

– Przyznasz jednak, że to dziwne, tak niespodziewanie zwałać się komuś na głowę.

To nie jest normalne, Quinn.

– Nie jest pan aby zbyt podejrzliwy, panie prawniku?

– Po prostu czułbym się bardziej komfortowo, wiedząc, po co właściwie przyjechała.

– Cały czas się nad tym zastanawiam.

– W takim razie dlaczego zaprosiłaś ją na kolację?

Chcę mu opowiedzieć o dzisiejszym popołudniu, o tym, jak na ułamek sekundy zobaczyłam w Sam Janelle, a ich podobieństwo zaparło mi dech w piersiach. Ale Jeff by tego nie zrozumiał. Nikt by tego nie zrozumiał.

– W pewnym sensie jest mi jej żal – odpowiadam. – Pomyślałam, że po tym, co przeszła, może potrzebować jakiejś życzliwej osoby.

– W porządku – rzuca Jeff. – Skoro tobie pasuje jej towarzystwo, to mnie też.

Jednak jego niezadowolona mina mówi mi, że jest odwrotnie. Wracamy do jadalni, gdzie Sam uprzejmie udaje nieświadomą tego, że właśnie o niej rozmawialiśmy.

– Wszystko gra? – pyta.

Uśmiecham się szeroko, aż bolą mnie mięśnie twarzy.

– Jak najbardziej. Siadajmy do stołu!

Podczas posiłku odgrywam rolę dobrej gospodyni: serwuję dokładki i dolewam wina, ze wszystkich sił starając się nie dostrzegać, że Jeff rozmawia z Sam, jakby ta była jego klientką. Jest sympatyczny, a jednocześnie dociekliwy. Niczym wytrawny wędkarz zarzuca haczyk tam, gdzie ma szansę coś złowić.

– Wiem od Quinn, że na kilka lat zniknęłaś – mówi.

– Wolę myśleć, że po prostu się nie wychylałam.

– I jak się z tym czułaś?

– Spokojna. Nikt nie wiedział, kim jestem ani co złego mnie w życiu spotkało.

– Wygląda raczej, jakbyś przed czymś uciekała.

– Możliwe – przyznaje Sam. – Tyle że, jak wiesz, nie zrobiłam nic złego.

– Dlaczego się więc ukrywać?

– A dlaczego nie?

Jeffowi nie przychodzi do głowy żadna sensowna odpowiedź i przy stole zapada cisza, przerywana jedynie od czasu do czasu szczękiem uderzających o talerze sztućców. Denerwuje mnie to i zanim się obejrzę, mój kieliszek jest pusty. Napełniam go, po czym reflektuję się, że nie jestem sama.

– Sam, dolać ci?

Chyba wyczuwa moje zdenerwowanie, bo uśmiecha się, żeby mnie rozluźnić.

– Chętnie – mówi i jednym haustem opróżnia swój kieliszek, żeby móc ponownie go napełnić.

Odwracam się do Jeffa.

– Wina?

– Nie, dzięki – odpowiada i zwraca się do Sam z kolejnym pytaniem: – To gdzie mieszkałaś przez cały ten czas?

– Tu i tam.

Wcześniej udzieliła mi takiej samej odpowiedzi. Jeffowi to rzecz jasna nie wystarcza. Opuszcza widelec i obrzuca Sam spojrzeniem, jakim przygważdża świadków w krzyżowym ogniu pytań.

– Gdzie dokładnie?

– Nazwa miejsca nic ci nie powie.

– Znam nazwy wszystkich pięćdziesięciu stanów. – Jeff posyła jej przyjazny uśmiech. – Potrafię nawet wyrecytować z pamięci większość ich stolic.

– Wydaje mi się, że Sam woli zachować to w tajemnicy – wtrącam. – Na wypadek gdyby chciała wrócić i dalej wieść anonimowe życie.

Po drugiej stronie stołu Sam z wdzięcznością potakuje. Troszczyć się o nią, jak tego chciała, chociaż, przynajmniej w tym konkretnym przypadku, ciekawość zżera mnie podobnie jak Jeffa.

– Jestem pewna, że kiedyś w końcu nam powie – dodaję. – Prawda, Sam?

– Może. – Szorstkość w głosie Sam wyraźnie świadczy o tym, że nie będzie żadnego „może”. Mimo wszystko próbuje nieco złagodzić ton przy pomocy żartu: – Zależy, jak dobry będzie deser.

– Zresztą to bez znaczenia – odzywa się Jeff. – Najważniejsze, że wy dwie wreszcie nawiązałyście kontakt. Wiem, że to dla Quinn bardzo ważne. Śmierć Lisy ogromnie ją wstrząsnęła.

– Mną też – mówi Sam. – Jak tylko się dowiedziałam, postanowiłam tu przyjechać i w końcu z nią pogadać.

Jeff przekrzywia głowę. Ze swoją kudłatą głową i wielkimi, piwnymi oczami wygląda jak spaniel, który zobaczył kość: wygłodniały i czujny.

– Czyli wiedziałaś, że Quinn jest w Nowym Jorku?

– Przez wszystkie te lata miałam je obie na oku.

– Interesujące. Z jakiego powodu?

– Chyba z ciekawości. Chciałam wiedzieć, że wszystko u nich w porządku. Albo chociaż tak myśleć.

Jeff kiwa głową, spogląda na swoje danie, widelcem przesuwając linguini z jednej strony talerza na drugą. W końcu odzywa się:

– Pierwszy raz jesteś na Manhattanie?

– Nie. Byłam tu już wcześniej. Kilka razy.

– Kiedy ostatnio?

– Lata temu – odpowiada Sam. – Jeszcze jako dziecko.

– Czyli przed tym wszystkim, co wydarzyło się w motelu?

– Tak. – Sam łypie na niego z naprzeciwka spod przymrużonych powiek. Widać, że z trudem tłumi gniew. – Przed *tym wszystkim*.

Jeff udaje, że nie dostrzega sarkazmu, z jakim Sam wymawia dwa ostatnie słowa.

– To znaczy, że długo cię tu nie było.

– Na to wygląda.

– I przyjechałaś powodowana troską o samopoczucie Quincy? To jedyny powód?

Sięgam i dotykam dłoni Jeffa – niemy sygnał, że posuwa się za daleko i jest zwyczajnie niegrzeczny. Robi to samo, ilekroć odwiedzamy moją matkę, a ja zaczynam się z nią spierać na właściwie każdy temat.

– Jaki inny powód mogłabym mieć? – pyta go Sam.

– Potrafię ich sobie wyobrazić całkiem sporo – odpowiada Jeff; moja dłoń wciąż spoczywa ciężko na jego ręce. – Może po śmierci Lisy szukasz rozgłosu? Albo potrzebujesz pieniędzy?

– Nie dlatego tu jestem.

– Mam taką nadzieję. Wierzę, że przyjechałaś tylko zobaczyć, jak miewa się Quinn.

– Takie chyba zawsze było życzenie Lisy – mówi Sam. – Chciała, żebyśmy spotkały się we trzy. Uważała, że powinnyśmy sobie pomagać.

Nastrój przy stole zmienia się diametralnie. Powietrze robi się gęste od podejrzeń, atmosfera jest zwarzona. Impulsywnie unoszę do góry kieliszek. Znowu jest prawie pusty, na dnie wiruje resztką czerwonego wina.

– Powinniśmy wznieść toast – oznajmiam. – Za Lisę. Chociaż nie miałyśmy okazji spotkać się we trzy, myślę, że jest z nami duchem. Myślę też, że cieszyłaby się, widząc nas wreszcie razem.

– Za Lisę – wtóruje mi Sam, wyczuwając, o co chodzi.

Napełniam swój kieliszek. Potem dolewam wina gościowi, choć kieliszek Sam jest prawie pełny.

Stukamy się nad stołem – zbyt mocno, zbyt głośno, niemal tłukąc kryształowe kieliszki. Moje pinot noir przelewa się przez krawędź i chlapie na sałatę oraz paluszki chlebowe. Wino wsiąka w pieczywo, zostawiając na wierzchu czerwone plamy.

Z moich ust wydobywa się nerwowy chichot. Sam wybucha tym swoim gardłowym śmiechem.

Nierozbawiony Jeff rzuca mi ostre spojrzenie, które znam z jego sztywnych służbowych przyjęć. „Upiłaś się?” – zdaje się mówić. Nie upiłam się. W każdym razie jeszcze nie. Ale rozumiem, skąd takie przypuszczenie.

– Czym się zajmujesz, Sam? – pyta Jeff.

Sam wzrusza ramionami.

– Tym i owym.

– Ach, tak.

– Akurat szukam pracy.

– Ach, tak – powtarza on.

Upijam kolejny łyk wina.

– Jesteś prawnikiem. – W ustach Sam brzmi to prawie jak oskarżenie.

– Zgadza się – przytakuje Jeff. – Obrońcą z urzędu.

– Ciekawe. Założę się, że spotykasz najprzeróżniejszych ludzi.

– Nie da się ukryć.

Sam opada na oparcie krzesła. Jedną rękę opiera na brzuchu, drugą obejmuje kieliszek i podnosi go do ust. Nad jego krawędzią posyła Jeffowi uśmiech i zagaduje:

– Wszyscy twoi klienci to przestępcy?

Jeff swoją postawą odzwierciedla postawę Sam. Także się odchyła, ścisną w dłoni kieliszek. Patrząc, jak mierzą się wzrokiem ponad stołem i ledwie skubnięta kolacja zalega mi kamieniem w żołądku.

– Moi klienci są niewinni, dopóki nie udowodni się im winy – odpowiada Jeff.

– Ale większość okazuje się winna, prawda?

– Można tak powiedzieć.

– I jak się z tym czujesz? Wiedząc, że gość, który siedzi obok ciebie na sali sądowej w pożyczonym garniturze, jest winny zarzucanych mu czynów?

– Pytasz, czy mam z tego powodu wyrzuty sumienia?

– A masz?

– Nie – odpowiada Jeff. – Uważam to za szlachetne, że jako jeden z niewielu ludzi postanowiłem rozstrzygnąć swoje wątpliwości na korzyść gościa w pożyczonym garniturze.

– A gdyby dopuścił się czegoś naprawdę złego? – dąży Sam.

– Jak bardzo złego? Morderstwa?

– Gorzej.

Wiem, do czego zmierza, i mocniej ściska mnie w żołądku. Kładę rękę na brzuchu i delikatnie go rozcieram.

– Niewiele jest rzeczy gorszych od morderstwa – stwierdza Jeff. On także wie, co Sam kombinuje, ale nie dba o to. Z chęcią doprowadzi tę dyskusję do bolesnego końca. Nieraz widziałam go w podobnej akcji.

– Zdarzyło ci się reprezentować w sądzie mordercę?

– Owszem – przyznaje Jeff. – W istocie mój aktualny klient zabił człowieka.

– I dobrze się z tym czujesz?

– Nieważne, jak ja się z tym czuję. To mój obowiązek.

– A gdyby ten ktoś zamordował kilka osób?

– Też zasługiwałby na obronę – oświadcza Jeff.

– A gdyby to był świr, który dopuścił się tych wszystkich potworności w Nightlight Inn? Albo w Pine Cottage? – Gniew Sam jest niemal wyczuwalny, jak żar pulsujący po drugiej stronie stołu. Mówi coraz szybciej, wyrzucając z siebie twarde, szorstkie słowa. – Czy mając świadomość jego czynów, nadal mógłbyś spokojnie siedzieć obok skurwysyna i bronić go przed więzieniem?

Jeff ani drgnie, jeśli nie liczyć poruszającej się lekko szczęki. Nie odrywa wzroku od Sam. Nawet nie mruga.

– To bardzo wygodne – cedzi – mieć kogoś, kogo można obwiniać za wszystko, co ci się w życiu nie udało.

– Jeff. – Gardło mam zaschnięte, głos, który się z niego wydobywa, jest ledwie słyszalny. Łatwo go zignorować. – Przestań.

– Quinn też by tak mogła. Bóg jeden wie, że miałyby do tego prawo. Ale tego nie robi. Potrafiła zostawić przeszłość za sobą, bo to silna dziewczyna, a nie jakaś...

– Jeff, *proszę*.

– ...bezwolna ofiara, która zostawia rodzinę i przyjaciół, zamiast uporać się z czymś, co ją spotkało dobre dziesięć lat temu.

– Dość tego!

Zrywam się z krzesła, przewracając przy tym kieliszek. Jego zawartość wylewa się na stół. Wycieram wino serwetką i biała tkanina robi się czerwona.

– Jeff! Do sypialni. Ale już!

Stoimy za zamkniętymi drzwiami twarzą w twarz. Nasza mowa ciała mówi o nas wszystko: Jeff jest spokojny i rozluźniony, ręce ma swobodnie opuszczone po bokach. Moje przypominają rękawy kaftana bezpieczeństwa: ciasno oplatają pierś, która wznosi się i opada w przyływie wściekłości.

– Nie musiałeś jej tak ostro potraktować.

– Po tym, co powiedziała? Chyba jednak musiałem, Quinn.

– Przyznaj, że sam zacząłeś.

– Bo okazałem ciekawość?

– Raczej podejrzliwość – prostuję. – Maglowałeś ją jak jakiś prokurator. Nie jesteśmy w sądzie, a ona nie jest twoją klientką, Jeff!

Prawie krzyczę, mój głos rezonuje w zamkniętym pokoju. Oboje z Jeffem odruchowo milkniemy i spoglądamy na drzwi. Czy Sam nas słyszała? Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Nawet jeśli nie dotarł do niej mój podniesiony ton, musi wiedzieć, że o niej rozmawiamy.

– Zadawałem zupełnie racjonalne pytania – upiera się Jeff, zniżając głos w odpowiedzi na moje wrzaski. – Nie sądzisz, że unikała jasnych odpowiedzi?

– Nie chce mówić o tym, co przeszła. Trudno jej się dziwić.

– To jeszcze nie daje jej prawa tak ze mną rozmawiać. Jakbym to ja ją skrzywdził.

– Jest przewrażliwiona.

– Brednie. Sama mnie podpuszczała.

– Broniła się – mówię. – Sam nie jest wrogiem, Jeff. Wręcz przeciwnie. Jest moją przyjaciółką. A przynajmniej mogłaby nią być.

– *Chcesz się z nią przyjaźnić?* Do wczoraj wydawało mi się, że nie zamierzasz mieć nic wspólnego z tymi tak zwanymi Ocalałymi. Co się takiego wydarzyło?

– Oprócz samobójstwa Lisy?

Jeff wzdycha.

– Rozumiem, to był dla ciebie wielki wstrząs. Wiem, że jest ci smutno i czujesz się rozczarowana. Ale skąd tak nagła potrzeba przyjaźni z Sam? Nawet jej nie znasz, Quinn!

– Znam ją. Przeszła to samo, co ja. Wiem dokładnie, kim jest.

– Po prostu boję się, że jeśli się do siebie zbliżycie, zaczniesz rozpamiętywać przeszłość. A już o niej zapomniałaś.

Wiem, że Jeff chce jak najlepiej. Życie ze mną nie zawsze jest usłane różami. To też wiem. Niemniej jednak jego słowa jeszcze bardziej mnie wkurzają.

– *Moi przyjaciele zostali zamordowani*, Jeff. Nie jest to coś, o czym można zapomnieć.

– Dobrze wiesz, że nie to miałem na myśli.

Unoszę podbródek, rzucając mu gniewne wyzwanie.

– A co *miałeś* na myśli?

– Że stałaś się kimś więcej niż ofiarą – tłumaczy Jeff. – Że twoje życie... nasze życie... nie jest już podporządkowane tamtej jednej nocy. Nie chcę, żeby to się zmieniło.

– Moja życzliwość dla Sam niczego nie zmienia. Zauważ zresztą, że nie mam tabunów przyjaciół, którzy waliliby tu drzwiami i oknami.

Nie chciałam tego powiedzieć. Moja samotność jest czymś, do czego niechętnie się przyznaję przed Jeffem. Ilekroć wraca z pracy i pyta, jak mi minął dzień, uśmiecham się promiennie. „Świetnie” – odpowiadam, choć w rzeczywistości jeden dzień podobny jest do drugiego. Niekończące się popołudnia upływają mi na pieczeniu. Tkwię w kuchni sama jak palec. Czasami zdarza mi się gadać do piekarnika tylko po to, żeby usłyszeć dźwięk własnego głosu.

Zamiast przyjaciółek mam znajome. Koleżanki ze studiów i dawne

współpracowniczki – zamężne, dzieciate, zapracowane i nieskore do regularnych spotkań. Tak długo trzymałam je na dystans, że w tej chwili dają o sobie znać niemal wyłącznie za pomocą sporadycznych SMS-ów albo e-maili.

– Naprawdę tego potrzebuję, Jeff – mówię.

Chwyta mnie za ramiona i ściska je palcami. Zagląda mi w oczy i dostrzega coś dziwnego, dotychczas niewypowiedzianego.

– O czym mi nie mówisz, Quinn?

– Dostałam e-mail. – Wreszcie to z siebie wyduszam.

– Od Sam?

– Od Lisy. Wysłała mi go na godzinę przed...

Przed tym, jak ze sobą skończyła, mam ochotę powiedzieć. Zrobiła to, czego Stephen Leibman nie miał okazji dokonać.

– Przed swoją śmiercią.

– Co napisała?

Powtarzam mu wszystko słowo w słowo; treść wiadomości wryła mi się w pamięć.

– Po co to zrobiła? – pyta Jeff, jak gdybym znała odpowiedź.

– Nie wiem i nigdy się już nie dowiem. Ale z jakiegoś powodu niedługo przed śmiercią o mnie myślała. *Ja* zaś nie potrafię przestać myśleć, że gdybym w porę odebrała ten e-mail, mogłabym ją jeszcze uratować.

Zbiera mi się na płacz, kąciki oczu pieką zdradziecko. Mruganiem staram się powstrzymać łzy, na próżno. Jeff przyciąga mnie do siebie i mocno obejmuje. Opieram głowę na jego piersi.

– Chryste, Quinn! Tak mi przykro. Nie wiedziałem.

– Skąd mogłeś wiedzieć?

– Przecież mówiłaś, że nie powinnaś czuć się odpowiedzialna za śmierć Lisy.

– Bo nie powinnam. Uważam jednak, że nie wykorzystałam okazji, aby jej pomóc.

Nie chcę, żeby to się powtórzyło w przypadku Sam. Wiem, że jest ordynarna, ale chyba mnie potrzebuje.

Jeff wzdycha i przeciągle wypuszcza powietrze na znak, że się poddaje.

– Będę dla niej miły – oświadczam. – Obiecuję.

Całujemy się na zgodę. Na wargach czuję słony smak łez. Ocieram je, gdy tylko Jeff mnie puszcza i potrząsa rękoma, żeby rozluźnić mięśnie. Obciążam sukienkę i wygładzam jego koszulę w miejscu, gdzie została mokra plama. Potem wychodzimy z sypialni i ruszamy korytarzem, trzymając się za ręce. Znowu tworzymy zgrany duet.

W salonie nikogo nie zastajemy. Krzesło Sam jest odsunięte od stołu. W kuchni także jej nie ma. Ani w salonie. W holu – tam, gdzie przy drzwiach stał jej plecak – jest tylko puste miejsce.

Samantha Boyd zniknęła. Po raz kolejny.



O trzeciej nad ranem dzwoni moja komórka, wyrывая mnie z koszmarne go snu, w którym uciekam przez las. Przed Nim. Potykam się i krzyczę ile sił w płucach, gałęzie drzew oplatają moje nadgarstki. Budzę się i wciąż biegnę, przebierając nogami pod kołdrą. Telefon dalej dzwoni, jego uporczywy sygnał wibruje w ciszy sypialni. Jeff nawet nie drgnie. Jest obdarzony najtwardszym snem ze znanych mi osób i niczym pies Pawłowa reaguje wyłącznie na dźwięk budzika. Mimo to, chwyciwszy aparat, zasłaniam ręką rozjarzony wyświetlacz, żeby go nie obudzić. Dopiero potem rozsuwam nieco palce i zerkam na ekran, aby sprawdzić, kto dzwoni do mnie o tej porze.

Nieznany numer.

– Halo? – szepczę, wysuwając się z łóżka i spiesząc ku drzwiom.

– Quincy?

To Sam; jej głos z trudem przebija się przez zgiełk w tle. Słysząc gwar rozmów, pokrzykiwania i głośny stukot klawiszy komputera.

– Sam? – Jestem na korytarzu, moje zaspane oczy walczą z ciemnością, w głowie mam mętlik. – Gdzie się podziałas? Dlaczego dzwoniś w środku nocy?

– Przepraszam cię. Naprawdę. Ale coś się stało.

Niemal się spodziewam, że powie coś o Nim. Prawdopodobnie to wina koszmaru, którego wspomnienie nie chce mnie opuścić. Lepi się do mnie niczym pot na mojej skórze. W głębi duszy przygotowuję się na nowinę, że powrócił, tak jak zawsze się obawiałam. Nie ma znaczenia, że On nie żyje. Że z przyjemnością patrzyłam na Jego śmierć.

Lecz zamiast tego Sam mówi:

– Potrzebuję twojej pomocy.

– Jak to? Co się dzieje?

– Aresztowali mnie. Tak jakby.

– *Co takiego?!*

Pytanie odbija się echem w korytarzu, budząc Jeffa. Słyszę dobiegające z sypialni skrzypienie sprężyn materaca, gdy zrywa się z łóżka i wykrzykuje moje imię.

W słuchawce Sam prosi:

– Przyjedź po mnie, błagam. Posterunek przy Central Parku. Weź ze sobą Jeffa.

Rozłącza się, zanim zdążę zapytać, skąd zna mój numer telefonu.

Jedziemy z Jeffem taksówką na posterunek, który znajduje się dokładnie na południe od zbiornika retencyjnego. Przebiegałam obok niego dziesiątki razy i zawsze tak samo zaskakiwało mnie to charakterystyczne połączenie starego z nowym: ciąg niskich ceglanych budynków pamiętających początki parku przecięto nowoczesnym, rozświetlonym atrium. Ten widok za każdym razem przywodzi mi na myśl kulę śnieżną – zamknięte za szkłem dickensowskie miasteczko.

W środku mówię, że chciałabym się zobaczyć z Samanthą Boyd. Policjant dyżurny – rumiany Irlandczyk z oponkami na brzuchu, które trzęsą się pod mundurem – sprawdza w komputerowym rejestrze zatrzymanych i mówi:

– Nie mamy nikogo o tym nazwisku.

– Zawiadomiła mnie, że jest u was.

– Kiedy dokładnie?

– Przed dwudziestoma minutami – odpowiadam, utykając za paskiem dół bluzki i wygładzając zagniecenia materiału. Ubieraliśmy się z Jeffem w pośpiechu: ja w to samo, co miałam na sobie po południu, Jeff w dzinsy i T-shirt z długim rękawem. Na głowie ma istną strzechę, włosy sterczą mu na wszystkie strony.

Posterunkowy Oponka ponownie zerka na ekran i marszczy brwi.

– Nic tutaj nie mam.

– Może już ją zwolniono – podsuwa Jeff, wyrażając na głos swoje pobożne życzenie. – Jest taka możliwość?

– Wtedy byłaby w systemie. Może pomyliła posterunki. Albo źle ją pani zrozumiała.

– Chodziło jej o ten posterunek – mówię. – Na pewno.

Rozglądam się po otwartej przestrzeni wokół siebie. Jasne wnętrza o wysokim suficie przypominają raczej nowoczesny dworzec kolejowy niż komisariat. Omiatam wzrokiem stylowe schody i awangardowe oświetlenie; po wypolerowanej podłodze niesie się staccato licznych kroków.

– Czy w ostatnim czasie aresztowano jakieś kobiety? – chce wiedzieć Jeff.

– Jedną – odpowiada dyżurny, ponownie sprawdzając w rejestrze. – Trzydzieści pięć minut temu.

– Jak się nazywa?

– Obawiam się, że to zastrzeżona informacja.

Z nadzieją spoglądam na Jeffa.

– To może być ona. – Po czym zwracam się błagalnie do dyżurnego: – Możemy się z nią zobaczyć?

– To nie byłoby zgodne z procedurami.

Jeff wyjmuje portfel i macha mu przed nosem swoją legitymacją służbową. Wyjaśnia, jak zwykle uprzedzająco uprzejmie, że jest obrońcą z urzędu.

– Nie chcemy sprawiać kłopotów – po prostu znajoma zadzwoniła do nas z informacją, że ją aresztowano i trafiła na ten posterunek.

– Bardzo pana proszę – dodaję. – Martwię się o nią.

Dyżurny w końcu ustępuje i przekazuje nas pod opiekę innemu policjantowi – większemu, silniejszemu i bez oponek. Ten prowadzi nas w głąb budynku. Duża sala tętni rozdygotaną energią, wszyscy tu sprawiają wrażenie, jakby byli na kofeinowym haju. Jaskrawe, urzędowe światło rozjaśnia ciemności, bądź co bądź, głębokiej nocy. Sam faktycznie tam jest, przykuta kajdankami do jakiegoś biurka.

– To ona – informuję naszego przewodnika. Próbuję wyrwać się naprzód, lecz ten chwyta mnie za ramię i osadza na miejscu. – Sam! – wołam.

Spisujący ją gliniarz wstaje i zadaje Sam jakieś pytanie. Z ruchu jego warg odczytuję: „Zna pani tę kobietę?”. Dopiero gdy Sam potakuje, przytrzymujący mnie policjant pozwala mi podejść bliżej. Jego palce ściskają mi rękę jak imadło. Puszczają ją dopiero, gdy znajduję się na odległość ramienia od jego kolegi.

– Sam – powtarzam. – Co się stało?

Gliniarz za biurkiem obrzuca ją baczny spojrzeniem spod zmarszczonych brwi.

– Na pewno zna pani tę kobietę?

– Tak – odpowiadam za nią. – To Samantha Boyd. Cokolwiek zaszło, z pewnością to tylko nieporozumienie.

– Podczas zatrzymania podała inne nazwisko.

– Jak to?

Gliniarz ze śmiechem przerzuca papiery.

– Tutaj jest napisane, że ta pani nazywa się Tina Stone.

Spoglądam na Sam. Zmęczenie oraz późna pora sprawiają, że jej twarz jest zaczerwieniona i opuchnięta. Ma rozmazaną konturówkę – czarne smugi potęgują wrażenie podkrążonych oczu.

– To prawda?

– No. – Sam wzrusza ramionami. – Jakiś czas temu zmieniłam nazwisko.

– Naprawdę nazywałeś się Tina Stone?

– Teraz tak. Oficjalnie. Wiesz przecież dlaczego.

Wiem. W ciągu pierwszego roku po Pine Cottage też często o tym myślałam, z tych samych powodów, których ona nie ma ochoty szerzej wyjaśniać. Miałam dość bycia kojarzoną – mniej lub bardziej – z tamtą tragedią. Nie cierpiałam, gdy twarze ludzi, którym mnie przedstawiano, tężały – choćby na ułamek sekundy – na dźwięk mojego nazwiska, gdy w ich głowach otwierała się odpowiednia szufladka. Nie mogłam znieść myśli, że w powszechnej świadomości będę już odtąd zawsze łączona z Jego osobą.

Ostatecznie Coop wybił mi z głowy ten pomysł. Uważał, że punktem honoru powinno być dla mnie zachowanie nazwiska. Zmieniając go, nie sprawię, że Quincy Carpenter przestanie być wiązana z makabrą Pine Cottage. Mogę tego dokonać, jedynie żyjąc dalej i stając się kimś innym niż tylko szczęściarą, która jako jedyna przeżyła, podczas gdy tyłu innym to się nie udało.

– Skoro wyjaśniliśmy już kwestię jej nazwiska – odzywa się Jeff – czy ktoś mi powie, co się tej pani zarzuca?

– Jest pan jej adwokatem? – chce wiedzieć gliniarz.

Jeff wzdycha zrezygnowany.

– Na to wygląda.

– Panna Stone – oznajmia gliniarz – jest oskarżona o napaść trzeciego stopnia na funkcjonariusza policji i stawianie oporu przy aresztowaniu.

Stopniowo poznajemy szczegóły zajścia – z ust samej zainteresowanej oraz spisującego ją gliniarza. Jeff, spokojny i opanowany, zadaje im pytania. Staram się nadażać za tą wymianą zdań, odwracając głowę to w jedną, to w drugą, to znów w trzecią stronę, podczas gdy mózg mi się lasuje z niewyspania. Z tego, co udaje mi się zrozumieć, zaraz po wyjściu od nas Sam, znana także jako Tina Stone, udała się do baru na Upper West Side. Po kilku drinkach wyszła na zewnątrz, żeby zapalić, i natknęła się na małżeństwo, które zawzięcie się kłóciło. Według Sam, w pewnej chwili zrobiło się gorąco i doszło do rękoczynów. Kiedy mężczyzna popchnął swoją żonę, Sam wkroczyła do akcji.

– Chciałam ich rozdzielić – tłumaczy nam.

– Zaatakowała go pani – prostuje gliniarz.

Oboje zgadzają się co jednego: że koniec końców Sam uderzyła faceta. Ten wezwał policję, Sam zaś tymczasem gruntownie przepytала kobietę. Czy nic jej nie jest? Czy często kłóca się z mężem w ten sposób? Czy kiedykolwiek wcześniej ją uderzył? Na widok dwuosobowego patrolu puściła się biegiem przez Central Park West i zniknęła.

Policjanci ruszyli w ślad za nią, dopędzili ją i wyciągnęli kajdanki. Wówczas to Sam stawiała opór.

– Bez żadnego powodu chcieli mnie cholernicy aresztować – denerwuje się.

– Uderzyła pani człowieka – powtarza gliniarz.

Sam pociąga nosem.

– Próbowałam pomóc tamtej babce. Wyglądało na to, że koleś zamierza ją sprać. I zrobiłby to, gdybym mu nie przeszkodziła.

Oburzona tak rażąco niesprawiedliwością – to słowa Sam, nie moje – zamachnęła się na jednego z funkcjonariuszy i strąciła mu z głowy czapkę, co zaowocowało jej zatrzymaniem.

– To była tylko czapka, na litość boską – mamrocze. – Nie chciałam mu zrobić krzywdy.

– Ale tak to właśnie wyglądało – wtrąca zza biurka gliniarz. – Działała pani z zamiarem bezpośrednim.

– Podsumujmy – włącza się Jeff. – Powodem zatrzymania było zajście w parku?

Gliniarz przytakuje.

– Człowiek, którego uderzyła, zdecydował się nie wnosić oskarżenia.

– W takim razie uda nam się chyba dojść do jakiegoś porozumienia.

Jeff odciąga gliniarza na bok. Przez jakiś czas konferują pod ścianą ściszymi głosami, lecz na tyle głośno, że wszystko słyszę. Stoję obok Sam z ręką na jej ramieniu i palcami zaciśniętymi na miękkiej skórze kurtki. Ona nawet nie próbuje nasłuchiwać – po prostu wbija wzrok przed siebie i zgrzyta zębami.

– To wszystko wygląda mi na jedno wielkie nieporozumienie – mówi Jeff.

– Nie dla mnie – odpowiada gliniarz.

– Jasne, że nie powinna była się w ten sposób zachować. Ale próbowała przyjść z pomocą tamtej kobiecie. Emocje wzięły górę i sytuacja wymknęła się nieco spod kontroli.

– Chce pan powiedzieć, że zarzuty powinny zostać wycofane?

Gliniarz spogląda na nas. Uśmiecham się do niego w nadziei, że może tak go przekonam. Jakby widok mnie dziarskiej, radosnej i kompletnie nieszkodliwej u boku Sam mógł przechylić szalę na jej korzyść.

– Chcę powiedzieć, że w ogóle nie powinno się ich stawiać – stwierdza Jeff. – Gdyby pan wiedział, przez co ta dziewczyna przeszła, zrozumiałby pan, dlaczego tak zareagowała.

Widać, że policjant nie ma pojęcia, o co Jeffowi chodzi.

– W takim razie proszę mi powiedzieć, co ją spotkało.

Jeff szepcze mu do ucha coś, czego nie jestem w stanie zrozumieć. Wyłapuję tylko pojedyncze słowa, wśród których są „Nightlight” oraz „masakra”. Gliniarz ponownie się

odwraca, żeby spojrzeć na Sam. Tym razem w oczach ma zabójczą mieszankę zaciekawienia oraz litości. To wzrok, który widywałam tysiące razy – zawsze u tych, którzy uświadamiali sobie, że patrzą na Ocalałą.

Gliniarz szepcze coś do Jeffa, który odpowiada mu takim samym szeptem. Wymiana zdań trwa jeszcze przez kilka chwil, po czym mężczyźni ściskają sobie ręce i Jeff wraca do nas żwawym krokiem.

– Zabieraj rzeczy – zwraca się do Sam. – Możemy iść.

Na zewnątrz stoimy przez jakiś czas na dziedzińcu przed szklaną fasadą posterunku. Tęgi Irlandczyk obserwuje nas ze swojej dyżurki. Z parku wieje chłodem, od którego marzną mi uszy i nos. Wychodziliśmy z domu w takim pośpiechu, że zapomniałam wziąć sweter, i teraz oplatom się ciasno ramionami, żeby się rozgrzać.

Sam zaciąga suwak skórzanej kurtki po samą brodę, stawia kołnierz dla ochrony przed wiatrem. Na ramiona zarzuciła plecak. Zataczając się lekko pod jego ciężarem, mówi:

– Dzięki za pomoc, tam w środku. Po tym, co wcześniej wygadywałam, nie zdziwiłabym się, gdybyś pozwolił mi zgnić w areszcie.

– Nie ma za co – odpowiada Jeff. – Nie jestem taki okropny, jak by się mogło wydawać, prawda?

Uśmiecha się do nas, bardzo z siebie zadowolony. Odwracam głowę. Wiem, że powinnam być mu wdzięczna, mimo to ogarnia mnie lekka irytacja. Za to Sam jest szczerze zobowiązana. Wyciąga do Jeffa rękę; spod rękawa kurtki wyziera tatuaż Ocalałej. Jeff zerka na mnie, ściskając jej dłoń. Wyczuwa, że coś jest nie tak. Starannie unikam jego wzroku.

Zamiast podać mi rękę, Sam szybko mnie obejmuje.

– Miło było cię w końcu poznać, Quincy.

– Zaczekaj, dokąd się wybierasz?

– Dosyć już miałaś przeze mnie kłopotów – odpowiada Sam. – Chciałam tylko sprawdzić, co u ciebie, i zdobyłam odpowiedź: świetnie sobie radzisz. Naprawdę się cieszę, mała.

– Ale gdzie się podziejesz?

– Tu i tam – uśmiecha się Sam. – Dbaj o siebie, dobrze?

Potem odchodzi. A może tylko udaje, wiedząc, że i tak ją zatrzymam. Trudno powiedzieć, zwłaszcza że pod ciężarem plecaka jej krok jest powolny i nierówny. Mimo to nie mogę pozwolić znowu jej się wymknąć. Nie w taki sposób.

– Sam, zaczekaj – proszę. – Wiem, że nie masz się gdzie zatrzymać.

Sam się odwraca. Wiatr nawiewa jej włosy na twarz.

– Nie przejmuj się. Nic mi nie będzie.

– Owszem – przytakuję. – Bo wracasz z nami do domu.

Po powrocie do mieszkania zamykamy się z Jeffem w sypialni, żeby porozmawiać na osobności. Wykończeni z niewyspania naradzamy się półszeptem, żeby nie słyszała nas czekająca w salonie Sam.

– Może zostać na tę jedną noc – decyduje Jeff.

– Już prawie świta – odpowiadam; wciąż jestem na niego wściekła z przyczyn, których nie potrafiłabym wyrazić. – Przynajmniej na dwie noce.

– To nie są negocjacje.

– Dlaczego jesteś tak bardzo na nie?

– A dlaczego tobie tak na tym zależy? – odbija piłeczkę Jeff. – To dla nas całkiem obca osoba, Quinn. Nawet nie zadała sobie trudu, żeby ci powiedzieć, jak się naprawdę nazywa.

– *Wiem*, jak się nazywa. Samantha Boyd. I nie jest obca. Przeszła przez to samo, co ja, a teraz potrzebuje noclegu.

– Jesteśmy na Manhattanie – zauważa Jeff. – Wokół jest mnóstwo miejsc, gdzie można przenocować. Hoteli.

– Na moje oko nie stać jej na hotel.

Jeff wzdycha, siada na łóżku, zdejmując buty.

– Już samo to powinno ci dać do myślenia. Kto wybiera się Bóg wie skąd do Nowego Jorku bez pieniędzy? I bez żadnego planu, nawiasem mówiąc?

– Ktoś, kim wstrząsnęło samobójstwo Lisy Milner i kto próbuje coś z tym zrobić.

– Nie jesteś za nią odpowiedzialna, Quinn.

– Przyjechała się ze mną spotkać – odpowiadam. – A to znaczy, że jesteśmy za nią odpowiedzialni. *Ja* jestem.

– Dzięki mnie policja wycofała zarzuty względem niej. Moim zdaniem okazałem aż nadto życzliwości komuś, kogo widziałem po raz pierwszy w życiu.

Jeff zrzuca koszulę, ściąga spodnie i nakrywa się kołdrą, chcąc jak najszybciej zapomnieć o wydarzeniach dzisiejszej nocy. Ja natomiast wciąż stoję przy drzwiach z ramionami skrzyżowanymi na piersi, emanując niewypowiedzianym gniewem.

– Faktycznie. Świetnie się spisałeś.

Jeff siada i mruga oszołomiony.

– Zaraz. Wściekasz się na mnie z *tego* powodu?

– Wściekam się, bo nie musiałeś od razu robić z niej ofiary. Wystarczyła jedna wzmianka o Nightlight Inn.

– Sam nie miała nic przeciwko temu.

– Tylko dlatego, że cię nie słyszała. Założę się, że w przeciwnym razie wyglądałoby to całkiem inaczej.

– Nie zamierzam przeproszać za to, że uchroniłem ją od więzienia.

– I bardzo dobrze – mówię. – Przyznaj jednak, że mogłeś to lepiej rozegrać. Szkoda, że nie widziałeś, jak ten gliniarz popatrzył na Sam. Jakby była rannym psem albo coś. Właśnie dlatego zmieniła nazwisko, Jeff. Żeby nikt się nad nią nie litował.

Ale wściekam się nie tylko z powodu Sam. Kiedy Jeff przekonywał policjanta, żeby ten wycofał oskarżenie, miałam okazję zobaczyć Jeffersona Richardsa w akcji: prawnika, człowieka gotowego na wszystko, byle pomóc klientce, nawet jeśli miałyby to oznaczać sprowadzenie jej do roli pożałowania godnej ofiary. Nie spodobało mi się to.

– Posłuchaj. – Jeff wyciąga do mnie rękę. – Przepraszam, że się tak zachowałem. Ale w tamtym momencie wydawało mi się to najszybszą drogą do celu.

Obejmuję się mocniej ramionami.

– Czy gdybym znalazła się na jej miejscu, zrobiłbyś to samo?

– Oczywiście, że nie.

W jego głosie wyczuwam fałszywą nutę. Brzmi na tyle nieprzekonująco, że znów ogarnia mnie irytacja. Ze zdenerwowania swędzi mnie skóra i muszę się podrapać po karku.

– Tym dla ciebie jestem, prawda? – pytam. – Ofiarą. Tak jak Sam.

Jeff wzdycha zniecierpliwiony.

– Dobrze wiesz, że jesteś kimś znacznie więcej.

– Tak jak Sam! Dopóki u nas mieszka, masz ją tak traktować!

Jeff próbuje wykrzesać z siebie ponowne przeprosiny, ale przerywam mu w pół słowa, odwracam się na pięcie i jednym szarpnięciem otwieram drzwi sypialni, po czym zatrząskuję je za sobą, aż trzęsą się ściany.

Pokój gościnny jest mały, schludny i duszny. Czerwony abażur nocnej lampki rzuca na ściany różową poświatę. Ze względu na późną porę wszystko wydaje się nierealne, migotliwe i rozedrgane. Wiem, że powinnam się zdrzemnąć, ale nie chcę. Nie, kiedy leżąca obok mnie Sam także nie śpi, a jej ciało pulsuje ciepłem, energią i życiem. Przytulamy się w wielkim łóżku i zrzuciwszy na podłogę buty, grzejemy stopy pod kołdrą.

W pewnej chwili Sam wstaje, podchodzi do stojącego w kącie plecaka i wyjmuję z niego butelkę burbona Wild Turkey.

– Coś na poprawę nastroju – oznajmia, wracając do łóżka. – Chyba dobrze nam zrobi.

Przekazujemy sobie butelkę, pociągając alkohol z gwinta. Każdy łyk jest jak paląca kula w gardle. Każdy przywołuje strzępy wspomnień. Oto ja i Janelle, pierwszej nocy w naszym nowym pokoju w akademiku. Siedzimy ramię w ramię, ona popija drink złożony z wina, soku i wody gazowanej, wyłudzony dzięki urokowi osobistemu od studenta przedostatniego roku z drugiego końca korytarza; ja sączę dietetyczną colę. Tej nocy zostałyśmy najlepszymi przyjaciółkami. Nadal myślę o niej jak o swojej najlepszej przyjaciółce. Fakt, że od dziesięciu lat leży w grobie, ja zaś zdaję sobie sprawę, że nasza przyjaźń nie przetrwałaby, gdyby Janelle przeżyła, nie ma dla mnie żadnego znaczenia.

– To tylko ta jedna noc – odzywa się Sam. – Rano już mnie nie będzie.

– Możesz zostać, jak długo zechcesz.

– Jedna noc w zupełności wystarczy.

– Powinnaś mi była powiedzieć, że masz kłopoty – mówię. – Chętnie pomogę. Mogę ci pożyczyć pieniądze. I w ogóle.

– Twojemu facetowi na pewno bardzo się to spodoba.

Pociągam łyk burbona i zanoszę się kaszlem.

– Jeffem się nie przejmuj.

– Nie lubi mnie.

– Nawet cię nie zna, Sam. – Milknę. – Czy wolisz, żeby nazywać cię Tiną?

– Wolę Sam. Tina jest na potrzeby oficjalne.

– Dawno zmieniłaś nazwisko?

Sam pije i długo przętyka.

– Lata temu.

– Wtedy, kiedy zniknęłaś?

– Tak. Miałam dość bycia Samanthą Boyd. Ocalała. Chciałam stać się kimś innym.

Choćby na papierze.

– Twoi bliscy wiedzą?

Sam kręci głową, podaje mi butelkę i wyskakuje z łóżka. Przystaje przy plecaku, skąd wydobywa paczkę papierosów, po czym podchodzi do okna i upewnia się:

– Mogę?

Gdy na znak zgody wzruszam ramionami, Sam otwiera okno. Na zewnątrz rzadkie chmury znaczą sinoczarne niebo. Mrok wibruje ledwo wyczuwalnym tętnem miasta. Nadciąga świt.

– Muszę w końcu rzucić – stwierdza Sam. – Palenie zrobiło się ostatnio piekielnie drogie.

– Że nie wspomnę o jego zabójczym wpływie na zdrowie.

Sam wydmuchuje kłęb dymu przez moskitierę.

– To akurat mnie nie przeraża. Raz już oszukałam śmierć, zapomniałaś?

– Zaczęłaś palić po Nightlight Inn?

– Potrzebowałam czegoś na uspokojenie, rozumiesz?

Rozumiem doskonale. Oprócz xanaxu moją ucieczką jest wino. Czerwone, białe, różowe, każde. Jestem pewna, że Janelle dostrzegłaby w tym ironię losu.

– Dziwię się, że ty i Lisa nie zaczęłyście palić – mówi Sam. – Dla mnie to był naturalny odruch.

– Raz próbowałam. Nie spodobało mi się. – Do głowy automatycznie przychodzi mi pytanie. – Skąd wiedziałaś, że Lisa nie paliła?

– Po prostu tak założyłam – odpowiada Sam. – Nie wspomina o tym w książce.

Pierwszy centymetr papierosa zmienił się w popiół i lada moment spadnie na podłogę. Sam odsuwa się od okna; dłoń z papierosem wciąż trzyma przy moskitierze, drugą zaś sięga do plecaka i wyciąga z niego przenośną popielniczkę. Skórzana i workowata, przypomina portmonetkę na zatrask. Sam otwiera ją z wprawą doświadczonej palaczki i postukując lekko o krawędź, strąca do środka drżący popiół.

– Czyli jednak *czytałaś* jej książkę? – mówię.

Sam zaciąga się, kiwa głową i wypuszcza dym ustami.

– Była w porządku. Ale za cholerę nie pomogła mi się uporać z tym, co mnie spotkało.

– Często myślisz o tamtej nocy?

Pociągam kolejny łyk alkoholu, coraz bardziej się przyzwyczajając do uczucia



pieczenia w przelętyku. Sam wyciąga rękę po butelkę, a gdy ją podaje, wypija dwa potężne hausty, rozdzielone pojedynczym dymkiem.

– Bez przerwy.

Przekazuje mi butelkę. Podnoszę ją do ust, a moje ciche słowa rozbrzmiewają echem w szklanej szyjce.

– Chcesz o tym pogadać?

Sam przeciągle wypuszcza z ust ostatni kłęb dymu i zgniata niedopałek w popielniczkę, którą następnie zatrząskuje. Potem zamyka okno. W pokoju nadal czuć gryzący dym, który zalega w sypialni niczym złe wspomnienie.

– Człowiek myśli, że takie rzeczy zdarzają się tylko w kinie – odzywa się Sam. – Nigdy w prawdziwym życiu. A przynajmniej nie na taką skalę. I nie jemu. Ale one się dzieją. Najpierw w akademiku w Indianie. Potem w motelu na Florydzie.

Zdejmuje kurtkę i zostaje w czarnej sukience. Ręce i barki ma odsłonięte, jędrne i kredowoblade. Na plecach, tuż poniżej prawego ramienia, widnieje wytatuowana na czarno kostucha; ramiączko sukienki przesłania chwilowo jej trupa czaszkę.

– Calvin Whitmer – mówi, wracając do łóżka. – Człowiek-Worek.

Te słowa wprawiają mnie w dygot. Mam wrażenie, jakby we wnętrznościach utkwił mi kawał lodu.

– Wypowiedziałaś jego imię i nazwisko.

– Co w tym dziwnego?

– Ja nigdy nie wypowiedziałam Jego imienia. – Nie muszę wyjaśniać, o kogo mi chodzi. Sam doskonale wie. – Ani razu.

– Ja nie mam z tym żadnego problemu – stwierdza i wyjmuję butelkę z moich zaciśniętych rąk. – Stale o nim myślę. Wiesz, że do tej pory go widzę? Kiedy zamykam powieki. Wyciął w worku otwory na oczy. I jeszcze jeden, nieduży, na nos, żeby mieć dopływ świeżego powietrza. Nigdy nie zapomnę łopotu tkaniny, kiedy oddychał. Obwiązał sobie ten worek sznurkiem wokół szyi, żeby mu nie spadł.

Czuję, że w brzuchu formuje mi się kolejna bryła lodu. Odbieram Sam butelkę, choć jeszcze nie skończyła pić, i biorę szybko dwa duże łyki w nadziei, że alkohol rozgrzeje mnie od środka.

– Zbyt wiele szczegółów? – dopytuje się Sam.

Zaprzeczam ruchem głowy.

– Szczegóły są ważne.

– A ty? Pamiętasz jakieś szczegóły?

– Kilka.

– Ale nie za wiele.

– Nie za wiele.

– Słyszałam, że to bujda – oznajmia Sam. – Cała ta gadanina o wypartych wspomnieniach.

Pociągam jeszcze jeden haust, starając się ignorować zawoalowane podchody Sam. Pomimo wszystkiego, co nas łączy, nie jest w stanie zajrzeć mi w głąb mózgu i zobaczyć czarnej dziury w miejscu, gdzie powinny się znajdować wspomnienia z Pine Cottage. Nigdy się nie dowie, jakie to frustrujące, a zarazem kojące pamiętać wyraźnie początek

jakiegoś zdarzenia, a potem samo zakończenie. Zupełnie jakby wyszło się z kina pięć minut po rozpoczęciu filmu i wróciło na napisy końcowe.

– Wierz mi – odpowiadam. – To nie jest bujda.

– Nie przeszkadza ci, że nic nie pamiętasz?

– Myślę, że tak jest lepiej.

– Nie chcesz wiedzieć, co się naprawdę wydarzyło?

– Znam efekt końcowy – wzruszam ramionami. – Więcej nie potrzebuję wiedzieć.

– Podobno ciągle tam stoi – rzuca Sam. – Pine Cottage. Wyczytałam to na którejs z tych cholernych stron poświęconych słynnym zbrodniom.

Kilka lat temu też o tym czytałam, prawdopodobnie na tej samej stronie. Po zakończonym dochodzeniu właściciel próbował sprzedać działkę wraz z domem. Oczywiście nie było chętnych. Nic tak nie zaniża wartości ziemi jak krew, która w nią wsiąknęła. W końcu zbankrutował, a nieruchomości przeszła w ręce wierzycieli. Im także nie udało się jej sprzedać. Pine Cottage stoi więc po dziś dzień – grobowiec wielkości domku letniskowego, ukryty w lasach Pensylwanii.

– Myślałaś kiedyś o tym, żeby tam wrócić i się rozejrzeć? – pyta nagle Sam. – Może wtedy coś byś sobie przypomniała.

Na samą myśl robi mi się niedobrze.

– Nigdy.

– A o nim czasem myślisz?

Wiem, o co jej chodzi: próbuje mnie sprowokować do wypowiedzenia Jego imienia. Ciekawość bije od niej jak żar z pieca.

– Nie – kłamię.

– Spodziewałam się, że to powiesz – mruczy Sam.

– Taka jest prawda.

Pociągam kolejny haust burbona i gapię się na butelkę zdziwiona tym, ile już wypiliśmy. A raczej ile *ja* wypiałam. Dociera do mnie, że Sam zaledwie umoczyła usta. Zamykam oczy i chwięję się lekko. Czuję, że jestem o krok od całkowitego zamroczenia. Jeszcze łyk i gotowe.

Przechylam butelkę, wypijam dwa głębokie łyki i rozkoszuję się pieczeniem w przetyku.

Głos Sam brzmi metalicznie i dobiega jakby z oddali, chociaż siedzimy tuż obok siebie.

– Zachowujesz się, jakbyś przeboleła to, co się stało, ale wcale tak nie jest.

– Mylisz się – odpowiadam.

– W takim razie udowodnij mi to. Wypowiedz jego imię.

– Powinnyśmy spróbować się zdrzemnąć – mówię, spoglądając w okno, na coraz jaśniejsze niebo za szybą. – Już późno. Albo wcześniej.

– Nie masz się czego bać – motywuje mnie Sam.

– Nie boję się.

– Nie przywrócisz go w ten sposób do życia.

– Wiem.

– To dlaczego tak się mazgaisz?

Sam brzmi dokładnie tak samo jak Janelle. Natarczywie wierci mi dziurę w brzuchu. Nie odpuszcza. Prowokuje do czegoś, na co nie mam ochoty. Ogarnia mnie irytacja zmieszana z gniewem. Chcę ją ugasić burbonem, lecz orientuję się, że Sam wyjęła mi z rąk butelkę.

– Wiesz, że mam rację – dodaje ona. – Mazgaisz się.

– Dość tego, Sam.

– Jeżeli faktycznie zamknęłaś tamten rozdział, wypowiedzenie jednego imienia nie powinno stanowić problemu.

– Wracam do siebie.

Próbuję wstać, ale Sam chwyta mnie za rękę. Wyszarpuję się z jej uścisku, spadam z łóżka i z impetem uderzam o podłogę. Ból promieniuje w górę mojego biodra.

Zamoczona burbonem i brakiem snu potrzebuję dłuższej chwili, żeby się pozbierać. Zmieszany z kwasem alkohol przelewa mi się w żołądku, wzrok się mąci. A Sam jeszcze bardziej wszystko pogarsza, mówiąc:

– Chciałabym, żebyś to wreszcie powiedziała.

– Nie.

– Tylko raz. Zrób to dla mnie.

Odwracam się do niej chwiejnie.

– Dlaczego robisz z tego takie wielkie halo?

– A dlaczego ty tak się przed tym bronisz?

– Bo On nie zasługuje, żeby wymawiać Jego imię! – wrzeszczę. Mój głos rezonuje w ciszy wczesnego poranka. – Po tym, co mi zrobił, nikt nie powinien wymawiać Jego pieprzonego imienia!

Oczy Sam robią się okrągłe. Wie, że zbyt mocno na mnie naciskała.

– Nie musisz od razu tak świrować.

– Chyba jednak muszę – odpowiadam. – Wyświadczam ci przysługę, pozwalając tu dzisiaj nocować.

– To prawda. Nie myśl, że tego nie doceniam.

– Jeśli mamy być przyjaciółkami, musisz też wiedzieć, że nie rozmawiam z nikim o Pine Cottage. Dla mnie to już przeszłość.

Sam kieruje wzrok w dół, na swoje dłonie obejmujące spoczywającą między piersiami butelkę.

– Przepraszam – mówi. – Nie chciałam być taka wredna.

Na moment przytomnieję. Staję w drzwiach z ręką na rozbitym biodrze i ze wszystkich sił staram się wyglądać na mniej pijaną, niż jestem.

– Może masz rację. Może rzeczywiście lepiej będzie, jak rano sobie pójdiesz.

Wydobywszy z siebie tę spójną wypowiedź, na nowo pogrążam się w odmętach pijaństwa. Zataczając się, wychodzę z pokoju i dopiero za którymś z kolei podejściem udaje mi się zamknąć za sobą drzwi. Wracam do sypialni, gdzie tak samo szamoczę się z drzwiami.

Gdy w końcu padam na łóżko, Jeff otwiera jedno oko i mamrocze:

– Słyszałem jakieś krzyki.

– To nic.

– Na pewno?

– Tak – odpowiadam, zbyt wyczerpana, aby rozwijać temat.

Już prawie zapadam w sen, gdy mój otępiały mózg elektryzuje pewna myśl, a właściwie niespodziewany przebłysk: wspomnienie Jego i naszego pierwszego spotkania. Zanim zaczął zabijać. Zanim stał się Nim.

Po chwili pojawia się druga myśl, jeszcze bardziej niepożądana i męcząca niż pierwsza.

Sam bardzo zależało, żebym sobie wszystko przypomniała.

Nie rozumiem tylko dlaczego.

## PINE COTTAGE

godzina 17.03

Janelle stwierdziła, że chce zbadać okolicę, doskonale zdając sobie sprawę z tego, że wcześniej cała grupa zgodnie postanowiła spełniać wszystkie zachcianki jubilatki. Ruszyli więc w las, który niemal napierał na taras za domkiem.

Craig, niegdysiejszy skaut, wyznaczał trasę z niemal komicznym przejęciem. Jako jedyny spakował odpowiednie turystyczne obuwie oraz grube skarpety, które naciągnął wysoko na umięśnione łydki dla ochrony przed kleszczami. Niósł też w ręku absurdalnie długi kij i rytmicznie uderzał nim o ziemię.

Quincy i Janelle podążały zaraz za nim znacznie mniej przejęte. Ubrane w dzinsy, swetry w pasy i niepraktyczne tenisówki, dreptały po zalegającej na ziemi grubej warstwie zeschniętych liści. Z drzew cały czas sypały się nowe. Cienkie i łamliwe szybowwały, pikowały i wirowały w powietrzu podświetlone późnopołudniowym słońcem niczym spadające gwiazdy w kolorach żółtym, pomarańczowym oraz czerwonym.

Janelle chwyciła jeden w locie i zatknęła sobie za ucho, gdzie jarzył się ogniście na tle kasztanowych włosów.

– Poproszę o zdjęcie – zażądała.

Quincy posłusznie pstryknęła jej dwie fotki, po czym obróciła się, aby sfotografować Betz, która wlokła się noga za nogą z takim samym brakiem entuzjazmu, jaki okazywała od samego początku. Dla niej ten wyjazd był raczej dopustem niż przyjemnością. Weekendem, który trzeba jakoś przetrwać.

– Uśmiechnij się – zakomenderowała.

Betz zmarszczyła brwi.

– Uśmiechnę się, kiedy ta wycieczka wreszcie się skończy.

Mimo to Quincy zrobiła jej zdjęcie, następnie zwróciła się w stronę Amy i Rodneya, którzy szli biodro w biodro w zgodnym, równym rytmie. Ponieważ nigdy nie widywano ich osobno, wszyscy przywykli mówić o nich „Ramdy”.

Amy miała na sobie jedną z flanelowych koszul Rodneya; zbyt długie rękawy sięgały jej aż za palce. Idący obok Rodney, z brodą i piersią porośniętą gęstym włosiem, którego kępki sterczały z dekoltu jego koszulki w szpic, przypominał niedźwiedzia grizzly. Na widok aparatu przywarli ciasno do siebie i nadstawili twarze do fotografii.

– Właśnie tak – pochwaliła ich Quincy. – Buzi buzi do zdjęcia.

– Dajecie radę tam z tyłu? – zawołał do nich Craig, gdy zaczęli się wdrapywać na niewielkie wzniesienie. Stopy ślizgały się na spadłych liściach, więc Janelle i Quincy wzięły się za ręce i na zmianę wciągały jedna drugą pod górę.

– Serio, lepiej nie odłączać się od grupy – oznajmiła w pewnej chwili Janelle z powagą godną przewodnika wycieczki. – Te lasy są nawiedzone.

– Akurat! – prychnął Rodney.

– To prawda. Setki lat temu okoliczne ziemie zamieszkiwało plemię Indian. A potem nadeszli biali mężczyźni i wycięli wszystkich w pień. Ich krew jest na naszych

rękach, kochani.

– Niczego nie widzę – stwierdził Rodney, udając, że uważnie ogląda swoje dłonie.

– Zachowuj się – upomniała go Amy.

– Tak czy inaczej – podjęła Janelle – duchy tych Indian podobno wciąż tu grasują, gotowe zamordować każdego białego, jaki im się napatoczy. Więc lepiej się pilnuj, Rodney.

– Dlaczego właśnie ja?

– Powiedziała, że zabili ich biali *mężczyźni* – odparła Janelle. – A my jesteśmy kobietami. To nie z nami mają na pieńku.

– Ktoś naprawdę tutaj zginął.

To wtrąciła się Betz, milkliwa obserwatorka. Wpatrywała się w nich swoimi jakby trochę za dużymi, niesamowitymi oczami.

– Mówił mi o tym chłopak, z którym mam zajęcia z literatury światowej – dodała. – W ubiegłym roku w tych lasach zginęło dwoje biwakowiczów. Chłopak i dziewczyna. Policja znalazła ich w namiocie, zadźganych nożem.

– Złapali tego, kto to zrobił? – zapytała Amy, mocniej przytulając się do Rodneya. Betz pokręciła głową.

– O ile wiem, to nie.

Przez resztę drogi na szczyt zgodnie milczeli. Nawet szelest stóp na zasłanej liśćmi ziemi zdawał się jakby słabszy, oni zaś podświadomie nasłuchiwali w lesie czyichś odgłosów. W tym nowym, nieznanym wymiarze ciszy Quincy wyczuwała, że nie są sami. Wiedziała, że ponosi ją wyobraźnia. Wszystkiemu winna Betz i jej gadanie o duchach. Mimo to nie potrafiła się otrząsnąć z wrażenia, że oprócz nich w lesie jest ktoś jeszcze, i to całkiem niedaleko. I że ich obserwuje.

Nieopodal trzasnęła gałązka. Mniej niż dziesięć metrów od nich. Z ust Quincy mimowolnie wyrwał się stłumiony okrzyk, dając początek serii głośnych pisków wydobywających się niemal chóralnie z gardeł Janelle, Betz oraz Amy.

Rodney dla odmiany wybuchnął śmiechem.

– Chryste! – rzucił. – Coście takie strachliwe?

Mówiąc to, wskazał pozostałym przyczynę zamieszania – zwyczajną wiewiórkę, której ogon powiewał wśród poszycia niczym biała chorągiew. Na ten widok inni też się roześmiali, nawet Quincy, która prędko zapomniała, że jeszcze przed chwilą dręczyło ją złowrogie przeczucie.

Na grani znaleźli wielki, płaski głaz szeroki niczym łożo małżeńskie. Jego powierzchnię zdobiły dziesiątki imion, wrytych na pamiątkę przez innych wycieczkowiczów. Rodney wziął do ręki ostry kawałek skały i zaczął dopisywać ich imiona do listy. Wokół wałały się puste puszki po piwie i niedopałki papierosów, a z cienkiej gałęzi pobliskiego drzewka zwisała prezerwatywa. Janelle i Quincy zareagowały na nią odgłosami pełnymi obrzydzenia.

– Może ty i Craig zrobicie to tutaj – szepnęła Janelle. – Przynajmniej będzie się czym zabezpieczyć.

– *O ile* to zrobimy – odparła Quincy – to z całą pewnością nie na głazie, który na pierwszy rzut oka wygląda na wylęgarnię chorób wenerycznych.

– Czekaj, to jeszcze nie postanowione?

– Postanowiłam niczego nie przesądzać – stwierdziła Quincy, choć w głębi ducha podjęła decyzję. Zgoda na dzielenie łóżka z Craigem tylko ją w niej utwierdziła. – Będzie, co ma być.

– Tylko nie przesadź – przestrzegła ją Janelle. – Craig to mięsko prima sort, Quinn. Wiele dziewcząt dałoby się zabić, byle go schrupać.

– Ciekawa metafora – zauważyła sucho Quincy.

– Mówię tylko, że nie powinnaś za długo zwlekać. Chłopak może się rozmyślić.

Quincy zerknęła na Craiga, który wdrapał się na głaz i wpatrywał w horyzont. Była pewna, że chodzi mu o coś więcej niż seks. Przyjaźnili się od początku studiów. Pierwszy rok upłynął im na niewinnych flirtach, z których powoli rodziło się uczucie. Spotykać zaczęli się dopiero pod koniec sierpnia, kiedy po powrocie na uczelnię oboje zdali sobie sprawę, jak bardzo brakowało im latem swojego towarzystwa. I jeżeli nawet Quincy zaczęła ostatnio odczuwać ze strony Craiga pewne naciski, jeśli chodzi o seks, przypisywała je raczej pożądaniu niż tłumionej frustracji, jak to sugerowała Janelle.

Stojący na głazie dostrzegł jej spojrzenie. Quincy szybko uniosła aparat, prosząc:

– Uśmiechnij się!

Craig zrobił znacznie więcej. Stał z pięściami wspartymi na biodrach i wypiął pierś na podobieństwo Supermana. Quincy roześmiała się. Strzeliła migawka.

– Jak widok?

– Fantastyczny.

Craig wyciągnął rękę i pomógł Quincy wspiąć się na głaz. Znajdowali się wyżej, niż przypuszczała; ze szczytu widać było całe zalesione zbocze opadające stromo ku cienistej dolinie jakies półtora kilometra dalej. Wkrótce dołączyli do nich pozostali i Janelle zażądała kolejnego zdjęcia.

– Teraz ujęcie grupowe – powiedziała. – Wszyscy razem. Ty też, Quincy.

Stłoczyli się, a Quincy wyciągnęła rękę z aparatem przed siebie, żeby cała szóstka zmieściła się w kadrze. Zwolniła migawkę, po czym przyjrzała się z bliska uwiecznionej na fotografii chaotycznej kompozycji. Dopiero wtedy to dostrzegła: w oddali za ich plecami, pośrodku doliny, rozsiadło się wielkie gmaszysko o szarych murach ledwie widoczne spomiędzy drzew.

– Co to jest? – zapytała Quincy, wskazując je reszcie.

Janelle wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia.

Betz jako jedyna знаła odpowiedź. Jak zwykle.

– To zakład dla obłąkanych – oznajmiła.

– Chryste – jęknęła Amy. – Robisz to specjalnie, żeby napędzić nam stracha?

– Po prostu mówię, jak jest. To wariatkowo.

Quincy przyjrzała się budynkowi. Wiejący w dolinie wiatr poruszał koronami otaczających go drzew, przez co także szare mury zdawały się drgać niespokojnie, jakby ponury gmach żył własnym życiem. Bił od niego głęboki smutek – Quincy czuła, jak ciągnie z doliny i sięga punktu widokowego na głazie. Wyobraziła sobie chmurę burzową, która zawisła nad zakładem niewidoczna, ale dotkliwie wyczuwalna.

Już miała zrobić zdjęcie, gdy coś ją powstrzymało. Myśl, że miałyby utrwalić ten obraz na karcie aparatu, wzbudziła w niej dziwny niepokój.

Stojący obok Craig rozejrzał się po niebie. Słońce schowało się za linią drzew i las rozgorzał ognistą poświatą. Na jej tle uwidoczniły się ciemne pnie, a leśne poszycie pokryła siatka długich cieni.

- Powinniśmy wracać – odezwał się Craig. – Lepiej, żeby nie zastał nas tu zmrok.
- Racja – zawtórowała mu Janelle. – Nie zapominajmy o duchach Indian.
- Oraz wariatach – dorzuciła Quincy.

Wymarsz opóźnił Rodney, który uparł się dokończyć dzieła oszpecenia głązu. Pod swoim imieniem dopisał imię Amy, połączył je plusem, a na koniec otoczył naprędcę wyskrobanym sercem. Dopiero wtedy ruszyli w drogę powrotną po własnych śladach. Błyskawicznie znaleźli się na rozległym, płaskim terenie, skąd blisko już było do chaty. Wcześniej, za sprawą nachylenia zbocza, droga wydała im się znacznie dłuższa, niż rzeczywiście była; w istocie Pine Cottage od głązu dzieliło tylko nieco ponad pół kilometra.

Mimo wszystko zanim wyszli z lasu, słońce zdążyło już zająć, spowijając chatę jesiennym, różowawym blaskiem. Spod ściany drzew wypełzły cienie i lizały kamienną podmurówkę. Idący z przodu Craig gwałtownie się zatrzymał. Gdy Quincy na niego wpadła, odepchnął ją do tyłu.

- No co ty...
- Ciii! – syknął, usiłując przebić wzrokiem półmrok na tarasie za domem.

Ułamek sekundy później Quincy dostrzegła to samo co on, podobnie zresztą jak pozostali. Z tyłu chaty ktoś stał i osłoniwszy oczy złożonymi dłońmi, zaglądał przez szybę do środka.

- Ej! – zawołał Craig, robiąc krok naprzód i unosząc w rękach kij jak do ataku.

Intruz – mężczyzna, jak stwierdziła Quincy – zaskoczony obrócił się na pięcie.

Wyglądał na ich rówieśnika, choć mógł być o kilka lat starszy – trudno to było ocenić ze względu na okulary; w szklach odbijały się resztki dziennego światła, przez co jego oczy pozostawały niewidoczne. Chudy, patykowaty, z długimi ramionami sztywno przyciśniętymi do ciała, miał na sobie beżowy sweter o warkoczowym splocie, a w nim, na wysokości ramienia, dziurę o średnicy dziesięciocentówki, przez którą prześwitywał biały podkoszulek. Zielone sztruksowe spodnie były przetarte na kolanach i tak luźne w pasie, że musiał je podtrzymywać, zatknąwszy w szlufkę palec wskazujący.

– Przepraszam, jeśli was przestraszyłem. – Każde słowo było podszyte niepewnością, jakby nieznajomy na bieżąco je sobie przypominał. Mówił po angielsku jak cudzoziemiec, oficjalnie, często się zacinając. Quincy próbowała doszukać się śladu obcego akcentu, bez powodzenia. – Zaglądałem do środka, żeby sprawdzić, czy ktoś tutaj mieszka.

– My – rzekł Craig, robiąc krok naprzód. Jego odwaga zrobiła wrażenie na Quincy i może właśnie o to mu chodziło.

- Cześć – powiedział nieznajomy i pomachał im wolną ręką.
- Zgubiłeś się? – zagadnęła go Janelle, bardziej zaciekawiona niż przestraszona.
- Tak jakby. Kilka kilometrów stąd popsuł mi się samochód. Szedłem przez całe



popołudnie. Wreszcie zauważyłem wasz podjazd i trafiłem tutaj. Miałem nadzieję, że ktoś mi pomoże.

Janelle odłączyła się od grupy, wyszła spomiędzy drzew i trzema stanowczymi krokami pokonała odległość dzielącą ją od tarasu. Nieznajomy aż się wzdrygnął. Przez moment Quincy sądziła, że rzuci się do ucieczki przez las niczym spłoszony jelen. On jednak pozostał na miejscu i trwał nieruchomo, podczas gdy Janelle omiatała spojrzeniem jego gęstą, ciemną czuprynę, lekko zakrzywiony nos i całkiem zmysłowy zarys warg.

– Szedłeś całe popołudnie, tak? – zapytała.

– Przez większą jego część.

– Musisz być zmęczony.

– Trochę.

– Wejdź i zostań na imprezie. – Janelle uścisnęła jego wolną rękę, jako że palec wskazujący drugiej był wciąż zatknięty za szlufkę paska. – Mam na imię Janelle. Dzisiaj są moje urodziny.

– Wszystkiego najlepszego.

– A ty jak się nazywasz?

– Joe. – Nieznajomy skinął jej głową i uśmiechnął się ostrożnie. – Joe Hannen.

Budzę się po dziesiątej. Zajmowana przez Jeffa połowa łóżka od dawna jest pusta, a pościel chłodna w dotyku. Na korytarzu przystaję obok pokoju gościnnego. Choć jego drzwi stoją otworem, wiem, że Sam jest nadal w mieszkaniu. W kącie leży jej plecak, a na nocnej szafce stoi butelka burbona z resztką bursztynowego płynu na dnie.

Z kuchni dobiega hałas: stukot zatrząskiwanych szuflad, brzęk garnków. Zastaję tam Sam w podkoszulku Sex Pistols, czarnych dżinsach i przewiązanym w pasie białym fartuchu.

Głowa mi pęka, mniej na skutek ilości wypitego wczoraj alkoholu, bardziej ze względu na surrealistyczne okoliczności, w jakich został spożyty. Choć wydarzenia minionej nocy spowija mgła, doskonale pamiętam ponawiane przez Sam próby nakłonienia mnie, abym wypowiedziała Jego imię. Na samo wspomnienie ogarnia mnie gniew. Jestem na nią wściekła.

Sam zdaje sobie z tego sprawę. Widać to po przeprasającym uśmiechu, jakim mnie wita. I po kubku kawy, który niemal siłą wciska mi do rąk. W dodatku z piekarnika dolatuje zapach czarnych jagód.

– Ty pieczesz?

Sam przytakuje.

– Muffinki cytrynowo-jagodowe. Przepis znalazłam na twoim blogu.

– Powinam być pod wrażeniem?

– W sumie nie – odpowiada Sam. – Chociaż chyba na to liczyłam.

W głębi ducha jestem pod wrażeniem. Od śmierci ojca nikt niczego dla mnie nie upiekł. Nawet Jeff. Tymczasem Sam zerka co chwilę na minutnik piekarnika. Z niechęcią przyznaję, że udało jej się mnie wzruszyć.

Wreszcie wyjmuję blachę i przechyła ją, nie dając muffinkom przestygnąć. Zsuwają się w deszczu okruchów, znacząc blat jagodowymi rozbryzgami.

– No i jak się spisałam, szefowo? – pyta Sam, rzucając mi pełne nadziei spojrzenie.

Z krytyczną miną nagryzam muffinkę. Ciasto jest trochę suche i domyślam się, że Sam poskapiła masła. Dodała też zdecydowanie za mało cukru, przez co nie udało się wydobyć smaku owoców. Zamiast cytryną czy jagodami, muffinka smakuje po prostu mąką. Upijam łyk kawy – jest za mocna. Gorycz, którą czuję na języku, zabarwia również mój ton.

– Musimy pogadać o tym, co się wydarzyło w nocy...

– Zachowałam się jak ostatnia suka – wchodzi mi w słowo Sam. – Byłaś dla mnie taka miła, a ja...

– Z nikim nie rozmawiam o Pine Cottage, Sam. To dla mnie zamknięty rozdział, rozumiesz? Teraz skupiam się na przyszłości. Ty też powinnaś.

– Załatwione – rzuca Sam. – Chciałabym ci to jakoś wynagrodzić. O ile, rzecz jasna, pozwolisz mi tutaj zostać.

Nabiera powietrza i wstrzymuje oddech w oczekiwaniu na odpowiedź. Oczywiście może udawać: jakaś cząstka mnie podejrzewa, że jest pewna mojej zgody. Tak samo jak

wcześniej była pewna, że nie pozwolę jej odejść w noc z ciężkim plecakiem. Sęk w tym, że ja niczego już pewna nie jestem.

– Tylko na dzień albo dwa – dodaje, gdy nadal milczę.

Upijam jeszcze jeden łyk kawy, bardziej ze względu na głód kofeiny niż na jej smak.

– Dlaczego tak naprawdę przyjechałaś?

– Nie wystarczy ci, że chciałam się z tobą spotkać?

– Wystarczałoby – odpowiadam – gdyby to był jedyny powód. Ale te wszystkie pytania... Ciągnięcie mnie za język...

Sam bierze do ręki gniotowatą muffinkę, odkłada, strzepuje z palców okruszki.

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

– Jeżeli masz tutaj zostać, to nie ma innego wyjścia.

– No dobra. Pora na szczerłość. Tym razem żadnego ściemniania. – Sam ze świstem wciąga powietrze jak dzieciak szykujący się do nurkowania. – Przyjechałam, bo chciałam się przekonać, czy jesteś tak samo wściekła jak ja.

– Ze względu na to, co zrobiła Lisa?

– Nie – zaprzecza Sam. – Dlatego że jesteś Ocalałą.

– Nie jestem.

– Nie jesteś wściekła czy nie jesteś Ocalałą?

– Jedno i drugie – odpowiadam.

– A może powinnaś być?

– Zostawiłam to za sobą.

– Dziś w nocy powiedziałaś Jeffowi co innego.

Czyli jednak słyszała naszą kłótnię w sypialni. Jakiś jej fragment albo, co bardziej prawdopodobne, całość. W każdym razie dosyć, aby jeszcze w tej samej godzinie się stąd wynieść.

– Wiem, że dotąd się nie otrząsnęłaś – ciągnie. – Podobnie jak ja. Nigdy się od tego nie uwolnimy, chyba że wykręcimy taki numer jak Lisa. Życie paskudnie nas potraktowało, mała. Zeżarło nas w całości i wysrało, a wszyscy wokół chcą, żebyśmy o tym zapomnieli i zachowywały się jak gdyby nigdy nic.

– Przynajmniej przetrwałyśmy.

Sam unosi nadgarstek i podsuwa mi pod nos swój tatuaż.

– Pewnie. I od tamtej pory twoje życie jest idealne, tak?

– Wszystko jest w jak najlepszym porządku – odpowiadam i aż wzdrygam się wewnętrznie na dźwięk swoich słów. Jakbym słyszała własną matkę. Posługiwała się tym zdaniem jak sztyletem dla obrony przed wszelkimi emocjami. „Nic mi nie jest – powtarzała na prawo i lewo podczas pogrzebu ojca. – U mnie i u Quincy wszystko jest w jak najlepszym porządku”. Tak jakby nasze życie w ciągu roku kompletnie nie legło w gruzach.

– Właśnie widzę – mruczy Sam.

– O co ci chodzi?

Sam sięga do przedniej kieszeni dżinsów, wyciąga iPhone'a i kładzie go z plaśnięciem na blacie kuchennym. Pod wpływem gwałtownego ruchu ekran urządzenia

ożywa i wyświeciła się na nim dobrze mi znana fotka męskiego penisa.

– Zaryzykuję stwierdzenie, że to nie Jeff – mówi Sam. – A to nie jest twój telefon.

Rzucam okiem na przeciwległą ścianę kuchni i ściska mnie w żołądku. W przetyku czuję kwaśny smak kawy i muffinki. Zamknięta na klucz sekretna szuflada – *moja* szuflada – jest wysunięta. Zamek otaczają kółka ciemne zadrapania.

– Użyłaś wytrycha?!

Bardzo z siebie zadowolona Sam unosi z dumą podbródek i potakuje.

– To jeden z moich nielicznych talentów.

Śpieszę do otwartej szuflady, aby się upewnić, że ze skrytki nic nie zniknęło. Chwytam srebrną puderniczkę i zerkam na swoje odbicie w lusterku. Zaskakuje mnie widok własnej zmęczonej twarzy.

– Mówiłam ci, żebyś tu nie zaglądała – szepczę, bardziej zażenowana niż rozgniewana.

– Wyluzuj. Nikomu nie powiem – uspokaja mnie Sam. – Serio. To prawdziwa ulga wiedzieć, że pod tą buźką szczęśliwej pani domu kryje się jednak coś mrocznego.

Moje policzki płoną ze wstydu. Odwracam się i otwartymi dłońmi opieram o kuchenny blat, rozgarniając na boki okruchy ciasta.

– To nie tak, jak myślisz.

– Ja cię nie osądzam. Myślisz, że nigdy w życiu niczego nie ukradłam? Prawdopodobnie nie było takiej rzeczy, jakiej bym nie zwinęła. Jedzenie. Ubrania. Papierosy. Kiedy jest się tak biednym, jak ja byłam, szybko się zapomina o wyrzutach sumienia. – Sam wkłada rękę do szuflady i wyciąga z niej skradzioną szminkę. Wysuwa pomadkę, układa wargi w kształt litery O i maluje sobie wargi na wiśniowo. – Co myślisz? Dobrze mi w tym odcieniu?

– To nie ma nic wspólnego z wydarzeniami w Pine Cottage – mówię.

– Jasne – odpowiada Sam, cmokając wargami. – A ty jesteś zupełnie normalna.

– Wal się.

Sam rozciąga w uśmiechu wiśniowe wargi, które jarzą się jak neon.

– To mi się podoba! Okaż jakieś emocje, Quinn. *Dlatego* chciałam, żebyś wypowiedziała jego imię. *Dlatego* włamałam się do twojej sekretnej szuflady. Żebyś się wkurzyła. Ta wściekłość ci się należy. Nie próbuj jej ukrywać, chować się za swoim blogiem, ciastkami, muffinkami czy chlebem. Jesteś totalnie pokręcona. Tak jak ja. Nic się nie stanie, jeżeli to w końcu przyznasz. Jesteśmy wybrakowanym towarem, mała.

Ponownie zaglądam do szuflady i przypatruję się ukrytym w niej przedmiotom, jakbym widziała je po raz pierwszy. Uświadamiam sobie, że Sam ma rację. Tylko totalnie pokręcona osoba kradnie łyżki, iPhone'y i srebrne puderniczki. Zalewa mnie fala upokorzenia. Odsuwam na bok Sam, na drewnianych nogach podchodzę do szafki, w której trzymam zapasy xanaxu i wysypuję na dłoń jedną tabletkę.

– Masz tam tego dość, żeby obdzielić całą klasę?

Gapię się na nią tępo, moje myśli błądzą gdzie indziej, a cała aktywność neuronów skupia się na tym, aby dostarczyć ciału błękitną pigułkę.

– Mówię o xanaxie – wyjaśnia Sam. – Też chcę jedną.

Wyjmuje mi z ręki tabletkę, lecz zamiast ją połknąć, rozgryza jak witaminę. Ja

zażywam swoją w tradycyjny sposób – popijając napojem winogronowym.

– Interesująca metoda – zauważa Sam i przeciąga językiem po zębach, żeby zlizać zabłakane granulki.

Pociągam kolejny łyk napoju.

– Łyżeczka cukru. Piosenka nie kłamie.

– Można i tak. – Sam wyciąga rękę. – Daj jeszcze jedną.

Wytrząsam na jej dłoń następną tabletkę. Tkwi tam niczym maleńkie jajo rudzika w gnieździe, podczas gdy Sam mierzy mnie zaciekawionym spojrzeniem.

– Ty nie bierzesz dokładki?

To nie jest pytanie.

Sam rzuca mi wyzwanie.

Nagle czuję, że to powtórka z wczorajszego popołudnia. Jesteśmy w kuchni, Sam mnie obserwuje, a ja z niewiadomych powodów chcę zrobić na niej wrażenie.

– Czemu nie – odpowiadam.

Zażywam drugi xanax i popijam napojem winogronowym. Tym razem, zamiast rozgryźć swoją tabletkę, Sam wyciąga rękę po napój. Wypija dwa solidne łyki i kończy cichym beknięciem.

– Masz rację. Tak łatwiej jest przełknąć. – Ponownie wyciąga rękę. – Do trzech razy sztuka.

Teraz połykamy tabletki jednocześnie, przekazując sobie szybko napój z rąk do rąk. Xanax pozostawił mi na języku goryczkę, tym wyraźniejszą, że usta mam pełne winogronowej słodyczy. Na myśl o absurdzie całej sytuacji zaczynam się śmiać: oto dwie ocalałe z masakry faszerują się xanaxem. Lisa by tego nie pochwaliła.

– Między nami wszystko gra? – upewnia się Sam.

Miękkie światło poranka pada ukośnie przez okno na jej twarz. Chociaż zadbała o to, aby nałożyć makijaż, słońce wydobywa delikatną sieć zmarszczek otaczających jej oczy i kąciki warg. Przyciągają mój wzrok w taki sam sposób, jak obrazy van Gogha: zawsze staram się dojrzeć płótno prześwitujące między maźnięciami farby. Teraz także szukam prawdziwej Sam. Kobiety ukrytej za maską twardzielki.

To, co dostrzegam, jest mroczne, a zarazem dziwnie pociągające. Widzę kogoś, kto wciąż usiłuje zrozumieć, co się stało z jego życiem. Kogoś, kto jest samotny, smutny i stale niepewny. Widzę siebie i gdy to do mnie dociera, odczuwam przemożną ulgę na myśl, że jest na tym świecie ktoś podobny do mnie.

– Tak – odpowiadam. – Wszystko gra.

Xanax zaczyna działać po jakimś kwadransie, gdy jestem pod prysznicem. Moje ciało stopniowo się rozluźnia. Mam wrażenie, jakby gorąca para przesączała się do środka wszystkimi porami skóry i wypełniała mnie rozwibrowaną mgiełką. Ubieram się, czując, że unoszę się w powietrzu. Lekka i nieważka płynę do holu, gdzie przy drzwiach wyjściowych czeka na mnie Sam, równie jak ja rozkołysana, z roześmianymi oczami.

– Chodźmy. – Jej głos jest stłumiony i dobiega z daleka, jakby to było połączenie międzymiastowe.

– Dokąd? – pytam. Brzmie jak ktoś całkiem inny, szczęśliwy i beztroski. Ktoś, kto nigdy w życiu nie słyszał o Pine Cottage.

– Chodźmy – powtarza Sam.

Chwytam torebkę i podążam za nią na korytarz i dalej, do windy, holu i na ulicę, gdzie zalewa nas słoneczny blask: złoty, ciepły i promienny. Sam też promienieje, ma słoneczne refleksy we włosach i błyszczącą, zaróżowioną twarz. Mam ochotę przystawać przed każdym mijanym wejściem i przeglądać się w przeszklonych drzwiach, żeby sprawdzić, czy wyglądam równie promiennie, ale Sam łapie mnie za rękę i ciągnie do taksówki, którą nie wiedzieć kiedy przywołała.

Płyniemy dalej, w głąb spowitego mgłą miasta, a potem do Central Parku, gdzie przez uchylone na centymetr okno taksówki wlewa się do środka łagodny wietrzyk. Zamykam oczy i pozwalam świeżemu powietrzu pieścić swoją twarz, dopóki taksówka się nie zatrzyma i Sam znów mnie za sobą nie pociągnie. Ledwo czuję jej dotyk.

– Jesteśmy na miejscu – mówi.

Na miejscu, czyli na Piątej Alei, przed betonowym zamczyskiem Saksa. Unosząc się nad ziemią, suniemy chodnikiem do wejścia i zanurzamy się w połyskującym gąszczu stoisk perfumeryjnych. Mijane zapachy są tak intensywne, że niemal widzę w powietrzu ich smugi w odcieniach różu oraz lawendy. Podążam w ślad za Sam przez tęczowe wnętrza i wstępuję na schody ruchome. A może wcale się nie wznosimy, tylko to ja frunę do działu z damską odzieżą, gdzie wyrasta przede mną kolejna tęcza, złożona z rzędów bawełny, jedwabiu oraz atlasu.

Wokół kręcą się inne kobiety. Znużone sprzedawczynie, wyniosłe matrony i apatyczne nastolatki, które powinny siedzieć w szkole, zamiast tego są tutaj i wzdychają do swoich telefonów. Mierzą nas krytycznym wzrokiem, o ile w ogóle zaszczycają nas swoim spojrzeniem.

To zazdrość.

Wiedzą, że jesteśmy wyjątkowe.

– Cześć – odzywam się do jednej, chichocząc.

– Świetna kiecka – zagaduje inną Sam.

Prowadzi mnie do stojaka z bluzkami, białymi z nieregularnymi rozbryzgami koloru. Zdejmuje jedną, unosi w górę i pyta:

– Jak myślisz?

– Wyglądałabyś w niej *rewelacyjnie* – odpowiadam.

– Serio?

– Pewnie. Musisz ją koniecznie przymierzyć.

Sam ściąga bluzkę z wieszaka.

– Daj mi swoją torebkę – rzuca.

Torebkę. Całkiem zapomniałam, że ją wzięłam. Mój otępiały umysł nagle się rozjaśnia – przebłysk trzeźwości jest tak gwałtowny, że dostaję zawrotów głowy.

– Chyba jej nie ukradniesz – szepczę.

Sam ma puste spojrzenie. Rozświetlający jej twarz złocisty blask blednie i szarzeje.

– To nie kradzież, jeżeli coś ci się należy. A po tym, przez co przeszliśmy, mała, wszystko nam się należy. Dawaj torebkę.

Rękoma tak zdrętwiałymi, że prawie ich nie czuję, podaję jej torebkę. Sam wtyka ją pod ramię i znika w przebieralni.

Kiedy na nią czekam, jakiś złocisty błysk zwraca moją uwagę i pociąga na drugi koniec sklepu, gdzie na niewielkim stoisku wyeksponowano dodatki: cienkie paski, grube bransolety i naszyjniki z koralików. Jednak mój wzrok przykuwa para kolczyków. Dwa zwisające owale przypominają malutkie lusterka. Odbijające się w nich światło sprawia, że całe lśnią.

Promienieją.

Tak jak ja.

I Sam.

Dotykam jednego palcem. Światło migocze. Na powierzchni dostrzegam odbicie swojej twarzy, wydłużonej i bladej.

– Podobają ci się, co? – To Sam; wyszła z przebieralni i niepostrzeżenie stanęła za mną. Teraz szepcze mi do ucha: – Śmiało, nie krępuj się. Wiesz, co masz robić.

Wpycha mi w dłoń torebkę. Nie muszę zaglądać do środka, aby stwierdzić, że w środku schowana jest bluzka. Bije od niej żar, torebka cała nim pulsuje. Rozpinam suwak, tylko trochę: wewnątrz połyskuje biały jedwab z odrobiną koloru.

– Nikomu nie robimy krzywdy – dodaje Sam. – To my zostałyśmy skrzywdzone, Quinn. Ty, ja i Lisa.

Odpływa w stronę stojaka ze swetrami. Zgarnia ich całe naręcze, po czym upuszcza na podłogę. Stukot plastikowych wieszaków zwabia sprzedawczynię, która błyskawicznie podchodzi do Sam.

– Ale ze mnie niezdara – kaja się Sam.

Teraz kolej na mnie. Podczas gdy Sam i sprzedawczyni zbierają rozrzucone swetry, szybkim ruchem zdejmuję kolczyki ze stojaka i wrzucam do torebki. Potem czym prędzej oddalam się z miejsca przestępstwa. W połowie działu dopędza mnie Sam. Chwyta mój nadgarstek i mocnym szarpnięciem zmusza do zwolnienia kroku.

– Wyluzuj, mała – szepcze. – Nie chcemy wzbudzać podejrzeń.

A jednak wyglądamy podejrzanie. Jestem pewna, że wszystkie te znudzone sprzedawczynie, wyniosłe matrony i apatyczne nastolatki, które powinny siedzieć w szkole, wiedzą, co zrobiłyśmy. Przechodząc obok, spodziewam się, że będą się na nas gapić, lecz żadna tego nie robi. Tak promieniejemy, że stałyśmy się niewidzialne.

Dostrzega nas tylko jeden człowiek – dwudziestoparolatek w wytartych dżinsach, koszulce polo od Brooks Brothers i lśniących czarnych adidasach z czerwonymi paskami po bokach. Obserwuje nas zza jednego ze stoisk perfumeryjnych: zamarł w połowie spryskiwania się jakimś zapachem i patrzy, jak płyniemy w stronę wyjścia. Ja też na niego patrzę i widzę w jego oczach błysk, który mnie niepokoi.

– Zauważyli nas – zwracam się do Sam. – Koleś jest z ochrony.

Serce zaczyna mi walić w piersi, bije coraz szybciej. Jestem spanikowana, podniecona i wyczerpana jednocześnie. Brakuje mi tchu. Mam ochotę uciekać, ale Sam ściska mnie za rękę, chociaż koleś odstawia wodę kolońską, podnosi leżącą na stoisku gazetę i rusza za nami.

– Przepraszam! – woła.

Sam klnie pod nosem. Moje serce tłucze się jak oszalałe.

– Przepraszam! – powtarza głośniej i z większym naciskiem chłopak, zwracając

uwagę innych klientów, którzy podnosząc głowy, spoglądają najpierw na niego, potem na nas. Znowu jesteśmy widoczne.

Sam przyspiesza kroku, zmuszając mnie do tego samego. Docieramy do wyjścia i zaczynamy przeciskać się na zewnątrz, lecz tamten depta nam po piętach, zbliża się, wyciąga rękę, żeby mnie złapać za ramię.

Na ulicy Sam szykuje się do sprintu. Czuję, jak całe jej ciało spina się obok mnie, gotowe do ucieczki. Ja też się spinam, głównie dlatego, że nieznajomy jest tuż za moimi plecami. Jego ciężka dłoń spada na moje ramię. Obracam się na pięcie i wyciągam do niego rękę z torebką, jakbym dawała mu ją w darze.

Chłopak wcale na nią nie patrzy, tylko gapi się na nas z głupim uśmiechem na twarzy.

– Wiedziałem, że to wy.

– Nie znamy się, koleś – rzuca Sam.

– *Ja* was znam – odpowiada on. – Quincy Carpenter i Samantha Boyd, prawda?

Dwie Ocalałe.

Sięga do kieszeni dzinsów i wyciąga długopis uwikłany w pęk kluczy. Wyplątuje go i podaje mi.

– Byłoby super, gdybyście dały mi swoje autografy.

Po czym podsuwa trzymaną w rękę gazetę. To jakiś brukowiec. Chłopak wygładza jego pierwszą stronę. Spoglądam na nią i widzę swoją twarz.

– A nie mówiłem? – cieszy się chłopak, bardzo z siebie dumny.

Cofam się chwiejnie i z łoskotem ląduję na planecie Ziemia; chodnik pod moimi stopami jest twardy, nieprzyjazny. Drugi rzut oka na gazetę utwierdza mnie w tym, co już wiem.

Ni stąd, ni zowąd stałyśmy się z Sam sensacją dnia.



Nasza fotografia zajmuje większą część pierwszej strony gazety, sięga aż po winietę. Przedstawia Sam i mnie w momencie naszego spotkania, stojące przed moim budynkiem i mierzące się wzrokiem. Fotograf uchwycił mnie w najgorszej możliwej pozie: ciężar ciała przesunięty na prawą nogę, biodro wysunięte do przodu, ramiona skrzyżowane w geście wyrażającym skrajną podejrziwość. Sam stoi nieco poza kadrem – na zdjęciu widać tylko niewielki fragment jej bladego profilu. U moich stóp tkwi pękaty plecak, Sam zaś otwiera usta, żeby coś powiedzieć. Doskonale pamiętam co; wspomnienie tamtej chwili jest boleśnie wyraźne. Sfotografowano nas na ułamek sekundy przed tym, jak Sam oznajmiła: „Nie musisz być taką zołą”.

Pod zdjęciem duży, czerwony nagłówek krzyczy:

*JEDYNE OCALAŁE*

Poniżej znajduje się fotka Lisy Milner, podobna do tej z okładki książki. Podpis obok wydrukowano mniejszymi literami, ale jest nie mniej alarmujący: „Ocalałe spotykają się po samobójstwie niedoszłej ofiary masakry, Lisy Milner”.

Ponownie rzucam okiem na winietę: to ten sam brukowiec, którego dziennikarz warował wczoraj przed moim domem. Przypominam sobie nazwisko: Jonah Thompson. Podstępny kutas. Musiał tam tkwić przez cały czas, szpiegować nas z siedzenia zaparkowanego gdzieś w pobliżu samochodu, z aparatem fotograficznym na desce rozdzielczej.

Wrywam gazetę łowcy autografów, odwracam się i odchodzę.

– Ej! – woła on.

Nie zwalniając kroku, maszeruję w dół Piatej Alei. Chociaż nogi uginają się pode mną od nadmiaru xanaxu, mięśnie dopominają się kolejnej dawki. I następnej. Tyłu, ilu trzeba, żeby na kilka dni popaść w odrętwienie, które, nawiasem mówiąc, i tak nie zdołałoby ugasić szalejącej we mnie furii.

Idąc, przerzucam strony gazety. W środku znajduję większą podobiznę Lisy i serię fotek dokumentujących moją pierwszą rozmowę z Sam, zrobionych pod tym samym kątem, co ta na pierwszej stronie. Z każdym kolejnym zdjęciem wyglądam na coraz mniej wkurzoną: moja mowa ciała i rysy łagodnieją. Jeśli chodzi o towarzyszący fotoreportażowi artykuł, ledwo jestem w stanie przebrnąć przez dwa pierwsze akapity.

– Co o nas piszą? – pyta Sam, doganiając mnie.

– Że spotkałyśmy się zjednoczone w bólu po samobójstwie Lisy.

– W sumie tak było.

– Tyle że to wyłącznie nasza sprawa, innym nic do tego. O czym nie omieszkałam poinformować tego cholernego Jonah Thompsona.

Przerzucam strony gazety, dopóki nie znajdę adresu redakcji. Zachodnia Czterdziesta Siódma Ulica. Dwie przecznice na południe i jedna na zachód. Napędzana wściekłością wrywam do przodu. Po dwóch krokach dociera do mnie, że Sam nie ruszyła się z miejsca. Stoi na rogu i obgryzając skórki przy paznokciach, patrzy, jak się oddalam.

– Chodźmy – ponaglam ją.

Sam kręci głową.

– Dlaczego nie?

– Bo to kiepski pomysł.

– Powiedziała ta, która przed chwilą namówiła mnie do kradzieży. – Kilku przechodniów odwraca głowy na dźwięk moich słów, ale mam to gdzieś. – Ja idę, a ty rób, co chcesz!

– Jak sobie życzysz.

– Naprawdę nie jesteś na niego wkurzona?

– Pewnie, że jestem.

– No to zróbmy coś!

– I tak niczego nie zmienisz – stwierdza Sam. – Nie przestaną pisać o nas na pierwszej stronie.

Kolejne głowy odwracają się z zaciekawieniem. Gniewnie łypię na tych, których wzrok napotyka moje spojrzenie, a potem na Sam, sfrustrowana jej obojętnością. Gdzie się podziała tamta dziewczyna sprzed godziny, która zachęcała mnie, żebym dała upust swojemu gniewowi? Xanax, którego działanie wciąż czuję, zrobił z niej potulną owieczkę.

– Idę – oznajmiam.

– Nie rób tego – mówi Sam.

Pchana wściekłością ruszam z miejsca. Odwracam głowę i wołam jeszcze śpiewnie przez ramię:

– Iii-dęę! – zupełnie jakbym droczyła się z Sam.

– Quinn, zaczekaj!

Ale jest już za późno. Dotarłam do końca przecznicy i właśnie przechodzę przez ulicę na czerwonym świetle. Wydaje mi się, że słyszę głos wołającej mnie Sam, który niknie w miejskim zgiełku. Mimo to nie oglądam się i dalej maszeruję z gazetą w zaciśniętej pięści, zdeterminowana zatrzymać się dopiero, gdy stanę twarzą w twarz z Jonah Thompsonem.

Dyżurki ochrony nie sposób ominąć. Tkwi na środku lobby, kilka kroków od kursujących w tę i z powrotem wind. Ich drzwi nieustannie rozsuwają się i zamykają. Mogłabym spróbować do nich dobiec, ale siedzący za biurkiem ochroniarz jest dobre pół metra wyższy ode mnie. W okamgnieniu przeciąłby mi drogę.

Trzymając w ręku zwiniętą gazetę, podchodzę więc do dyżurki i oznajmiam:

– Ja do Jonah Thompsona.

– Nazwisko?

– Quincy Carpenter.

– Spodziewa się pani?

– Nie – przyznaję. – Ale na pewno zechce się ze mną spotkać.

Ochroniarz zerka do spisu telefonów, wybiera numer i każe mi poczekać pod murałem na wprost wind. To wielkie malowidło w stłumionych barwach, w stylu art déco. Przedstawia panoramę Manhattanu. Wciąż na nie patrzę, gdy za moimi plecami odzywa się męski głos.

– Quincy – mówi Jonah Thompson. – Zmieniłaś zdanie w kwestii wywiadu?

Odwracam się. Na sam jego widok krew gotuje mi się w żyłach. Jonah jest ubrany w kraciatą koszulę i wąski krawat. Wygląda modnie i jest z siebie bardzo zadowolony. Pod pachą trzyma pękata aktówkę. Pewnie pełną brudów dotyczących jakiejś jego kolejnej ofiary.

– Przyszłam usłyszeć przeprosiny, ty sukinsynu.

– Widziałaś mój tekst.

– Dzięki tobie całe to przekłete miasto wie, gdzie mieszkam – dodaję, wymachując mu gazetą przed nosem.

Jonah mruga, lecz w jego oczach, ukrytych za szklami okularów w grubej oprawie, nie dostrzegam niepokoju, raczej rozbawienie.

– Ani w artykule, ani w podpisach pod zdjęciami nie podałem twojego adresu. Specjalnie o to zadbałem. Nie wymieniłem nawet nazwy ulicy.

– To prawda, ale pokazałeś nasze twarze. Ujawniłeś naszą tożsamość. Teraz każdy na świecie może wrzucić nasze nazwiska w wyszukiwarkę i zobaczyć, jak wyglądam ja albo Samantha Boyd. A to znaczy, że byle psychol może nas namierzyć. Dla stalkerów to prawdziwa gratka.

O tym nie pomyślał. Świadczy o tym dobitnie lekka błądź, jaką dostrzegam na jego twarzy.

– Nie chciałem...

– Oczywiście, że nie. Myślałeś tylko o tym, ile egzemplarzy waszej gazety sprzeda się dzięki tobie. I jak dużą dostaniesz podwyżkę. Oraz ile zaproponuje ci TMZ.com, bo że się do ciebie zgłoszą, to pewne.

– Nie dlatego...

– Mogłabym cię pozwać – przerywam mu. – Obie z Sam mogłybyśmy to zrobić. Więc lepiej módl się, żeby nic złego nas nie spotkało.

Jonah z trudem przełyka ślinę.

– Przyszedłaś tu, żeby mi powiedzieć, że pozywacie gazetę?

– Przyszedłam, żeby cię ostrzec: jeżeli znowu przeczytam w waszym szmatławcu o sobie albo Samancie Boyd, będzie was to słono kosztować! Tragedie, które przeżyliśmy, wydarzyły się wiele lat temu. Pozwólcie nam o nich zapomnieć!

– Jeżeli chodzi o ten artykuł... Musisz wiedzieć coś jeszcze – bąka Jonah.

– Wsadź go sobie w dupę!

Chcę odejść, lecz on chwyta mnie za rękę i ciągnie.

– Nie dotykaj mnie!

Jonah jest silniejszy, niż mogłoby się wydawać; jego palce jak imadło ściskają moje przedramię. Usiłuję mu się wyrwać. Wykręcam rękę i czuję ból w łokciu.

– Wysłuchaj mnie – nalega Jonah. – Chodzi o Samanthę Boyd. Ona cię okłamała.

– *Puszczaj!*

Popycham go mocniej, niż zamierzałam. Na tyle mocno, aby zwrócić na siebie uwagę ochroniarza, który powarkuje:

– Powinna pani stąd wyjść.

Tak jakbym nie wiedziała. Jakbym nie była świadoma, że im dłużej przebywam

w towarzystwie tego cholernego pismaka, tym bardziej jestem wściekła. Tak wściekła, że gdy Jonah znowu próbuje mnie zatrzymać, ja znów go popycham, tym razem rozmyślnie i już z całej siły.

Zatacza się do tyłu i upuszcza aktówkę, która otwiera się w locie. Na posadzkę sypie się jej zawartość: dziesiątki prasowych wycinków zaścielają hol w miejscu, gdzie oboje stoimy. Sensacyjne nagłówki obwieszczają różne wersje tej samej historii.

Pine Cottage. Masakra. Uratowana. Zabójca.

Większość artykułów ilustrują marnej jakości zdjęcia. Ktoś nieobeznany z tematem niewiele by z nich wyczytał. To odbitki odbitek: grube ziarno, niewyraźne kształty, ciemne plamy jak w teście Rorschacha\*. Tylko ja wiem, co tak naprawdę się za nimi kryje. Pine Cottage z zewnątrz, przed i po morderstwie. Szkolne fotografie Janelle, Craiga i pozostałych. Moja również – ta sama, która wbrew mojej woli trafiła na okładkę magazynu „People”.

On także tam jest. Jego twarz widnieje w osobnej ramce tuż obok mojej. Nie widziałam jej od lat. Ostatni raz tamtej nocy. Zamykam oczy, ale jest już za późno. Wystarczy spojrzenie, żeby coś we mnie pękło – nieopodal miejsca, gdzie utkwilo ostrze Jego noża. Z gardła wydobywa mi się ochryply skrzek, a po nim głuchy bulgot, gdy to coś we mnie odrywa się i podchodzi do góry – czarne, gęste i pełne żółci.

– Zaraz zwymiotuję – ostrzegam.

I dotrzymuję słowa: przestaję dopiero, gdy każdy z rozsypanych na posadzce wycinków pokryje się rzygowinami.

\* Test Rorschacha (test plam atramentowych) – test projekcyjny stworzony w 1921 r. przez szwajcarskiego psychoanalityka Hermanna Rorschacha. Stosuje się go w diagnostyce klinicznej i sądowej. Na podstawie interpretacji 10 tablic z plamami atramentowymi ocenia się m.in. cechy osobowości i zaburzenia psychiczne pacjenta.

## PINE COTTAGE

godzina 18.18

Quincy i Janelle były w aneksie kuchennym, oddzielonym od salonu wysokim kontuarem. Z inicjatywy Janelle każda z dziewcząt miała przygotować coś na urodzinową kolację – spore zaskoczenie, zważywszy że najbardziej wyszukaną potrawą, jaką Quincy dotychczas przyrządziła, była chińska zupka.

– Może zrobimy pieczone kielbaski – zaproponowała, kiedy planowały wspólny weekendowy wypad. – Ostatecznie będziemy jakby na biwaku.

– Kielbaski? – odparła z urazą w głosie Janelle. – Nie w dniu moich urodzin.

Kręciły się zatem między szafkami, zderzając się co chwilę z Amy i Betz, którym powierzono przygotowanie głównego dania: pieczonego kurczaka oraz wyboru przystawek. Quincy przypadło w udziale ciasto, przytargała więc ze sobą całą torbę przyborów do pieczenia, tortownicę oraz niezbędne składniki. Ponadto szprycę do lukru z wymiennymi końcówkami. Owszem, matka i ojczym Janelle zapłacili za wynajem leśnej chaty, ale Quincy zamierzała zrewanżować się za pobyt urodzinowym tortem.

Janelle miała najłatwiejsze zadanie: została barmanką. Podczas gdy Amy i Betz mozoliły się przy kurczaku, a Quincy dekorowała tort, ona ustawiała na kontuarze tanie alkohole w plastikowych butelkach, które miały być następnie rozlane do czerwonych jednorazowych kubków, których Janelle przywiozła ze sobą spory zapas.

– Jak długo zostanie z nami Joe? – spytała ją szeptem Quincy.

– Jak długo będzie chciał – odszepnęła Janelle.

– Czyli co? Całą noc? Naprawdę tego chcesz?

– Pewnie – odparła Janelle. – Robi się późno, a miejsca jest dosyć. Zobacysz, że będzie fajnie.

Quincy była przeciwnego zdania, podobnie jak pozostali, choć nie wyrażali tego głośno. Nawet Joe, z tą swoją dziwną wymową i skrywającymi oczy brudnymi szklami, nie wydawał się zachwycony pomysłem.

– Nie przyszło ci do głowy, że może on chce wrócić do domu? – drażyła Quincy. – Mam rację, Joe?

Ich nieoczekiwany gość siedział na wytartej kanapie w salonie i obserwował stamtąd kłęzących przed przepastnym kominkiem Craiga oraz Rodneya, którzy spierali się, jak najlepiej rozpalić ogień. Uświadomiwszy sobie, że ktoś go o coś pyta, drgnął nerwowo i zaskoczony spojrział na Quincy.

– Nie chciałbym sprawiać kłopotu – odrzekł.

– To żaden kłopot – zapewniła go Janelle. – Chyba że się gdzieś śpieszysz.

– Nie śpieszę się.

– I pewnie jesteś głodny, co?

Joe wzruszył ramionami.

– Trochę.

– Mamy mnóstwo jedzenia i picia. Do tego kanapę, nie mówiąc o dodatkowym łożku.

– Mamy też samochód – wtrąciła Quincy. – A w nim nasze komórki. Craig mógłby zadzwonić po pomoc drogową albo odwiedzić go, dokąd Joe zechce. Na przykład do porzuconego samochodu. Albo do domu.

– To zajmie kilka godzin. Zresztą może Joe woli zostać na imprezie. – Janelle spojrzała w jego kierunku w nadziei, że chłopak jej przykłaśnie. – Teraz, kiedy już lepiej się znamy...

– Formalnie rzecz biorąc, nadal jest obcy – zauważyła Quincy.

Janelle rzuciła przyjaciółce zniecierpliwione spojrzenie, jakim reagowała zawsze w sytuacjach, gdy według niej Quincy zachowywała się jak świętoszka. Quincy widziała je, gdy po raz pierwszy i ostatni piła piwo i gdy pierwszy raz zaciągała się jointem. W obu przypadkach Janelle użyła całej siły woli, aby zmusić ją do zrobienia czegoś, na co nie miała najmniejszej ochoty. Teraz jednak jej frustrację dodatkowo podsycaly wyjątkowe okoliczności. Wszystko, co wiązało się z tym wyjazdem – wynajem chaty, urodzinowe przyjęcie, sprawy organizacyjne dopięte na ostatni guzik – wprawiało Janelle w stan zakrawający na lekkie szaleństwo.

– Mamy się dobrze bawić, zapomniałaś? – zwróciła się teraz do Quincy. W jej głosie pobrzmiewała oskarżycielska nuta, jakby podejrzewała, że tylko jej jednej zależy na dobrej zabawie. – No więc się bawmy!

To zdawało się przesądzać sprawę. Joe miał zostać tak długo, jak mu się spodoba. Kolejnemu życzeniu jubilatki stało się zadość.

– Czym się trujesz? – zagadnęła go Janelle, gdy tylko prowizoryczny bar został odpowiednio zaopatrzony.

Chłopak aż zamrugał na widok tylu butelek, zarazem oszołomiony i zdezorientowany możliwością wyboru.

– Ja... Właściwie nie piję.

– Serio? – zdziwiła się Janelle. – Znaczy, w ogóle nie pijesz?

– Tak. – Joe zmarszczył brwi. – Znaczy: nie.

– Zdecyduj się.

– Może on nie ma ochoty pić alkoholu – wtrąciła znów Quincy, nieodłączny głos rozsądku, anioł nieustannie przycupnięty na ramieniu Janelle. – Może, podobnie jak ja, Joe woli pozostać w pełni władz umysłowych.

– Nie pijesz, bo mięczak z ciebie, Quincy. Boisz się, że mamusia i tatuś wściekliby się, gdyby się dowiedzieli, co robisz – oświadczyła Janelle. – Joe jest inny. Mam rację?

– Rzecz w tym, że... Nigdy nawet nie próbowałem – wyznał Joe.

– Nawet z przyjaciółmi?

Joe, zacinając się, usiłował wydobyć z siebie odpowiedź. Ale było już za późno. Janelle nie zamierzała mu odpuszczać.

– Co? Przyjaciół też nie masz?

– Mam – odparł z rozdrażnieniem Joe.

– A dziewczynę? – Janelle najwyraźniej chciała się z nim podroczyć.

– Może. N-nie wiem.

– Założę się, że jest wyimaginowana – szepnęła Betz za plecami Quincy.

Janelle łypnęła na nią spođe łba, po czym ponownie zwróciła się do Joego:

– Tak czy inaczej, będziesz miał jej o czym opowiadać, gdy znowu się zobaczycie.

Rozchlapując alkohol, naląła do plastikowego kubka po trochu z kilku butelek i dopełniła całość sokiem pomarańczowym. Następnie zaniósła drinka Joemu i zacisnęła jego palce na czerwonych ściankach kubka.

– Pij do dna.

Zamiast podnieść kubek do ust, Joe nachylił się nad nim, zanurzając nos w środku na podobieństwo ptasiego dzioba. Po pierwszym łyku z wnętrza kubka dobiegł stłumiony kaszel. Joe poderwał głowę, żeby złapać powietrze; miał wytrzeszczone oczy i głupkowaty wyraz twarzy.

– Może być – wysapał.

– Może być? Przecież widzę, że ci smakuje – odparła Janelle.

Joe oblizał wargi.

– Za słodkie.

– Mogę temu zaradzić. – Janelle wyrwała mu kubek z rąk równie szybko, jak go w nich umieściła. Po czym wróciła do baru, złapała cytrynę i rozejrzała się po blacie. – Ma któraś nóż?

Chwilę później spostrzegła leżący na kontuarze nóż do mięsa, którym Amy i Betz miały pokroić przyrządzanego kurczaka. Janelle chwyciła go i wbiła w cytrynę, przecinając skórkę, miąższ, a wreszcie własny palec.

– Niech to szlag trafi!

Z początku Quincy sądziła, że przyjaciółka odstawia dramat na użytek Joego, serwuje mu coś, co wraz z pozostałymi nazywali za jej plecami „szopką Janelle”. Zaraz jednak zobaczyła lejącą się krew, która przesączała się przez przyciśniętą do palca serwetkę i znaczyła blat kroplami wielkości różanych płatków.

– Au! – popiskiwała ze łzami w oczach Janelle. – Auuu, auć, aua!

Quincy błyskawicznie znalazła się przy niej, pocieszała i kojąco gruchała, koncertowo wywiązując się ze swoich obowiązków współlokatorki.

– Nic ci nie będzie. Unieś wyżej rękę. A teraz uciśnij.

Miotła się po kuchni w poszukiwaniu apteczki, podczas gdy Janelle podskakiwała to na jednej, to na drugiej nodze, niezdolna znieść widoku krwi.

– Pospiesz się! – przynagliła.

Quincy znalazła wreszcie pod zlewem opakowanie plastrów opatrunkowych w staroświeckiej puszcze z wieczkiem na zawiasach, tak stare, że nie pamiętała, aby kiedykolwiek widziała podobne w swoim domu. Wybrała największy plaster i okleiła nim palec Janelle, błagając przyjaciółkę, aby ta się nie kręciła.

– Gotowe – oznajmiła, cofając się z uniesionymi rękami. – Do wesela się zagoi.

Całe to zamieszanie sprawiło, że Joe zdecydował się opuścić kanapę. Kręcąc się niepewnie przy kontuarze, patrzył, jak Janelle ogląda opatrzony palec. Potem przeniósł spojrzenie na leżący na blacie nóż z zakrwawionym ostrzem.

– Wygląda na bardzo ostry – zauważył, biorąc go do ręki i dotykając czubka opuszką palca wskazującego. – Musisz bardziej uważać.

Wpatrywał się przy tym w Janelle oraz Quincy takim wzrokiem, jakby spodziewał się usłyszeć zapewnienie, że odtąd będą ostrożniejsze. Na dolnej wardze drżały mu krople

alkoholu – pozostałości pierwszego w życiu koktajlu. Joe starł je wierzchem dłoni i nie wypuszczając noża z ręki, oblizał usta.



Jeff przyjeżdża po mnie godzinę później, wezwany przez Jonah Thompsona, który odszukał jego numer w mojej komórce. Wręczyłam mu ją wkrótce po tym, jak zarzygałam mu buty, on zaś spytał, kogo powinien w tej sytuacji zawiadomić. Gdy zjawia się Jeff, zgięta wpół tkwiąc nad sedesem w damskiej toalecie na parterze budynku, chociaż żołądek mam do cna opróżniony i suchy jak pusta butelka. Jonah posyła po mnie jedną ze swoich współpracowniczek. Drobniutka jak ptaszek dziennikarka o imieniu Emily nerwowo wywołuje mnie z kabiny. Stoi przy tym w progu łazienki, jakbym mogła ją czymś zarazić, jakby należało się mnie bać.

Po powrocie do domu Jeff kładzie mnie do łóżka, chociaż protestuję, mówiąc, że czuję się znacznie lepiej. Najwyraźniej tak nie jest, bo odpływam, ledwo przyłożę głowę do poduszki. Niespokojnie przesypiam resztę popołudnia, jak przez mgłę świadoma, że zaglądną do mnie Jeff albo Sam, sprawdzają, czy wszystko w porządku. Wieczorem jestem już całkiem rozbudzona i głodna jak wilk. Jeff przynosi mi na tacy posiłek w sam raz dla rekonwalescentki: rosół z kurczaka z makaronem, tosty oraz piwo imbirowe.

– To nie grypa – informuję go.

– Pewności nie mamy – zastrzega Jeff. – Podobno bardzo wymiotowałaś.

Naturalnie zawinił brak snu w połączeniu z nadmiarem burbona oraz xanaxu. No i On, rzecz jasna. Widok Jego twarzy na zdjęciu.

– Coś mi musiało zaszkodzić – kłamię. – Czuję się już o wiele lepiej. Naprawdę. Nic mi nie jest.

– W takim razie na pewno ucieszy cię wiadomość, że dzwoniła twoja matka.

Jęczę.

– Powiedziała, że sąsiedzi pytają, dlaczego twoja twarz jest na pierwszych stronach gazet – ciągnie Jeff.

– *Jednej* gazety – prostuję.

– Chce wiedzieć, co ma im odpowiedzieć.

– A jakże.

Jeff bierze trójkącik tosta, nadgryza, odkłada na tacę. Z pełnymi ustami dodaje:

– Nie zaszkodziłoby, gdybyś do niej oddzwoniła.

– Żeby znów mogła mnie krytykować za to, że nie jestem idealna? – pytam. – Dzięki, ale wolę nie.

– Troszczy się o ciebie, skarbie. Ostatnio sporo się wydarzyło. Samobójstwo Lisy. Ten artykuł w gazecie. Sam i ja też się martwimy, jak sobie z tym wszystkim poradzisz.

– Czy to znaczy, że wreszcie porozmawialiście ze sobą jak ludzie?

– Owszem – potwierdza Jeff.

– Byliście dla siebie uprzejmi?

– Niesłuchanie.

– A niech mnie! Czego dotyczyła rozmowa?

Jeff znowu sięga po tosta, ale odpycham jego rękę. Zrzuca buty i kładzie nogi na łóżku. Przekręca się na bok i przysuwa bliżej, przylegając do mnie całym ciałem.

– Ciebie. I tego, że byłoby dobrze, gdyby Sam została u nas jeszcze przez tydzień.

– Rety. Kim jesteś i co zrobiłeś z prawdziwym Jeffersonem Richardsem?

– Mówię poważnie – zapewnia mnie Jeff. – Cały dzień myślałem o tym, co mi wczoraj powiedziałaś. Masz rację. Źle zrobiłem, robiąc z Sam ofiarę, żeby policja wycofała wobec niej zarzuty. Zasługiwała na lepszą obronę. Przepraszam.

Podaję mu tosta.

– Przeprosiny przyjęte.

– Poza tym – ciągnie on między kolejnymi kęsami – ta sprawa o zabójstwo policjanta będzie mi zajmowała coraz więcej czasu, a nie chciałbym zostawiać cię na całe dni samej. Nie po tym, jak w całym mieście można zobaczyć twoje zdjęcie.

– Słowem, chcesz zrobić z Sam moją niańkę?

– Towarzyszkę – prostuje Jeff. – Zresztą sama to zaproponowała. Wspomniała, że wczoraj razem piekłyście. Chyba przyda ci się pomoc na czas sezonu wypieków. Zawsze mówiłaś, że chciałybyś mieć asystentkę.

– Jesteś pewien, że to dobry pomysł? – pytam. – Wiem, że to nie będzie dla ciebie łatwe.

Jeff przekrzywia głowę i przygląda mi się uważnie.

– Coś mi się wydaje, że *sama* nie jesteś tego pewna.

– Uważam, że pomysł jest świetny. Nie chcę tylko, żeby ta sytuacja miała na ciebie zły wpływ. Albo na nas.

– Posłuchaj, będę z tobą szczerą: przyznaję, że Sam i ja najprawdopodobniej nigdy się nie zaprzyjaźnimy. Ale was dwie coś łączy. A przynajmniej mogłoby łączyć. Wiem, że rzadko rozmawiamy o tym, co cię spotkało...

– Bo nie ma takiej potrzeby – ucinam pośpiesznie.

– Zgadza się – przytakuje Jeff. – Mówisz, że nigdy nie otrząsniesz się z tego, co przeszłaś, ale to już nastąpiło. Nie jesteś tamtą dziewczyną. Jesteś Quincy Carpenter, boginią wypieków!

– Akurat – mruczę, choć w głębi duszy jego komplement sprawia mi przyjemność.

– Niewykluczone jednak, że potrzebujesz jakiegoś systemu wsparcia, żeby funkcjonować. Kogoś innego niż Coop. Jeżeli Sam jest taką osobą, nie chcę wam stawać na drodze.

Nie pierwszy raz zdaję sobie sprawę z tego, jak wielką jestem szczęściarą, mając przy sobie Jeffa. Nie mogę się opędzić od myśli, że to on odróżnia mnie od Sam. Bez niego byłabym taka jak ona – pogubiona, wściekła i samotna. Jak burza, która nie cichnie, tylko wciąż ciska gromami.

– Jesteś cudowny – oświadczam i odsuwam na bok tacę, żeby na niego wskoczyć.

Całuję go. Jeff oddaje pocałunek, a potem mocniej mnie do siebie przytula.

Skumulowany po całym dniu stres zmienia się w pożądanie. Niewiele myśląc, zaczynam rozbierać Jeffa. Rozluźniam węzeł krawata, którego nie zdążył zdjąć, rozpinam guziki jego koszuli z bawełny oxfordzkiej. Całuję różowe brodawki w gęstwinie włosów, po czym zsuwam się niżej, czując jego narastające podniecenie.

Na szafce obok łóżka zaczyna wibrować moja komórka. Próbuję nie zwracać na nią uwagi pewna, że to znowu jakiś dziennikarz. Albo, co gorsza, moja matka. Jednak

telefon uparcie postukuje o podstawę lampki nocnej. Zerkam na wyświetlacz.

– To Coop – mówię.

Jeff wzdycha. Uchodzi z niego cały entuzjazm.

– Czy to nie może poczekać?

Nie może. Coop dzwonił już poprzedniego wieczoru, w odpowiedzi na mój SMS w stylu „nic złego się nie dzieje”. Byłam wtedy zbyt zajęta, żeby odebrać: przygotowywałam kolację, w dodatku w kuchni kręciła się Sam. Jeżeli znów nie odbiorę, naprawdę zaczniesz się niepokoić.

Odpowiadam więc Jeffowi:

– Nie, dopóki moje zdjęcie nadal widnieje na pierwszej stronie tego brukowca.

Wyskakuję z łóżka, z wibrującym aparatem w dłoni śpieszę do przyległej łazienki i zamykam za sobą drzwi.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś, że widziałas się z Samanthą Boyd? – słyszę zamiast powitania.

– Skąd wiesz?

– Mam włączone powiadomienia Google – wyjaśnia Coop. Kompletnie mnie zaskakuje. Mniej bym się zdziwiła, słysząc, że nowinę przekazali mu kosmici. – Chociaż wolałbym dowiedzieć się tego od ciebie.

– Miałam do ciebie zadzwonić – odpowiadam zgodnie z prawdą. Zamierzałam to zrobić zaraz po konfrontacji z Jonah. – Sam zjawiała się u nas wczoraj. Po śmierci Lisy uznała, że powinniśmy się spotkać.

Naturalnie mogłabym dodać znacznie więcej. Mogłabym mu opowiedzieć, że przed dwoma laty Sam zmieniła imię i nazwisko. Że rzuciła mi wyzwanie i przez nią łyknęłam o dwie tabletki xanaxu za dużo. I że zwymiotowałam wszystkie trzy na widok Jego zdjęcia.

– Nadal u ciebie jest? – chce wiedzieć Coop.

– Tak. Zostanie na jakiś czas.

– Jak długo?

– Nie wiem. Dopóki nie znajdzie czegoś innego.

– Naprawdę uważasz, że to dobry pomysł?

– Czyżbyś się o mnie martwił?

– Zawsze się o ciebie martwię, Quincy.

Milknę, nie wiedząc, jak na to zareagować. Nigdy dotąd Coop nie był wobec mnie taki bezpośredni. Nie wiem, czy to zmiana na lepsze. Tak czy inaczej, miło mi słyszeć, że otwarcie przyznaje się do swojej troski o mnie. To zdecydowanie bardziej krzepiące niż te skinienia głową.

– Powiedz prawdę – odzywam się w końcu. – Po tym powiadomieniu kusilo cię, żeby przyjechać i sprawdzić, co u mnie?

– Ruszałem sprzed domu, kiedy mnie otrzeźwiło – przyznaje Coop.

Ani przez chwilę nie wątpię w jego słowa. Właśnie dzięki takiemu oddaniu przez te wszystkie lata czułam się bezpieczna.

– Co sprawiło, że się rozmyśliłeś?

– Pewność, że potrafisz o siebie zadbać.

– Podobno.

– Mimo wszystko niepokoi mnie, że Samantha Boyd wyszła z ukrycia – oznajmia Coop. – Zgodzisz się chyba, że to zaskakujące.

– Zaczynasz mówić jak Jeff.

– Jaka ona jest? Czy jest...

Na usta pcha mi się określenie, którego rano użyła Sam. „Wybrakowany towar”.

Zamiast tego mówię:

– Normalna? Zważywszy na to, co przeżyła, jest jak najbardziej normalna.

– Ale nie tak normalna jak ty.

Wyczuwam, że Coop się uśmiecha. Wyobrażam sobie błysk, który pojawia się w jego błękitnych oczach w tych rzadkich momentach, gdy pozwala sobie na opuszczenie gardy.

– Oczywiście, że nie – odpowiadam. – Ja jestem królową normalności.

– W takim razie, królowo Quincy, co powiesz na to, że wpadnę poznać Samanthę?

Chciałbym jej się przyjrzeć.

– Po co?

– Bo jej nie ufam. – Coop łagodzi nieco swój ton, jakby zdał sobie sprawę, że jest zbyt ostry. – I nie zaufam, dopóki osobiście jej nie poznam. Chcę mieć pewność, że niczego nie kombinuje.

– Nie kombinuje – uspokajam go. – Jeff już ją przemaglował.

– Ale ja nie.

– Wiesz, że nie lubię cię fatygować.

– To żaden kłopot – zapewnia mnie Coop. – Mam wolny dzień, pogoda dopisuje, a w górach Pocono liście zaczynają już zmieniać kolory. To będzie miła przejażdżka.

– Wobec tego zgoda – mówię. – W południe ci odpowiada?

– Brzmi doskonale. – Chociaż tego nie widzę, wiem, że Coop kiwa głową.

Wyczuwam to. – Tam, gdzie zwykle.

– Jesteśmy umówieni.

Coop znowu poważnieje i dodaje ściszym, schrypniętym głosem:

– Tylko bardzo cię proszę, uważaj na siebie. Wiem: myślisz, że przesadzam, ale tak nie jest. To obca osoba, Quincy. W dodatku ciężko doświadczona przez los. Nie wiemy, czy nie namieszało jej to w głowie. Nie wiemy, do czego jest zdolna.

Siedzę na krawędzi wanny ze złączonymi kolanami i nagle przeszywa mnie zimny dreszcz. W głowie rozbrzmiewają mi słowa Jonah Thompsona: „Chodzi o Samanthę Boyd. Ona cię okłamuje”. Co za dupek bez charakteru!

– Nie przejmuj się tak – rzucam. – Myślę, że ją polubisz.

Żegnamy się i Coop jak zwykle na koniec przypomina, że bym w razie czego nie wahała się dzwonić albo esemesować.

Nachylam się nad umywalką, obmywam twarz i przepłukuję usta oraz gardło solidną porcją płynu odświeżającego. Spoglądam w lustro i ściągam wargi w dziubek, starając się wyglądać seksownie, przygotowując się mentalnie na powrót do łóżka i kontynuację rozpoczętych figli.

Ale gdy wychodzę z łazienki, widzę, że Jeffowi znudziło się czekanie albo był tak

zmęczony, że zasnął.

Północ zastaje mnie kompletnie rozbudzoną, pomimo psychicznego wyczerpania. Popołudniowa drzemka sprawiła, że moje ciało wprost tryska energią. Kręcę się i przewracam z boku na bok. Pod kołdrą jest mi za ciepło, bez niej – za zimno. Jeff nie ma takich problemów. Lekko pochrapuje u mego boku, pogrążony w głębokim śnie. Zamiast bezsennie tkwić w łóżku, wstaję i zakładam dzinsy, podkoszulek oraz kardigan. Czas na nocną sesję pieczenia. Wiem, co przygotuję: staroświeckie pierogi z jabłkami, następny punkt programu na blogu *Słodkości Quincy*. I tak mam już jeden dzień opóźnienia.

Nie udaje mi się ominąć pokoju gościnnego, który odtąd powinnam chyba nazywać pokojem Sam. Spod drzwi sączy się smuga światła, więc pukam – delikatnie, z wahaniem.

– Otwarte – rozlega się głos Sam.

Zastaję ją w kącie, przetrząsając zawartość plecaka. Wyciąga kolczyki od Saksa i rzuca je na łóżko; ich widok budzi we mnie nieprzyjemne wspomnienia. Całkiem o nich zapomniałam.

– Po twoim powrocie do domu wyjęłam je z torebki – mówi. – Na wypadek, gdyby Jeffowi przyszło na myśl do niej zajrzeć.

– Dzięki – odpowiadam, spoglądając ponuro na kolczyki. – Nie jestem pewna, czy nadal je chcę.

– W takim razie ja je wezmę. – Sam zgarnia kolczyki z łóżka i wrzuca z powrotem do plecaka. – I tak nie możemy ich zwrócić. Jak się czujesz?

– Lepiej – mówię. – Ale nie mogę spać.

– Sen nie jest też moją mocną stroną.

– Jeff wspomniał mi o waszej dzisiejszej rozmowie. Bardzo się cieszę. *Oboje* się cieszymy, że z nami zostaniesz. Mów, jakbyś czegoś potrzebowała. Czuj się jak u siebie w domu.

Tyle że Sam już zdążyła się rozgościć. Na nocnej szafce leży kilka książek: podniszczone kieszonkowe wydania powieści science-fiction oraz *Sztuka wojny* w twardej okładce. Chociaż okno jest otwarte, w pokoju czuć dym z papierosów. Na parapecie dostrzegam skórzaną popielniczkę-portmonetkę Sam.

– Przepraszam, że zostawiłam cię samą na całe popołudnie – odzywam się. – Mam nadzieję, że bardzo się nie nudziłaś.

– Nie ma sprawy. – Sam siada po jednej stronie łóżka i poklepuje materac z drugiej strony, dopóki nie usiądę. – Przeszłam się po okolicy. Ucięłam sobie miłą pogawędkę z Jeffem.

– Jutro ci to wynagrodzę – zapowiadam. – A skoro już o tym mowa: umówiłam nas na spotkanie. Z jakimś Franklinem Cooperem.

– Gliniarzem, który ocalił ci życie?

Dziwię się, że wie, kim jest Coop. Rzeczywiście miała mnie na oku.

– W rzeczy samej – przytakuję. – Chce cię poznać. Przywitać się.

– I sprawdzić, czy nie jestem psychiczna – rzuca Sam. – Nie przejmuj się. Kapuję. Musi się przekonać, czy można mi zaufać.

Odchrząkuję.

– A to znaczy, że nie wolno ci się zająknąć o xanaxie.

– Jasne.

– Ani...

– O twoich lepkich paluszkach?

– Właśnie – przytakuje, wdzięczna, że nie muszę wypowiadać na głos słowa „kradzież”. – O tym też.

– Będę grzeczna jak aniołek – obiecuje Sam. – Nawet nie przeklnę.

– Później możemy trochę pozwiedzać. Zobaczyc Empire State Building. Centrum Rockefellera. Co tylko będziesz chciała.

– Central Park?

Nie wiem, czy usiłuje żartem nawiązać do wydarzeń minionej nocy.

– Jeśli masz ochotę.

– Po co czekać? Nie możemy tego zrobić teraz?

Teraz już wiem, że żartuje.

– To nie najlepszy pomysł – odpowiadam.

– A zarzyganie dziennikarza było dobrym pomysłem?

– Nie zrobiłam tego umyślnie.

– Powiedział coś?

Po raz kolejny do mojej głowy wkrada się głos Jonah Thompsona, ja zaś po raz kolejny go ignoruję. Jedyne kłamstwo Sam dotyczyło zmiany nazwiska, ale o tym już wiem. To Jonah mnie okłamał, chciał, żebym się przed nim wywnętrzała, jak to jest być Ocalałą. Zamiast tego wywnętrzyłam się w sposób, jakiego nie przewidział.

– Nic ważnego – mówię. – Nie poszłam tam, żeby go słuchać, tylko na niego nawrzeszczyć.

– I bardzo dobrze.

Do głowy przychodzi mi pewna myśl, która sprawia, że odruchowo ściszam głos.

– Dlaczego ze mną nie poszłaś? Dlaczego nie chciałaś, żebym się z nim spotkała?

– Bo trzeba wiedzieć, w które potyczki warto się angażować – odpowiada Sam. – Dawno się przekonałam, że walka z prasą nie ma żadnego sensu. I tak zawsze wygrywają. W dodatku tacy jak Jonah Thompson tylko bardziej się nakręcają. Jutro prawdopodobnie znów o nas napisze.

Sztywnieję ze strachu na samą myśl.

– Wybacz. Nie chciałam...

– Spoko. Cieszę się, że w końcu się na coś wkurzyłaś. – W jej oczach zapalają się ogniki. – Jak się czułaś, kiedy mu wygarnęłaś?

Przez chwilę się nad tym zastanawiam, odsiewając mgliste wspomnienia, usiłując oddzielić to, co naprawdę czułam, od skutków działania xanaxu. Dochodzę do wniosku, że chyba mi się podobało. Skreślić „chyba” – *wiem*, że mi się podobało. Czułam się pewna siebie, pobudzona i silna, przynajmniej dopóki nie zawładnęły mną mdłości.

– Czułam się świetnie – mówię.

– Zawsze tak jest, jak się człowiek wkurzy. Nadal jesteś wściekła?

– Nie.

Sam z drugiej strony łóżka rzuca mi filuterne spojrzenie.

– Kłamczucha.

– No dobra. Masz rację. Nadal jestem wściekła.

– Pytanie, co zamierzasz z tym zrobić?

– Nic – odpowiadam. – Sama powiedziałaś, że nie ma sensu wojować z prasą.

– Nie mówię teraz o prasie, tylko o życiu. O świecie. Pełno na nim nieszczęść, niesprawiedliwości i kobiet takich jak my, krzywdzonych przez facetów, którzy nie powinni tego robić. Niestety mało kogo to obchodzi. A jeszcze mniej ludzi się wkurza i bierze sprawę w swoje ręce. Wolą stać z boku.

– Ale nie ty.

– Żebyś wiedziała. Chcesz się przyłączyć?

Patrzę na siedzącą po przeciwnej stronie łóżka Sam i płonące w jej oczach ogniki. Moje serce lekko przyspiesza, w piersi czuję delikatne drżenie, jakby motyl trzepotał skrzydełkami we wnętrzu kokonu. Zdaję sobie sprawę z tego, że to tęsknota – tęsknota za tym, aby znów poczuć się tak, jak dzisiaj rano z Sam. Promienieć.

– Nie wiem – bąkam. – Może.

Sam chwyta kurtkę, wkłada ją i szybkim ruchem zaciąga suwak.

– Wobec tego chodźmy.

Dam radę.

Tak sobie powtarzam.

To tylko Central Park, na litość boską, a nie las gdzieś na odludziu. Mam ze sobą swój gaz pieprzowy, a obok Sam. Nic nie może się nam przytrafić.

Jednak ledwo wychodzimy na ulicę, dopadają mnie wątpliwości. Nocne powietrze jest potwornie zimne. Rozcieram ramiona, żeby się rozgrzać, podczas gdy Sam zapala papierosa pod markizą chroniącą wejście do naszego budynku. Potem wyruszamy. Serce wali mi jak młotem, gdy przecinamy Columbus Avenue. Sam idzie kilka kroków przede mną, ciągnąc za sobą smuzkę papierosowego dymu.

Mój niepokój wzrasta z chwilą, gdy docieramy do Central Parku. Wiem, że źle robimy. Czuję to w środku, jakby sumienie było jeszcze jednym narządem, purpurowym i miękkim, przeszywanym niewytłumaczalnym bólem. Nie powinno nas tu być. Nie o tej porze.

Chciałam znowu promienieć. Zamiast tego czuję się przygaszona, mała i pusta w środku.

– Chyba zaszliśmy już za daleko.

Mój głos ginie w szumie chłodnego wiatru. Zresztą Sam i tak by nie zawróciła, nawet gdyby mnie słyszała. Jest wcieloną determinacją, gdy przechodzi przez ulicę i skręca w prawo, w kierunku wejścia do parku, które znajduje się jedną przecnicę stąd na południe. Zaczynam biec, żeby ją dogonić, podążając trasą swoich porannych przebieżek.

– Co my tu właściwie robimy? – pytam.

– Zobaczysz.

Sam wyrzuca niedopałek i wkracza do parku. Ja przez chwilę waham się w bramie. Padają na mnie światła nadjeżdżających od strony Central Park West samochodów – w ich blasku mój cień na chodniku dziwnie się zakrzywia. Mam ochotę zawrócić. I niemal to robię. Moje ciało gotowe jest puścić się biegiem do mieszkania, wskoczyć do łóżka i przyłgnąć do Jeffa. Ale nigdzie nie widzę Sam. Połknęła ją ciemna paszcza parku.

– Sam? – wołam. – Wracaj!

Cisza.

Czekam, licząc, że się pojawi z szerokim uśmiechem na twarzy, powie, że to kolejna z jej prób i że jej nie zaliczyłam. Gdy nadal nie wraca, mój niepokój wzrasta o kolejny stopień. Sam jest w parku. W dodatku sama i po nocy. Chociaż wiem, że potrafi o siebie zadbać, i tak się o nią martwię. Zaciskam palce na wąskim zasobniku gazu pieprzowego tkwiącym w mojej kieszeni i przeklinam się za to, że nie zażyłam xanaxu. Potem biorę głęboki, drżący wdech i wchodzę do parku.

Sam stoi tuż za bramą. Wcale się nie zgubiła, po prostu jej sylwetka zlała się z mrokiem. Czekam, aż do niej dołączę. Wygląda przy tym na zniecierpliwioną. Albo wkurzoną. Trudno powiedzieć.

– Chodźże wreszcie – mówi. Łapie mnie za rękę i ciągnie za sobą.



Dobrze znam ten fragment parku. Byłam tu wcześniej z tysiąc razy. Na lewo od nas jest plac zabaw imienia Diany Ross; w nocy prowadząca do niego furtka jest zamknięta na cztery spusty. Z naszej prawej strony znajduje się półkolista wylot Siedemdziesiątej Dziewiątej Ulicy. Mimo to noc zmienia park w miejsce, które wydaje się obce i nieprzystępne. Z trudem je rozpoznaję. Wszystko spowija mgła, gęsta i rozedrgana. Ociera się z szelestem o moją skórę i rozprasza światło latarni przy ścieżce, tworząc wokół nich blade aureole. Stłumiona poświata pełźnie po trawniku i wnika w korony drzew, sprawiając, że zarośla wydają się gęstsze i dziksze.

Staram się zapomnieć o lasach wokół Pine Cottage, choć tylko o nich potrafię teraz myśleć. O nieprzebytej puszczy pełnej ukrytych niebezpieczeństw. Zupełnie jakbym znowu się tam znalazła i miała lada moment rozpocząć swój bieg. Bieg o życie.

Sam kieruje się w głąb parku. Podążam za nią, choć umysł z przestrachem skanduje: „To jest złe. Niebezpieczne!”.

Przed nami majaczy zarys amfiteatru Delacorte’ów. Zaraz za nim jest zamek Belwederski, wznosząca się na skałach miniaturowa forteca. We mgle przypomina leśne zamki z bajek.

Myślę sobie, że w taką noc łatwo się tu zgubić. Zboczyć ze ścieżki i przepaść na wieki.

Jak Janelle.

Jak oni wszyscy.

Póki co, obie z Sam trzymamy się ścieżki i kierujemy na południe, wzdłuż zachodniej granicy parku. Pomimo późnej pory nie jesteśmy same. Kątem oka dostrzegam poruszające się w mroku cienie innych ludzi. Jakaś para ze spuszczonej głowami szybkim krokiem przemierza zamglony teren. Z tyłu rozlega się ciężki oddech zapóźnionego biegacza; ze słuchawek w jego uszach dobiegają metaliczne dźwięki muzyki. Za każdym razem taki widok przyspiesza rytm mojego serca, które bije jak werbel.

Są tu także samotni mężczyźni o zatartych przez mgłę rysach, blakający się po parku w poszukiwaniu zakazanego dreszczyku emocji, jaki daje przygodny seks. Większość jest podobnie ubrana – w spodnie od dresu, drogie buty do biegania, podkoszulki i narzucone na nie rozpięte bluzy z kapturem – zupełnie jakby obowiązywał ich przepisowy strój. Wylaniają się z mroku ze wszystkich stron. Krążą, kluczą, rozglądają się, nie zwracając uwagi na mnie ani na Sam. Nie jesteśmy w ich typie.

– Powinnyśmy już wracać – odzywam się.

– Wyluzuj – rzuca Sam.

Cechuje ją podobne napięcie, które dostrzegam u grasujących w parku amatorów mocnych wrażeń. Coś ją napędza: jakiś głód, jakieś pragnienie. Opada na ławkę; prawa noga drga niespokojnie, podczas gdy czarne jak smoła oczy lustrują horyzont. Płonący w nich dotąd żar zastąpił lodowaty chłód: spojrzenie ma twardość stali.

Siadam obok. Serce wali mi jak młotem – dziw, że od jego uderzeń nie trzęsie się ławka. Sam pstryka zapalniczką i jej błysk we mgle przyciąga uwagę jednego z ciemnych typów, który niczym ubrana w skórę ćma ciągnie prosto do ognia. Zbliży się, a ja cała się spinam. Zaciskam dłoń na tkwiącym w kieszeni gazie pieprzowym.

Koleś podchodzi do ławki, rysy jego twarzy nabierają ostrości. Jest przystojny i gibki, siwawy cień zarostu uwydatnia mocny zarys szczęki, z całej sylwetki emanuje aura mrocznej zmysłowości.

– Cześć – zagaduje nas ściszym, przepaszającym tonem, jakby rozmowy były tu zakazane. – Mogę wysepić szluga?

Sam bez słowa wyjmuje z kieszonki papierosa i wsuwa mu do ręki płynnym gestem handlarza narkotyków. Ponownie pstryka zapalniczką; mężczyzna nachyla się i czubek papierosa na ułamek sekundy rozjarza się ostrą czerwienią, by po chwili zacząć się tlić. Mężczyzna kiwa głową i wydmuchuje dym, który zlewa się z mgłą.

– Dzięki.

– Nie ma sprawy – odpowiada Sam. – Szczęśliwych łowów.

Mężczyzna uśmiecha się – chytrze, seksownie. Odwraca się i rzuca jeszcze przez ramię:

– Szczęście nie ma tu nic do rzeczy, złotko. – Po czym odchodzi dumnym krokiem, cały w skórzanych ciuchach. Po chwili już go nie ma; znika we mgle, z której wychynął.

Myślę o Nim: w innym miejscu, w innym czasie. Gdyby tylko wtedy tak samo zniknął bez śladu i zostawił nas w spokoju!

– Sam, chcę wracać do domu – proszę.

– W porządku – odpowiada ona. – Wracaj.

– Nie pójdziesz ze mną?

– Nie.

– Co my tu właściwie robimy?

Sam ucisza mnie gwałtownie. Coś budzi jej czujność. Zrywa się z ławki i spogląda w kierunku, skąd przyszliśmy. Mięśnie ma napięte. Jest opanowana, gotowa do ataku. Podążam za jej wzrokiem i widzę to, co ona. Jakies sto metrów od nas z mgły wyłania się dziewczyna. Jest sama i śpieszy przez park z nieporęczną płócienną torbą przyciśniętą do piersi. Wygląda na młodą i chyba głodną. Idzie pieszo przez park, żeby zaoszczędzić na taksówce, nie myśląc, jaki to fatalny pomysł.

Tuż za nią we mgle idzie mężczyzna – tak blisko, że mógłby być jej cieniem. W czarnej bluzie z kapturem nawet wygląda jak cień. Porusza się równym tempem, szybciej niż dziewczyna i prędko ją dogania. Ona najwyraźniej zdaje sobie z tego sprawę, bo przyspiesza kroku, prawie biegnie.

– Sam? – odzywam się, czując w piersi głucho uderzenia. – Myślisz, że on chce ją okraść? Albo...?

Zrobić jej coś gorszego. To właśnie chcę powiedzieć: „albo zrobić jej coś gorszego”.

Nie kończę, bo pół-człowiek, pół-cień właśnie dopada dziewczyny. Jedną dłoń zaciska na jej ramieniu, drugą sięga do płóciennej torby albo ukrytych pod nią piersi.

Sam rusza z miejsca i pędzi ścieżką. Mgła tłumi odgłos jej kroków. Instykt każe mi za nią pobiec, choć tylko się domyślam, co za chwilę nastąpi.

Dziewczyna przed nami spostrzega Sam i odskakuje w tył. Jakby to ona była celem ataku. Na chwiejnych nogach usiłuje wyswobodzić się z objęć napastnika, trzymając torbę przed sobą jak tarczę. Sam omija ją szerokim łukiem i zmierza wprost na mężczyznę. Nie

zwalnia, tylko wpada na niego z całym impetem.

Siła uderzenia odrywa go od dziewczyny i przewraca na trawę. Sam odbija się od niego i zatacza do tyłu. Dziewczyna puszcza się biegiem przed siebie. Chciałaby się obejrzeć, ale za bardzo się boi. Z uniesionymi do góry rękami zachodzę jej drogę; czuję pulsowanie adrenaliny.

– Już dobrze – uspokajam ją. – Chcemy ci pomóc.

Za nią napastnik ślizga się na trawie, próbując zwiać. Sam rzuca się na niego i wskakuje mu na plecy. Czym prędzej prowadzę niedoszłą ofiarę do najbliższej ławki, sadzam i przykazuję, żeby się nie ruszała. Potem odbiegam w kierunku Sam.

Jakimś sposobem udało jej się obalić mężczyznę na kolana. Ciężar na plecach sprawia, że koleś coraz niżej się pochyła, szoruje niemal twarzą po trawie.

Przez głowę przelatuje mi coś, co wcześniej powiedział Coop: „Nie wiemy, do czego jest zdolna”.

– Sam, nie zrób mu krzywdy!

Mój głos rozbrzmiewa echem w parku i odwraca uwagę Sam od klęczącego na ziemi faceta. Podrywa głowę, dosłownie na ułamek sekundy. Ale to wystarcza, by tamten wymierzył jej kopniaka. Jego stopa trafia ją w brzuch i Sam upada na trawę.

Napastnik zrywa się jednym skokiem i staje szeroko na ugiętych nogach. Jak sprinter na linii startowej. Jeszcze chwila i rusza; podeszwy butów ślizgają się na wilgotnej trawie. Sam wciąż leży na wznak. Walcząc z bólem, wciąga ze świstem powietrze i próbuje przewrócić się na bok. To nie był nokaut, ale niewiele brakowało.

Niezdarnym klusem puszczam się w pogoń, usiłując wymacać w kieszeni gaz pieprzowy.

Facet przede mną także biegnie, ale ja jestem szybsza: wszystkie te zrobione kilometry wreszcie procentują. Chwytam go za bluzę i zdieram z głowy kaptur. Pod nim ma nieco przekrzywioną bejsbolówkę. Dostrzegam burzę kruczoczarnych włosów i śniadą skórę na karku. Wystarcza jedno mocne szarpnięcie za kaptur, żeby musiał zwolnić. Jego trampki ślizgają się, więc macha ramionami, żeby złapać równowagę.

Kiedy się odwraca, spodziewam się ujrzeć jego twarz. Zamiast tego widzę śmigającą mi przed nosem rękę. A potem czuję uderzenie – brutalny cios z bekhendu trafia mnie w policzek. Jest tak silny, że głowa odskakuje mi w prawo.

Pulsujący ból zaćmiewa wzrok czerwoną zasłoną i przez moment niczego nie widzę. Od lat czegoś takiego nie czułam. A dokładnie od dekady. Ostatni raz, kiedy uciekłam z Pine Cottage i z krzykiem biegłam przez las, a od uderzenia gałęzią w twarz kręciło mi się w głowie.

Mam wrażenie, jakbym znowu tam była i czuła tamten głęboki, przesywający ból. Czas się kurczy, staje ciemnym tunelem, do którego zaraz wpadnę; na jego końcu czeka tamten przeklęty las, gdzie wydarzyły się wszystkie potworności.

Nie wpadam jednak do żadnego tunelu, tylko wracam do teraźniejszości. Moje ciało jest całe odrętwiałe wskutek doznanego szoku. Wbrew własnej woli rozluźniam uchwyt i puszczam kaptur mężczyzny, który – nareszcie wolny – ucieka na południe. Jest coraz dalej, w końcu znika mi z oczu.

Na jego miejsce pojawiają się za to dwie inne postacie, nadciągające z przeciwnych

stron. Jedną z nich jest Sam, która nadbiega od tyłu, wykrzykując moje imię. Drugą – uratowana przez nas dziewczyna. Opuściła bezpieczną przystań ławki i zbliża się z ręką zanurzoną we wnętrzu płóciennej torby.

– Ty krwawisz – mówi.

Dotykam nosa i czuję, że z nozdrzy cieknie mi coś ciepłego i mokrego. Spoglądam w dół i widzę połyskującą na palcach krew.

Dziewczyna podaje mi chusteczkę jednorazową. Przykładam ją do nosa, Sam zaś przywiera tymczasem do moich pleców i obejmuje mnie mocno.

– Psiakrew, mała – dyszy. – Nie wiedziałam, że taka z ciebie wojowniczką.

Oddycham przez usta, wciągając w płuca rześkie powietrze o delikatnym zapachu trawy. Mieszanka adrenaliny, strachu i dumy na myśl, że Sam może mieć rację, wprawia moje ciało w drżenie. *Jestem wojowniczką, promieniejącą blaskiem.*

Dziewczyna, którą uratowałyśmy – cały czas nie znamy jej imienia – również wygląda na zaskoczoną. Kiedy we mgle przemykamy do wyjścia z parku, pełnym respektu, ściszym głosem pyta nas, czy należymy do straży obywatelskiej.

– Nie – zaprzeczam.

– Tak – potwierdza Sam.

Na Central Park West zatrzymuję taksówkę i osobiście pilnuję, aby dziewczyna do niej wsiadła. Nim zamknę drzwiczki, wciskam jej do ręki dwadzieścia dolców, zaciskam palce na banknocie i mówię:

– Żebyś miała czym zapłacić za kurs. Nigdy więcej nie chodź sama nocą po parku.

Po przebudzeniu ciągle mam obolałą twarz – tępy, szczytkowy ból promieniuje do nosa od kości policzkowej. W łazience ustawiam prysznic na najwyższą temperaturę, jaką jestem w stanie wytrzymać, po czym przez dobre pięć minut wdycham i wydycham parę przez nozdrza, żeby pozbyć się zaschniętej krwi. Potem unoszę twarz i wystawiam ją na działanie rozpylonej mgiełki, czując, jak ukrop parzy mi skórę.

Kiedy myślę o minionej nocy, nogi zaczynają mi drżeć tak bardzo, że muszę się oprzeć o ścianę kabiny, aby nie stracić równowagi. Ciężko uwierzyć, że zachowałam się tak nieodpowiedzialnie. Bezmyślnie naraziłam się na niebezpieczeństwo. Facet w parku mógł być przecież uzbrojony. Mógł mnie dźgnąć nożem, zastrzelić, zabić. Ogólnie rzecz biorąc, miałam sporo szczęścia, że tylko oberwałam w twarz.

Wychodzę spod prysznica i przecieram ręką zaparowaną powierzchnię łazienkowego lustra. Z wąskiego paska gapi się na mnie moje odbicie. Na policzku dostrzegam błądy siniak. Jest ledwie zauważalny, ale bardzo bolesny w dotyku – wystarcza lekki ucisk palców i cała się wzdrygam.

Świeży ból w policzku budzi dawne rany. Chociaż ciosy zadane nożem w Pine Cottage nie wyrządziły mi trwałych szkód, pozostawiły jednak blizny, które teraz, po raz pierwszy od lat, zaczynają nieprzyjemnie pulsować. Wyginam się lekko do tyłu, dopóki w lustrze nie ukaże się odbicie blizny na brzuchu. Na tle zaczerwienionej od gorąca skóry biała jak mleko kreska jest doskonale widoczna. Potem pochylam się do przodu i oglądam blizny pod barkiem, oddalone od siebie o trochę ponad dwa centymetry. Jedna jest pionowa, druga nieco ukośna. Gdyby ostrze noża było trochę szersze, z pewnością by się przecięły.

Zanim się wysuszę i ubiorę, ból zmienia się w lekkie pobolewanie. Irytujące, owszem, ale można je wytrzymać.

W kuchni, jak przed każdym spotkaniem z Coopem, tradycyjnie łykam xanax, popijam napojem winogronowym i czekam, aż Sam wyjdzie ze swojego pokoju. Zjawia się kilka minut później, wyglądając jak całkiem inna osoba. Zaczęsanе za uszy włosy odsłaniają twarz muśniętą delikatnym makijażem. Kreski wokół oczu są mniej wyraziste, a rubinowe dotąd usta pociągnięte brzoskwiniowym błyszczkiem o różowawym połysku. Zamiast zwykłej czerni Sam ma na sobie ciemne džinsy, niebieskie baleriny oraz wyniesioną wczoraj z Saksa bluzkę. Z jej uszu dyndają skradzione przeze mnie kolczyki.

- O rety – wrywa mi się.
- Nieźle jak na laskę w moim wieku, co?
- Mało powiedziane.
- Chcę zrobić dobre wrażenie.

W drodze do kawiarni zwracamy na siebie uwagę kilku przechodniów, chociaż trudno wyczuć, czy dzieje się tak za sprawą artykułu Jonah Thompsona, czy nowego wizerunku Sam. Raczej chodzi o to drugie. Parę razy czuję na sobie wzrok obcych ludzi i za każdym razem mam wrażenie, że mnie z nią porównują.

Robi to nawet Coop, gdy dotarłszy do kawiarni, mijamy jego tradycyjne miejsce

przy oknie. Przez szybę zauważam skierowane do mnie powitalne skinienie głowy i taksujące spojrzenie, jakim obrzuca Sam. Czuję na karku lekkie ukłucie irytacji.

Gdy wchodzimy do środka, Coop wstaje od stolika. Tym razem nie odstaje ubiorem od reszty bywalców kawiarni, należących w większości do wyższej klasy średniej. Ma na sobie spodnie khaki i czarną koszulkę polo. Dobrze się w niej prezentuje: krótkie rękawy odsłaniają twarde bicepsy, pod skórą uwidaczniają się wystające żyły.

– Ty musisz być Samantha – odzywa się.

Nie śpieszy się z podaniem ręki. Kiedy ją w końcu wyciąga, robi to powoli, niezręcznie. Do Sam należy postawienie kropki nad „i”: sięga ponad stołem i mocno ściska jego dłoń.

– Funkcjonariusz Cooper, jak sądzę – mówi.

– Coop – poprawia on prędko. – Wszyscy mówią mi Coop.

– A mnie wszyscy mówią Sam.

– No to świetnie – wtrącam, przywołując na usta sztuczny uśmiech. – Formalnościom stało się zadość.

Siadamy. Na stole przed Coopem jak zwykle stoją dwa kubki: jego kawa i moja herbata. Spoglądając na nie, mówi:

– Chciałem zamówić też coś dla ciebie, Sam, ale nie wiedziałem, co wolisz.

– Kawę – odpowiada Sam. – Pójdę po nią, a wy sobie tymczasem pogadajcie.

Podchodzi do kontuaru w głębi kafejki, klucząc między rozstawionymi gęsto stolikami. Przy jednym z nich siedzi brodacze w czapce z daszkiem odwróconej tyłem naprzód – sądząc po stojącym przed nim laptopie, pisarz. Obok na brulionie o żółtych kartkach leży skórzana teczka, iPhone oraz lśniące wieczne pióro marki Montblanc. Koleś z podziwem zerka na Sam, gdy ta go mija. Sam uśmiecha się, macha mu kokieteryjnie palcami.

– A więc to jest Samantha Boyd – mówi Coop.

– W rzeczy samej. – Zerkam na niego nad stołem i widzę, że obserwuje stojącą w drugim końcu sali Sam. – Coś nie tak?

– Po prostu jestem w szoku – wyjaśnia. – Nie spodziewałem się, że się tutaj zjawi. Zupełnie, jakbym zobaczył ducha.

– Ja też byłam zaskoczona.

– Nie tak ją sobie wyobrażałem.

– A jak?

– Chyba spodziewałem się kogoś bardziej nieokrzesanego. Na zdjęciu w szkolnym albumie wyglądała inaczej, nie sądzisz?

Mogłabym mu powiedzieć, że w rzeczywistości Sam jest całkiem inna, tylko ze względu na mnie złagodziła swój wizerunek, żeby zrobić na nim dobre wrażenie. Milczę jednak.

– Wczoraj wieczorem przeczytałem trochę o Nightlight Inn – mówi Coop. – Trudno sobie wyobrazić, przez co ona przeszła.

– Dostała od życia w kość – przyznaję.

– Jak się ze sobą dogadujecie?

– Świetnie. Chociaż ona i Jeff nie we wszystkim się zgadzają.

Coop pozwala sobie na półśmiech.

– Nie powiem, żeby mnie to dziwiło.

– To Jeffa powinieneś poznać. Moja znajomość z Sam jest przelotna, w przeciwieństwie do związku z Jeffem, czy ci się to podoba czy nie.

Nie wiem, dlaczego to mówię. Słowa same wymykają mi się z ust, nieplanowane. Półśmiech Coopa znika w ułamku sekundy.

– Oczywiście dziękuję ci, że przyjechałeś – dodaję łagodniej pod wpływem wyrzutów sumienia. – Miło, że zaproponowałeś to spotkanie. Mimo wszystko nie chciałabym być dla ciebie ciężarem.

– Nie jesteś dla mnie ciężarem, Quincy. Nigdy nie byłeś i nigdy nie będziesz.

Coop wpatruje się we mnie tymi swoimi oczami. Przesuwam palcem po posiniaczonej twarzy, ciekawa, czy zauważył ledwo dostrzegalne zaczerwienienie wzdłuż kości policzkowej. Jakaś częśćka mnie ma nadzieję, że o nie zapyta, co pozwoli mi posłużyć się przygotowanym specjalnie na tę okazję kłamstwem. „Ach, to? Wpadłam na futrynę”. Z trudem ukrywam rozczarowanie, gdy wzrok Coopa przesuwają się nad moim ramieniem i pada na powracającą z parującym kubkiem w rękę Sam. Ponownie mijając pisarza, potrąca lekko jego stolik; kubek z kawą przechyla się niebezpiecznie.

Z ust Sam wyrzywa się okrzyk.

– Och, najmocniej pana przepraszam!

Brodacz z uśmiechem podnosi głowę.

– Nic się nie stało.

– Ładny laptop – mówi ona.

Chwilę później jest już przy nas i siada obok mnie. Mierzy Coopa baczny spojrzeniem, po czym oznajmia:

– Myślałam, że będziesz inaczej wyglądał.

– Lepiej czy gorzej? – chce wiedzieć Coop.

– Mniej atrakcyjnie. Ewidentnie nie miałam racji.

– Słyszałaś o mnie, zanim się spotkaliśmy?

– Oczywiście – przyznaje Sam. – Tak jak ty słyszałaś o mnie. Na tym polega potęga internetu. Nie sposób zachować niczego w tajemnicy.

– Dlatego wybrałaś życie w ukryciu?

– Zasadniczo tak. Ale teraz znów jestem wśród żywych.

– Na to wygląda. – W głosie Coopa dźwięczy nuta niedowierzania, jakby nie kupował pozy grzecznej dziewczynki konsekwentnie forsowanej przez Sam. Odchyła się do tyłu, przekręca lekko głowę i mierzy ją wzrokiem tak, jak wcześniej ona jego. – Dlaczego postanowiłaś wrócić?

– Po tym, jak usłyszałam, co się stało z Lisą, pomyślałam, że mogłabym jakoś pomóc Quincy – odpowiada Sam i dodaje: – Naturalnie *gdyby* potrzebowała mojej pomocy.

– Quincy nie potrzebuje pomocy – stwierdza Coop, jakby nie siedziała naprzeciwko. Jakby była niewidzialna. – Jest bardzo silna.

– Ale ja nie mogłam o tym wiedzieć – rzuca Sam. – Dlatego jestem.

– Długo zamierzasz zostać?

Sam wzrusza lekko ramionami.

– Może. Za wcześnie, żeby o tym mówić.

Upijam łyk herbaty. Jest zbyt gorąca i parzy w język. Mimo to piję w nadziei, że ból zagłuszy ukłucie irytacji, które znów czuję na karku. Tym razem nie jest to już igiełka, tylko kciuk z całą siłą wciskający się w skórę.

– Sam zmieniła imię i nazwisko – wtrącam. – To dlatego nikt nie mógł jej namierzyć.

– Naprawdę? – Twarz Coopa wyraża szczere zdumienie. Spodziewam się wykładu podobnego do tego, jaki mi kiedyś zaserwował, gdy sama rozważałam zmianę nazwiska. On jednak mówi: – Nie będę cię pytał, gdzie się podziewałaś, ani pod jakim nazwiskiem dotąd żyłaś. Mam nadzieję, że z czasem zaufasz mi na tyle, aby opowiedzieć mi o tym z własnej woli. Proszę tylko, żebyś skontaktowała się z rodziną i dała im znać, że masz się dobrze.

– Moja rodzina to jeden z powodów, dla których zniknęłam – odpowiada cicho Sam. – Już przed Nightlight Inn w domu nie działa się najlepiej. Później było coraz gorzej. Kocham ich i tak dalej, ale niektóre rodziny po prostu nie powinny ze sobą przebywać.

– Mogę ich zawiadomić w twoim imieniu – podsuwa Coop. – Niech wiedzą, że nic ci nie grozi.

– Nie mogłabym wymagać od ciebie czegoś takiego.

Coop wzrusza ramionami.

– Nie wymagasz. Sam się zaofiarowałam.

– Prawdziwy sługa prawa – zauważa Sam. – Zawsze byłeś gliną?

– Nie zawsze. Wcześniej służyłem w wojsku. W piechocie morskiej.

– Brałeś udział w jakichś większych akcjach?

– Można tak powiedzieć. – Coop spogląda w szybę, koncentrując wzrok na świetle zewnętrznym, żeby uniknąć kontaktu wzrokowego. – Byłem w Afganistanie.

– Cholera – mruczy Sam. – Musiałeś widzieć okropne rzeczy.

– Rzeczywiście. Ale nie lubię o nich opowiadać.

– Czyli macie z Quincy wiele wspólnego.

Coop odwraca się od okna, omija mnie spojrzeniem i patrzy na Sam. Z wyrazu jego twarzy trudno cokolwiek wyczytać. Nagle wydaje mi się straszliwie smutny.

– Ludzie różnie radzą sobie z traumą, każdy na swój sposób – odzywa się.

– A jak ty radzisz sobie ze swoją? – pyta go Sam.

– Wędkuję – odpowiada Coop. – Poluję. Chodzę po górach. Pod tym względem jestem typowym chłopakiem z Pensylwanii.

– I co? Pomaga?

– Zazwyczaj tak.

– Może też powinnam spróbować – stwierdza Sam.

– Z przyjemnością zabiorę was kiedyś z Quincy na ryby, jeśli będziecie miały ochotę.

– Quincy ma rację. Naprawdę jesteś wspaniałą.

Sam wyciąga rękę nad stolikiem i ściska dłoń Coopa. On nie cofa ręki. Moja



irytacja się pogłębia. Napięcie usztywnia moje ramiona i przebija się przez miękką poduszeczkę xanaxu. Chętnie zażyłabym drugą tabletkę. Zaczynam się martwić, że stałam się kobietą, która *nie jest w stanie wytrzymać* bez drugiej tabletki.

– Muszę iść do toalety – oznajmiam, chwytając leżącą na stoliku torebkę. – Sam, pójdziesz ze mną?

– Jasne. – Puszczam oko do Coopa. – My, dziewczyny, jesteśmy takie przewidywalne, prawda?

Kiedy przeciskamy się na drugi koniec sali, Sam znowu macha zalotnie do brodatego pisarza. On odpowiada jej tym samym. We dwie pakujemy się do ciasnej toalety zaprojektowanej tak, aby korzystała z niej tylko jedna osoba. Stajemy przed upstrzonym plamami lustrem, stykając się ramionami.

– I jak mi idzie? – pyta Sam, kontrolując stan makijażu.

– Pytanie, *co* zamierzasz osiągnąć.

– Staram się być miła. Czy nie na tym ci zależało?

– Owszem...

– No więc w czym problem?

– Po prostu nie przesadź – mówię. – Jeżeli za bardzo będziesz się starać, Coop pozna, że udajesz.

– A jeśli nawet, to co?

– Atmosfera może się zrobić krępująca.

– Nie przeszkadza mi krępująca atmosfera – stwierdza Sam.

Przetrzęsam torebkę w poszukiwaniu jakiegoś zabłąkanego xanaxu.

– Ale Coop mógłby się z tym źle poczuć.

– *Rozumiem* – rzuca Sam tonem, w którym jest aż gęsto od aluzji. – Sprawy między wami mogłyby się skomplikować.

– Jesteśmy tylko znajomymi – zapewniam ją.

– Uhm. *Znajomymi*.

– Właśnie.

Na dnie torebki znajduję kilka luźnych pasków gumy do żucia i samotnego, pokrytego kurzem mentosa. Ani śladu xanaxu. Zaciągam suwak.

– Nie spieram się z tobą – mówi Sam.

– Nie. Tylko sugerujesz.

– Ja? – udaje oburzoną Sam. – Wcale nie sugeruję, że masz ochotę na numerka z tym seksownym gliniarzem.

– Właśnie to zrobiłaś.

– Mówię tylko, że jest seksowny.

– Nie zauważyłam.

Sam wyjmuję z torebki tubkę błyszczycy i szybkim ruchem przeciąga nim po obu wargach na raz.

– Szczerze wątpię, mała. Trudno coś takiego przeoczyć.

– Mówię poważnie. Uratował mi życie. Kiedy tyle komuś zawdzięczasz, nie myślisz o nim w taki sposób.

– Facetów to nie dotyczy. Udają, że jest inaczej, ale to nieprawda.

Głos Sam brzmi teraz dojrzałej i bardziej światowo. Zupełnie jakby starsza siostra udzielała mi porad w sprawach seksu. Zastanawiam się, z jakimi facetami się umawia. Pewnie ze starszymi. Motocyklistami o szerokich klatkach, dużych brzuchach i przyprószonych siwizną brodach. A może woli młodszych? Bładych, żylastych i tak niedoświadczonych, że z wdzięcznością przyjmą nawet najmniej zaangażowane bzykanko.

– Jeżeli nawet – mówię – to Coop jest dżentelmenem. Te kwestie dla niego nie istnieją.

– Dżentelmenem? – prycha Sam. – To glina. Z doświadczenia wiem, że nieźle z nich ogiery.

Nic na to nie odpowiadam. Wiem, że Sam tylko czeka, aż się oburzę, żeby mnie zbesztać za bycie cnotką. Janelle stale tak robiła.

– Żartuję – mówi ona. – Rozchmurz się.

To też była strategia Janelle. Wycofywała się, ilekroć czuła, że posunęła się za daleko, i starała się obrócić wszystko w żart. Jednak dzisiaj Sam robi coś więcej.

– Przepraszam, Quinn – dodaje. – Spuszczę z tonu. Obiecuję. – Wsuwa dłoń do kieszeni. – Przy okazji, mam coś dla ciebie. Do twojej szuflady ze skarbami. Pomyślałam, że ci się spodoba.

Wyjmuje wieczne pióro marki Montblanc, obłe i lśniące niczym srebrny pocisk, i wkłada mi je do ręki. Wcześniej było własnością siedzącego w kafejce pisarza. Teraz należy do nas. Połączył nas kolejny sekret.

## PINE COTTAGE

godzina 18.58

Byli zmuszeni przebrać się do kolacji – kolejny wymóg Janelle. Jeszcze przed wyjazdem upewniła się, czy wszyscy wzięli ze sobą odpowiednie stroje. „Niechluje zostaną odesłani do domu” – przestrzegła ich.

Quincy spakowała dwie sukienki – jedyne, jakie przywiozła ze sobą do college’u. Obie zostały wybrane przez matkę łudzając się, że córka, podobnie jak ona, będzie chodziła na wieczorki studenckie oraz imprezy integracyjne.

Jedna sukienka była czarna i Quincy uznała, że znakomicie się nada na tak uroczystą okazję. Ale w półmroku chaty przypominała w niej raczej wdowę na pogrzebie niż Audrey Hepburn w *Śniadaniu u Tiffany’ego*. Pozostawała niebieska, która jednak wydała się Quincy znacznie mniej twarzowa, niż dotąd sądziła.

– Wyglądam w niej grubo – jęknęła.

Wiedziała, że ma rację, ponieważ mina Janelle świadczyła o większym przerażeniu niż przed godziną, kiedy przecięła sobie palec. Szeleszcząc opatrunkiem, wycelowała go w Quincy i oznajmiła:

– Gorzej. Wyglądasz jak dziewczica.

– To jeszcze nie tragedia.

– Owszem, jeżeli próbujesz zaciągnąć faceta do łóżka.

– Craig wie, że to będzie mój pierwszy raz.

– Ta kiecka nie pozostawia co do tego żadnych złudzeń – mruknęła Janelle i zmierzyła przyjaciółkę wzrokiem do stóp do głów. – Mam pomysł.

Otworzyła jedną ze swoich dwóch walizek i rzuciła Quincy jakiś ciuch. Sukienkę z białego jedwabiu, chłodną i mieniącą się niczym woda w basenie.

– Czy biel nie jest przypadkiem najbardziej dziewiczym z kolorów? – spytała Quincy.

– Kolor mówi „dziewica”, ale krój obiecuje seks. Najlepsze połączenie. Craig będzie zachwycony.

Quincy przewróciła oczami. To było takie typowe dla Janelle: jej obsesją od czasu wykładów z psychologii był syndrom Madonny i ladaczniczy.

– A co ty założysz?

Janelle ponownie pochyliła się nad walizką.

– Oczywiście mam coś w zapasie.

– Oczywiście.

Quincy przyłożyła sukienkę do ciała i przyjrzała się swemu odbiciu w zakurzonej kwadratowej lustrze. Krój – głęboki dekolt gorsetu i asymetryczna spódnica – wydał jej się nieco zbyt wyzywający. Stojąca tyłem Janelle najwyraźniej wyczuła jej wahanie.

– Po prostu ją przymierz, Quinn.

Quincy zdjęła niebieską sukienkę, co dało Janelle okazję, aby krytycznie ocenić jej stanik oraz majtki. Znoszone i nie do kompletu, stanowiły antytezę zmysłowości.

– Chryste, Quinn! Naprawdę nie zaplanowałaś *niczego* na ten weekend?

– Nie – odparła Quinn, przyciskając do piersi dopiero co zdjętą sukienkę, jakby chciała się za nią ukryć. – Planowanie wprowadza element presji, a ja nie chcę czuć żadnej presji. Cokolwiek stanie się w ten weekend między mną a Craigiem, ma się wydarzyć naturalnie.

Janelle posłała jej siostrzany uśmiech i odgarnęła z twarzy Quincy kosmyk jasnych włosów.

– To naturalne, że się denerwujesz.

– Wcale się nie denerwuję. – Quincy skrzywiła się, słysząc we własnym głosie nerwowe drżenie. – Po prostu jestem... niedoświadczona. A jeśli okaże się, że jestem...

– Kiepska w łóżku?

– Można to i tak ująć.

– Nigdy się nie przekonasz, jeżeli nie spróbujesz – stwierdziła Janelle.

– A jeśli Craigowi się nie spodoba?

Quincy wróciła myślami do czegoś, co powiedziała wcześniej Janelle: że poza nią Craig ma szereg innych możliwości. Aż nazbyt dobrze pamiętała cheerleaderki, które nadskakiwały mu po meczach, i kibicki szkolnej drużyny, skandujące jego imię podczas przerw. Wszystkie one z wielką chęcią zajęłyby miejsce Quincy, gdyby ta rozczarowała Craiga.

– Spodoba mu się – zapewniła Janelle. – Ostatecznie to tylko facet.

– A jeśli mnie się nie spodoba?

– Spodoba ci się. To kwestia przyzwyczajenia.

Quincy poczuła w brzuchu trzepot. To nie był motyl, raczej miotający się ptak.

– Długo się trzeba przyzwyczajać?

– Będzie dobrze – pocieszyła ją Janelle. – A teraz pokaż mi, jak wyglądasz w tej kiece.

Quincy wsunęła na siebie sukienkę; biały jedwab łaskotał jej nagie uda. Poprawiała ramiączka i wciąż wygładzała materiał, gdy Janelle zapytała nagle:

– Co myślisz o Joem? W sumie jest całkiem niezły, prawda?

– Przyprawia mnie o gęsią skórkę – odrzekła Quincy.

– Bo jest tajemniczy.

– Raczej podejrzany.

– *Ja* uważam, że jest tajemniczy. W dodatku niezłe z niego ciacho.

– Niestety zajęte – zwróciła jej uwagę Quincy. – Zapominasz, że ma dziewczynę.

Teraz to Janelle przewróciła oczami.

– I co z tego?

– Powinnaś wiedzieć, że żadne z nas go tutaj nie chce. Zgodziliśmy się, żeby zostać, tylko dlatego że masz urodziny.

Janelle skinęła głową.

– Przyjęłam to do wiadomości. I nie martw się. Już ja się postaram, żeby się dobrze bawił.

Uporawszy się z sukienką, Quincy podeszła tyłem do przyjaciółki, by ta zaciągnęła suwak. Potem obie przyjrzały się jej odbiciu w lustrze. Chociaż sukienka była ciaśniejsza niż te, które zwykle nosiła Quincy, musiała przyznać Janelle rację. Wyglądała naprawdę

seksownie.

– O rety – westchnęła.

Janelle zagwizdała na palcach.

– Wyglądasz tak dobrze, że sama bym cię przeleciała.

– Dzięki. Chyba.

Janelle dokonała jeszcze ostatnich poprawek, obciągając porządnie dół sukienki i wygładzając zmarszczoną tkaninę na łopatkach Quincy.

– Teraz jest idealnie.

– Myślisz? – spytała Quincy, chociaż dobrze wiedziała, że faktycznie jest idealnie.

Mimo to coś nadal nie dawało jej spokoju.

– Co się dzieje? – zagadnęła ją Janelle.

– Będzie bolało, prawda?

– Tak – westchnęła Janelle. – Będzie. Ale będzie też bardzo przyjemnie.

– A czego jest więcej? Bólu czy przyjemności?

– To właśnie najdziwniejsze. Nie sposób oddzielić jednego od drugiego.

Quincy zerknęła w lustro, skupiając się na własnych oczach, i drgnęła, widząc w nich strach.

– Jesteś pewna?

– Zaufaj mi. – Janelle objęła ją od tyłu i mocno przytuliła. – Chyba nie sądzisz, że mogłabym cię oszukać?

Coop upiera się odprowadzić nas do mieszkania, chociaż Sam i ja znakomicie potrafimy się o siebie zatroszczyć. Dowiodliśmy tego minionej nocy. Sam idzie obok niego, dopasowując tempo do jego długich kroków.

Ja trzymam się z tyłu i wystawiam twarz do słońca. Jest pogodnie, ciepłe popołudnie – ostatnie podrygi lata, zanim powoli nadejdzie zima. Siniak na moim policzku lekko pulsuje, rozgrzany słonecznym blaskiem. Wyobrażam sobie, że czerwienieje i staje się bardziej widoczny. Chcę, żeby Coop się odwrócił i go zauważył, żeby jego oczy rozszerzyły się z niepokoju. Lecz on cały czas jest dwa kroki przede mną. Idzie równo z Sam i skręca z nią zgodnie w Osiemdziesiątą Drugą Ulicę.

Za rogiem oboje stają jak wryci.

Ja też się zatrzymuję.

Coś się dzieje przed moim budynkiem. Tabun reporterów zgromadził się na wprost wejścia. Są tak liczni i hałaśliwi, że dostrzegamy ich z odległości dwóch przecznic.

– Coop – odzywam się słabym głosem; jakbym słyszała własne echo. – Coś się stało.

– Nie gadaj – rzuca Sam.

– Spokojnie – mówi Coop. – Przecież nie wiemy, dlaczego tutaj są.

Ja wiem. Przyszli po nas.

Sięgam do torebki po komórkę, którą wyłączyłam, kiedy obie z Sam wyszłyśmy z mieszkania. Telefon ożywa i eksploduje komunikatami. Nieodebrane połączenia. Nieodebrane wiadomości. Palce sztywnieją mi ze zdenerwowania, kiedy przeglądam listę numerów. Wielu z nich nie rozpoznaję, co znaczy, że należą do dziennikarzy. Jedyne znane mi należy do Jonah Thompsona. Dzwonił do mnie aż trzy razy.

– Musimy stąd iść – mówię, wiedząc, że lada moment zostaniemy zauważone. – Albo wziąć taksówkę.

– I dokąd pojedziemy? – pyta Sam.

– Nie wiem. Do biura Jeffa. Do Central Parku. Gdziekolwiek, byle daleko stąd.

– To nie taki zły pomysł – wtrąca Coop. – Zyskamy na czasie i może dowiemy się, o co chodzi.

– Oni nie mogą tu wiecznie sterczeć. – Przez zmrużone powieki lustruję tłum na ulicy, który zdaje się gęstnieć z każdą sekundą. – Prawda?

– Nie zamierzam tak długo czekać – mruczy Sam.

Rusza przed siebie i maszeruje prosto na reporterów. Udaje mi się złapać ją z tyłu za bluzkę. Ciągnę, usiłując zatrzymać ją na miejscu – na próżno. Jedwab wyslizguje mi się z palców.

– Zrób coś – proszę Coopa.

Zmrużone błękitne oczy śledzą odchodzącą Sam. Nie potrafię ocenić, czy Coop jest zaniepokojony, czy raczej pod wrażeniem. Może jedno i drugie. Sama odczuwam wyłącznie niepokój, dlatego puszczam się biegiem za Sam i zrównuję z nią, gdy dociera do mojej przecznicy.

Dziennikarze naturalnie już nas widzą, ich głowy mniej więcej jednocześnie odwracają się w naszym kierunku. Przypominają stado sępów, które wypatrzyły przy drodze świeże truchło. Ci z telewizji mają ze sobą kamerzystów, którzy przepychają się, żeby zająć jak najlepszą pozycję. U dołu kucają fotoreporterzy. Rozlega się trzask zwalnianych migawek.

W tłumie jest także Jonah Thompson. Jego widok mnie nie zaskakuje. Podobnie jak inni nawołuje nas po imieniu, gdy się zbliżamy. Tak jakby nas znał. Jakby się o nas troszczył.

– Quincy! Samantha!

Cofamy się o kilka kroków. Wokół wyrasta las kamer i mikrofonów. Naraz czuję na ramieniu czyjąś dłoń, ciężką i twardą. Nie muszę się nawet oglądać, aby wiedzieć, że należy do Coopa, który wreszcie nas dogonił.

– Wystarczy tego dobrego – zwraca się do dziennikarzy. – Odsuńcie się. Pozwólcie im przejść.

Sam naciera przed siebie, wymachując ramionami, żeby oczyścić sobie drogę. Nie dba przy tym o to, komu przyłoży.

– Wypierdalać mi stąd, kurwa – warczy, wiedząc doskonale, że przekleństwa wykluczą emisję nagrań w telewizyjnych serwisach informacyjnych. – Nie mamy wam, kurwa, nic do powiedzenia.

– Czyli nie będzie żadnego komentarza? – chce wiedzieć jeden z reporterów. Jest z telewizji, kamera za jego plecami kieruje się na Sam niczym oko rozwścieczonego Cyklopa.

– Na to, kurwa, wygląda.

Sam staje tyłem do niego, a przodem do mnie. Błyskające flesze rzucają na nią luminescencyjną poświatę, która spłaszcza rysy i sprawia, że jej twarz wygląda jak księżyc w pełni, blady i pozbawiony wyrazu.

Kątem oka widzę przeciskającego się ku mnie Jonah.

– Naprawdę nie macie nic do powiedzenia na temat Lisy Milner? – pyta.

Budzi się we mnie ciekawość i pcha do przodu. Samobójstwo Lisy to wiadomość sprzed dwóch dni. W świecie dwudziestoczterogodzinnych newsów to cała wieczność. Musiało się wydarzyć coś innego. Coś nowego.

– O co chodzi z tą Lisą? – pytam, podchodząc do niego. Kamery wypełniają zwolnione przeze mnie miejsce, otaczają nas ciasnym kręgiem.

– Nie odebrała sobie życia – oznajmia Jonah. – Jej śmierć uznano za zabójstwo. Lisa Milner została zamordowana.

A oto szczegóły:

W noc swojej śmierci Lisa Milner wypła dwa kieliszki merlota. Nie piła sama. Był z nią ktoś jeszcze, kto również pił wino. Ten ktoś dosypał do kieliszka Lisy sporą dawkę anitrofiliny, silnego antydepresantu stosowanego czasami jako środek nasenny dla osób w stanie silnego wstrząsu. W organizmie Lisy znaleziono jej tyle, że mogłaby usnąć dorosłego goryla.

Obecność wina i anitrofiliny została stwierdzona podczas badań toksykologicznych wykonanych po śmierci Lisy. Gdyby nie to, jej zgon nadal uważano by za samobójstwo.

Właściwie w dalszym ciągu mogłoby się tak wydawać: funkcjonariusze, którzy przyjęli zgłoszenie, znaleźli ślady anitrofiliny na blacie kuchennym. Nigdzie za to nie natrafili na opakowanie po leku ani na receptę od lekarza. Samo w sobie to jeszcze o niczym nie świadczyło w świecie, w którym istnieją apteki internetowe, kasujące trzykrotność ceny rynkowej za sprowadzane z Kanady specyfiki. Wszystko, o czym tylko zamarzy serce lekomana, jest dostępne tuż za północną granicą naszego kraju.

Jednak po tym, jak w laboratorium toksykologicznym rozdzwoniły się dzwonki alarmowe, do domu Lisy wysłano ponownie ekipę techników kryminalistyki. Tym razem porządnie się rozejrzeli; powinni to byli zrobić kilka dni wcześniej, ale zlekceważyli sprawę, sądząc, podobnie jak wszyscy, że Lisa ze sobą skończyła. Znaleźli kieliszek Lisy, a na jego dnie granulki anitrofiliny. Na blacie stołu w jadalni były odcisnięte ślady dwóch kieliszków. Badanie wykazało, że tylko w jednym przypadku zaschnięte wino zawierało anitrofilinę. Technicy nie znaleźli nigdzie drugiego kieliszka. Ani śladów przemocy czy włamania.

Lisa ufała temu, kto ją zabił.

Patolog sądowy doszukał się też czegoś interesującego w nacięciach na przegubach ofiary. Były głębsze niż to zwykle bywa, gdy ktoś sam zadaje sobie rany nożem. Zwłaszcza że osoba, która rzekomo je wykonała, była przecież kompletnie odurzona. Jeszcze bardziej znaczący okazał się kierunek wykonania nacięć – od prawej do lewej na lewym nadgarstku i od lewej do prawej na nadgarstku prawym. W większości przypadków jest dokładnie na odwrót. Zresztą nawet gdyby Lisa istotnie przecięła sobie żyły w tak nietypowy sposób, kąt ran byłby zupełnie inny. Niemożliwe zatem, aby sama się pocięła. Ktoś zrobił to za nią. Ten sam człowiek, który wsypał jej do wina środek nasenny, a potem zabrał swój kieliszek.

Podstawowe pytanie – poza tym, kto ją zabił i dlaczego, rzecz jasna – brzmiało: kiedy Lisa zadzwoniła z komórki na numer alarmowy. Policja z Muncie podejrzewała, że nastąpiło to już po odurzeniu, ale przed okaleczeniem. Według nich Lisa źle się poczuła i zdołała jeszcze wybrać numer. Jednak morderca odebrał jej telefon, zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, i przerwał połączenie. Wiedząc, że w domu wkrótce zjawi się policja, osoba ta chwyciła nóż, zaciągnęła półprzytomną Lisę do wanny i przecięła jej żyły. To by wyjaśniało, dlaczego miała pocięte nadgarstki, chociaż sama dawka anitrofiliny wystarczyłaby, żeby ją zabić.

Policja nie wie jednej rzeczy, przynajmniej dopóki nie przeszuka twardego dysku w komputerze Lisy, a mianowicie, że na godzinę przed swoją śmiercią próbowała się ze mną skontaktować. Ta myśl przelatuje mi przez głowę, kiedy pochylamy się we trójkę nad komórką Coopa, przełączoną na głośnik, żeby nic nam nie umknęło.

„Quincy, muszę z Tobą porozmawiać. To bardzo ważne. Błagam, nie zlekceważ tego”.

Jesteśmy w jadalni. Stoję u szczytu stołu, zbyt wściekła i rozżalona, żeby usiąść. Lisa nadal nie żyje – najnowsza rewelacja niczego w tej kwestii nie zmienia. Mimo wszystko na nowo ją oplakuję, a ból jest świeższy, bardziej wyrazisty.

Morderstwo to jednak co innego niż samobójstwo, chociaż rezultat jest w obu przypadkach taki sam. Nawet brzmią inaczej. „Samobójstwo” syczy jak wąż – świadczy



o chorobie umysłu i duszy. Dla odmiany „morderstwo” przywodzi mi na myśl szlam, ciemny i lepki. Łatwiej było mi się pogodzić z odejściem Lisy, dopóki uważałam jej śmierć za samobójstwo. To oznaczało, że podjęła świadomą decyzję, aby odebrać sobie życie. Dokonała wyboru – słusznego czy nie, ale jednak wyboru.

Morderstwo wyklucza jakikolwiek wybór.

Coop i Sam wydają się równie ogłuszeni tą wiadomością jak ja. Siedzą naprzeciwko siebie przy stole, milczący i nieruchomi. Ponieważ Coop nigdy dotąd nie odwiedzał mnie w mieszkaniu, jego obecność dodatkowo potęguje surrealizm sytuacji. Dziwnie jest widzieć, jak skrzepowany tkwi w cywilnym ubraniu na delikatnym krześle w mojej jadalni – zupełnie jakby był oszustem podającym się za prawdziwego Coopa i wdarł się gdzieś, gdzie nie powinno go być. Fałszywa, siłaca się na wesołość Sam została tymczasem w kawiarni, prawdziwa zaś obgryza paznokcie do krwi, wpatrzona w telefon Coopa, jakby widziała przemawiającą po drugiej stronie osobę, a nie wypełniającą ekran wyświetlacza ciemną sylwetkę pozbawioną jakichkolwiek cech charakterystycznych.

Głos, który słyszymy, należy do znajomej Coopa z policji stanowej w Indianie. Na imię ma Nancy i jako pierwsza przyjęła zgłoszenie, kiedy Stephen Leibman dokonał krwawej masakry w żeńskim akademiku. Dla Lisy była tym, kim Coop jest dla mnie.

– Nie będę was oszukiwać – mówi cichym głosem, w którym dźwięczą zmęczenie i smutek. – Nie mają zbyt wielu punktów zaczepienia.

Słyszę ją tylko częściowo, bo w głowie cały czas rozbrzmiewa mi treść tamtego e-maila, odczytywanego głosem Lisy.

„Quincy, muszę z Tobą porozmawiać”.

– Wszystko mogłoby się potoczyć inaczej, gdyby ci durnie przeszukali jej dom zaraz po odkryciu ciała, tak jak im kazałam. Niestety tego nie zrobili i Bóg jeden wie, ile osób się tam kręciło do czasu, gdy w końcu przeprowadzono odpowiednie badania. Miejsce zbrodni zostało całkowicie zanieczyszczone, Frank. Wszędzie są odciski palców.

„To bardzo ważne”.

– Czyli sprawca może nigdy nie zostać odnaleziony? – pyta Coop.

– Nigdy nie mów nigdy – odpowiada filozoficznie Nancy. – Póki co jednak marnie to wygląda.

Na krótką chwilę zapada milczenie i w tej ciszy cała nasza czwórka mierzy się z całkiem realną możliwością, że to, co wiemy na temat śmierci Lisy, będzie musiało nam wystarczyć. Nie poznamy odpowiedzi na kolejne pytania. Zabójca nie stanie przed sądem. Motyw zbrodni pozostanie nieznany. A ja nigdy nie odkryję, dlaczego Lisa wysłała mi wiadomość na krótko przed pierwszym łykiem wina, który miał ją kosztować życie.

„Błagam, nie zlekceważ tego”.

Do głowy wkrada mi się kolejna myśl, podstępna i niepokojąca.

– Czy Sam i ja powinniśmy się bać? – pytam.

Coop marszczy brwi, udając, że sam na to nie wpadł, co jest oczywistą nieprawdą.

– No więc? – cisnę.

– Nie wydaje mi się, abyście miały powody do niepokoju – odpowiada wreszcie. –

Jak sądzisz, Nancy?

Z głośnika komórki dobiega słaby głos.

– Nic nie wskazuje na to, aby zabójstwo Lisy miało jakikolwiek związek z tym, co was wszystkie spotkało.

– A jeśli jednak ma? – nie ustępuję.

– Quincy? – Coop jeszcze nigdy nie patrzył na mnie w taki sposób. W jego spojrzeniu surowość miesza się z rozczarowaniem na myśl, że mogę coś przed nim ukrywać. – O czym nie wiem?

O czymś, o czym powinnam była od razu go zawiadomić. Nie zrobiłam tego, bo wzięłam e-mail Lisy za desperacką próbę nawiązania kontaktu z kimś, kto postara się wyperswadować jej samobójstwo. Teraz wiem, że było inaczej. Przypuszczam, że Lisa rzeczywiście próbowała mnie ostrzec. Nie mam tylko pojęcia przed czym.

– Lisa przysłała mi e-mail – oznajmiam.

Sam nareszcie odrywa wzrok od telefonu i zamiera z ręką przy ustach, z zębami zaciśniętymi na paznokciu serdecznego palca.

– *Co?!*

– Kiedy? – chce wiedzieć Coop; w jego oczach płonie niepokój.

– W noc morderstwa. Mniej więcej na godzinę przed śmiercią.

– Powtórz dokładnie, co napisała – żąda Coop. – Słowo w słowo.

Niczego nie ukrywam. Powtarzam im treść wiadomości. Mówię, kiedy ją odebrałam i po jakim czasie przeczytałam. Usiłuję nawet tłumaczyć, dlaczego tak długo nie wspominałam o niej nikomu z wyjątkiem Jeffa, chociaż Coopa zdaje się to mało obchodzić. Najistotniejszy jest dla niego fakt, że o niczym nie wiedział.

– Powinnaś była mnie zawiadomić zaraz, jak tylko dostałaś ten e-mail, Quincy.

– Wiem – odpowiadam.

– To mogło wszystko zmienić.

– *Wiem, Coop.*

Policja miałaby powód, aby dokładniej przeszukać dom Lisy, a wówczas prędej wyszłoby na jaw, że została zamordowana. Niewykluczone, że śledczy odkryliby jakąś ważną poszlakę, która pomogłaby im wpaść na trop mordercy. Doskonale zdaję sobie z tego wszystkiego sprawę. Poczucie winy, jakie to we mnie budzi, szybko przeradza się we wściekłość. Na siebie samą. Na tego, kto zabił Lisę. Nawet na biedną Lisę, że postawiła mnie w takiej sytuacji. Gniew buzuje, zagłusza smutek i zaskoczenie.

– To jeszcze nie oznacza, że tobie albo Samancie coś grozi – zauważa Nancy.

– To w ogóle może niczego nie oznaczać – wtóruje jej Coop.

– Może też oznaczać, że ktoś wziął nas na cel – mówię.

– Kto mógłby chcieć was skrzywdzić? – pyta Coop.

– Całe mnóstwo ludzi – odpowiadam. – Wariatów nie brakuje. Widziałeś te wszystkie strony poświęcone morderstwom. Sam wiesz, ilu świrów ma obsesję na naszym punkcie.

– To dlatego, że was podziwiają – stwierdza Coop. – Są pod wrażeniem tego, przez co przeszłyście. I mimo wszystko zdołałyście przetrwać. Niewielu ludzi ma tyle szczęścia, Quincy. Wam się udało.

– Jak wobec tego wyjaśnisz tamten list?

Nie muszę dodawać nic więcej. Coop doskonale wie, o czym mówię: o anonimie

z pogrozkami. Naprawdę przerażającym. Wytrącił go z równowagi tak samo jak mnie.  
*NIE PÓWINNAŚ BYŁA PRZEŻYĆ.*

*PÓWINNAŚ BYŁA UMRZEĆ W TEJ CHACIE.*

*TWOIM PRZEZNACZENIEM BYŁO ZOSTAĆ ZŁOŻONĄ W OFIERZE.*

Autor, kimkolwiek był, posłużył się maszyną do pisania. Uderzał w klawisze z taką siłą, że odcisnięte na papierze litery przypominały wypalone na skórze znaki. Zamiast „O” użyto zera, co znaczy, że klawisz najprawdopodobniej był uszkodzony. Coop uznał to za cenną wskazówkę, dzięki której policja powinna z łatwością namierzyć nadawcę. Od tamtej pory minęły dwa lata, a ja przestałam wierzyć, że kiedykolwiek go znajdą – zwłaszcza że wszystkie inne możliwości zidentyfikowania autora anonimu zostały wyczerpane. Na kartce nie było żadnych odcisków palców, podobnie jak na kopercie, której nie zaklejono przy użyciu śliny, tylko zwilżonej wodą gąbki. To samo dotyczyło znaczka. Z kolei stempel pocztowy wskazywał, że list został wrzucony do skrzynki pocztowej w Illinois, w miejscowości o nazwie Quincy.

To nie mógł być zbieg okoliczności.

Kiedy go dostałam, Jeff i ja zaledwie od miesiąca mieszkaliśmy razem. Wtedy też po raz pierwszy miał przedsmak tego, jak może wyglądać życie ze mną pod jednym dachem. Oczywiście wpadłam w histerię i zażądałam natychmiastowej przeprowadzki, najlepiej za granicę. Jeff wybił mi to z głowy, mówiąc, że list faktycznie jest podły, ale to tylko niesmaczny żart i nic poza tym.

Coop potraktował całą sytuację znacznie poważniej, bo taki już jest, niczego nie lekceważy. W tamtym czasie nasze relacje sprowadzały się do SMS-a albo dwóch co kilka miesięcy, a od ostatniego spotkania twarzą w twarz minął ponad rok.

Anonim wszystko zmienił. Kiedy powiedziałam o nim Coopowi, natychmiast przyjechał do miasta, żeby mnie uspokoić. Spotkaliśmy się w tym samym miejscu, co zwykle, przy kawie i herbacie, on zaś przysiągł, że nie pozwoli, aby stała mi się jakakolwiek krzywda. Nalegał też na bardziej regularne spotkania, przynajmniej raz na pół roku. Ciąg dalszy jest już historią.

– Ten list napisał chory człowiek, Quincy. Obląkany – odpowiada Coop. – Od tamtej pory minęło sporo czasu i nic się nie stało.

– Właśnie – przytakuję. – Nic się nie stało psycholowi, który go wysłał. On wciąż gdzieś tam jest, Coop. Może groził też Lisie albo Sam. I w końcu postanowił wziąć sprawę w swoje ręce.

Spoglądam na Sam, która z minuty na minutę coraz bardziej przeobraża się w dawną Samanthę. Zaczęte za uszy włosy znów opadają na twarz ochronnym welonem.

– Czy ktoś groził ci śmiercią?

Sam ledwo dostrzegalnie kręci głową.

– Od dawna nie dostaję żadnej poczty. To jedna z zalet życia w ukryciu: nikt nie wie, gdzie cię szukać.

– Teraz niestety wszyscy już wiedzą – komentuję. – Pisali o tym na pierwszej stronie.

Gdy myślę o Jonah Thompsonie i o tym, co nam zrobił, ponownie ogarnia mnie fala gniewu. Dłonie same zaciskają się w pięści. Rozluźniam je i znów zaciskam, marząc, aby przyłożyć mu prosto w szczękę.

– Czy Lisa dostawała jakieś pogróżki? – Coop nachyla się nad telefonem, kierując pytanie do Nancy.

– Owszem, kilka razy – odpowiada policjantka. – Niektóre listy budziły większe zaniepokojenie niż inne. Wszystkie potraktowaliśmy z należytą powagą, udało nam się nawet namierzyć kilku kolesi, którzy je przysyłali. W większości okazywali się nawiedzonymi samotnikami. Z całą pewnością żaden nie był mordercą.

– Czyli nie uważa pani, że nam obu z Sam może coś grozić?

– Nie wiem, co ci powiedzieć, skarbie – stwierdza Nancy. – Nic nie wskazuje na to, abyśmy mieli do czynienia z seryjnym zabójcą. Lepiej jednak chuchać na zimne.

Nie to pragnęłam usłyszeć, co tylko potęguje moją złość. Potrzebuję konkretnej odpowiedzi, pozytywnej albo negatywnej. Czegoś, czego mogłabym się uchwycić i co pomogłoby mi zaplanować dalsze kroki. Bez tego czuję, jakbym błędziła we mgle, równie nieprzeniknionej jak ta spowijająca Central Park ostatniej nocy.

– Czy nikt poza mną się tym nie przejmuje? – chcę wiedzieć.

– Oczywiście, że się zajmujemy – mówi Coop. – Gdybyśmy znali odpowiedź, od razu byś ją poznała.

Odwracam się, nie będąc w stanie znieść spojrzenia jego błękitnych oczu. Coop z całych sił próbuje dodać mi otuchy, lecz w jego wzroku dostrzegam jedynie niepewność. Dotychczas zawsze był dla mnie opoką; silny i niezawodny, trwał przy mnie zawsze, gdy go potrzebowałam. Gdy cały świat walił się w gruzy, mogłam na nim polegać. W tej chwili nawet on nie potrafi ogarnąć tego chaosu.

– Jesteś wzburzona – zauważa.

– Owszem.

– To zrozumiałe. Nie powinnaś się jednak zamartwiać, że to, co spotkało Lisę, przydarzy się i tobie.

– Dlaczego nie?

– Bo gdyby takie zagrożenie istniało, Nancy by nas uprzedziła – odpowiada Coop. – Gdybym ja sam podejrzewał, że ktoś może cię skrzywdzić, już wyjeżdżalibyśmy z miasta. Zabrałbym cię tak daleko stąd, że nawet Jeff by cię nie odnalazł.

Wiem, że tak by zrobił. Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. Oto odpowiedź, której szukałam; przez moment wydaje mi się nawet, że zdoła ugasić płonąca we mnie wściekłość. Lecz chwilę później Coop spogląda nad stołem na Sam i hipnotyzuje ją swoim błękitnym spojrzeniem.

– Ciebie też, Sam – dodaje. – Chcę, abyś wiedziała, że możesz na mnie liczyć.

Sam kiwa głową. A potem zaczyna płakać. Może zresztą płakała już wcześniej, tyle że my z Coopem nie zwróciliśmy na to uwagi. Teraz jednak Sam robi wszystko, abyśmy tego nie przeoczyli. Kiedy odgarnia włosy z twarzy, nie sposób nie zauważyć łez ciekących po jej policzkach.

– Przepraszam – mówi. – Wszystko to fatalnie na mnie wpływa.

Zostaję na swoim miejscu i usiłuję ocenić, na ile te łzy są prawdziwe, zaraz jednak ogarniają mnie wyrzuty sumienia na myśl, że w ogóle mogłam w nie wątpić. Coop natomiast wstaje z krzesła, obchodzi stół i zbliża się do Sam.

– Nic w tym dziwnego, że jesteś zdenerwowana – pociesza ją. – To dla nikogo nie jest łatwa sytuacja.

Sam przytakuje i ociera oczy. Potem wstaje i wyciąga do niego ręce, szukając pocieszenia w jego objęciach.

Coop jej nie zawodzi. Patrząc, jak muskularnymi ramionami otacza ciało Sam i przyciąga ją do swojej piersi, zamykając w mocnym uścisku, którego odmawiał mi przez ostatnie dziesięć lat.

Odwracam wzrok, zrywam się z krzesła i maszeruję do kuchni. Tam łykam kolejny xanax i zaczynam piec.

Jestem w trakcie przygotowywania ciasta na pierogi z jabłkami, gdy do kuchni wchodzi Coop. Przynosi mi na blacie w równym rzędzie miski z niezbędnymi składnikami. Mąka i sól, proszek do pieczenia oraz tłuszcz, odrobina mleka do wymieszania z resztą. Coop opiera się o futrynę drzwi i w milczeniu obserwuje, jak łączę ze sobą najpierw suche składniki, dodaję do nich tłuszcz, a na koniec mleko. Wkrótce na blacie spoczywa spora kula ciasta, elastyczna i lśniąca. Zaciskam pięść i uderzam w nią mocno kilka razy, aż zacznie przypominać nierówny wzgórek.

– To pozwala je odpowietrzyć – wyjaśniam.

– Rozumiem – mruczy Coop.

Uderzam dalej, ciasto wciska mi się pomiędzy kciukiem. Przestaję dopiero, gdy poczuję pod nimi twardy blat. Wtedy wycieram ręce.

– Gdzie Sam?

– Chyba poszła się położyć – odpowiada Coop. – Wszystko w porządku?

Posyłam mu sztuczny uśmiech; moje wargi rozciągają się niby gumka, której lada moment grozi pęknięcie.

– W jak najlepszym.

– Nie wyglądasz, jakby było w porządku.

– Wierz mi, wszystko gra.

– Żałuję, że nie wiemy więcej na temat zabójcy Lisy. Domyślam się, że to musi być dla ciebie trudne.

– Jest trudne – przytakuję. – Ale nic mi nie będzie.

Szerokie ramiona Coopa opadają bezwładnie, jakbym również z nich spuściła powietrze. Nabieram garść mąki i posypuję nią blat. Potem rzucam na nią ciasto, wzbijając obłoczki białego pyłu. Chwytam wałek i rozwałkowuję je długimi, mocnymi pchnięciami. Za każdym razem czuję, jak napinają mi się mięśnie ramion.

– Możesz to odłożyć i ze mną porozmawiać, Quincy?

– Nie ma o czym – odpowiadam. – Miejmy nadzieję, że policja złapie jednak tego, kto zabił Lisę, i wszystko wróci do normy. Liczę, że do tego czasu zrobisz, co w twojej mocy, abym była bezpieczna.

– Taki mam plan.

Coop ujmuję mnie pod brodę, tak jak zwykł to robić mój ojciec. Najczęściej, kiedy piekliśmy razem, a mnie coś nie wychodziło: masa przelała się przez krawędź miski albo tak nieudolnie rozbiłam jajko, że w żółtku pływały okruchy skorupki. Zawsze wtedy się denerwowałam, ojciec zaś ujmował mój podbródek między kciuk a palec wskazujący, unosił moją twarz i przyglądał mi się badawczo. I chociaż teraz pochyła się nade mną Coop, uczucie, jakie mnie ogarnia, jest dokładnie takie samo.

– Dziękuję ci – mówię. – Bardzo ci dziękuję. Wiem, że potrafię być nieznośna. Szczególnie w taki dzień jak dziś.

Coop chce coś powiedzieć. Słyszę, jak jego język odrywa się od zębów z cichym kłębieniem, kiedy otwiera usta i zaczyna formułować słowa. Jednocześnie otwierają się

drzwi wejściowe i całe mieszkanie wypełnia głos Jeffa.

– Quinn? Gdzie jesteś?

– W kuchni.

Chociaż Jeff jest wyraźnie zaskoczony widokiem Coopa, umiejętnie to ukrywa. Zauważam jedynie lekkie drgnięcie twarzy. Trwa to raptem ułamek sekundy, zanim Jeff zda sobie sprawę, że Coop jest tutaj z tego samego powodu, z którego on wziął wolne i zjawił się w domu wczesnym popołudniem z kartonem wina oraz dwoma daniami na wynos z mojej ulubionej tajskiej knajpki.

– Wyszedłem z pracy, jak tylko się dowiedziałem – wyjaśnia, odstawiając torby z jedzeniem do lodówki. – Próbowałem dzwonić na komórkę, ale włączała się poczta głosowa.

To dlatego, że od powrotu do domu mam wyłączony telefon. Przez ten czas musiało się naziłbiać tyle nieodebranych połączeń, wiadomości oraz e-maili, że nigdy nie zdołałem się przez nie przedrzeć.

Uwolnwszy się od pakunków, Jeff przyciąga mnie do siebie.

– Trzymasz się jakoś?

– Nic jej nie jest – wtrąca sucho Coop.

Jeff kiwa mu głową – pierwsze jak dotąd oficjalne potwierdzenie, że zauważył jego obecność w kuchni – po czym zwraca się do mnie:

– Na pewno wszystko gra?

– Jasne, że nie – mówię. – Jestem wstrząśnięta, smutna i wściekła.

– Biedna Lisa. Wiedzą już, kto to zrobił, prawda?

Zaprzeczam.

– Wiadomo tylko, jak zginęła. Ale nie kto ani dlaczego ją zabił.

Nie wypuszczając mnie z objęć, Jeff odwraca się w stronę Coopa. Moja oparta na jego piersi głowa chcąc nie chcąc obraca się razem z nim.

– Cieszę się, że byłeś tu dzisiaj z nimi, Franklin. Dla Quinn i Sam to na pewno wiele znaczyło.

– Szkoda, że nie mogę im bardziej pomóc – odpowiada Coop.

– Zrobiłeś już i tak bardzo wiele – zapewnia go Jeff. – Quinn ma szczęście, że jesteś przy niej.

– I ty. – Wtulam się w niego. – Mam szczęście, że ty jesteś przy mnie.

Przyciskam głowę do jego piersi, czując na policzku dotyk gładkiego krawata. Jeff bierze to za oznakę zdenerwowania – pewnie ma rację – i mocniej mnie przytula. Pozwalam mu się ukołysać. Opieram czoło o jego mostek i ciało Jeffa przesłania mi widok Coopa, który wpatruje się we mnie z drugiego końca kuchni.

Później oglądamy z Jeffem w łóżku kolejny film noir, *Zostaw ją niebiosom* z Gene Tierney w roli szalonej młodej morderczynie. Pięknej i psychicznie poranionej. Kiedy film dobiega końca, oglądamy wieczorne wydanie wiadomości, dopóki nie pojawi się materiał o prowadzonej przez Jeffa sprawie. Związek zawodowy policjantów zorganizował konferencję prasową z udziałem wdowy po zastrzelonym funkcjonariuszu, podczas której żądano surowszych kar dla skazanych za przestępstwa popełnione na policjantach. Zanim Jeff zdąży złapać pilota i wyłączyć telewizor, na ekranie miga mi jeszcze twarz wdowy:

blada, poznaczona głębokimi brzdami i poszarzała od smutku.

- Chciałam to obejrzeć – odzywam się.
- Myślałem, że wolisz odpocząć od złych wiadomości.
- Nic mi nie jest – zapewniam.
- Akurat. Tak jak Sam nic nie jest. Albo Coopowi.

Coop wyszedł kilka minut po powrocie Jeffa, mamrocząc coś o czekającej go długiej podróży do Pensylwanii. Wyraźnie przybita Sam przez większość kolacji po prostu milczała. Natomiast ja wciąż byłam wściekła, pomimo xanaxu, pieczenia i prawie pół kartonu wypitego wina. Po kilku godzinach nadal mi nie przeszło. Przepelnia mnie irracjonalna, wszechogarniająca złość.

Wściekam się na wszystko i na nic. Wściekam się na życie.

- Wiem, że jest ci ciężko.
- Nie masz pojęcia, jak się czuję! – burczę.

Przemawia przeze mnie coś więcej niż gniew. Taka jest bezlitosna prawda. Jeff nie może wiedzieć, jak to jest, kiedy traci się jedną z dwóch osób, które są takie same jak ty. Nie zdaje sobie sprawy, jaką rozpacz, przerażenie i dezorientację to we mnie budzi.

– Przepraszam – szepcze. – Masz rację. Nie potrafię sobie tego wyobrazić. Nigdy tego nie pojmę. Ale rozumiem, że możesz być wściekła.

– Wcale nie jestem wściekła – kłamię.

– Jesteś. – Jeff milknie, a ja się spinam, wiedząc, że zaraz powie coś, czego nie chcę usłyszeć. – A skoro już się złościysz, mogę ci równie dobrze powiedzieć, że znowu czeka mnie wyjazd do Chicago.

– Kiedy?

– W sobotę.

– Przecież dopiero co wróciłeś.

– Wiem, że to fatalny moment – przyznaje Jeff. – Ale pojawiła się nowa osoba gotowa wystawić pozytywną opinię mojemu klientowi.

Spoglądam na czarny ekran telewizora, wciąż mając przed oczami twarz wdowy po zabitym gliniarzu.

– Och – mówię.

– To jego kuzyn – ciągnie Jeff, chociaż nie mam najmniejszej ochoty słuchać o morale jego klienta. – Pastor. Razem dorastali, razem zostali ochrzczeni. Jego zeznania mogłyby bardzo pomóc w prowadzeniu obrony.

Przewracam się na bok, twarzą do ściany.

– Koleś zabił policjanta.

– Rzekomo – prostuje Jeff.

Myślę o Coopie. A gdyby to on zginął z ręki tego faceta? Albo gdyby klient Jeffa zamordował Lisę? Czy wtedy też musiałabym udawać radość na wieść, że parę ciepłych słów z ust kuzyna-pastora ma szansę wpłynąć na złagodzenie wyroku? Nie, nie musiałabym. Mimo to Jeff zdaje się dokładnie tego oczekiwać.

– Masz świadomość, że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa twój klient jest winny, prawda? – upewniam się. – Że zastrzelił policjanta, tak jak mu się to zarzuca?

– Nie mnie o tym rozstrzygać.



– Nie?

– Oczywiście, że nie – odpowiada równie cierpkim tonem Jeff. – Nieważne, o co jest oskarżony. Tak samo jak inni zasługuje na dobrego obrońcę.

– Pytam, czy twoim zdaniem to zrobił.

Unoszę się na łokciu i przez ramię spoglądam na Jeffa, który leży nieruchomo na wznak z rękami pod głową i wzrokiem wbitym w sufit. Mruga oczami, tylko raz, ale ja z tego krótkiego trzepotu powiek wyczytuję całą prawdę. Jeff wie, że jego klient jest winny.

– Nie jestem droгим adwokatem specjalizującym się w sprawach karnych – broni się, jakby to mogło cokolwiek zmienić. – Nie bogacę się na obronie zatwardziałych przestępców. Stoję na straży podstaw amerykańskiego wymiaru sprawiedliwości, w którym każdy ma prawo do uczciwego procesu.

– A gdyby przydzielono ci obronę jakiegoś potwora? – pytam, kładąc się znów na boku. Nie mogę na niego patrzeć.

– Nie miałbym wyboru.

Owszem, miałby. Gdyby jego klientem był nożownik Stephen Leibman albo Calvin Whitmer, Człowiek-Worek, mógłby zdecydować, że odmawia, bo ludzie tego pokroju nie zasługują na obronę.

Mimo to w głębi duszy wiem, że nie podjąłby takiej decyzji. Stanąłby po ich stronie i zgodziłby się ich bronić. Pomagałby im. Nawet Jemu.

– Zawsze jest jakiś wybór – mówię.

Jeff nie reaguje. Po prostu gapi się w sufit, dopóki nie zaczną mu ciążyć powieki. Wtedy zamyka oczy i kilka minut później zasypia.

Ja nie mogę nawet marzyć o śnie. Zbyt wielki czuję gniew. Przewracam się niespokojnie z boku na bok, szukając najwygodniejszej pozycji. Jeśli miałabym być całkiem szczerą, jakaś częśćka mnie robi to w nadziei, że Jeff się obudzi i również nie będzie mógł zmrużyć oka. Jednak zegar wskazuje najpierw jedenastą, potem północ, wreszcie pierwszą w nocy, a on nadal twardo śpi.

Kwadrans po pierwszej wyślizguję się spod kołdry, narzucam pośpiesznie jakieś brudne ciuchy i na palcach wychodzę z sypialni. Spod drzwi pokoju Sam wciąż sączy się światło, więc śmiało pukam.

– Wejdz, Quinn – słyszę.

Sam siedzi ze skrzyżowanymi nogami na łóżku i czyta Asimowa, zagiąwszy do tyłu okładkę. Przebrała się i znów ma na sobie wczorajsze ubranie: czarne džinsy oraz koszulkę Sex Pistols. Nowym elementem stroju jest skórzana kurtka. Podnosi głowę i spogląda na mnie, a ja mam wrażenie, że wyczuwa moją wściekłość. W każdym razie z całą pewnością wie, po co przyszłam.

Bez słowa schodzi z łóżka i przez chwilę gmera w plecaku, by ku memu zdumieniu wyjąć z niego damską torebkę – szkaradzieństwo z imitacji skóry z krótkimi uchwytnymi, którą można nosić wyłącznie na przedramieniu. Potem wydobywa z plecaka stertę książek w kieszonkowych wydaniach, które upycha w torebce.

– Łap – mówi, rzucając mi ją niczym piłkę.

Chwytam ją, zaskoczona jej ciężarem.

– Co to ma być?

– Przynęta.

Nic nie mówię, po prostu wychodzę za Sam z pokoju, ściskając w spoconej dłoni rączki torebki. Po cichu wymykamy się na ulicę i zanurzamy w ciemnościach.

Noc jest wyjątkowo ciepła jak na tę porę roku: miasto oddaje nagromadzone w ciągu dnia ciepło, przytłacza duchotą. Kiedy docieramy do parku, jestem cała mokra. Twarz mam lepka i błyszcząca od potu.

W parku jest tak gorąco, że większość napotykanych przez nas mężczyzn zrezygnowała z tradycyjnych bluz z kapturem i buszuje po ścieżkach w przylegających ciasno do ciała podkoszulkach.

Z kilkoma wymieniamy skinienia głowy, jakbyśmy byli jednymi z nich i przemierzały mrok w poszukiwaniu świeżego mięsa.

W pewnym sensie tak jest.

Tym razem park nie tonie we mgle. Nocne powietrze jest niemal oślepiająco przejrzyste. Żdźbła trawy jaśnieją bielą w księżycowej poświacie, lśniąc niczym wyszczerzone zęby. Liście na gałęziach drzew przypominają dopiero co powieszonych wisielców.

Wybieramy ławkę nieopodal tamtej, na której siedzieliśmy poprzedniej nocy. Widzę ją po drugiej stronie ścieżki, wydobyta z ciemności przez padający z ulicznej latarni stożek światła, i wyobrażam sobie siebie samą sprzed dwudziestu czterech godzin, gdy cała w nerwach nie mogłam się już doczekać powrotu do domu. Teraz lustruję wzrokiem tonące w mroku zakątki parku, gdzie każdy cień zdaje się zwiastować niewypowiedziane zagrożenie. Jestem na nie gotowa. Wychodzę mu naprzeciw.

– Widzisz coś? – pytam.

– Nie – odpowiada Sam.

Wyjmuje z kieszeni paczkę papierosów i wytrząsa jednego.

Wyciągam rękę.

– Dla mnie też.

– Żartujesz?

– Kiedyś paliłam – odpowiadam, chociaż po prawdzie zdarzyło mi się to jeden jedyny raz i tylko dlatego, że Janelle mnie podpuściła. Ledwo się zaciągnęłam, zaniósłam się takim kaszlem, że musiała odebrać mi papierosa w obawie, bym sobie nie zaszkodziła. Dziś idzie mi znacznie lepiej: zanim dopada mnie kaszel, udaje mi się wypuścić dwa dymki.

– Amatorka – mruczy Sam. Zaciąga się przy tym głęboko i wypuszcza z ust kółeczka dymu.

– Nie popisuj się.

Trzymam papierosa w palcach, podczas gdy ona wypala swojego, nie przestając baczenie się rozglądać. Żadna z nas nie odrywa oczu od mrocznych trzewi parku.

– Jak się czujesz? – pyta nagle Sam. – W związku z Lisą?

– Jestem wściekła.

– To dobrze.

– To takie straszne, co ją spotkało. Chyba już łatwiej było...

Nie potrafię dokończyć tej myśli. Przyznać, że łatwiej było mi pogodzić się ze

śmiercią Lisy, kiedy wierzyłam, że popełniła samobójstwo? Nie jest to coś, co gładko przechodzi przez gardło, nawet jeśli to prawda.

– Naprawdę sądzisz, że ktoś spróbuje nas dorwać? – chce wiedzieć Sam.

– Niewykluczone – odpowiadam. – W pewnym sensie jesteśmy teraz sławne.

A raczej niesławne. Znane z tego, że wyszłyśmy cało z koszmaru, który trudno sobie wyobrazić. Niektórzy – jak ten świr, który wybrał się aż do Quincy w Illinois, żeby wrzucić do skrzynki list z pogroźkami – widzą w tym swoiste wyzwanie: dokończyć to, czego nie dokończyli inni.

Sam wysysa ze swojego papierosa resztki dymu i wypuszcza go z płuc, mówiąc jednocześnie:

– Kiedy zamierzałaś mi powiedzieć o e-mailu od Lisy?

– Nie wiem – przyznaję. – Chciałam to zrobić.

– To dlaczego nie zrobiłaś?

– Bo nie wiedziałam, co właściwie znaczy ta wiadomość.

– Że coś nam grozi – odpowiada Sam.

A mimo to o tak niehumanitarnej porze przygnało nas do Central Parku, jakbyśmy same prosiły się o kłopoty. Czy wręcz na nie liczyły. W czystym powietrzu nic jednak nie widać, z wyjątkiem naszych cieni na ścieżce, drżących w świetle ulicznej latarni, oraz dwóch rozżarzonych punkcików dogasających papierosów.

– Co będzie, jeśli nikt się nie zjawi? – pytam.

Sam ruchem głowy wskazuje dyndającą na moim przedramieniu torebkę.

– Po to ją wzięłyśmy.

– Kiedy ją wykorzystamy?

Sam unosi w górę wyrysowaną kredką brew i sili się na uśmiech.

– Możemy zaraz, jeśli masz ochotę.

Szybko układamy plan. Ponieważ jestem drobniejsza, a co za tym idzie stanowię łatwiejszy cel, pójdę przez park sama, wymachując na wabia torebką. Sam podąży za mną w bezpiecznej odległości, trzymając się z dala od ścieżki, dzięki czemu mniej będzie się rzucać w oczy. Jeżeli ktoś mnie zaatakuje, będziemy gotowe odpowiedzieć tym samym.

Plan jest solidny i tylko odrobinę szalony.

– Jestem gotowa – mówię.

Sam wyciąga rękę w kierunku ginącej wśród drzew ścieżki.

– Pokaż im, tygrysico.

Z początku idę za szybko. Torebka dynda mi na przedramieniu, gdy pędzę ścieżką nerwowym truchtem, który dałby do myślenia nawet najbardziej doświadczonym rabusiom. Poruszam się z taką prędkością, że Sam z trudem dotrzymuje mi kroku. Oglądając się przez ramię, widzę ją w oddali, jak omija drzewa i brnie z pośpiechem przez trawę.

Zwalniam więc i powtarzam sobie w duchu, że moim celem jest wyglądać na łatwą zdobycz. Nie chcę też, aby Sam była zbyt daleko, aby przyjść mi z pomocą, gdyby zaszła taka potrzeba. Ostatecznie równym, spacerowym tempem ruszam na południe ścieżką biegnącą wzdłuż brzegów jeziora. Nadal nikogo nie widać. Jedyne dźwięki, jakie słyszę, to sporadyczny warkot silnika samochodowego na Central Park West i chrzęst moich

własnych kroków. Z lewej strony srebrzy się jezioro; jego gładka powierzchnia odbija migotliwe światła budynków na Upper West Side.

Sam została w tyle; skrada się gdzieś za mną przez mrok, ale nigdzie jej nie widzę. Jestem teraz sama, co nie przeraża mnie tak bardzo, jak powinno. Nie pierwszy raz zostałam sama w gąszczu. A i sytuacja nie jest tak groźna jak wtedy.

Zrobienie pętli i powrót do punktu wyjścia zajmuje mi kwadrans. Stoję w miejscu, skąd wyruszyłam, czując oblepiający moje ciało pot. Pod pachami mam dwie mokre plamy. To najrozsądniejszy moment, aby odszukać Sam i wrócić do mieszkania, do łóżka, do Jeffa.

Ale po ostatnim dniu cały mój rozsądek gdzieś się ulotnił. Tępy ból ściska żołądek na podobieństwo wilczego głodu. Jeden spacer po parku nie wystarczy, żeby się go pozbyć. Zaczynam więc drugie okrążenie i znowu wędruję brzegiem jeziora. Tym razem od powierzchni wody odbija się znacznie mniej światła. Miasto wokół mnie powoli układa się do snu, jedno po drugim gasną kolejne okna. Kiedy docieram do łukowatego mostku na południowym krańcu jeziora, otaczająca mnie ciemność wyraźnie gęstnieje. Noc zagarnęła mnie w swoje ramiona, zamknęła w uścisku cieni.

Wraz z mrokiem nadciąga coś jeszcze. Sylwetka mężczyzny. Sunie przez park ścieżką położoną jakieś pięćdziesiąt metrów na prawo ode mnie. Od razu widzę, że nie należy do stałych bywalców szukających chętnego na szybki numer. Jego krok jest inny, emanuje z niego mniejsza pewność siebie. Głowę ma opuszczoną, ręce schowane w kieszeniach czarnej kurtki. Raczej przechadza się, niż idzie, próbując ze wszystkich sił nie rzucać się w oczy i wyglądać niegroźnie.

Jednocześnie nie spuszcza ze mnie wzroku. Widzę, że daszek jego czapki z logo Jankesów raz za razem kieruje się w moją stronę.

Zwalniam i zaczynam się poruszać krótszymi krokami. Zależy mi, aby znalazł się przede mną, gdy nasze ścieżki się przetną. Od tego miejsca dzieli mnie z grubsza dwadzieścia metrów. Mam ochotę obejrzeć się i sprawdzić, czy Sam jest gdzieś w zasięgu wzroku, ale nie mogę. W ten sposób mogłabym go spłoszyć. Nie chcę niepotrzebnie ryzykować.

Mężczyzna pogwizduje. Nieokreślona melodia rozbrzmiewa w cichym parku wysokim, przenikliwym trelem. Mam wrażenie, że – celowo lub nie – nieznajomy próbuje mnie uspokoić. Uśpić moją czujność.

Przed sobą widzę miejsce, gdzie krzyżują się obie ścieżki. Przystaję i teatralnie przetrząsam zawartość torebki. Staram się, aby ją zauważył. Nie sposób jej przeoczyć, jest po prostu za duża. Mimo to mężczyzna udaje, że niczego nie widzi, i dalej sunie tym swoim sztucznie spowolnionym krokiem, aż znajdzie się na tej samej ścieżce co ja, kilka metrów z przodu. Nie przestaje przy tym gwizdać i stara się mnie nie dostrzegać. Niczym szczerolak z Hamelin wabi mnie, abym za nim poszła.

Ruszam więc z miejsca. Robię krok, drugi, trzeci.

Gwizdanie cichnie, a mężczyzna staje.

Odwraca się twarzą do mnie. Nerwowo strzela oczami na boki. Źrenice ma ciemne i rozlane – typowy narkoman na głodzie. Nie wydaje się jednak groźny: zapadnięte policzki, chudy jak kij od szczotki. Mniej więcej mojego wzrostu, może nawet niższy.

Kurtka dodaje mu nieco masy, ale to tylko pozory. Koleś mógłby startować w wadze piórkowej.

Pot perlący się na wysokim czole i wklęsłych policzkach dodatkowo uwydatnia ostrość rysów jego twarzy. Napięta skóra przypomina pokrycie bębna, całe ciało wibruje z głodu i desperacji.

Kiedy się odzywa, z jego ust wydobywa się niewyraźny bełkot:

– Nie chcę żadnych kłopotów, jasne? Ale potrzebuję forsy. Na jedzenie, rozumiesz?

Milczę. Gram na zwłokę. Daję Sam czas, aby mogła się bliżej podkraść. O ile nadal tam jest.

– Słyszysz, co mówię, mała?

Nadal nie reaguję. Zostawiam mu inicjatywę. Może odejść i może zostać. Jeżeli zostanie i zacznie się awanturować, Sam z pewnością zaatakuje.

Oby.

– Jestem naprawdę głodny – mówi on, zerkając na moją torebkę. – Masz tam coś do jedzenia? Parę dolców, które możesz mi dać?

Oglądam się w końcu za siebie, szukając wzrokiem cienia nadciągającej Sam. Ale nigdzie jej nie ma.

Nikogo nie ma.

Zostaliśmy tylko ja, on i torebka, której zawartość naprawdę go wkurzy, kiedy przekona się, że to same książki. Powinam się bać. Przez cały czas powinienam odczuwać lęk. Tymczasem czuję coś zgoła przeciwnego.

Promienieję.

– Nie – odpowiadam. – Nie mam.

Wpatruję się w niego, wyczulona na każdy ruch, czekając, aby napiął mięśnie ręki albo zacisnął pięść. Czekam na znak świadczący, że zechce mnie skrzywdzić.

– Na pewno nic tam nie ma? – pyta.

– Grozisz mi?

Koleś podnosi ręce i cofa się o krok.

– Spokojnie, mała. Nie mam złych zamiarów.

– Nagabujesz mnie – mówię. – To już samo w sobie jest złe.

Odwracam się, żeby odejść. Torebka zwisa luźno w mojej dłoni. Mężczyzna pozwala mi się oddalić. Jest zbyt rozdygotany, żeby wdawać się w szarpaninę. Jedyne, na co go stać, to rzucona przez zęby obelga.

– Cholerna suka.

– Coś ty powiedział?

Obracam się na pięcie i ruszam w jego stronę. Jestem tak blisko, że czuję jego oddech: cuchnie tanim winem, starym dymem papierosowym i zepsutymi zębami.

– Myślisz, że taki z ciebie twardziel? – naciskam. – Pewnie sądziłeś, że na twój widok struchleję i dam ci wszystko, czego zażadasz.

Popycham go z całej siły. Koleś chwieje się na piętach i zatacza do tyłu. Żeby złapać równowagę zaczyna wymachiwać rękami. Jedna z nich muska moją twarz, tak lekko, że niemal tego nie czuję.

– Uderzyłeś mnie, kurwa!

Twarz mężczyzny wyraża kompletną dezorientację.

– Nie chciałem...

Przerywam mu i znów go popycham. I jeszcze raz. Kiedy on broni się, krzyżując ręce na piersi, rzucam torebkę na ziemię i zaczynam go okładać pięściami, celując w przedramiona i barki.

– Weź przestań!

Uchyła się przed moimi ciosami i osuwa na kolana. Coś wylatuje mu z kieszeni kurtki i ze stukotem upada na ścieżkę. Złożony scyzoryk. Na ten widok staje mi serce.

Koleś sięga po nóż. Rzucam się na niego i biodrem uderzam go w bark. Jego ręka trafia w próżnię. Kiedy wstaje, znów zaczynam go okładać, młóć pięściami po jego klatce piersiowej, ramionach, podbródku.

On w końcu na mnie naciera. Opycham go i nie przestając wymachiwać rękami, kopię go w golenie.

– Przestań! – skamle. – Przecież nic ci nie zrobiłem!

Łapie mnie za włosy i mocno szarpie. Ból sprawia, że nieruchomieję. Wbrew swojej woli zamykam oczy, zaciskam powieki. Ogarnia mnie ciemność, w której nagle coś błyska. Właściwie nie jest to ból, tylko wspomnienie bólu. Podobny, lecz inny od tego, jaki czuję, gdy mężczyzna ciągnie mnie w tył.

Wybucha pod moimi powiekami niczym fajerwerki, pali i oślepia. Jestem na dworze. Nieopodal rosną drzewa. Z boku majaczy zarys Pine Cottage. Ktoś inny chwytając mnie za włosy i ciągnie, podczas gdy wokół słychać krzyki.

Zaciskam palce na kołnierzu napastnika i pociągam za sobą w dół. Z impetem uderzamy o ziemię. Łąduję na wznak, on mnie przygniata. Oboje dyszymy jak sprinterzy po biegu. Kiedy jego ręka znów się wyciąga, aby mnie złapać za włosy, tylko na to czekam. Robię unik i przetaczam głowę w bok, po czym gwałtownie wyrzucam ją do góry. Uderzam czołem w nos narkomana, miażdżąc mu chrząstkę.

Mężczyzna wydaje okrzyk i stacza się ze mnie. Ręką trzyma krwawiący nos. Klęka. Palce ma całe czerwone.

Autentyczny ból i ten wyimaginowany przeszywają mnie na wylot niczym iskry budzące do życia rozładowany akumulator. Mięśnie się napinają. Pęka cienka skorupka broniąca dostępu do wspomnień. Sypią się okruchy, a spod nich wyzierają migawki przeszłości.

Widzę Jego.

Tak samo kuczał na podłodze Pine Cottage.

W ręku trzymał zakrwawiony nóż.

Choć jestem mgliście świadoma, że tamto zdarzyło się w innym miejscu i czasie, widzę wyłącznie Jego. Rzucam się naprzód, przewracam Go i uderzam pięścią w twarz. Raz. Drugi. Trzeci.

Furia bierze górę. Wypełnia mnie niczym czarny szlam, sączy się porami skóry, zalewa mi oczy. Niczego już nie widzę. Nie dociera do mnie żaden dźwięk. Ani zapach. Zachowuję jedynie zmysł dotyku i czuję ból, gdy moje pięści masakrują Jego twarz. Gdy ból staje się nie do zniesienia, zrywam się na nogi i kopię Go w czaszkę.

Raz.

Drugi.

Każdemu kopniakowi towarzyszy imię, wydobywające się z ust wbrew mojej woli. Wypluwam je jak truciznę i bluzgam nią na Niego. Niech Go całego pokryje.

– Janelle. Craig. Amy. Rodney. Betz.

– Quincy!

Głos nie należy do mnie, tylko do Sam. Wyrasta obok jak spod ziemi, zaciska wokół mnie ramiona, próbuje odciągnąć na bok.

– Dostyc – mówi. – Dostyc, na miłość boską!

Przez chwilę walczę z nią, miotam się i warczę jak wściekły pies na uwięzi. Przystaję dopiero na widok krwi. Sam ma ją na ręce – rozmazaną, ciemną, śliską. Widząc ją, zakładam, że coś jej zrobiłam. Ta myśl wystarczy, aby w końcu opuścił mnie gniew.

– Sam – jęczę. – Ty krwawisz.

Mylę się. Dociera to do mnie, gdy tylko rzucam okiem na własne ręce. Ociekają krwią. Tą samą krwią, która pobrudziła Sam. Tą samą, która ścieka mi z ramion, plami ubranie, pokrywa twarz oraz szyję ciepłymi kroplami.

Część z niej należy do mnie.

Większość nie.

– Sam? Co się stało? Gdzie byłaś?

Zamiast odpowiedzieć, Sam wypuszcza mnie z uścisku; wie, że nigdzie się bez niej nie ruszę. W ułamku sekundy dopada mężczyzny na trawie. Ten leży na boku z jedną ręką podwiniętą, a drugą wyrzuconą daleko za siebie.

Nie mogę znieść jego widoku, ale to silniejsze ode mnie: zerkam na jego twarz. Czy raczej na to, co z niej zostało. Spuchnięte powieki są zamknięte. Ze złamanego nosa sączy się krew ciemniejsza niż gdzie indziej. Mężczyzna ani drgnie. Sam przyciska dwa palce do plamy krwi na jego szyi, szukając tętna. Jej twarz kurczy się ze strachu.

– Sam? – odzywam się, czując na przemian strach, szok i zawroty głowy. – On żyje, prawda?

Wzrok mi się zaćmiewa i tracę sprzed oczu Sam wraz z potencjalnie martwym mężczyzną.

– *Prawda?*

Sam nie odpowiada. W milczeniu przeciera rękawem kurtki miejsce na szyi mężczyzny, którego dotknęła, usuwając odciski palców. Milczy, kiedy podnosi z trawy nóż i chowa do kieszeni. A także, gdy unikając mojego wzroku, odciąga mnie stamtąd jęczącą:

– Co ja zrobiłam, Sam? *Co ja zrobiłam?!*



Poruszamy się szybko, jak para zbiegów umykających pod osłoną nocy. Sam narzuciła mi na ramiona swoją kurtkę, na łędźwiach czuję jej dłoń popychającą mnie naprzód. Idę, bo muszę, bo Sam nie pozwala mi się zatrzymać, chociaż najchętniej rzuciłabym się na ziemię i już tam została.

Oddychanie staje się żmudnym obowiązkiem. Każdemu wdechowi towarzyszy nerwowe wzdrygnięcie, każdemu wydechowi – łkanie. Moja klatka piersiowa rozszerza się gwałtownie z braku tlenu, płuca desperacko rozpychają żebra.

– Zatrzymaj się – dyszę. – Proszę. Pozwól mi stanąć.

Sam tylko mocniej mnie popycha, przynaglając do dalszego marszu. Mijamy drzewa, posągi i zalegających na ławkach bezdomnych. Ilekroć kogoś napotykamy – rowerzystę, trzech pijanych kumpli spacerujących pod rękę – przyciąga mnie do siebie, zasłaniając moje zalane krwią ubranie przed wzrokiem innych.

Przystajemy dopiero obok malowniczego płytkiego jeziora, na którym za dnia dzieci puszczają żagłówki. Sam prowadzi mnie na sam brzeg, gdzie przyklękam i zanurzam ręce w wodzie, ona zaś obmywa mnie na tyle, na ile to możliwe, ochlapując moje ramiona, szyję i twarz. Po drugiej stronie jeziora jakiś bezdomny robi to samo. Kiedy przerywa kąpiel i zaczyna się nam przyglądać, Sam wrzeszczy na niego:

– Na co się, kurwa, gapisz?!

Jej głos niesie się po wodzie.

Mężczyzna cofa się, chwytając swoje torby i znika w ciemności.

Sam nabiera wody w zgiętą dłoń i polewa nią moje czoło.

– Posłuchaj – mówi. – On chyba jeszcze żyje.

Chcę jej wierzyć, ale nie potrafię sobie na to pozwolić.

– Nie – mamrocę. – Zabiłam go.

– Wyczułam puls.

– Jesteś pewna?

– Tak – potwierdza Sam. – Jestem pewna.

Zalewa mnie fala ulgi, bardziej oczyszczającej niż woda, którą Sam wciąż ochlapuje moją zakrwawioną skórę. Łatwiej mi też oddychać. Krtań się rozluźnia i z gardła ponownie wydobywa się łkanie, ale tym razem pełne wdzięczności.

– Musimy wezwać pomoc – mówię.

Sam znowu zanurza moje ręce w wodzie i pociera między swoimi, usuwając dowody mojego grzechu.

– Nie możemy, Quinn.

– Ale on musi trafić do szpitala!

Usiłuję wyrwać ręce, lecz Sam przytrzymuje je pod wodą.

– Wezwanie karetki sprowadzi nam na głowę policję.

– I co z tego? – wybucham. – Powiem, że działałam w samoobronie.

– A tak było?

– On miał nóż.

– Zamierzał go użyć?

To pytanie, na które nie potrafię odpowiedzieć. Niewykluczone, że ostatecznie by go użył. A może po prostu by sobie poszedł. Nigdy się tego nie dowiem.

– Miał go i już – upieram się, nie wiedząc, kogo właściwie próbuję przekonać, Sam czy siebie. – W takiej sytuacji policja nie mogłaby mnie oskarżyć.

Sam wyjmuję wreszcie moje ręce z wody i obraca je, żeby sprawdzić, czy na pewno są czyste. Krew zniknęła; moje dłonie są kredowobiałe i lśnią od wilgoci.

– Mogłaby, gdyby się wydało, po co tu przyszliśmy – podkreśla. – I że usiłowałyśmy sprowokować napad. A zwłaszcza, gdyby wyszło na jaw, że spokojnie mogłaś się wycofać.

Nie wiedziałaby tego, gdyby nie była na miejscu. Przez cały czas obserwowała mnie z ukrycia. Była świadkiem, że koleśowi wypadł z kieszeni scyzoryk. Na ułamek sekundy ten fakt przesłania mi wszystko inne.

– Widziałaś mnie?

– Tak.

– Byłaś *tam*?!

Znowu odbiera mi dech. Ciało dygocze, gdy z trudem chwytam ustami powietrze, płuca płoną żywym ogniem. Nagły brak tlenu sprawia, że ogarnia mnie dziwne zamroczenie. A może to skutek przeżytego wstrząsu. Tak czy inaczej, muszę się zaprzeć rękami o brzeg jeziora, żeby nie wpaść do wody. Kiedy się odzywam, z moich ust padają urywane, poszarpane słowa:

– Dlaczego... mi... nie... pomogłaś?

– Nie potrzebowałaś pomocy.

– On miał *nóż* – powtarzam, czując w przetyku rosnącą kulę gniewu. Zupełnie jakby wypity wcześniej burbon podchodził mi do gardła. – Po prostu sterczałaś i się na nas gapiłaś? Kurwa mać!

– Chciałam zobaczyć, co zrobisz.

– Prawie zabiłam człowieka! Zadowolona? Na to liczyłaś? Dlaczego nie próbowałaś mnie powstrzymać?

– Powinnaś sobie raczej zadać pytanie, dlaczego sama siebie nie powstrzymałaś.

Udaje mi się wstać. Strząsam wodę z rąk i odchodzę. Byle dalej od tego miejsca. Byle dalej od Sam.

– Quinn! – krzyczy za mną. – Nie odchodź!

– Idę!

– Dokąd?

– Na policję.

– Aresztują cię.

Sposób, w jaki to mówi, każe mi się zatrzymać. Jej ton jest niepokojąco obojętny, jakby stwierdzała oczywisty fakt. Ma rację, wiem o tym. W głębi trzewi czuję narastającą panikę. Jestem ćmą, która nieopatrznie zbliżyła się do ognia. Zaraz pochłonie mnie płomień.

– Nieważne, czy miał nóż, czy nie. Gliny tego nie rozumieją – dodaje Sam. – Zobaczą w tobie tylko mściwą sukę, która przyszła do parku szukać kłopotów. Aresztują

cię za czynną napaść. Może zresztą zarzuty będą surowsze. Na tyle, że nawet ten twój chłoptaş, Jeff, nie zdoła ich przekonać, żeby je wycofali.

Myszę o Jeffie, który kilka przecnic stąd śpi sobie, niczego nieświadomy. Ta sprawa może go zniszczyć. Nie ma z nią nic wspólnego, ale kogo to będzie obchodziło? Moje przewinienie pograży nas oboje.

Wracają zawroty głowy, a wraz z nimi silne drzenie mięśni, które paraliżuje moje nogi. Zataczam się niepewna, jak długo jeszcze zdołam utrzymać się w pionie. Sam nie przestaje mówić, co dodatkowo wszystko pogarsza.

– Znowu będą o tobie pisali w gazetach, Quinn. Nie w jednej, ale we wszystkich, jak leci.

Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Już widzę te nagłówki: ocalała z masakry pęka i wpada w morderczy szał. Jonah Thompson dostanie orgazmu.

– Z czegoś takiego nie można się otrząsnąć – ciągnie Sam. – Jeżeli pójdiesz na policję, skończy się twoje dotychczasowe życie.

W jej ustach brzmi to potwornie, chociaż oczywiście ma rację. Mimo to i tak jej nienawidzę. Za to, że się u mnie zjawiała, że wtargnęła w moje życie, że przyprowadziła mnie do tego parku. Z nienawiścią miesza się jeszcze inne, trudne do udźwignięcia uczucie.

Desperacja.

Dławi, wyciska pot i łzy, sprawia, że ogarnia mnie kompletna bezradność. Najchętniej zanurkowałabym w tym jeziorku i nigdy więcej nie wypłynęła na powierzchnię.

– Co teraz zrobimy? – pytam, a głos łamie mi się z bezsilności.

– Nic – odpowiada krótko Sam.

– Po prostu stąd wyjdziemy i udamy, że to się nigdy nie wydarzyło?

– Mniej więcej.

Sam podnosi kurtkę, którą porzuciłam nad brzegiem jeziorka, ponownie otula mi nią ramiona i popycha naprzód. Tym razem idziemy wolniej, upewniając się, że nigdzie nie widać policji, i opuszczamy park innym wyjściem.

Między Central Park West a moją kamienicą mijamy tylko kilka osób. Nieliczni przechodnie biorą nas najprawdopodobniej za dwie pijane dziewczyny wracające do domu z imprezy. To, że dręczona zawrotami głowy nadal się zataczam, dodatkowo uwiarygodnia tę wersję.

W mieszkaniu napełniam wannę w gościnnej łazience i zdejmuję z siebie ubranie. Ilość krwi, jaką nasiąkło, przyprawia mnie o mdłości. Nie jest tak źle jak w przypadku białej sukienki, która po Pine Cottage zmieniła kolor na czerwony, ale niewiele lepiej. Na tyle źle, że zanurzywszy się w wannie, znowu zanoszę się płaczem. W wodzie tworzą się delikatne różowawe wiry, które po krótkiej chwili znikają bez śladu. Zamykam oczy i powtarzam sobie, że wydarzenia dzisiejszej nocy również tak się rozpląną. Kolory wyblakną. Mężczyzna z parku przeżyje. Ponieważ był uzbrojony, nikomu nie wspomni, co mu zrobiłam. Za kilka dni, tygodni, miesięcy wszystko zostanie zapomniane.

Oglądam swoje knykcie i widzę, że przybrały intensywnie różowy kolor. Otarte niemal do żywego boleśnie pulsują, podobnie jak stopa, którą do nieprzytomności

skopałam tamtego kolesia.

Powoli wracają do mnie inne obrazy. Szarpanie za włosy. Widok Jego sylwetki, gdy kuczał na podłodze, ściskając w rękę zakrwawiony nóż.

Wspomnienia.

Nie dotyczą dzisiejszej nocy, tylko tego, co wydarzyło się dziesięć lat temu.

W Pine Cottage.

Sądziłam, że niczego nie pamiętam.

Przekonuję samą siebie, że to niemożliwe. Że prawie całe zło, jakie mnie tamtej nocy spotkało, zostało chirurgicznie wycięte z mojej pamięci. Wiem jednak, że się myłę.

Coś sobie przypomniałam.

Zamiast usiąść, zanurzam się głębiej w wannie w nadziei, że gorąca woda zmyje niepożądane wspomnienia. Nie chcę pamiętać, co zaszło w Pine Cottage. Czy nie dlatego usunęłam tamte obrazy ze swego umysłu? Bo były zbyt okropne, żeby je zachować.

Nie mogę zaprzeczyć, że – czy to mi się podoba czy nie – dzisiejszej nocy coś do mnie powróciło. Nic wielkiego, ledwie przebłysk wspomnienia. Wyblakła fotografia. Wystarczy wszakże, abym zaczęła trząść się z zimna, siedząc po szyję w gorącej kąpieli.

Rozlega się pukanie do drzwi – to Sam uprzedza mnie, że zaraz wejdzie. Przesłuchuje próg i staje jak wryta na widok porzuconych na posadzce zakrwawionych ubrań. Podnosi je bez słowa.

– Dokąd je zabierasz? – pytam.

– O nic się nie martw. Wiem, co trzeba zrobić – odpowiada i wynosi je z łazienki.

Mimo wszystko się martwię. Przyczyną mojego zmartwienia są obrazy, którym udało się w końcu przebić do mojej świadomości. Wspomnienia mężczyzny z parku i Sam, która stała z boku i patrzyła, jak tłukę go bez opamiętania, jakby to była kolejna z jej tajemniczych prób, które muszę przejść.

Nagle wpada mi do głowy pewna myśl, a raczej pytanie, wątpliwość mglista niczym kłęby buchającej z wanny pary, którą pomimo skrajnego wyczerpania udaje mi się ostatecznie sformułować.

Skąd Sam wie, co należy zrobić z moim zakrwawionym ubraniem?

I jeszcze: dlaczego była taka spokojna, kiedy uciekałyśmy z parku?

Im więcej o tym myślę, tym bardziej dochodzę do wniosku, że było w tym coś więcej niż spokój. Sam wykazała się niezwykłą skutecznością działania: odciągnęła mnie jak najdalej od miejsca popełnionego przestępstwa, zatroszczyła się, aby nikt nie zauważył moich pokrwawionych ciuchów, znalazła zbiornik wodny, w którym mogłam się umyć.

Nikt nie potrafiłby być tak opanowany w podobnej sytuacji. O ile sam nie przeżył wcześniej czegoś podobnego.

Do głowy przychodzi mi kolejna myśl i tym razem nie jest to pytanie ani wątpliwość, tylko pewność, tak niezachwiana i ogłuszająca, że wyskakuję z wanny jak oparzona, chlapiąc wodą na wszystkie strony.

Torebka.

Zostawiłyśmy ją w parku.

– Nie przejmuj się, mała.

Tylko tyle ma mi do powiedzenia Sam po tym, gdy informuję ją o zgubionej torebce.

– Wiem, że ją zostawiłyśmy. Gdyby była ważna, tobym ją zabrała.

Siedzimy u niej w pokoju; ona pali przy oknie, ja przycupnęłam nerwowo na krawędzi łóżka.

– Jesteś pewna, że nie ma w niej nic, co mogłoby nas pograżyć? – dociekam.

– Całkowicie – odpowiada Sam. – A teraz idź spać.

Tyle pytań powinnam jej jeszcze zadać. Co zrobiła z moim zakrwawionym ubraniem? Dlaczego pozwoliła, żeby tak mi odbiło w parku? Czy to za sprawą mojego szaleństwa i brutalności zbudziło się we mnie mgliste wspomnienie Jego w Pine Cottage? Jednak pytania te pozostają niewypowiedziane. Wiem, że nawet gdybym je zadała, Sam na żadne z nich nie udzieli mi odpowiedzi.

Wychodzę więc, idę do kuchni po xanax i napój winogronowy, po czym układam się na kanapie w salonie, gotowa na kolejną bezseną noc. Ku swemu zdziwieniu chwilę później odpływam. Jestem zbyt wykończona, żeby walczyć ze snem.

Niestety śpię krótko i niespokojnie, dręczona przez koszmar z Lisą w roli głównej. Stoi pośrodku Pine Cottage, a z jej rozciętych nadgarstków tryska krew. W rękach trzyma torebkę Sam, na którą chlapie czerwona posoka. Podaje mi ją z uśmiechem, mówiąc: „Zapomniałaś o niej, Quincy”.

Budzę się gwałtownie i siadam na kanapie, młóćąc w powietrzu rękami. Chociaż w całym mieszkaniu panuje cisza, wyczuwam w salonie jakieś vibracje. Jakby echo krzyku, który najpewniej wyrwał mi się z ust. Mija minuta, podczas której zastanawiam się, kogo obudziłam. Jeff i Sam musieli słyszeć mój krzyk, czekam więc, aż któreś zajrzy do pokoju. A może wcale nie krzyczałam? Może to był tylko sen?

Nocne niebo za oknem szybko się rozjaśnia. Niedługo świt. Wiem, że powinnam spróbować się zdrzemnąć, w przeciwnym razie długo nie pociągnę. Ale moje nerwy przypominają iskrzące przewody – jedynym sposobem, aby je uspokoić, jest powrót do parku i odszukanie torebki.

Na palcach skradam się do sypialni, gdzie z ulgą zastaję Jeffa nadal pogrążonego we śnie. Pochrapuje lekko. Szybko zakładam strój do biegania, na dłonie zaś wsuwam rękawiczki bez palców, żeby ukryć poranione knykcie, które już zaczynają pokrywać się strupami.

Po wyjściu z budynku od razu zaczynam biec i sprintem pokonuję przecznice dzielące mnie od parku. Przecinam Central Park West na czerwonym świetle; nadjeżdżająca z naprzeciwka taksówka musi gwałtownie zahamować, żeby we mnie nie uderzyć. Kierowca wściekle trąbi, ale go ignoruję. Ignoruję w zasadzie wszystko, gnając do miejsca, w którym wytracono mi z rąk torebkę. Tego samego zresztą, gdzie na kwaśne jabłko sprąłam całkiem obcego faceta.

Już go tam nie ma, podobnie jak torebki. Jest za to policja – tuzin funkcjonariuszy

kręci się wokół szerokiego kwadratu wytyczonego przez żółtą taśmę policyjną. Wygląda to jak miejsce zbrodni, takie jakie widuje się w filmach. Policjanci przeszukują wydzielony obszar, wymieniają uwagi, popijają kawę z parujących jednorazowych kubków.

Trzymam się z boku, truchając w miejscu. Pomimo wczesnej pory w okolicy zebrano się kilku gapiów, widocznych w szaro-granatowym półmroku.

– Co się stało? – zagaduję starszą kobietę z równie wiekowym psem.

– Ktoś został napadnięty i brutalnie pobity.

– To straszne – mówię, mając nadzieję, że brzmi to dostatecznie szczerze. – Wyjdzie z tego?

– Jeden z policjantów powiedział, że leży w *śpiączce*. – Ostatnie słowo kobieta wypowiada szeptem, nadając mu sensacyjne brzmienie. – W tym mieście nie brakuje wariatów.

Emocje aż się we mnie gotują, splątane tak, że nie sposób ich rozdzielić. Radość na myśl, że mężczyzna żyje i jednak go nie zabiłam, miesza się z ulgą: śpiączka oznacza, że nieprędko złożę zeznania. Do tego dochodzi poczucie winy, że tak mi ulżyło.

Przede wszystkim jednak ogarnia mnie niepokój. Martwię się o torebkę, która mogła wpaść w ręce glin. Albo została skradziona. Albo zaciągnięta w zarośla przez kojoty, które nie wiedzieć jakim sposobem dostają się czasem do parku. Zresztą nieważne, co się z nią stało. Dopóki jej los jest nieznany, pozostaje potencjalnym dowodem łączącym mnie z pobiciem. Są na niej moje odciski palców.

Dlatego wracam do domu z głębokim marszem na czole. Jeff już nie śpi, kiedy wślizguję się do mieszkania – stoi w kuchni w podkoszulku i bokserkach.

– Quincy? Gdzie byłaś?

– Poszłam pobiegać.

– Tak wcześnie? Jeszcze słońce nie wzeszło.

– Nie mogłam spać.

Jeff przygląda mi się spod zapuchniętych powiek; senność bije z całej jego sylwetki. Drapie się po głowie. I po kroczu. A potem pyta:

– Wszystko w porządku, Quinn? To do ciebie nie podobne.

– W jak najlepszym – odpowiadam, choć wszystko wyraźnie temu przeczy. Czuję się pusta w środku, jakby ktoś wydłubał mi wnętrzości łyżką do lodów, którą nakładam do foremek masę na muffinki. – Nic mi nie jest.

– Chodzi o dzisiejszą noc?

Zamieram przed nim niepewna co, jeśli w ogóle, wie o naszej nocnej eskapadzie. To, że w ogóle mam przed nim jakieś sekrety, wpędza mnie w okropne poczucie winy. Myśl, że mógłby je poznać, jedynie pogarsza sprawę.

– Mówię o naszej rozmowie i moim wyjeździe do Chicago – wyjaśnia Jeff.

Z ulgą wypuszczam z płuc powietrze – powoli, żeby nie wzbudzić podejrzeń.

– Skąd!

– Wyglądałaś na solidnie wkurzoną. Wierz mi, też mnie to wkurza. Nie podoba mi się, że zostaniesz tu tylko z Sam.

– Poradzimy sobie – zapewniam go.

Jeff mruży oczy i lekko marszczy czoło: wypisz, wymaluj wcielenie zatroskanego mężczyzny.

– Na pewno wszystko gra?

– Tak – odpowiadam. – Dlaczego ciągle mnie o to wypytyjesz?

– Bo uprawiałaś jogging przed szóstą rano – mówi Jeff. – Do tego właśnie odkryłaś, że Lisa Milner została zamordowana, a policja nie ma żadnych podejrzanych.

– Dlatego nie mogłam spać. I dlatego poszłam pobiegać.

– Powiedziałaś mi, gdyby coś było nie tak, prawda?

Zmuszam się do uśmiechu; cała drzę, taki to dla mnie wysiłek.

– Oczywiście.

Jeff przyciąga mnie do siebie i obejmuje. Jest ciepły, miły w dotyku i roztacza delikatny zapach potu oraz płynu zmiękczającego do prania. Staram się odwzajemnić uścisk, ale nie potrafię. Nie zasługuję na tyle czułości.

Później, gdy Jeff szykuje się do pracy, robię mu śniadanie. Zjadamy je w milczeniu, ja pochłonięta ukrywaniem poranionej ręki pod ścierką albo na kolanach, Jeff zajęty kartkowaniem „New York Timesa”. Ukradkiem zerkam na każdą przewracaną stronę przekonana, że zobaczę gdzieś wzmiankę o człowieku z parku, choć w głębi duszy wiem, że jeszcze na to za wcześnie. Do przestępstwa z moim udziałem doszło już po zamknięciu tego numeru, więc sensacja wybuchnie dopiero w jutrzejszym wydaniu gazety.

Po wyjściu Jeffa natychmiast ściągam z szyi kluczyk i otwieram sekretną szufladę. W środku leży wieczne pióro skradzione w kawiarni przez Sam. Wyjmuję je i bazgrzę na nadgarstku pojedyncze słowo.

*PRZETRWAŁAM*

Następnie wskakuję pod prysznic, zmuszam się, żeby nie mrugać, i patrzę, jak woda zmywa tusz ze skóry.

Sam i ja nie rozmawiamy ze sobą.

Tylko pieczemy.

Mamy jasno określone cele. Moim jest tarta jabłkowa z karmelem; Sam przygotowuje kruche ciasteczka. Nasze stanowiska pracy znajdują się w dwóch przeciwległych krańcach kuchni; wyglądamy jak walczące strony konfliktu. Wyrabiając ciasto, odruchowo wypatruję na swoich rękach śladów krwi, pewna, że lada moment zobaczę czerwone plamy. Widzę jednak tylko skórę podrażnioną od zbyt częstego mycia.

– Wiem, że masz wątpliwości – odzywa się nagle Sam.

– Wszystko gra – odpowiadam.

– Postąpiliśmy jak trzeba.

– Czyżby?

– Tak.

Trzęsącymi dłońmi biorę się za obieranie jabłek. Wbijam wzrok w czerwono-żółte skórki, które opadają na blat długimi spiralami. Liczę, że jeśli dostatecznie się na nich skoncentruję, Sam przestanie gadać. Niestety to tak nie działa.

– Pójście teraz na policję niczego nie zmieni – stwierdza. – Choćbyś nie wiem jak tego pragnęła.

Rzecz nie w tym, że chcę iść na policję. Uważam raczej, że *muszę*. Wiem z opowieści Jeffa, że zawsze lepiej jest przyznać się do popełnionego przestępstwa, niż zostać przyłapanym. Policja okazuje niechętny szacunek tym, którzy sami się do nich zgłaszają. Podobnie jak sędziowie.

- Powinnyśmy powiedzieć Coopowi – mówię.
- Odbiło ci, do cholery?!
- Może będzie mógł nam jakoś pomóc.
- Przecież to glina.
- Jest moim przyjacielem. Zrozumie.

Przynajmniej taką mam nadzieję. Wielokrotnie powtarzał, że zrobi wszystko, aby mnie chronić. Czy rzeczywiście? A może jego lojalność ma swoje granice? Ostatecznie obiecywał pomoc Quincy, którą, jak sądzi, dobrze zna, nie tej prawdziwej. Nie jestem pewna, czy ma ona wiele wspólnego z dziewczyną, która od rana zdążyła zażyć już dwa xanaxy. Albo tą, która kradnie błyszczące przedmioty po to tylko, aby móc zobaczyć w nich własne odbicie. Albo tą, która potrafi poturbować obcego mężczyznę, aż ten zapada w śpiączkę.

- Zostaw to, mała – mówi Sam. – Jest dobrze. Zwiałyśmy. Już po wszystkim.
- Jesteś całkowicie pewna, że w tej torebce nie było niczego, co mogłoby doprowadzić do nas gliny? – pytam chyba po raz pięćdziesiąty.
- Jestem pewna – potwierdza Sam. – Wyluzuj.

Jednak godzinę później, akurat kiedy wyciągam z piekarnika tartę jabłkową, dzwoni telefon. Odstawiam ciasto na blat, ściągam rękawice kuchenne i chwytam komórkę. Naciskam „odbierz” i słyszę w słuchawce kobiecy głos.

- Czy mogę rozmawiać z panną Quincy Carpenter?
- To ja.
- Panno Carpenter, mówi detektyw Hernandez z nowojorskiej policji.

Ogarnia mnie przenikliwy chłód; cała drętwieję z przerażenia. Nie mam pojęcia, jak w tej sytuacji udaje mi się utrzymać w ręku komórkę. To, że w ogóle jestem w stanie wydobyć z siebie głos, uznaję za cud.

- W czym mogę pomóc, pani detektyw?

Słyszając to, Sam odwraca się gwałtownie od blatu i przyciska do brzucha miskę z masą na ciastka.

- Czy znalazłaby pani czas, żeby zajrzeć dzisiaj na posterunek? – pyta detektyw Hernandez.

Jej głos dobiega z bardzo daleka. Wywołane strachem złodowacenie dotarło do moich uszu, zagłuszając znaczną część wypowiedzi. Ale najważniejsze słowa brzmią wyraźnie niczym uderzenia czekana o lód. Central Park. Torebka. Pytania. Całe mnóstwo pytań.

- Naturalnie – odpowiadam. – Postaram się przyjść jak najszybciej.

Po skończonej rozmowie chłodny uścisk strachu ustępuje, a w jego miejsce pojawia się płonąca żywym ogniem rozpacz. Schwytna w pułapkę między zimnem a gorącym reaguję odpowiednio i zmieniam się w mokrą kupkę nieszczęścia na kuchennej podłodze.



## DWA DNI PO PINE COTTAGE

Przedstawili się jako detektyw Cole i detektyw Freemont, chociaż równie dobrze mogliby występować jako Dobry Glina i Zły Glina. Każdy miał do odegrania jakąś rolę i znakomicie się z tego wywiązywał. Cole był tym miłym. Młody, pewnie nie skończył jeszcze trzydziestki. Quincy podobały się jego życzliwe oczy i ciepły uśmiech pod rzadkim wąsikiem wyhodowanym zapewne po to, aby dodawał mu powagi. Kiedy skrzyżował nogi, zobaczyła, że skarpetki ma kolorystycznie dopasowane do zielonego krawata. Sympatyczny szczegół.

Freemont dla odmiany był opryskliwy. Do tego niski, krępy i łysiejący, o policzkach obwisłych jak u buldoga, które zafalowały, kiedy oświadczył:

– Coś nam się nie zgadza.

– Raczej budzi nasze zdziwienie – sprostował Cole.

Freemont rzucił mu poirytowane spojrzenie.

– To się zwyczajnie nie trzyma kupy, panno Carpenter.

Siedzieli w szpitalnej sali. Quincy, zbyt obolała, aby wstać z łóżka, siedziała oparta o spiętrzone poduszki. W jej żył tkwiła igła kroplówki, której drażniąca obecność rozpraszała ją i nie pozwalała się skupić na słowach detektywa.

– Co się nie trzyma? – spytała zdeorientowana.

– Mamy do pani kilka pytań – wtrącił Cole.

– Całkiem sporo – dorzucił Freemont.

– Powiedziałam już wszystko, co wiem.

Kiedy poprzedniego dnia składała zeznania, była tak odurzona środkami przeciwbólowymi i otępiała na skutek szoku, że nie pamiętała, o czym dokładnie mówiła. Na pewno nie omieszkała wspomnieć o najważniejszych sprawach – co do tego nie miała żadnych wątpliwości.

Freemont łypnął na nią spode łba; oczy miał przekrwione i zmęczone. Jego garnitur pamiętał lepsze czasy, mankiety rękawów były wystrzępione, a na klapie widniała żółta plama po zaschniętej musztardzie. Pamiętka jakiegoś lunchu.

– Nie było tego zbyt wiele – zauważył.

– Bo niewiele pamiętam.

– Liczyliśmy, że zdoła pani przypomnieć sobie coś jeszcze – rzekł Cole. – Mogłaby pani zrobić to dla mnie? Proszę spróbować. Byłbym naprawdę wdzięczny.

Quincy odchyliła się na poduszki, zamknęła powieki i próbowała przypomnieć sobie coś więcej o tej koszarnej nocy, lecz przed oczami miała jedynie gęstą, czarną, falującą zupę.

Pamiętała wszystko, co wydarzyło się przed i po.

Wybiegającą z lasu Janelle. Błysk noża. To było przed.

I siebie samą, pędzącą przez las. Uderzenie gałęzi w twarz, gdy na horyzoncie majaczył już ratunek. To było po.

Wszystko, co wydarzyło się pomiędzy, zniknęło.

Mimo wszystko próbowała. Z zacisniętymi powiekami i pięściami pływała w tej

mentalnej zupie i raz za razem dawała nurka pod powierzchnię w poszukiwaniu jakiegokolwiek wspomnienia. Wyławiała same strzępy: obrazy krwi, noża, Jego twarzy, które nie składały się na nic konkretnego. Były zagubionymi elementami, niedającymi wyobrażenia o całości układanki.

– Nie potrafię – westchnęła wreszcie, otwierając oczy, zawstydzona napływającymi łzami. – Bardzo mi przykro, ale naprawdę nic nie pamiętam!

Detektyw Cole poklepał ją po ręce; miał zaskakująco gładkie dłonie i był jeszcze przystojniejszy od gliniarza, który ją uratował. Tego z błękitnymi oczami, który natychmiast zjawił się przy jej łóżku, gdy wzywała go krzykiem.

– Rozumiem – powiedział Cole.

– A ja nie – burknął Freemont; składane krzesło zatrzeszczało pod jego ciężarem, kiedy zmieniał pozycję. – Naprawdę nie pamięta pani niczego, co wydarzyło się tamtej nocy? Czy po prostu nie chce pani pamiętać?

– To byłoby całkiem zrozumiałe – dodał pośpiesznie Cole. – Tyle pani przeszła.

– Ale my musimy się dowiedzieć, co tam właściwie zaszło – ciągnął Freemont. – Nic tu się nie klei.

Zdezorientowany umysł Quincy spowijała coraz gęstsza mgła. Czuła nadciągającą migrenę – lekki, pulsujący ból, który zagłuszał drażniące klucie wbitej w rękę igły.

– Nie? – wyjąkała.

– Tyle ofiar – rzucił Freemont. – Zginęli wszyscy poza panią.

– To dlatego, że ten policjant Go zastrzelił. – Już wtedy postanowiła nigdy więcej nie wymówić Jego imienia. – Jestem przekonana, że zabiłby i mnie, gdyby ten gliniarz...

– Funkcjonariusz Cooper – podsunął Cole.

– Właśnie. – Quincy nie była pewna, czy to wiedziała. Nazwisko nie brzmiało znajomo. – Funkcjonariusz Cooper. Pytaliście go, co tam się stało?

– Owszem – rzekł Freemont.

– I co odpowiedział?

– Że zgodnie z rozkazem patrolował las w poszukiwaniu pacjenta zbiegłego ze szpitala psychiatrycznego w Blackthorn.

Quincy wstrzymała oddech przerażona, że policjant wymieni Go z imienia. Gdy to nie nastąpiło, zalała ją fala ulgi.

– W trakcie poszukiwań funkcjonariusz Cooper usłyszał krzyk dochodzący od strony chaty. Ruszył tam, aby to zbadać, i po drodze natknął się na panią.

Quincy wyobraziła sobie tamtą chwilę: jej obraz nakładał się na sylwetki siedzących przy łóżku śledczych. Zobaczyła zaskoczenie w oczach funkcjonariusza Coopera, kiedy zauważył fragment białej tkaniny nad jej kolanami i zrozumiał, że to krew zabarwiła sukienkę na czerwono. Oraz samą siebie, potykającą się i bełkoczącą słowa, które wciąż rozbrzmiewały echem w jej otumanionej lekami głowie.

„Oni nie żyją. Wszyscy. A on nadal tam jest!”

Potem uczepliła się go kurczowo i przywarła do niego całym ciałem, rozmazując krew – krew Janelle i pozostałych – na jego policyjnym mundurze. Oboje coś usłyszeli. Szelest w zaroślach kilka metrów na lewo od siebie.

To był On.

Przedzierał się przez gęstwinę, młóćąc ramionami gałęzie, chudymi nogami deptając mech. Coop wyciągnął Glocka. Wycelował i strzelił.

Potrzeba było aż trzech strzałów, aby Go powalić. Dwa pociski trafiły Go w pierś; siła uderzenia sprawiła, że zaczął jeszcze bardziej wymachiwać rękami, jak porzucona przez lalkarza marionetka. Mimo to biegł dalej. Okulary zsunęły Mu się z jednego ucha i przekrzywiły na twarzy, powiększając jedno zaskoczone oko w chwili, gdy Coop wpakował Mu trzecią kulę w czoło.

– A przedtem? – zapytał Freemont. – Co się wydarzyło przedtem?

Ból głowy się nasilał, wypełniał czaszkę Quincy jak balon gotów lada chwila pęknąć.

– Naprawdę nie pamiętam.

– Musi pani sobie przypomnieć – rzucił Freemont, wkurzony na nią za coś, na co nie miała żadnego wpływu.

– Dlaczego?

– Ponieważ pewne rzeczy dotyczące tej nocy nam się nie zgadzają.

Ból głowy narastał. Quincy przymknęła powieki i wzdrygnęła się.

– Jakie rzeczy?

– Mówiąc wprost – odparł Freemont – nie rozumiemy, dlaczego pani przeżyła, podczas gdy inni zginęli.

Wtedy wreszcie to do niej dotarło – usłyszała bijący ze słów policjanta starannie skrywany oskarżycielski ton.

– Wyjaśni nam to pani? – dodał.

W Quincy nagle coś pękło. Serce zadygotało jej z gniewu, a potem ogarnęła ją fala wzburzenia. Balon w czasie eksplozował, wyrzucając słowa, których wcale nie chciała powiedzieć. I których pożałowała natychmiast, jak tylko padły.

– Może – oświadczyła głosem zimnym jak stal – po prostu jestem od nich twardsza.

Detektyw Hernandez należy do kobiet, których nie sposób nie podziwiać i zarazem im nie zazdrościć. Wszystko wydaje się w niej idealne, od bordowej bluzki pod czarną marynarką, po doskonale uszyte spodnie i pantofle na lekkim obcasiku. Zebrane w kucyk włosy koloru ciemnej czekolady odsłaniają twarz o nieskazitelnych rysach. Kiedy się witamy, uścisk jej dłoni jest jednocześnie mocny i przyjacielski. Udaje, że nie zauważa moich obtartych knykci.

– Bardzo dziękuję, że zgodziła się pani od razu przyjść – mówi. – To zajmie tylko kilka minut. Obiecuję.

Oddycham głęboko i staram się zachować spokój, tak jak nakazała mi Sam po tym, gdy już pozbierała mnie z kuchennej podłogi.

– Chętnie pomogę – odpowiadam.

Hernandez uśmiecha się. Wygląda na to, że szczerze.

– Fantastycznie.

Jesteśmy na posterunku przy Central Parku – tym samym, z którego odbieraliśmy z Jeffem Sam zaledwie kilka dni wcześniej, choć mam wrażenie, że od tamtego momentu upłynęły całe lata. Detektyw Hernandez prowadzi mnie na górę tymi samymi schodami, po których wspinałam się tamtej odległej, a przecież wcale nieodległej nocy. Dochodzimy do biurka, które jest puste, jeśli nie liczyć fotografii w ramce przedstawiającej ją, dwójkę dzieci i muskularnego faceta, który zapewne jest jej mężem.

Oraz torebki.

Leży centralnie pośrodku biurka i bez wątplenia jest to ta sama torebka, którą Sam i ja zgubiłyśmy. Jej widok mnie nie zaskakuje. Przypuszczałyśmy, że właśnie z tego powodu zostałam wezwana na posterunek i zawczasu postarałyśmy się wymyślić wiarygodną historyjkę na wytłumaczenie jej – i naszej – obecności w parku. Mimo wszystko nie potrafię pohamować nerwowego wzdrygnięcia.

Hernandez je zauważa.

– Poznaje ją pani? – pyta.

Zanim odpowiem, muszę odchrząknąć, aby uwolnić słowa, które tkwią mi w gardle niczym nieopatrznie połknięta chrząstka kurczaka.

– Tak. Zgubiłyśmy ją nocą w parku.

Ledwo wypowiadam te słowa, zaraz mam ochotę je cofnąć, wciągnąć z powrotem do ust jak zmija język.

– *My?* – powtarza Hernandez. – To znaczy pani i Tina Stone, tak?

Biorę głęboki wdech. To oczywiste, że wie o Sam i zna jej nowe nazwisko. Babka jest równie inteligentna, na jaką wygląda. Ta myśl sprawia, że ogarnia mnie słabość. Właściwie skrajne wyczerpanie. Kiedy Hernandez zajmuje miejsce za biurkiem, z ulgą opadam na stojące obok krzesło.

– Naprawdę nazywa się Samantha Boyd – mówię potulnie, skrepowana faktem, że poprawiam policjantkę. – Zmieniła nazwisko na Tina Stone.

– Po wydarzeniach w motelu Nightlight Inn?

Biorę kolejny głęboki wdech. Detektyw Hernandez niewątpliwie odrobiła pracę domową.

– Tak – odpowiadam. – Bardzo wiele przeszła. Obie wiele przeszłyśmy, ale o tym zapewne też pani wie.

– Spotkało was coś strasznego. Żyjemy w zwariowanym świecie, prawda?

– Owszem.

Hernandez znów się uśmiecha – tym razem ze współczuciem – po czym otwiera torebkę i wyjmuję z niej kilka sfatygowanych książek w kieszonkowych wydaniach.

– Znaleźliśmy torebkę dzisiaj wczesnym rankiem – oznajmia, układając książki na równą stertę. – W jednej z książek było nazwisko panny Stone, co pozwoliło nam ustalić tożsamość właściciela. Nie musiałam nawet długo szukać w rejestrze. Okazuje się, że przed kilkoma dniami została zatrzymana. Za napaść na funkcjonariusza i opór stawiany przy aresztowaniu, o ile mnie pamięć nie myli.

– To było nieporozumienie. – Ponownie muszę odchrząknąć. – Ostatecznie zarzuty zostały wycofane.

– Zgadza się – potwierdza Hernandez, przyglądając się uważnie jednej z książek. Na okładce widnieje robot o kształtach kobiety na tle purpurowego, rozgwieźdzonego nieba. – To pani wówczas ją stąd odebrała, prawda?

– Tak. Razem z moim chłopakiem, Jeffersonem Richardsem. Pracuje w Biurze obrońcy Publicznego.

Nazwisko Jeffa wyraźnie nie jest jej obce. Uśmiecha się po raz kolejny, tym razem z widocznym wysiłkiem.

– O ile się orientuję, prowadzi teraz ciężką sprawę.

Z ulgą przełykam ślinę na myśl, że nie zadzwoniłam do Jeffa i nie poprosiłam go, żeby poszedł ze mną na posterunek. Naturalnie chciałam tak zrobić, ale Sam wybiła mi to z głowy. Stwierdziła, że zjawiając się na policji z obrońcą, nawet jeśli będzie to mój chłopak, z miejsca wzbudzę podejrzenia. Teraz dodatkowo okazuje się, że trafiłyby na osobę niezbyt zachwyconą faktem, iż podjął się obrony zabójcy policjanta.

– Niewiele wiem na ten temat – odpowiadam.

Hernandez kiwa głową i wraca do głównego tematu rozmowy.

– Ponieważ nie mieliśmy aktualnego numeru telefonu panny Stone, pomyślałam, że najrozsądniej będzie porozmawiać z panią i zapytać, czy zna pani miejsce jej pobytu. Nie zatrzymała się przypadkiem u pani?

Mogłabym skłamać, lecz to nie miałoby sensu. Przeczuję, że detektyw Hernandez zna już odpowiedź na swoje pytanie.

– Owszem, Sam mieszka u nas.

– A gdzie jest w tej chwili?

– Tak się składa, że czeka na zewnątrz.

Przynajmniej taką mam nadzieję. Kiedy wychodziłyśmy z domu, Sam była zupełnie spokojna, przypuszczam jednak, że starała się trzymać fason ze względu na mnie. Teraz została sama, a ja wyobrażam sobie, jak przechadza się nerwowo przed posterunkiem, kończąc trzeciego z rzędu papierosa i rzucając ukradkowe spojrzenia przez szklaną ścianę budynku. Dociera do mnie, że podczas gdy ja tu siedzę, Sam mogła

spokojnie wyjechać z miasta i ponownie zapaść się pod ziemię. Szczerze mówiąc, nie byłoby to takie złe rozwiązanie.

– Wobec tego dziś jest chyba mój szczęśliwy dzień – oznajmia detektyw Hernandez. – Myśli pani, że zechce wejść na górę i odpowiedzieć na kilka pytań?

– Jasne. – Mój głos brzmi przenikliwie, jak pisk. – Czemu nie.

Detektyw sięga po słuchawkę, wybiera jakiś numer i przekazuje dyżurnemu funkcjonariuszowi, gdzie znajdzie Sam.

– Proszę ją tu przyprowadzić. Niech zaczeka przed moim gabinetem – dodaje.

– Czy Sam ma jakieś kłopoty? – pytam.

– Skądże. W nocy doszło do incydentu w parku. Brutalnie pobito pewnego człowieka.

Trzymam dłonie na podołku; prawą, całą w paskudnych strupach, chowam pod nieco lepiej wyglądającą lewą.

– To straszne.

– Rankiem natknął się na niego jeden z biegaczy – ciągnie Hernandez. – Ofiara była nieprzytomna i potwornie zmasakrowana. Bóg jeden wie, co by się z nim stało, gdyby go w porę nie znaleziono.

– To straszne – powtarzam.

– Ponieważ w pobliżu miejsca przestępstwa leżała torebka panny Stone, chciałam zapytać, czy w nocy nie zauważyła w parku niczego podejrzanego. Albo pani, skoro, jak się okazuje, byliście tam razem.

– Byłyśmy – potwierdzam.

– Która mogła być wtedy godzina?

– Około pierwszej. Może trochę później.

Hernandez odchyła się na oparcie krzesła i składa w piramidkę palce o starannie wymanikiurowanych paznokciach.

– Nie za późno na spacer?

– Owszem – przyznaję – ale trochę wypiliśmy. Wie pani, urządziłyśmy sobie babski wieczór. A ponieważ mieszkam niedaleko parku, uznałyśmy, że szybciej będzie przejść go na piechotę, niż szukać po nocy taksówki.

Wspólnie z Sam wymyśliłyśmy to alibi w drodze na posterunek. Bałam się, że nie przejdzie mi przez usta, tymczasem gładko kłamię, z łatwością, która mnie samą zaskakuje.

– I wtedy panna Stone...

– Boyd – prostuję. – Naprawdę nazywa się Samantha Boyd.

– Wtedy panna Boyd zgubiła torebkę?

– W istocie została jej odebrana.

Hernandez unosi w górę doskonale wyprofilowaną brew.

– Odebrana?

– Zatrzymałyśmy się przy jakiejś ławce, żeby Sam mogła zapalić. – Kamyczek prawdy, wrzucony do wzburzonej rzeki łgarstw. – Kiedy tam stałyśmy, minął nas biegiem jakiś facet, wyrwał torebkę i zwiął. Nie zgłosiłyśmy kradzieży, bo, jak sama pani widzi, w środku nie było nic cennego.

– Po co właściwie pani znajoma targąła ze sobą te książki?

– Sam ma lekką paranoję – mówię, ciągnąc swoje kłamstwo. – Trudno się dziwić, zważywszy na to, co ją spotkało. Co *nas* spotkało. Powiedziała, że nosi tę torebkę dla obrony.

Detektyw Hernandez potakuje.

– Na wabia?

Ja też potakuję.

– Dokładnie. Bandyta zabiera pierwszą rzecz, jaka rzuca mu się w oczy, lekceważąc drobniejszą zdobycz, na przykład portfel.

Hernandez przygląda mi się zza biurka, zwlekając z odpowiedzią, trawiąc zdobyte informacje. Wygląda, jakby odliczała sekundy w oczekiwaniu, aż minie odpowiednio onieśmielająca ilość czasu. Wreszcie odzywa się:

– Przyjrzała się pani mężczyźnie, który ukradł torebkę?

– Niestety.

– Nic pani nie zapamiętała?

– Było ciemno – wyjaśniam. – A on był w ciemnym ubraniu. Chyba miał pikowaną kurtkę, ale nie jestem pewna. Wszystko stało się tak szybko.

Odchylam się na oparcie krzesła, pełna ulgi i – trzeba to przyznać – niesłychanie z siebie dumna. Bez zająknięcia przedstawiłam nasze fałszywe alibi. W dodatku zrobiłam to tak przekonująco, że sama niemal w nie uwierzyłam. Hernandez sięga jednak do szuflady, wyjmując z niej jakieś zdjęcie i przesuwając po blacie w moją stronę.

– Czy to mógł być ten człowiek?

Mam przed sobą policyjną fotografię twarzy jakiegoś młodego bandziora. Ma szalone spojrzenie i tatuaż na szyi. Cienką niby pergamin skórę narkomana. I nos, którego chrząstkę zmiażdżyłam własnym czołem. Na jego widok zamiera mi serce.

– Tak – potwierdzam, przelękając ślinę. – To on.

– Tego samego mężczyznę znaleziono rano pobitego niemal na śmierć – oznajmia Hernandez, chociaż już to wiem. – Nazywa się Ricardo Ruiz. Mówią na niego Rocky. Bezdomny narkoman. Jak zwykle smutna historia. Patrolujący park policjanci dobrze go znają. Twierdzą, że nie sprawiał wrażenia kogoś, kto mógłby się wpakować w poważne kłopoty. Zwykle szukał tylko kolejnej działki i miejsca, gdzie mógłby się zdrzemnąć.

Nie przestaję się wpatrywać w zdjęcie. Teraz, gdy wiem, jak się nazywał i kim był, serce pęka mi z żalu. Ogarniają mnie wyrzuty sumienia i nie myślę już o strachu, jaki odczuwałam w parku. Ani o nożu, który zgubił Rocky i który podniosła Sam. Jedyne, na czym się skupiam, to myśl, że go skrzywdziłam. Bardzo. Tak bardzo, że może tego nie przeżyć.

– To straszne – mamrocze z wysiłkiem. – Wyjdzie z tego?

– Zdaniem lekarzy jeszcze za wcześnie, aby postawić ostateczną diagnozę. Ale ktoś solidnie go sponiewierał. Naprawdę nie widziałyście tej nocy niczego podejrzanego? Może ktoś przed kimś uciekał? Albo dziwnie się zachowywał?

– Po kradzieży torebki Sam i ja czym prędzej ulotniłyśmy się z parku. Niczego nie zauważyłyśmy. – Wzruszam ramionami i marszczę brwi dla większego efektu, żeby pokazać, jak bardzo się staram. – Przykro mi, że nie mogę bardziej pomóc.

– Czy kiedy porozmawiam z panną Stone... To znaczy Boyd... usłyszę od niej to samo?

– Naturalnie – odpowiadam.

Przynajmniej na to liczę. Po wydarzeniach ostatniej nocy nie mam już pewności, czy Sam i ja stoimy po jednej stronie barykady.

– Domyślam się, że jesteście panie bardzo zżyte – zauważa Hernandez. – Połączyły was podobne trudne doświadczenia. Jak was nazywają gazety?

– Ocalałymi.

Wkładam w to słowo tyle gniewu i uszczypliwości, ile tylko zdołam z siebie wykrzesać. Niech detektyw Hernandez wie, że się za taką nie uważam. I że dawno się otrząsnęłam z przeżytej tragedii – chociaż sama nie bardzo w to wierzę.

– Otóż to. – Hernandez wyczuwa mój ton i z niesmakiem marszczy nos. – Pewnie irytuje panią ta etykieta.

– Skądże – zaprzeczam. – Lepsze to niż być nazywaną ofiarą.

– A jak wołałybyście być nazywane?

– Tymi, które przetrwały.

Hernandez opada na oparcie, wyraźnie pod wrażeniem.

– Jesteście ze sobą blisko zaprzyjaźnione, pani i panna Boyd?

– Tak – przyznaję. – Miło jest mieć przy sobie kogoś, kto mnie rozumie.

– Na pewno. – Brzmi to tak, jakby naprawdę tak myślała. Czuję, że jest w tym jakaś szczerść. A jednak dostrzegam w jej twarzy ledwie zauważalne napięcie. – Mówi pani, że Sam się u was zatrzymała?

– Owszem, na kilka dni.

– Nie przeszkadza pani, że miała już wcześniej zatargi z prawem?

Przetykam ślinę.

– Wcześniej? To znaczy, nie licząc ostatniej nocy?

– Spodziewam się, że panna Boyd zapomniała o nich wspomnieć. – Hernandez zagląda do swoich notatek. – Poszperałam trochę w jej aktach. Niezbyt głęboko, do pięciu lat wstecz. Poza tym, że dwa dni przed nieszczęśliwym wypadkiem Rocky'ego zatrzymano ją za napaść, cztery lata temu została aresztowana w New Hampshire za zakłócanie porządku publicznego w stanie nietrzeźwym, dwa lata później trafiła do aresztu w Maine dokładnie za to samo, a przed miesiącem podczas rutynowej kontroli drogowej policja w Indianie zgarnęła ją za niezapłacony mandat.

Świat staje w miejscu. Tak niespodziewanie i gwałtownie, że wszystko się chwieje. Ręce zsuwają mi się z kolan i zaciskają od spodu na siedzeniu krzesła, jakby w obawie, że z niego spadnę.

Sam była w Indianie.

Raptem miesiąc temu.

Próbuję się uśmiechnąć do detektywa Hernandez, pokazać jej, że te nowiny nie zrobiły na mnie żadnego wrażenia. Że wiem wszystko o Sam i nie mamy przed sobą żadnych tajemnic. Tymczasem mój umysł zapełnia się wspomnieniami, które przesuwają się niczym stronicie albumu fotograficznego. Każde wspomnienie to barwna, wyrazista, pełna szczegółów stopklatka.



Widzę e-mail Lisy, wyświetlony w komórce, której ekran jaśniej w ciemności lodowatym błękitem.

„Quincy, muszę z Tobą porozmawiać. To bardzo ważne. Błagam, nie zlekceważ tego”.

Widzę, jak Jonah Thompson chwyta mnie za ramię, na jego twarzy maluje się napięcie.

„Chodzi o Samanthę Boyd. Ona cię okłamała”.

Słyszę niski, zatroskany głos Coopa.

„Nie wiemy, do czego jest zdolna”.

Widzę Sam w parku, zasłaniającą moje pokrwawione ubranie własną kurtką, prowadzącą mnie nad wodę i zmywającą krew z moich rąk. Działającą szybko i zdecydowanie. Widzę, jak zbiera potem te ciuchy z podłogi, jakby to było zupełnie normalne.

„O nic się nie martw. Wiem, co trzeba zrobić”.

Widzę, jak klnąc, toruje sobie drogę przez tłum zebranych przed budynkiem dziennikarzy, ani trochę niespeszona obecnością kamer i kompletnie niewzruszona nowiną o morderstwie Lisy, przekazaną nam przez Jonah Thompsona. W świetle fleszy jej twarz ma taki sam odcień bieli co twarz trupa na stole prosektoryjnym. Jest całkowicie pozbawiona wyrazu. Nie dostrzegam na niej ani śladu smutku czy zaskoczenia.

Nic.

– Panno Carpenter? – Głos detektyw Hernandez ledwo przebija się przez ten kalejdoskop wspomnień. – Dobrze się pani czuje?

– Tak – odpowiadam. – O wszystkim wiem. Sam nigdy mnie nie okłamywała.

Tak było. W każdym razie nie powiedziała nic, co mogłabym zdemaskować jako kłamstwo. Pozostaje jednak faktem, że prawdy też mi nie powiedziała. Od swojego przyjazdu głównie milczała na swój temat.

Nie wiem, gdzie się wcześniej podziewała.

Ani z kim się spotykała.

Najgorsze, że nie mam bladego pojęcia, jakich straszliwych rzeczy mogła się dopuścić.

Do parku powrócił chłód, przejmujący do szpiku kości jak pierwsze zanurzenie w lodowatej wodzie. W powietrzu czuć zapowiedź zmian i upływającego nieubłaganie czasu. Jesień oficjalnie odtrąbiła swoje przybycie.

Pogoda sprawia, że wszyscy dostają zastrzyk jakiejś szaleńczej energii: biegacze, rowerzyści, nianie popychające przed sobą idiotyczne podwójne wózki. Wyglądają, jakby przed czymś uciekali, chociaż każdy podąża w innym kierunku. Przypominają mrówki, umykające bezładnie przed stopą, która lada moment zburzy ich mrowisko.

Ja dla odmiany stanowią wcielenie bezruchu, gdy tak stoję przed szklaną fasadą posterunku. Sam jest w środku: rozmawia z detektyw Hernandez i – mam nadzieję – powtarza tę samą bajeczkę, którą jej wcześniej zaserwowałam. Chociaż z pozoru nie przeszkadza mi, że tkwię nieruchomo w miejscu, najchętniej rzuciłabym się do ucieczki. Ale nie pobiegłabym do domu, tylko jak najdalej od niego. Chciałabym popędzić aż na most George'a Washingtona i dalej, przez New Jersey, Pensylwanię i Ohio, by zniknąć gdzieś w głębi kraju.

Tylko tak mogłabym się oderwać od tego, co zrobiłam w parku. I od dręczących przebłysków wspomnień z Pine Cottage, które kleją się do mnie jak przepocona koszula. A przede wszystkim znalazłabym się daleko od Sam. Nie chcę tutaj być, kiedy wyjdzie z przesłuchania. Boję się tego, co zobaczę, jakby jedno moje spojrzenie mogło naznaczyć jej twarz piętnem winy, równie jaskrawym i widocznym co jej czerwona szminka.

Mimo wszystko zostaję, chociaż nogi trzęsą mi się od tłumionego napięcia. Tak bardzo pragnę xanaxu, że niemal czuję na języku smak napoju winogronowego.

Zostaję, bo mogę się mylić co do Sam.

Bardzo chcę się mylić.

Co z tego, że była w Indianie w czasie, kiedy jeszcze żyła Lisa? Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa ich ścieżki nigdy się nie przecięły. Ostatecznie Indiana to duży stan, a Muncie nie jest jedynym miastem. To, że Sam się tam wybrała, nie znaczy wcale, że pojechała się spotkać z Lisą. Nie mam też żadnych powodów, aby podejrzewać, że ją zamordowała. Fakt, że w ogóle przyszło mi to do głowy, więcej mówi o mnie niż o niej.

Tak sobie przynajmniej powtarzam, podczas gdy mięśnie moich nóg kurczą się nerwowo, a ja dygoczę z zimna i zastanawiam się, co też Sam wygaduje w budynku za moimi plecami. Siedzi tam już dwadzieścia minut, znacznie dłużej niż ja. Lęk daje mi sójki w bok, irytuje mnie, sprawia, że jeszcze bardziej chcę stąd uciec.

Wyszarpuję z kieszeni komórkę i przeciągam opuszką kciuka po wyświetlaczu. Myślę, czy nie zadzwonić do Coopa i nie wyznać mu swoich grzechów, nawet jeśli miałby mnie za to znienawidzić. Poza ucieczką wydaje mi się to jedynym logicznym rozwiązaniem. Stawić czoła własnym przewinieniom. Niech się dzieje co chce.

Lecz w tej samej chwili przeszklone drzwi posterunku otwierają się i wychodzi przez nie Sam, uśmiechnięta jak dziecko, któremu upiekła się psota. Na widok tego uśmiechu moje serce ścisną się ze strachu. Boję się, że Sam powiedziała całą prawdę o minionej nocy. Co gorsza, obawiam się, że wie o moich podejrzeniach. Instynktownie

wyczuwa, co mi chodzi po głowie. Wystarczy jeden rzut oka na moją minę, aby jej uśmiech zbladł. Przechyliła głowę na bok i przygląda mi się badawczo.

– Wyluzuj, mała – mówi. – Trzymałam się scenariusza.

Ma ze sobą torebkę. Zwisa z jej przedramienia, dodając Sam jakiejś niepokojącej gracji. Chce mi ją oddać, ale robię krok do tyłu. Nie chcę jej dotykać. Nie chcę mieć nic wspólnego z Sam. Kiedy na piechotę wracamy z posterunku, trzymam się od niej na odległość wyciągniętego ramienia. Spacer jest dla mnie udręką. Moje ciało wciąż rwie się do biegania.

– Słuchaj – odzywa się Sam, widząc, co się dzieje. – Nie musisz się tak spinać. Powiedziałam tej suce wszystko tak, jak ustaliłyśmy. Babski wieczór. Wyprawa po pijaku do parku. Koleś, który ukradł mi torebkę.

– On ma imię i nazwisko – mówię. – Ricardo Ruiz.

Sam spogląda na mnie z ukosa.

– Od kiedy to imiona takich typków przechodzą ci przez gardło?

– Chyba nie mam innego wyjścia.

Czuję się zmuszona powtarzać je codziennie jak zdrowaśkę, pokutę za moje grzechy. Gdybym wiedziała, że to pomoże, nie wahałabym się ani przez moment.

– Żebyśmy miały zupełną jasność – nie odpuszcza Sam – o nim możemy mówić, ale mnie nadal nie wolno wypowiadać...

– Przestań.

Brzmi to jak smagnięcie batem, świszczące i tnące do żywego.

Sam kręci głową.

– Cholera, ależ ty jesteś spięta.

Mam do tego pełne prawo. Człowiek leży w śpiączce z mojego powodu. A Lisę zamordowano, podczas gdy Sam – najprawdopodobniej – była w Indianie.

– Gdzie byłaś, zanim przyjechałaś do Nowego Jorku? – pytam ją. – I nie mów: tu i tam. Chcę usłyszeć konkretną odpowiedź.

Sam milczy przez chwilę – dość długo, bym się zaczęła zastanawiać, czy nie rozważa w myślach kilku wariantów, niepewna, który będzie najlepszy. W końcu odpowiada:

– W Maine.

– Gdzie dokładnie?

– W Bangor. Zadowolona?

Nie. Nic mi to nie mówi.

Idziemy przed siebie na południe, coraz dalej w głąb parku. Po obu stronach ścieżki rosną czerwone dęby. Ich liście ostatkiem sił trzymają się gałęzi, a żołędzie spadają najwyraźniej już od jakiegoś czasu, tworząc u podstawy pni szerokie, nierówne kopczyki. Kilka spada akurat, gdy przechodzimy; w zetknięciu z ziemią wydają cichutki stukot.

– Ile czasu tam spędziłaś? – drażę.

– Czy ja wiem? Kilka lat?

– Wyjeżdżałaś gdzieś w tym czasie?

Sam unosi ramiona – torebka buja się gwałtownie – i przybiera wyniosły ton:

– Bez przesady. Tylko latem do Hamptons i na Riwierę zimą. Monako jest

doprawdy cudowne o tej porze roku.

– Pytam poważnie, Sam.

– A mnie poważnie zaczynają wkurzać te twoje pytania.

Mam ochotę potrząsnąć nią tak mocno, żeby prawda wypadła z niej w końcu z takim samym stukotem, jaki czynią opadające wokół żołędzie. Chcę, żeby mi wszystko wyśpiewała. Zamiast tego uciszam szalejącą we mnie burzę na tyle, aby powiedzieć:

– Po prostu wołałabym mieć pewność, że nie mamy przed sobą żadnych sekretów.

– Nigdy cię nie okłamałam, Quincy. Ani razu.

– Ale też nie opowiedziałas mi wszystkiego – zauważam. – Ja tylko chcę poznać prawdę, Sam.

– Na pewno?

Ruchem głowy wskazuje biegnącą przed nami ścieżkę, a do mnie dociera, jak daleko zaszliśmy. Sam wykorzystwała narzucony przeze mnie dystans na swoją korzyść, dyskretnie prowadząc mnie do miejsca, z którego uciekaliśmy ostatniej nocy.

Gliniarze zniknęli, zabierając ze sobą trzepoczącą na wietrze żółtą taśmę, a jedynym świadectwem ich obecności jest szeroka połać zdeptanej trawy, zrytej przez funkcjonariuszy szukających dowodów. Wbijam wzrok w ziemię, szukając śladów pozostawionych przez obcasiki detektyw Hernandez.

Na ścieżce, w miejscu, gdzie znaleziono Rocky'ego Ruiza, palą się znicze. Wysokie, smukłe, z obrazkami Matki Boskiej na bokach. Można je kupić za dolara w każdym sklepie spożywczym w mieście. Jest tam także tandetny miś tulący do siebie serce, naprędce nagryzmołony plakat z hasłem „Sprawiedliwość dla Rocky'ego” oraz wypełniony helem balonik na sznurku, którego koniec obwiązano wokół plastikowego ciężarka.

– Masz tutaj swoją prawdę – oznajmia Sam. – Nabroiłaś, mała, a ja cię kryję. Mogłam wszystko wyśpiewać na posterunku, ale tego nie zrobiłam. To cała prawda, jaką potrzebujesz znać.

Nic więcej nie dodaje. Nie musi. Wszystko jest jasne.

Rusza przed siebie. Nadal kieruje się na południe, Bóg jeden wie dokąd. Ja zostaję tam, gdzie byłam: strach, poczucie winy i wyczerpanie nie pozwalają mi drgnąć choćby na milimetr. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz przespałam całą noc. Na pewno przed przyjazdem Sam – co do tego nie mam żadnych wątpliwości. Od jej pojawienia się praktycznie nie wypoczywam i nie sądzę, aby miało się to wkrótce zmienić. Wyobrażam sobie kolejne bezsenne tygodnie, noce upływające pod znakiem koszmarów o Sam, Rockym Ruizie oraz Lisie, której morderca przemocą rozcina żyły.

– Idziesz? – pyta mnie Sam.

Przecząco kręcę głową.

– Jak sobie chcesz.

– A ty dokąd się wybierasz?

– Tu i tam – odpowiada Sam; jej głos ocieka sarkazmem. – Nie czekaj na mnie.

Odchodzi i tylko raz spogląda na mnie przez ramię. Chociaż nie uszła daleko, z jej mimiki nie sposób niczego wyczytać. Te same chmury, które sprowadziły do miasta chłód, zasnuły teraz popołudniowe słońce, rozproszyły jego blask i sprawiły, że połowa

twarzą Sam tonie w głębokim cieniu, druga zaś w oślepiającej poświacie.

## PINE COTTAGE

godzina 21.54

Zamiast eleganckiej kolacji, jakiej pragnęła Janelle, odbył się dziwny, krępujący spektakl, udawane przyjęcie dla dorosłych. Rozlano wino do kieliszków. Podano posiłek. Wszyscy skupiali się na tym, żeby przypadkiem nie zachłapać ubrania, marząc w duchu, aby rzucić w końcu cisnące pod szyję krawaty oraz idiotyczne wyjściowe sukienki. Jeden tylko Joe wyglądał na jako tako zrelaksowanego, swobodny w swoim znoszonym swetrze i kompletnie nieświadomy, jak bardzo wyróżnia się przez to na tle pozostałych.

Atmosfera rozluźniła się przy deserze, gdy Quincy wniosła tort urodzinowy z dwudziestoma płonącymi świeczkami. Zdmuchnąwszy je, Janelle sięgnęła po nóż, którym zraniła się w palec, i użyła go do pokrojenia tortu na nierówne porcje.

Dopiero wtedy zaczęła się prawdziwa impreza – ta, którą przez cały dzień odlewali. Zmieszano drinki. Zawartość kolejnych butelek trafiała do jednorazowych kubków, których zapasy topniały w zastraszającym tempie. Muzyka grzmiała z iPod'a i przywiezionych przez Craiga przenośnych głośników. Beyoncé. Rihanna. Timberlake. T.I. Wykonawcy, których kawałki puszczała w akademiku, tyle że teraz wreszcie słuchali ich głośniej, bez oporów, na cały regulator.

Tańczyli w salonie z uniesionymi do góry kubkami, rozchlapując wokół drinki. Quincy nie piła alkoholu. Wybrała dietetyczną colę, co w żaden sposób nie popsło jej humoru. Tańczyła razem ze wszystkimi, płasząc na środku dużego pokoju, otoczona przez Craiga, Betz i Rodneya. Amy była tuż obok i ze śmiechem trącała ją biodrem.

Janelle dołączyła do nich z aparatem w dłoni i pstryknęła Quincy fotkę. Ta uśmiechnęła się, przybrała odpowiednią pozę i wykonała szybki układ choreograficzny w stylu disco, który przyprawił Janelle o atak śmiechu. Quincy także się śmiała. Im dłużej ściany wirowały, a ona bawiła się w rytm pulsującej muzyki, tym bardziej nie potrafiła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio czuła się równie dobrze, wolna i szczęśliwa. Oto tańczy ze swoim przystojnym chłopakiem, obejmuje najlepszą przyjaciółkę – tak zawsze wyobrażała sobie wymarzone studenckie życie.

Po kilku piosenkach zmęczeni się i Janelle znów napełniła kubki. Amy i Betz wyciągnęły się wygodnie na podłodze. Rodney wyjął fajeczkę do palenia marihuany i triumfalnie podniósł ją do góry. Kiedy wyszedł na taras za domem, Janelle, Craig oraz Amy otoczyli go ciasno w oczekiwaniu na macha.

Quincy nie lubiła trawy. Kiedy pierwszy i jedyny raz próbowała ją palić, najpierw zaniósł się kaszlem, potem śmiechem, potem znowu kaszlem. Później czuła się rozbita i zdezorientowana, co odebrało jej całą frajdę z ewentualnego haju. Podczas gdy inni palili, ona sączyła w środku swoją colę, którą – była tego prawie pewna – Janelle pod jej nieuwagę wzmocniła rumem. Betz, która słynęła ze słabej głowy, po trzech wódkach z sokiem żurawinowym zaległa pijana na podłodze.

– Quincy – odezwała się nagle, chuchając na nią tanim alkoholem – nie musisz tego robić.

– Czego?

– Pieprzyć się z Craigiem. – Betz zachichotała, jakby pierwszy raz w życiu zdarzyło jej się przekląć.

– Może chcę.

– Janelle cię do tego pcha – odparła Betz. – Głównie dlatego, że sama chętnie by to zrobiła.

– Upiłaś się, Betz. Gadasz bzdury.

Betz nie dawała za wygraną.

– Mam rację. Wiem, że tak.

Ponownie zanosła się chichotem, który Quincy ze wszystkich sił starała się zignorować. Mimo to pijacki śmiech koleżanki rozbrzmiewał w jej uszach, gdy wyszła do kuchni. Brzmiała w nim dziwna pewność, jakby aluzja do czegoś, co wszyscy poza Quincy zdawali się w mig pojmować.

W kuchni zastała Joego; oparty o blat ścisnął w rękach któryś z przyrządzonych przez Janelle zabójczych koktajli. Jego widok ją zaskoczył. Od kolacji zachowywał się tak cicho, że zdążyła zapomnieć o jego obecności. To samo dotyczyło pozostałych – nawet Janelle, która porzuciła go niczym dziecko nową zabawkę w bożonarodzeniowe popołudnie.

Tymczasem on był tu przez cały ten czas. Obserwował ich przez brudne szkła swoich okularów, patrzył, jak piją i tańczą. Ciekawe, co sądził o ich frywolnym zachowaniu. Odczuwał zadowolenie? A może zazdrość?

– Dobrze tańczysz – zauważył, nie odrywając spojrzenia od wnętrza swojego kubka.

– Dzięki? – zabrzmiało to jak pytanie, jakby Quincy nie całkiem mu dowierzała. – Jeżeli się nudzisz, mogę cię odwieźć do miejsca, gdzie zostawiłeś samochód.

– Nie trzeba. Nie powinnaś teraz prowadzić.

– Nie piłam alkoholu – podkreśliła Quincy, choć coraz bardziej wyglądało to na kłamstwo. Przekłęta Janelle. Zaczynało jej delikatnie szumieć w głowie. – Przykro mi, że Janelle tak naciskała, żebyś z nami został. Potrafi być bardzo, hm, przekonująca.

– Dobrze się bawię – zapewnił ją Joe, chociaż zabrzmiało, jakby było dokładnie na odwrót. – Bardzo jesteś miła.

Quincy znów mu podziękowała, po raz kolejny słysząc we własnym głosie niepewny ton. Niewidzialny znak zapytania.

– I ładna – dodał Joe, ośmielając się wreszcie podnieść wzrok znad kubka. – Uważam, że jesteś bardzo ładna.

Quincy przyjrzała mu się. Naprawdę mu się przyjrzała. Dzięki temu zdołała wreszcie dostrzec to, co wcześniej zdawała się widzieć Janelle. Rzeczywiście był przystojny, w dziwny, trochę gamoniowaty sposób. Jak ci frajerzy w filmach, którzy rozkwitają z chwilą, gdy zdejmą okulary. Z nieśmiałej twarzy biła jakaś intensywność, która sprawiała, że każde słowo nabierało w jego ustach powagi i znaczenia.

– Dziękuję – powtórzyła, tym razem szczerze. I bez domyślnego znaku zapytania.

W tym momencie do chaty wpadła reszta towarzystwa, rozbawiona i podkręcona trawką. Rodney zarzucił sobie Amy na ramię i wniósł ją, piszczącą, do salonu. Janelle i Craig podtrzymywali się nawzajem z błogimi uśmiechami na twarzach. Janelle

szczupłym ramieniem obejmowała Craiga w pasie. Nie puściła go nawet, gdy ten ruszył chwiejnie w stronę Quincy, tylko podążyła za nim, uczepona jego boku wyciągniętą ręką.

– Quincy! – odezwała się. – Omija cię cała zabawa.

Jej zaczerwienione policzki błyszczały. Do skroni przylgnął kosmyk pociemniałych od potu włosów. Kiedy się okazało, że w kuchni oprócz Quincy jest jeszcze Joe, twarz Janelle spochmurniała. Szybko przeniosła spojrzenie z chłopaka na przyjaciółkę i z powrotem.

– Tutaj jesteś! – zwróciła się do Joego, witając go niczym dawno zaginionego przyjaciela. – Szukałam cię!

Zaprowadziła go do jednego ze sfatygowanych foteli w salonie i wcisnęła się obok na siedzenie, podciągając nogi, aby jej kolana znalazły się na podołku chłopaka.

– Dobrze się bawisz? – zagadnęła.

Quincy odwróciła wzrok i skupiła całą uwagę na zbliżającym się do niej Craigu. On także był pijany i na haju, nie chichotał jednak głupio jak Betz, nie był też pobudzony tak jak Janelle. Była w nim łagodność nadająca ruchom umięśnionego ciała leniwą miękkość, którą Quincy uznała za niezwykle pociągającą. Przycisnął ją do siebie, aż poczuła buchający od niego żar, i wyszeptał:

– Masz dziś ochotę pofiglować?

– Jasne – odszepnęła Quincy.

Poczuła, że prowadzi ją w głąb korytarza. Nie umknęło jej krytyczne spojrzenie, jakim obrzuciła ją Betz, gdy ją mijali. Odwróciła się jeszcze i zerknęła na Janelle, która, wciąż wciśnięta w fotel i głaszcząc włosy Joego, udawała tylko, że jest nim zajęta. W istocie nie odrywała wzroku od odchodzącej Quincy. Jej oczy błyszczały w półmroku – z zadowolenia czy z zazdrości, tego Quincy nie potrafiła stwierdzić.



Wyczerpanie dopada mnie zaraz po powrocie do domu. Udaje mi się dotrzeć do salonu, gdzie padam na kanapę, zagrzebuję twarz w poduszkach i w mgnieniu oka zasypiam. Budzę się dopiero po kilku godzinach. Obok klęczy Jeff i potrząsa moim barkiem.

– Hej – mówi z zatroskaną miną. – Dobrze się czujesz?

Siadam i mrużę zaspane oczy w promieniach zachodzącego słońca, które wlewa się do środka przez szybę.

– Znakomicie. Po prostu byłam zmęczona.

– A gdzie Sam?

– Wyszła.

– Wyszła?

– Zwiedzić miasto. Chyba miała dość kiszenia się w domu.

Jeff cmoka mnie w usta.

– Skąd ja to znam. My też powinniśmy gdzieś wyjść.

Udaje, że właśnie na to wpadł, choć wyraźnie wyczuwam w jego słowach pewną sztuczność; od kilku dni musiał wyczekiwać wieczoru wolnego od towarzystwa Sam.

Przystaję na jego pomysł, chociaż wcale nie mam ochoty wychodzić z domu. Plecy, ramiona i kark są boleśnie zeszytywniałe ze zmęczenia i strachu. Poza tym jest jeszcze moja strona i harmonogram pieczenia, który niebezpiecznie zaczyna wymykać się spod kontroli. Gdybym była odpowiedzialna, łyknęłabym proszek przeciwbólowy i spędziła wieczór w kuchni, nadrabiając zaległości. Jednak nieodpowiedzialna Quincy pragnie czegoś, co odwróci jej uwagę od myśli, że nie wie o Sam absolutnie nic. Dlaczego przyjechała. Co zamierza. Ani kim naprawdę jest.

Przyjęłam pod swój dach kompletnie obcą osobę.

Przez to sama stałam się sobie obca. Jestem teraz kimś, kto potrafi w Central Parku sprać nieznanego na kwaśne jabłko, a potem w żywe oczy kłamać na ten temat policji. Kobieta, która dawniej była przeszczęśliwa z Jeffem, a teraz tęskni za samotnością.

Za naszymi plecami zachodzi słońce. Mój cień wyprzedza mnie na chodniku o kilka kroków, ciemny i smukły. Dociera do mnie, że mam z nim więcej wspólnego niż z dziewczyną, której sylwetkę odwzorowuje. Czuję się równie niematerialna. Zupełnie jakbym z nadejściem ciemności też miała się rozwiać i zniknąć.

Po przejściu kilku przecznic wstępujemy do francuskiego bistra, które oboje zawsze chwalimy, choć rzadko do niego zaglądamy. Pomimo niskiej temperatury wybieramy stolik na zewnątrz i kulimy się z chłodu na krzesłach: Jeff w kurtce ze sklepu z używaną odzieżą, kupionej w okresie krótkotrwałej fascynacji modą lat osiemdziesiątych, ja w rozpinanym swetrze z szalowym kołnierzem.

Jak ognia unikamy wszelkich wzmianek o Sam. Nie rozmawiamy też o sprawie Jeffa, więc kiedy wybieramy z karty ratatouille i cassoulet, nie zostaje nam wiele tematów, które moglibyśmy poruszyć. Nie mam w ogóle apetytu. Zmuszam się, żeby cokolwiek przełknąć. Każdy najmniejszy kąsek staje mi w gardle i tkwi tam, dopóki nie

popiję go domowym czerwonym winem. Mój kieliszek opróżnia się w rekordowym tempie.

Kiedy sięgam po karafkę, Jeff zauważa wreszcie otarcia na mojej dłoni.

– Ejże! – mówi. – A co to takiego?

To idealny moment, żeby mu o wszystkim opowiedzieć. Przyznać się, że o mały włos zabiłabym człowieka. Opisać, jak bardzo się boję, że policja wpadnie na mój trop. Jeszcze bardziej zaś tego, że znowu przypomni mi się coś z Pine Cottage. Dodać, że Sam była w Indianie w czasie, kiedy zamordowano Lisę.

Zamiast tego przyklejam na twarz sztuczny uśmiech i ze wszystkich sił staram się odgrywać własną matkę. Nic się nie stało, wszystko jest w jak najlepszym porządku. Tak będzie, jeżeli tylko dostatecznie mocno w to uwierzę.

– Nic, zwykle oparzenie – odpowiadam, nadając słowom odpowiednią lekkość. – Rano zachowałam się jak ostatnia idiotka i dotknęłam blachy, gdy była jeszcze rozgrzana.

Próbuję cofnąć dłoń, lecz Jeff chwyta ją i studiuje topografię strupów na moich knykciach.

– Paskudnie to wygląda, Quinn. Boli?

– Właściwie nie. Tylko szpeci.

Ponownie próbuję zabrać rękę, lecz Jeff jej nie puszcza.

– Ręka ci drży.

– Serio?

Patrzę na ulicę, pozorując zainteresowanie przejeżdżającym akurat cadillakiem escalade. Za nic nie spojrzę teraz Jeffowi w oczy. Nie wtedy, gdy tak uroczo się o mnie troszczy.

– Obiecuj mi, że jeśli nie będzie się goić, pokażesz to lekarzowi.

– Zgoda – rzucam pogodnie. – Obiecuję.

Dopijam wino, opróżniam karafkę, i zamawiam nową, zanim Jeff zdąży zaprotestować. Szczerze mówiąc, właśnie tego teraz potrzebuję. Alkohol w połączeniu z zażytym zaraz po powrocie z parku xanaxem sprawia, że czuję się rozkosznie odprężona. Ból pleców i karku mija bez śladu. Nie myślę już nawet o Sam, Lisie ani Rockym Ruizie. Jeżeli któreś mi się przypomina, sięgam po prostu po kieliszek i problem znika.

W drodze powrotnej z bistra Jeff trzyma mnie za zdrową rękę. Gdy stajemy przed przejściem dla pieszych, nachyla się, żeby mnie pocałować. Jego język dosłownie na sekundę wsuwa się między moje wargi, lecz to wystarcza, abym poczuła dreszcz pożądania. W windzie całujemy się już na całego, ignorując zainstalowaną w rogu kamerę i spoconego, tłustego ochroniarza, który najprawdopodobniej ogląda nas na monitorze w piwnicy.

Ledwo przekraczamy próg mieszkania, jeszcze w przedpokoju osuwam się na kolana i biorę go do ust. Myśl, że sąsiedzi z pewnością słyszą przez ściany głośne jęki Jeffa, sprawia mi przyjemność. Kiedy jego dłoń przytrzymuje moją głowę w miejscu, wyciągam rękę i zaciskam jego palce na swoich włosach w nadziei, że za nie pociągnie.

Chcę, żeby bolało. Chociaż trochę.

Zasłużyłam na ból.

Później, w łóżku, Jeff pozwala mi wybrać film. Wybieram *Zawrót głowy*. Kiedy na ekranie pojawiają się pierwsze psychodeliczne napisy w technikolorze, przytulam się mocno do Jeffa i obejmuję ramieniem jego klatkę piersiową. Oglądamy film w milczeniu. Jeff większość przesypia, budzi się jednak w kulminacyjnym momencie, gdy Jimmy Stewart ciągnie biedną Kim Novak po schodach dzwonnicy, błagając, aby wyznała mu prawdę.

– Nie muszę jechać – mówi, kiedy film dobiega końca. – Do Chicago. Mogę zostać, jeżeli chcesz.

– Przecież od tego wiele zależy. Poza tym nie wyjeżdżasz na długo, prawda?

– Na trzy dni.

– Zlecą nie wiadomo kiedy.

– Możesz pojechać ze mną. To znaczy, gdybyś miała ochotę.

– Nie będziesz zajęty?

– Gorzej, będę zarobiony. Ale w tym czasie mogłabyś się dobrze bawić. Uwielbiasz Chicago. Tylko pomyśl: fajny hotel, pizza na grubym cieście, muzea.

Z głową na ramieniu Jeffa słyszę, jak rytm jego serca przyspiesza. Naprawdę mu zależy, żebym z nim pojechała. Ja też tego chcę. Z radością zamienię to miasto na inne, choćby na kilka dni. Przez ten czas zdążę zapomnieć, czego się dopuściłam.

Ale nie mogę. Nie, kiedy jest tutaj Sam. Prowadząc mnie dzisiaj do miejsca, w którym zmasakrowałam Rocky'ego Ruiza, jasno dała do zrozumienia, że swoim milczeniem wyświadcza mi przysługę. Jeden fałszywy ruch z mojej strony wystarczy, aby zaburzyć delikatną równowagę naszego życia. Sam ma teraz władzę nas zniszczyć.

– A co z Sam? – pytam. – Nie możemy jej tak po prostu zostawić.

– To nie pies, Quinn. Przez parę dni może się sama o siebie zatroszczyć.

– Źle bym się z tym czuła. Zresztą niedługo i tak stąd przecież wyjedzie.

– Nie w tym rzecz – stwierdza Jeff. – Martwię się o ciebie, Quinn. Coś jest nie tak.

Od kiedy się pojawiła, dziwnie się zachowujesz.

Powoli się od niego odsuwam. Wieczór był taki udany, dopóki nie zaczął gadać.

– Sporo się ostatnio działo.

– Wiem, że to dla ciebie trudny czas. Jesteś zestresowana, ale czuję, że chodzi o coś jeszcze. Coś, o czym mi nie mówisz.

Kładę się na wznak i zamykam oczy.

– Wszystko gra.

– Przysięgasz, że powiedziałaś mi, gdyby tak nie było?

– Tak. A teraz błagam, przestań mnie już wypytywać.

– Po prostu chcę mieć pewność, że poradzisz sobie, kiedy wyjadę – tłumaczy Jeff.

– Oczywiście, że sobie poradzę. Będzie ze mną Sam.

Jeff odwraca się do mnie tyłem.

– Właśnie to mnie niepokoi.

W oczekiwaniu na sen leżę przez godzinę na plecach, uspokajam oddech i wmawiam sobie, że lada moment wpadnę w objęcia Morfeusza. Jednak w głowie mam chaos. Moje myśli nie dają się kontrolować, nieśpieszno im na spoczynek. Wyobrażam je sobie jako psychodeliczne, nieprzerwanie wirujące spirale ze słynnej sekwencji snu

z *Zawrotu głowy*. Każda myśl jest innego koloru. Czerwone dotyczą morderstwa Lisy. Zielone Jeffa i jego troski o mnie. Niebieskie zapewnien Jonah Thompsona twierdzącego, że Sam mnie okłamuje.

Spirala Sam jest czarna i prawie niewidoczna w mroku spowijającym mój udręczony umysł.

Kiedy mija pierwsza w nocy, wstaję z łóżka i po cichu wychodzę na korytarz. Drzwi pokoju gościnnego są zamknięte. Przez szczelinę u dołu nie sączy się światło. Sam mogła wrócić albo i nie. Nawet kwestia jej obecności w mieszkaniu pozostaje niewyjaśniona.

W kuchni odpalam swój laptop. Skoro i tak nie śpię, równie dobrze mogę nadrobić zaległości i popracować nad swoim blogiem. Jednak zamiast wejść na stronę ze *Słodkościami Quincy*, otwieram pocztę. W skrzynce odbiorczej mam dziesiątki nowych wiadomości od dziennikarzy, niektóre nadesłane z tak odległych krajów jak Francja, Anglia czy Grecja. Przewijam je pośpiesznie – adresy zlewają się ze sobą, tworząc niewyraźną plamę – i zamieram dopiero na widok e-maila, który nie został wysłany przez żadnego reportera.

*Lmilner75*

Otwieram wiadomość, chociaż jej treść wryła mi się w pamięć. Ma kolor neonowego różu, jeśli miałabym się posłużyć przyjętą dla swoich myśli skalą barw z *Zawrotu głowy*.

*Quincy, muszę z Tobą porozmawiać. To bardzo ważne. Błagam, nie zlekceważ tego.*

– Co ci się przydarzyło, Liso? – szepczę. – Co było takie ważne?

Otwieram przeglądarkę i wchodzę w Google. Wpisuję nazwisko Sam i otrzymuję przewidywalną zbieraninę trafień: relacje z wydarzeń w motelu Nightlight Inn, doniesienia o śmierci Lisy i Ocalałych. Jest też garść wzmianek o zniknięciu Sam, lecz ani jednej wskazówki odnośnie do tego, gdzie mogła w tym czasie przebywać.

Kiedy wstukuję w wyszukiwarkę „Tina Stone”, zasypuje mnie lawina informacji o niezliczonych kobietach noszących to imię i nazwisko. Na ekranie wyświetlają się linki do profili na Facebooku i LinkedIn, a nawet nekrologów. Dowiedzenie się czegokolwiek o konkretnej Tinie Stone wydaje się niemożliwe. Zastanawia mnie, czy Sam zdawała sobie z tego sprawę, wybierając nową tożsamość. Może tak jak ja natknęła się w internecie na gąszcz osób o tym nazwisku i postanowiła się w nim ukryć, wiedząc, że nikt jej tam nie znajdzie.

Wychodzę z przeglądarki i raz jeszcze klikam na e-mail od Lisy.

*Quincy, muszę z Tobą porozmawiać. To bardzo ważne. Błagam, nie zlekceważ tego.*

W mojej wyobraźni na czytaną wiadomość nakładają się słowa Jonah Thompsona, całkowicie zmieniające jej treść.

„Chodzi o Samanthę Boyd. Ona cię okłamała”.

Już mam przeprowadzić nowe wyszukiwanie, gdy słyszę za sobą jakiś dźwięk. Jakby stłumiony kaszel. Albo delikatne skrzypienie podłogi. Czuję czyjaś obecność, tuż

za moimi plecami. Zatrząskuję laptop, odwracam się i widzę Sam, która stoi w ciemnej kuchni milcząca i nieruchoma. Ramiona ma opuszczone luźno po bokach, wyraz twarzy nieodgadniony.

– Przestraszyłaś mnie – mówię. – Kiedy wróciłaś?

Wzrusza ramionami.

– Długo tak stoisz?

Kolejne wzruszenie ramion. Mogła tu być przez cały czas albo przez ułamek sekundy, nigdy się tego nie dowiem.

– Nie możesz spać?

– Nie – odpowiada. – A ty?

Teraz ja wzruszam ramionami. Możemy długo grać w tę grę.

Kąciaki warg Sam drżą lekko w powściąganym uśmiechu.

– Mam coś, co ci pomoże.

Pięć minut później siedzę na łóżku Sam z butelką burbona Wild Turkey, usiłując powstrzymać drżenie rąk, podczas gdy Sam maluje mi paznokcie. Lakier jest czarny i lśniący – czubki palców wyglądają jak unurzane w ropie naftowej. Pasuje do strupów barwy rdzy na moich knykciach.

– Dobrze ci w tym kolorze – zauważa Sam. – Dodaje tajemniczości.

– Jak się nazywa ten odcień?

– „Czarna śmierć”. Okazja z Bloomingdale’a.

Kiwam głową, wiedząc doskonale, o jakiej okazji mowa: takiej, która czyni złodzieja.

Przez kilka minut zgodnie milczymy. Potem Sam rzuca niespodziewane pytanie:

– Przyjaźnimy się, no nie?

Kolejne z jej pytań, w którym kryją się inne, niewypowiedziane. Odpowiedzieć na jedno znaczy odpowiedzieć na wszystkie.

– Oczywiście – mówię.

– To dobrze. Cieszę się Quinn. Bo wyobraź sobie tylko, co by było, gdybyśmy się nie przyjaźniły.

Staram się wyczytać coś z jej twarzy, lecz ta jest pusta jak przetarta gąbką tablica.

– O co ci chodzi?

– O to, że teraz tyle o tobie wiem – odpowiada cicho Sam. – Wiem, do czego jesteś zdolna. I co zrobiłaś. Gdybyśmy nie były przyjaciółkami, miałabym ci czym zagrozić.

Moje ręce sztywnieją w jej dłoniach. Powstrzymuję się, aby ich nie wyrwać i nie wybiec z pokoju z na wpół pomalowanymi, uczernionymi paznokciami. Zamiast tego posyłam jej słodkie spojrzenie, licząc, że się na nie nabierze.

– Nigdy do tego nie dojdzie – mówię. – Ty i ja jesteśmy przyjaciółkami na śmierć i życie.

– To dobrze – mruczy Sam. – Cieszę się.

W pokoju ponownie zapada cisza i trwa przez kolejnych pięć minut. Wówczas Sam wtyka pokryty czarnym lakierem pędzelek z powrotem do buteleczki, uśmiecha się sztywno i oznajmia:

– Skończyłam.

Wychodzę, zanim paznokcie zdążą porządnie wyschnąć, zmuszona nieporadnie obrócić gałkę w drzwiach. Na korytarzu dmucham na palce i czekam, by lakier zmienił się w błyszcząca, twardą powłokę. Potem wracam do sypialni i upewniam się, że Jeff mocno śpi, zanim wśliznę się do przyległej łazienki.

Nie zadaję sobie trudu, aby zapalić światło. Tak jest lepiej. Kładę się na wznak na posadzce, czując pod łopatkami lodowate płytki, po czym wybieram numer Coopa. Mam go stale w pamięci.

Muszę odczekać kilka sygnałów, zanim odbierze. Kiedy się wreszcie odzywa, głos ma zachrypnięty od snu.

– Quincy?

Sam dźwięk jego głosu sprawia, że czuję się lepiej.

– Coop – mówię – chyba mam kłopoty.

– Jakiego rodzaju?

– Wpakowałam się w coś, z czego nie potrafię wybrnąć.

Słyszę cichy szelest pościeli, gdy Coop siada w łóżku. Przychodzi mi do głowy, że może nie być sam. Całkiem możliwe, że spędza z kimś noc, a ja nic o tym nie wiem.

– Zaczynam się niepokoić – odpowiada. – Powiedz mi dokładnie, co się dzieje.

Nie potrafię. To jest w tym wszystkim najbardziej pokręcone. Nie potrafię zwierzyć się Coopowi ze swoich podejrzeń wobec Sam, nie wspominając zarazem o potworności, jakiej się dopuściłam. Jedno z drugim jest ściśle, nierozzerwalnie związane.

– To nie jest dobry pomysł – odpowiadam.

– Chcesz, żebym przyjechał?

– Nie. Chciałam tylko usłyszeć twój głos. I przekonać się, czy masz dla mnie jakąś radę.

Coop odchrząkuje.

– Ciężko jest udzielać rad, nie wiedząc, o co chodzi.

– Proszę cię – naciskam.

W słuchawce na moment zapada cisza. Wyobrażam sobie, że Coop wyślizguje się z łóżka i zakłada mundur, przygotowuje się, aby wsiąść w samochód i pospieszyć mi z pomocą, czy tego chcę, czy nie. W końcu odzywa się:

– Jedyne, co mogę ci doradzić, to: jeśli znalazłaś się w trudnej sytuacji, musisz po prostu wziąć to na klatę.

– A jeśli nie potrafię?

– Quincy, jesteś silniejsza, niż ci się wydaje.

– Wcale nie – zaprzeczam.

– Jesteś cudem i nawet o tym nie wiesz – mówi Coop. – Większość dziewcząt na twoim miejscu zginęłaby tamtej nocy w Pine Cottage. Ale nie ty.

Powraca przebłysk przerażającego, hipnotyzującego wspomnienia, które nawiedziło mnie w parku. On. Przykucnięty na podłodze chaty. Dlaczego przypomniałam sobie akurat coś takiego?

– Żyję tylko dlatego, że mnie uratowałaś – odpowiadam.

– Nie – zapewnia Coop. – Sama też byś się uratowała. Tak więc bez względu na to, w co się wpakowałaś, wiem, że masz w sobie dość siły, aby się z tego wyplątać.

Przytakuję, choć wiem, że tego nie widzi. Robię tak, bo myślę, że to by go ucieszyło.

– Dziękuję – mówię. – Przepraszam, że cię obudziłam.

– Nigdy nie przepraszaj za to, że szukasz u mnie pomocy. Po to jestem.

Wiem i odczuwam bezgraniczną wdzięczność.

Coop się rozłącza, a ja zostaję, gdzie jestem. Patrzę, jak zegar u góry wyświetlacz komórki odlicza jedną minutę, potem następną. Gdy mija ich jednaście, wiem już, co muszę zrobić, choć na samą myśl skręca mnie w żołądku.

Wyszukuję w komórce wiadomość – jedną z wielu – którą przysłał mi Jonah Thompson – i odpisuję drżącymi palcami.

*Jestem gotowa porozmawiać. Bryant Park. Punktualnie o 11.30.*

Późne przedpołudnie.

Bryant Park.

Cisza i spokój poprzedzają nieuchronny najazd tłumów w porze lunchu. Parę osób wymknęło się wcześniej ze swoich boksów w okolicznych biurach i ciągnie w stronę parku. Skryta w cieniu Nowojorskiej Biblioteki Publicznej obserwuję ich, zazdroszcząc im komitywy i beztrudnego życia.

Poranek jest słoneczny, choć nadal dość chłodny. Górujące nad ścieżkami baldachy liści przybrały kolor przydymionego złota. Oplatający pnie drzew bluszcz daje przedsmak zimowej scenerii.

W przeciwległym krańcu parku postrzegam Jonah Thompsona; w tłumie kołysze się jego jasna głowa. Ubrany jest jak na pierwszą randkę, w sportową marynarkę z poszetką oraz spodnie typu chino w kolorze burgunda, z mankietami przy nogawkach. Zauważam, że nie ma skarpetek, chociaż zaczęły się już październikowe przymrozki. Cholerny lalusz!

Ja mam na sobie te same rzeczy co wczoraj – rano byłam zbyt zmęczona, żeby szukać czegoś świeżego. Rozmowa telefoniczna z Coopem uspokoiła mnie na tyle, że zdołałam się w końcu zdrzemnąć, lecz pięć, sześć godzin snu to za mało, żeby nadrobić zaległości z poprzednich dni tygodnia.

Jonah podchodzi do mnie i oznajmia z uśmiechem:

– Nie byłem pewien, czy przyjdiesz. Założyliśmy się nawet z kolegą o dziesiątaka.

– Gratuluję – mamroczę. – Właśnie wygrałeś dziesięć dolców.

Jonah kręci głową.

– Stawiałem, że się nie zjawisz.

– A jednak jestem.

Nie staram się nawet ukryć znużenia. Mój głos brzmi, jakbym cierpiała na chroniczną bezsenność albo potworną migrenę. W rzeczywistości doskwiera mi jedno i drugie. Ból głowy przyczał się tuż za oczami i zmusza mnie do mrużenia powiek.

– I co teraz? – pyta Jonah.

– Teraz masz dokładnie minutę na przekonanie mnie, że powinnam zostać.

– Zgoda – mówi, zerkając na zegarek. – Ale zanim zaczniemy odmierzać czas, chciałbym ci zadać jedno pytanie.

– Jakżeby inaczej.

Jonah drapie się po głowie. Jego włosy nie poruszają się choćby o milimetr. Musi poświęcać mnóstwo czasu na ich pielęgnację. Jak kot albo te małpy, które wciąż się iskają.

– Czy ty mnie w ogóle pamiętasz? – pyta.

Pamiętam, jak sterczał na chodniku przed moim domem. I jak zarzygałam mu buty. A przede wszystkim jak wyjawiał mi straszliwą prawdę o śmierci Lisy Milner. Poza tym jednak nie mam żadnych wspomnień związanych z Jonah Thompsonem, o czym ten wnioskuje z mojego przedłużającego się milczenia.

– Nie pamiętasz mnie – stwierdza.



– A powinnam?

– Studiowaliśmy razem, Quincy. Chodziłem z tobą na wykłady z psychologii.

A to niespodzianka – głównie dlatego, że Jonah okazuje się o dobre pięć lat starszy niż dotąd sądziłam. Chyba że się myli.

– Jesteś pewien? – dopytuję.

– Całkowicie. Wykłady odbywały się w Tamburro Hall. Siedziałem rząd za tobą, chociaż nie obowiązywały nas stałe miejsca.

Dobrze pamiętam aulę w Tamburro Hall, półokrągłą i pełną przeciągów. Rzędy miejsc rozmieszczono na podium tak stromym, że kolana osoby siedzącej z tyłu dotykały niemal głów kolegów w rzędzie niżej. Po upływie pierwszego tygodnia każdy miał w zasadzie ustalone miejsce. Ja siedziałam w głębi auli, nieco na lewo.

– Przykro mi – odpowiadam – ale w ogóle cię nie pamiętam.

– Za to ja pamiętam ciebie – stwierdza Jonah. – Przed wykładem wiele razy witałaś się ze mną, siadając.

– Naprawdę?

– Tak. Byłaś bardzo miła. Zawsze wyglądałaś na taką szczęśliwą.

Szczęśliwa; z ręką na sercu nie przypominam sobie, kiedy ostatni raz ktoś opisał mnie tym przymiotnikiem.

– Siedziałaś zawsze obok tej samej dziewczyny – ciągnie Jonah. – Często się spóźniała.

Mówi o Janelle, która rzeczywiście wślizgiwała się do auli zwykle po rozpoczęciu wykładu, najczęściej na kacu. Kilkakrotnie zdarzyło jej się przysnąć z głową na moim ramieniu. Po wykładzie dawałam jej odpisywać notatki.

– Przyjaźniłyście się – zauważa Jonah. – Przynajmniej tak mi się wydawało. Ale może się mylę. Pamiętam, że często się sprzeczałyście.

– Nie sprzeczałyśmy się – protestuję.

– Ależ tak. W waszych wzajemnych relacjach było sporo biernej agresji. Jakbyście tylko udawały najlepsze przyjaciółki, a w rzeczywistości nie znosiły się nawzajem.

Niczego takiego nie pamiętam, co nie znaczy, że to nieprawda. Najwyraźniej konflikty między nami zdarzały się dostatecznie często, żeby Jonah je zapamiętał.

– Byłyśmy najlepszymi przyjaciółkami – mówię cicho.

– O Chryste! – wzdycha Jonah, udając, kompletnie niewiarygodnie, że dopiero teraz dodał dwa do dwóch. Musiał wiedzieć już wcześniej: po pewnym październikowym weekendzie z dwóch siedzących przed nim w auli dziewcząt żadna nie wróciła na studia. – Nie powinienem o tym wspominać.

Faktycznie, nie powinien. Wygarnęłabym mu, co o tym myślę, gdyby nie ten koszmarny ból głowy. Chcę jak najszybciej zmienić temat.

– Skoro ustaliliśmy już, że mam kiepską pamięć, pora, żebyś mi powiedział, po co przyszedłeś – oświadczam. – Masz minutę, licząc od teraz.

Jonah zaczyna bez wahania, niczym biegły w swojej gadce sprzedawca. Podejrzewam, że musiał wcześniej ćwiczyć: w jego gładkich słowach słychać echo licznych powtórzeń.

– Dałaś mi jasno do zrozumienia, że nie chcesz rozmawiać o swoich przeżyciach.

Rozumiem to i szanuję tę decyzję. Nie chodzi jednak o twoją przeszłość, Quincy, chociaż wiedz, że jestem do dyspozycji, gdybyś kiedykolwiek miała ochotę pogadać. Temat na dziś to Samantha Boyd i jej przeszłość.

– Powiedziałaś, że mnie okłamała. W jakiej sprawie?

– Zaraz do tego dojdę – obiecuje. – Ale na początek chciałbym zapytać, co właściwie o niej wiesz.

– Dlaczego Sam tak cię interesuje?

– Nie tylko mnie, Quincy. Powinnaś była widzieć, jakie zainteresowanie wzbudził artykuł o was dwóch. Internauci dosłownie oszaleli.

– Jeżeli jeszcze raz o tym wspomnisz, pójdę sobie.

– Przepraszam – mamrocze Jonah. Tył karku lekko mu czerwienieje. Miło jest wiedzieć, że choć trochę wstydy się tego, co zrobił. – Wróćmy lepiej do Sam.

– Chcesz wyciągnąć ze mnie jakieś brudy na jej temat – domyślam się.

– Skąd – zaprzecza, odrobinę zbyt piskliwie, żebym mu uwierzyła. – Po prostu chciałbym, żebyś podzieliła się ze mną swoją wiedzą. Niech to będzie taka krótka charakterystyka.

– Rozmawiamy oficjalnie czy nieoficjalnie?

– Wolałbym oficjalnie – przyznaje Jonah.

– Nie ma mowy. – Koleś coraz bardziej mnie irytuje. Przez niego ból głowy się nasila, a moje nogi zaczynają nerwowo podrygiwać. – Przejdźmy się.

Ruszamy spacerkiem spod biblioteki w kierunku Szóstej Alei. W parku z każdą chwilą robi się tłoczniej; ludzie wypełniają wyłożone łupkiem alejki, wypatrując stojących przy nich wolnych ławek. Przez ten ścisk Jonah i ja jesteśmy zmuszeni iść blisko siebie, ramię w ramię.

– Ludzie naprawdę interesują się Sam – podejmuje Jonah. – Chcą wiedzieć, jaka ona jest. Gdzie się przez tyle czasu ukrywała.

– Wcale się nie ukrywała. – Z jakiegoś powodu czuję, że wciąż muszę jej bronić. Jakby mogła się dowiedzieć, że czegoś zaniechałam. – Po prostu się przyczaiła.

– Gdzie?

Zanim odpowiem, waham się przez ułamek sekundy niepewna, czy w ogóle powinnam o niej rozmawiać. Ostatecznie po to tutaj przyszłam, prawda? Chociaż wmawiam sobie, że jest inaczej.

– W Bangor w stanie Maine.

– Dlaczego nagle postanowiła się ujawnić?

– Chciała mnie poznać po samobójstwie Lisy Milner – odpowiadam i zaraz się poprawiam: – Po tym, jak Lisa została zamordowana.

– Dobrze ją poznałaś?

Myślę o Sam malującej mi paznokcie. „Przyjaźnimy się, no nie?”

– Tak – mówię.

To takie proste słowo. Tylko trzy litery. A tyle się za nim kryje. Owszem, dobrze poznałam Sam, podobnie jak ona dobrze poznała mnie. Wiem też, że jej nie ufam i jestem przekonana, że ona tę nieufność odwzajemnia.

– I na pewno nie chcesz się ze mną podzielić tym, co wiesz? – pyta Jonah.

Doszliśmy do stołów pingpongowych – jednej z atrakcji, które spotyka się „tylko w Nowym Jorku”. Oba są zajęte – jeden przez starszą parę Azjatów, drugi przez pracowników biurowych w poluzowanych krawatach, którzy z zapałem odbijają między sobą piłeczkę. Obserwuję ich przez chwilę, usiłując sformułować w myślach stosowną odpowiedź na pytanie dziennikarza.

– To nie takie proste – rzucam wreszcie.

– Wiem coś, co może wpłynąć na zmianę twojego zdania – kusi Jonah.

– To znaczy?

Głupie pytanie. Doskonale wiem, co ma na myśli. Wielkie kłamstwo, którym karmi mnie Sam. Fakt, że Jonah zna prawdę, niesłuchanie mnie wkurza.

– Po prostu wyduś to z siebie, Jonah.

– Z radością bym to zrobił, Quincy. – Znów drapie się po głowie. – Naprawdę. Sęk w tym, że dobrzy dziennikarze niechętnie dzielą się swoją wiedzą z informatorami, którzy nie zamierzają z nimi współpracować. Jeżeli faktycznie chcesz uzyskać ode mnie ściśle tajne dane wywiadowcze, musisz mi dać coś w zamian.

Bardziej niż kiedykolwiek mam ochotę go zostawić i odejść. Wiem, że powinnam tak postąpić. Powiedzieć Jonah, żeby spadał, i wrócić do domu na upragnioną drzemkę. Zarazem absolutnie muszę się dowiedzieć, jak Sam mnie okłamała. To drugie zdecydowanie wygrywa.

– Tina Stone – rzucam.

– Słucham?

– Nowa tożsamość Samantha Boyd. Zmieniła ją kilka lat temu, całkiem legalnie, żeby unikać takich jak ty. Dzięki temu udawało jej się przez tyle lat nie zwracać na siebie uwagi. Formalnie rzecz biorąc, Samantha Boyd już nie istnieje.

– Dzięki, Quincy – odpowiada Jonah. – Wygląda na to, że powinienem pogrzebać teraz w życiu Tiny Stone.

– Powiesz mi, czego się dowiedziałeś.

To nie jest pytanie. Jonah przytakuje krótkim skinieniem głowy.

– Oczywiście.

– Teraz twoja kolej – oznajmiam. – Mów, co o niej wiesz.

– Chodzi o artykuł, którego obiecałem więcej nie wspominać. A konkretnie o ilustrujące go zdjęcia.

– Czyli?

Zanim odpowie, Jonah nabiera powietrza do płuc i unosi ręce w geście, który ma świadczyć o jego niewinności.

– Nie zapominaj, że jestem tylko posłańcem – mówi w końcu. – A posłańca się nie zabija.

Sam jest w kuchni, w fartuchu zgrywa pieprzoną Betty Crocker\*. Udaje, że jest wszystkim, tylko nie podstępna suką. Kiedy wchodzi, pochylona nad miską wbija jajka w sam środek śnieżnobiałej kupki mąki i cukru.

– Musimy pogadać – oznajmiam.

Sam nie odrywa wzroku od miski.

– Daj mi chwilę.

Dopadam jej w mgnieniu oka. Miska z łoskotem spada na podłogę. Tor jej lotu znaczy ślad surowego ciasta, ciągnący się z blatu przez drzwiczki kuchennej szafki oraz posadzkę aż do miejsca, w którym wylądowała.

– Co jest, kurwa?! – krzyczy Sam.

– Z ust mi to wyjęłaś – mówię. – Co jest, kurwa?!

Sam opiera się o blat i obserwuje mnie nieufnie. Nagle do niej dociera. Doskonale wie, o czym mówię.

– Ile ci powiedział?

– Wszystko.

Wiem wszystko. Wiem, że dzień po wiadomości o śmierci Lisy zjawiła się u Jonah w redakcji. Przedstawiła się i powiedziała, że przyjechała zobaczyć się ze mną. Dodała, że ma dla niego propozycję sesji zdjęciowej, o jakiej marzy każdy dziennikarz w kraju.

– Witając się ze mną, wiedziałaś, że nas fotografuje – wyrzucam jej. – Dokładnie to zaplanowałaś. *Chciałaś*, żebyśmy trafiły na pierwszą stronę tego przekłętą szmatławca!

Sam ani drgnie, stopy ma jak wmurowane w podłogę. Wokół jednego z jej butów utworzyła się kałuża surowego ciasta.

– Tak – przyznaje. – I co z tego?

Chwytam pierwszą z brzegu szpatułkę i ciskam nią przez całe pomieszczenie. Uderza w ścianę przy oknie i spada, pozostawiając po sobie ślad z ciasta.

– Zdajesz sobie sprawę, jaką głupotę zrobiłaś? Te zdjęcia zobaczyło mnóstwo osób. Bardzo różnych. Obcy ludzie wiedzą, jak wyglądamy. Wiedzą, gdzie mieszkam!

– Zrobiłam to dla ciebie – stwierdza Sam.

Z całej siły uderzam dłonią o blat. Nie chcę tego słuchać.

– Zamknij się.

– Poważnie. Uznałam, że to ci pomoże.

– *Zamknij się!*

Sam wzdryga się; jej narysowane kredką brwi unoszą się w wyrazie zaskoczenia, tworząc dwa ciemne łuki.

– Muszę ci wyjaśnić, dlaczego tak postąpiłam.

Tuż po prawej stoi opakowanie jajek. Jest ich z pół tuzina. Biorę jedno do ręki.

– Stul...

Jajko leci w kierunku głowy Sam. Ta robi unik i jajko rozbija się z trzaskiem na szafce za jej plecami.

– ... ten...

Rzucam kolejne jajko. Jak granat. Szybki ruch nadgarstka. Gdy dołącza do miski na podłodze, chwytam jeszcze dwa i ciskam błyskawicznie jedno po drugim.

– ...cholerny... pysk!

Oba jajka lądują na fartuchu Sam. Eksplozje żółtych glutów wbijają ją w blat, bardziej siłą zaskoczenia niż swojego impetu. Sięgam po następne pociski, lecz Sam, ślizgając się na mokrych kafelkach, rusza w moją stronę i strąca opakowanie z szafki. Reszta jajek roztrzaskuje się na podłodze.

– Pozwolisz mi wytłumaczyć?! – wrzeszczy.

– Wiem, po co to zrobiłaś! – odkrzykuję. – Chciałaś, żebym poczuła gniew! Niewiele brakowało, a zabiłabym człowieka! Wystarczająco się wkurzyłam twoim zdaniem? Co jeszcze mam zrobić?!

Sam chwytam mnie za ramiona i mocno potrząsa.

– Chcę, żebyś się obudziła! Przez wszystkie te lata tkwiłaś w ukryciu!

– I kto to mówi! To nie ja zapadłam się pod ziemię! Nie ja nie poinformowałam nawet własnej matki, że żyję!

– Nie o to chodzi.

– A o co, Sam? Choć raz powiedz coś z sensem. Próbowалаm cię zrozumieć, ale nie potrafię.

– Przestań udawać kogoś, kim nie jesteś! – Teraz Sam postanawia poćwiczyć rzuty do celu. Strąca z blatu inną miskę, która ląduje na podłodze i toczy się z brzękiem do kąta. – Zachowujesz się jak idealna dziewczyna, która w swoim idealnym życiu piecze idealne ciasteczka. Ale to nie jesteś prawdziwa ty, Quincy, i dobrze o tym wiesz.

Popycha mnie na zmywarkę – uchwyt wbija mi się w krzyż. Odpycham ją, ona zaś ślizga się na brei z mąki i rozbitych jajek.

– Nic o mnie nie wiesz – dyszę.

Sam znów naciera i tym razem przyciska mnie do kuchennej szafki.

– Tylko *ja* naprawdę cię znam. Jesteś wojowniczką. Zrobisz wszystko, żeby przetrwać. Tak samo jak ja.

Wiję się, usiłując wyswobodzić się z jej uścisku.

– Wcale nie jestem taka jak ty.

– Jesteś pieprzoną Ocalałą – upiera się Sam. – *Dlatego* poszłam do Jonah Thompsona. Żebyś przestała się kryć. Żebyś wreszcie mogła żyć tak, jak przystało Ocalałej.

Twarz przysuwa do mojej, aż przestaję oddychać. Jej bliskość jest jak płomień wysysający z pomieszczenia cały tlen. Odpycham ją i zyskuję trochę miejsca, żeby się odwrócić. Sam zaciska palce na moim nadgarstku, usiłuje mnie do siebie przyciągnąć. Drugą ręką macam blat, szukając czegoś do obrony. Miarki kuchenne odbijają się od moich knykcii. Łyżka wyślizguje się z dłoni i upada na podłogę. W końcu zaciskam palce na czymś twardym i obracam się na pięcie z uniesioną ręką. Zadaję cios.

Sam głośno krzyczy i zatacza do tyłu. Osuwa się na podłogę kuchni i przyciska plecy do drzwiczek szafki.

Zbliżam się do niej na sztywnych nogach, jak przez mgłę słysząc, że powtarza moje

imię. Dźwięk jej głosu dociera z daleka, dziwnie zwielokrotniony, jakby nawoływała mnie z wnętrza studni.

– Quinn!

Krzyk jest na tyle głośny, by wprawić w drżenie kuchenne szafki. I przebić się przez opary wściekłości spowijające mnie niby mgła.

– Quincy – prosi ledwie słyszalnym szeptem Sam. – *Błagam.*

Spoglądam w dół na swoją rękę.

Ściskam w niej nóż.

Jest uniesiony pod kątem, w skierowanym do sufitu ostrzu skrzy się odbite światło lampy.

Upuszczam go, czując mrowienie w palcach.

– Nie chciałam.

Sam nie rusza się z podłogi. Zwinięta w kłębek kolanami dotyka szelek fartucha. Nie może przestać się trząść. Jakby miała jakiś atak.

– Nie zrobiłabym ci krzywdy – zapewniam ją, a łzy dławią mnie w gardle. – Przysięgam!

Włosy opadają Sam na twarz. Widzę jej rubinowe wargi, czubek nosa, jedno oko zerkające spomiędzy kosmyków, błyszczące i przerażone.

– Quincy – odzywa się. – Kim ty *jesteś*?

Bezradnie kręcę głową. Słowo honoru, że nie wiem.

\* Betty Crocker – postać stworzona w 1921 r. w USA przez Marjorie Husted do reklamowania produktów spożywczych i przepisów kulinarnych.

26

Dźwięk dzwonka przerywa głuchą ciszę, jaka zapadła w kuchni. To domofon. Ktoś jest na dole. Kiedy naciskam guzik przy drzwiach, przez serię trzasków przebija głos stojącej na ulicy kobiety.

– Panna Carpenter?

– Tak?

– Dzień dobry, Quincy – mówi głos. – Tu Carmen Hernandez. Przepraszam, że zjawiam się tak bez zapowiedzi, ale będę musiała zająć pani trochę czasu.

Chwilę później detektyw Hernandez, elegancka w szarej marynarce i czerwonej bluzce, jest już w jadalni. Gdy siada, słychać pobrzękiwanie bransoletki na jej prawym przegubie. Do obręczy ze srebra wysokiej próby doczepionych jest tuzin okrągłych zawieszek. Prezent od męża na rocznicę ślubu? A może miała dość czekania na jego inicjatywę i sama postanowiła sprawić sobie tę błyskotkę? Tak czy inaczej, bransoletka jest śliczna. Dawna, odważniejsza Quincy spróbowałaby ją ukraść. Wyobrażam sobie, że spoglądam na zawieszki i widzę tuzin różnych wersji samej siebie.

– Przychodzę w nieodpowiednim momencie? – zagaduje policjantka, chociaż nie musi nawet pytać. Bałagan w kuchni zauważyłby każdy przechodzący przez hol do jadalni. Wszystko uwalane jest biało-żółtą breją. Gdyby nawet jakimś cudem to jej

umknęło, wystarczyłby jeden rzut oka na mnie i Sam, dwie siedzące naprzeciwko niej ofiary kuchennej zawieruchy ze śladami mąki i żółtek na ubraniach.

– Skąd – kłamię. – Wszystko gra.

– Na pewno? Wydaje się pani zdenerwowana.

– To jeden z tych dni. – Przywołuję na twarz szeroki, pełen animuszu uśmiech, odsłaniając zęby aż po dziąsła. Matka byłaby ze mnie dumna. – Wie pani, jak gorąco bywa w kuchni.

– W domu gotuje mój mąż – wyjaśnia Hernandez.

– Ma pani szczęście.

– Czemu zawdzięczamy tę wizytę? – odzywa się Sam po raz pierwszy, odkąd zabrzmiał dzwonek domofonu. Włosy zatknęła za uszy i otwarcie mierzy detektyw twardym spojrzeniem.

– Mam kilka dodatkowych pytań w związku z napaścią na Rocky’ego Ruiza. Nic ważnego, po prostu chciałabym doprecyzować parę szczegółów. Żeby niczego nie zaniedbać.

– Wszystko już powiedziałyśmy. – Próbuje ukryć swoje zaniepokojenie. Naprawdę się staram. Mimo to pobrzmiwa piskliwie w każdym wypowiedzianym przeze mnie słowie. – Nie mamy w zasadzie nic do dodania.

– Jest pani pewna?

– Całkowicie.

Zawieszki przy bransoletce policjantki znowu brzęczą, gdy ta sięga do wewnętrznej kieszeni marynarki po notes i powoli go przegląda.

– Tak się składa, że mamy dwóch świadków, którzy twierdzą co innego.

– Och. – Na razie tylko na tyle mnie stać.

Sam w ogóle nie odpowiada.

Hernandez zapisuje coś w swoim notesie.

– Jeden z nich to amator przygodnego seksu, grasujący w zalesionej części Central Parku – oznajmia. – Nazywa się Mario. W nocy zatrzymał go funkcjonariusz w cywilu. Normalka, koleś ma długą na kilometr listę zarzutów w związku z nagabywaniem. Zapytany, czy nie zauważył czegoś podejrzanego w noc napaści na Rocky’ego, odparł, że nie. Dodał jednak, że dzień wcześniej był świadkiem czegoś niezwykłego. Około pierwszej w nocy widział w parku na ławce dwie kobiety. Jedna z nich paliła. Powiedział, że dała mu papierosa.

Teraz go sobie przypominam: przystojniaka w skórze. Nie bez powodu wzmianka o nim przyprawia mnie o gęsią skórkę. Sam z nim rozmawiała. Facet widział nasze twarze.

– Na moją prośbę dokonał identyfikacji tych kobiet – ciągnie Hernandez. – Rozpoznał was obie.

– Skąd wiedział, że to my? – chce wiedzieć Sam.

– Zapamiętał was z prasy. Zakładam, że wiecie, iż wasze zdjęcie znalazło się niedawno na pierwszej stronie pewnej znanej gazety.

Trzymam dłonie na kolanach, poza zasięgiem wzroku detektyw Hernandez. Obie są zaciśnięte w pięści ze zdenerwowania. Im dłużej mówi, tym mocniej je zaciskam.

– Pamiętam go – przyznaję. – Podszedł do nas, gdy siedziałyśmy w parku.

– O pierwszej w nocy?

– A to niezgodne z prawem? – wtrąca Sam.

– Nie. Po prostu dość niezwykle. – Detektyw Hernandez przekrzywia głowę i przygląda nam się uważnie. – Zwłaszcza że te nocne spacerunki odbywały się przez dwie noce z rzędu.

Zaciskam pięści, aż bolą mnie przedramiona. Staram się je rozluźnić, prostując palec po palcu.

– Wyjaśniłyśmy przecież, co tam robiłyśmy – mówię.

– Babski wieczór, zgadza się? – odpowiada Hernandez. – Wtedy, kiedy widział was Mario Żigolo, też wyszłyście się napić?

– Tak – świergoczę.

Popatrujemy na siebie z Sam, podczas gdy Hernandez notuje, teatralnie to przekreśla i dopisuje coś innego.

– W porządku – rzuca. – Pomówmy teraz o drugim świadku.

– Kolejna męska dziwka? – mruczy z przekąsem Sam.

Detektyw Hernandez nie wygląda na rozbawioną. Odpowiada ze zmarszczonymi brwiami:

– Bezdomny. Rozmawiał z jednym z funkcjonariuszy przepytujących ludzi w parku po napaści na Rocky'ego Ruiza. Twierdzi, że widział dwie kobiety nad tym „aliganckim stawem, gdzie gówniarze puszczają łódki”. To miejsce zostało chyba opisane w książce, którą czytałam swoim dzieciom. Bohaterem była jakaś mysz...?

– *Stuart Malutki* – podsuwam tytuł, sama nie wiem po co.

– Właśnie! Malowniczy zakątek. W każdym razie ten bezdomny z pewnością tak uważa. Czasami śpi tam na ławce. Ale w noc napaści na Rocky'ego przegoniły go stamtąd dwie młode kobiety. Podobno przyłapały go na podglądaniu, jak jedna z nich myła ręce w wodzie. Mówi, że wyglądała, jakby krwawiła.

Nie śmiem zapytać, czy opisał policji ich wygląd, bo najwyraźniej to zrobił.

– Obie pasujecie do podanych przez niego rysopisów – dopowiada Hernandez. – Zgaduję więc, że byłyście to wy. Czy któraś mogłaby mi wytłumaczyć, co tam się działo?

Składa dłonie na blacie – ręka z bransoletką spoczywa na wierzchu. Ja swoje zaciskam pod stołem. Pięści mam twarde jak kamień. Jakbym z bryłek węgla próbowała wycisnąć diamenty. Pod wpływem napięcia pęka jeden ze strupów na moich knykciach. Między palcami spływa strużka krwi.

– Było dokładnie tak, jak to wyglądało – odzywam się. Łgam bez zastanowienia, słowa same pchają mi się na usta. Potknęłam się na parkowej ścieżce i otarłam skórę na ręce. Silnie krwawiła, więc poszłyśmy nad staw, żeby ją opłukać.

– To było przed kradzieżą torebki czy po niej?

– Przed – odpowiadam.

Hernandez wpatruje się we mnie nieustępliwym wzrokiem. Pod tą staranną fryzurą i dopasowaną marynareczką kryje się naprawdę twarda sztuka. Domyślam się, że musiała długo pracować na swoją obecną pozycję. Dłużej niż jakikolwiek facet, to pewne. Założę się, że żaden jej nie doceniał.



Ja też jej nie doceniłam i oto rezultat.

– Ciekawe – mówi. – Nasz bezdomny nie wspominał o żadnej torebce.

– Bo my...

Z jakiegoś powodu zamykam usta i kłamstwo niczym szczypta soli rozpuszcza się na moim języku.

Hernandez nachyla się nad stołem niemal po przyjacielsku, jakby szykowałą się do luźnej pogawędki „między nami, dziewczynami”.

– Słuchajcie, drogie panie – mówi. – Nie wiem, co zaszło tamtej nocy w parku. Może Rocky był naćpany jak bąk. Może próbował zrobić wam krzywdę, a wy trochę zbyt gwałtownie się przed nim broniłyście. Jeżeli tak było, w waszym najlepiej pojętym interesie jest powiedzieć prawdę.

Prostuje się; koniec przyjacielskiej pogawędki. Bransoletka szoruje po blacie, gdy policjantka raz jeszcze otwiera notes.

– Właściwie to rozumiały, że nie chcecie się przyznać. Facet leży w śpiączce. Sytuacja jest poważna. Nie zamierzam was osądzać, słowo. Przynajmniej dopóki nie poznam wszystkich faktów. – Hernandez zagląda do swoich zapisków, zerka na Sam. – Panno Stone, jestem nawet gotowa przymknąć oko na pani wcześniejsze zatargi z prawem.

Trzeba to oddać Sam: kompletnie ignoruje zaczepkę policjantki. Jej twarz zastygła w wyrazie spokoju. Wyczuwam jednak, że czeka na to, co zrobię. Mój brak reakcji mówi jej wszystko, co musi wiedzieć.

– Chcę, abyście miały pewność, że nic, co powiecie, w żaden sposób nie wpłynie na wasze traktowanie – dodaje Hernandez. – To znaczy, gdyby któraś zdecydowała się jednak przyznać, rzecz jasna.

– Nie ma do czego – ucina Sam.

– Zastanówcie się jeszcze. – Hernandez wstaje od stołu i wtyka notes pod pachę; bransoletka śpiewnie dźwięczy. – Przegadajcie to ze sobą. Byle nie za długo. Im dłużej będziecie zwlekać, tym gorzej to będzie wyglądało. Aha, gdyby się okazało, że któraś z was to zrobiła, módlcie się, żeby Rocky Ruiz wybudził się ze śpiączki. Bo jeśli z tego sprawa o nieumyślne spowodowanie śmierci, taryfa ulgowa przestanie obowiązywać.

– Do niczego się nie przyznajemy – oświadcza Sam po wyjściu Hernandez.

– Musimy – mówię.

Tkwimy we dwie w jadalni, uwięzione w nieznośnym, przyprawiającym o zawrót głowy bezruchu. Wpadające ukośnie przez okno promienie słońca podświetlają drobinki kurzu, wirujące tuż nad blatem stołu. Wpatrujemy się w nie, nie śmiejąc spojrzeć na siebie. Jesteśmy jak dwoje ludzi w obliczu nadciągającej burzy: nerwy napięte do granic ostateczności, w powietrzu wisi nienazwana groza.

– Wcale nie – stwierdza Sam. – Babka strzela na oślep. Nic na nas nie ma. W łaźni nocą po Central Parku nie ma nic nielegalnego.

– Są jeszcze świadkowie.

– Bezdomny i żigolak, który niczego nie widział.

– Jeżeli teraz powiemy prawdę, łagodniej nas potraktują. Hernandez wszystko

zrozumie.

Sama w to nie wierzę. Detektyw Hernandez nie ma zamiaru nam pomagać. To po prostu bystra policjantka, która dobrze wykonuje swoją robotę.

– Chryste – wzdycha Sam – przecież ona nas podpuszcza, Quinn.

Ponownie zapada milczenie, a my obserwujemy taniec drobinek kurzu.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś, że byłaś w Indianie? – pytam.

Sam w końcu odwraca głowę w moją stronę. Jej twarz wydaje się obca, nieprzenikniona.

– Wierz mi, mała, lepiej w to nie brnijmy.

– Potrzebuję odpowiedzi – upieram się. – Muszę znać prawdę.

– Jedyna prawda, jaką musisz znać, jest taka: ponosisz wyłączną winę za to, co się stało w parku. Ja tylko próbuję ratować twój tyłek.

– Ściemniając?

– Dochowując tajemnicy – prostuje Sam. – Wiem teraz o tobie więcej, niżbym chciała. Więcej, niż myślisz.

Wstaje od stołu. To uruchamia lawinę pytań, które sypią się jedno za drugim, każde bardziej rozpaczliwe niż poprzednie.

– Spotkałaś się z Lisą? Byłaś u niej w domu? O czym jeszcze mi nie powiedziałaś?

Sam odwraca się; ciemne włosy opadają na twarz, czyniąc ją całkiem niewidoczną. Ten widok wydobywa z odmętów mojej pamięci podobny obraz, mglisty jak wspomnienie wspomnienia.

– Proszę cię, Sam...

Bez słowa wychodzi z jadalni. Chwilę później drzwi wejściowe zamykają się za nią z trzaskiem.

Pozostaję na swoim miejscu, zbyt zmęczona, żeby się poruszyć. Obawiam się, że jeśli spróbuję wstać, przewrócę się na podłogę. Wspomnienie wychodzącej Sam powraca do mnie raz za razem, nie dając spokoju. Widziałam już kiedyś coś podobnego. Jestem o tym przekonana.

Nagle przypominam sobie. Zrywam się i pędzę do laptopa. Loguję się na Facebooka i wchodzę na profil Lisy. Na jej stronę wciąż spływają kondolencje. Są ich całe setki. Ignoruję je, klikam na zamieszczone przez Lisę zdjęcia i szybko znajduję to, czego szukam – fotografię przedstawiającą roześmianą Lisę z uniesioną butelką wina w ręce.

„Czas na wino! LOL!”

Przyglądam się uważnie widocznej w tle kobiecie. Jej twarz jest ciemną plamą – pamiętam, że od początku zwróciła moją uwagę. Wpatruję się w nią, jakbym mogła siłą woli wyostrzyć obraz. Tymczasem jedyne, co mogę zrobić, to zmrużyć oczy i sprawić, aby wszystko zatarło się tak jak zamazana twarz na zdjęciu. Liczę, że dzięki temu coś jednak wysunie się na pierwszy plan. Zabieg przynosi pewne efekty: na skraju ciemnej plamy przebija jaśniejsza smuga. Z kroplą czerwieni.

Szminka.

W odcieniu, którego używa Sam.

Nasyconym jak krew.

Mam wrażenie, że słyszę dobiegający z wnętrza mojego ciała pomruk, który gwałtownie narasta. Zupełnie jakbym była przywiązana do rakiety, pędzącej przez warstwę ozonową, która sypie wkoło iskrami, by na koniec eksplodować wraz ze mną.

Gdy Jeff wraca z pracy, kuchnia jest posprzątana, a moje rzeczy spakowane. Jedna walizka i jedna torba podróżna. Jeff stoi w drzwiach sypialni i mruga, jakby podejrzewał, że ma halucynacje.

– Co robisz?

– Jadę z tobą – oznajmiam.

– Do Chicago?

– Kupiłam bilet w internecie. Na ten sam lot, chociaż nie siedzimy obok siebie.

– Jesteś pewna? – pyta Jeff.

– To był twój pomysł.

– Fakt. Po prostu mnie zaskoczyłaś. A co z Sam?

– Powiedziałaś, że możemy ją zostawić samą na kilka dni – mówię. – Bo nie jest psem. Zapomniałaś?

W głębi duszy liczę, że po naszym powrocie już jej nie będzie. Że zniknie po cichu, nie robiąc zamieszania. Jak skorpion, któremu tak śpieszno uciec, że zapomina ukąsić.

Jeff tymczasem rozgląda się po sypialni, jakby widział ją po raz ostatni, i mówi:

– Oby coś tu zostało, kiedy wrócimy.

– Zadbam o to – odpowiadam.

Sam zjawia się w mieszkaniu dopiero późnym wieczorem, na długo po tym, jak oboje z Jeffem kładziemy się spać. Rano przed wyjazdem na lotnisko pukam lekko do drzwi jej pokoju. Kiedy pukanie nie przynosi rezultatów, uchylam drzwi i zaglądam do środka. Sam leży nakryta kołdrą po szyję. Rzuca się niespokojnie, pościel wzdyma się i faluje.

– Nie! – jęczy. – Błagam, nie!

Podbiegam do łóżka, chwytam ją za ramiona i potrząsam. Udaje mi się odskoczyć w ostatniej chwili, gdy Sam zrywa się i siada wyprostowana, z wytrzeszczonymi oczami.

– Co się dzieje? – pyta.

– Coś ci się śniło – wyjaśniam. – Jakiś koszmar.

Sam patrzy na mnie, jakby się upewniała, że zły sen się skończył i to nie jest jego ciąg dalszy. Wygląda jak niedoszła topielica: ma czerwoną, wilgotną twarz. Włosy lepią się do spoconych policzków długimi, ciemnymi pasmami przywodzącymi na myśl wodorosty. W pewnym momencie nawet lekko się wzdryga, jakby otrząsała się z wody.

– Cholera – mówi wreszcie. – Faktycznie koszmar.

Przysiadam na krawędzi łóżka. Kusi mnie, żeby zapytać, co jej się śniło. Calvin Whitmer w worku na głowie? A może co innego? Na przykład Lisa wykrwawiająca się w wannie? Sam nie odrywa ode mnie wzroku; wie, że zaraz coś się wydarzy.

– Wyjeżdżamy z Jeffem na kilka dni – oznajmiam.

– Dokąd?

– Do Chicago.

– Mam się stąd wynieść? Nie stać mnie na pokój w hotelu.

– Wiem – odpowiadam spokojnie i rzeczowo. Nic, co powiem, nie może jej

zdenerwować. To absolutnie kluczowe. – Możesz tu zostać pod naszą nieobecność. Przypilnujesz mieszkania. Może coś upieczesz, jeśli będziesz miała ochotę.

– Pasuje mi.

– Możemy ci z Jeffem zaufać?

Głupio pytam. Oczywiście, że nie mogę jej ufać. Dlatego właśnie wyjeżdżam z Jeffem do Chicago. Pozostawienie jej tutaj to jedyna rozsądna opcja.

– Pewnie.

Wyjmuję z kieszeni forszę, którą tam schowałam przed wejściem do jej pokoju. Dwa wygniezione banknoty studolarowe. Wręczam je Sam.

– Tutaj masz kasę na drobne wydatki – mówię. – Kup sobie coś do jedzenia, wybierz się do kina albo coś.

Te pieniądze to łapówka i Sam dobrze o tym wie. Pocierając banknotami o siebie, pyta:

– Czy za pilnowanie domu nie należy się jakieś wynagrodzenie? No wiesz, za czujność i opiekę.

Chociaż z pozoru to całkiem rozsądne pytanie, czuję się zdradzona. Zupełnie jakby mnie ktoś spoliczkował. Doskonale pamiętam nasz pierwszy wieczór z Sam i Jeffa, który zapytał ją wprost, czy chce nas naciągnąć na kasę. Zaprzeczyła wtedy, a ja jej uwierzyłam. Teraz mam wrażenie, że pieniądze to jedyny powód jej przyjazdu. Nasze nocne rozmowy, wspólne pieczenie, cała ta udawana przyjaźń były wyłącznie środkami prowadzącymi do celu.

– Pięćset może być? – pytam krótko.

Sam omiata pokój taksującym spojrzeniem. Niemal widzę, jak dokonuje w myślach obliczeń, szacując potencjalną wartość każdego przedmiotu.

– Wolalabym tysiąc – odpowiada.

Zgrzytam zębami.

– Naturalnie.

Wychodzę po torebkę i wracam z czekiem wystawionym na Tinę Stone i postdatowanym na dzień po naszym planowanym powrocie z Chicago. Sam w żaden sposób tego nie komentuje. Po prostu składa czek na pół i odkłada z gotówką na nocny stolik.

– Chcesz, żebym tu była, jak wrócisz? – pyta.

– To zależy tylko od ciebie.

Sam uśmiecha się.

– Chyba masz rację.

W samolocie podróżujący samotnie pasażer obok mnie uprzejmie zgadza się zamienić miejscami z Jeffem, dzięki czemu możemy siedzieć obok siebie. Podczas startu Jeff chwyta mnie za rękę i delikatnie ściska.

Po wylądowaniu i zameldowaniu w hotelu mamy całe popołudnie i wieczór dla siebie. Znika gdzieś skrępowanie sprzed dwóch dni, gdy nieobecność Sam uwierała nas jak brakujący palec u ręki. Spacerujemy ulicami, a bryza znad jeziora Michigan rozwiewa całe napięcie z ostatniego tygodnia.

– Cieszę się, że ze mną przyjechałaś, Quincy – mówi Jeff. – Wiem, że wczoraj

mogłaś nie odnieść takiego wrażenia, ale naprawdę się cieszę.

Gdy chce wziąć mnie za rękę, chętnie mu ją podaję. Dobrze jest mieć go po swojej stronie. Szczególnie zważywszy na to, co zamierzam zrobić.

W drodze powrotnej do hotelu uwagę nas obojga zwraca sukienka na wystawie jednego z butików. Czarno-biała, zwężana w talii i z szerokim, rozkloszowanym dołem nawiązującym do modeli Diora z lat pięćdziesiątych.

– Właśnie przyleciała z Paryża – mówię, cytując Grace Kelly z *Okna na podwórze*. – Myślisz, że się sprzeda?

Jeff jąka się, imitując Jimmy'ego Stewarta.

– Zależy, ile będzie kosztowała.

– Jedyne tysiąc sto dolarów. Prawdziwa okazja – odpowiadam tekstem Grace.

– Dlaczego nikt jeszcze nie wprowadził jej na giełdę? – Po tych słowach Jeff wychodzi z roli i znowu jest sobą. – Uważam, że powinnaś ją kupić.

– Poważnie? – zdumiewam się już jako Quincy.

Jeff posyła mi hollywoodzki uśmiech.

– To był ciężki tydzień. Zaslubiłaś na trochę przyjemności.

W sklepie z ulgą dowiaduję się, że cena sukienki jest nieco niższa niż ta prognozowana przez Grace Kelly. Z jeszcze większą ulgą stwierdzam, że świetnie na mnie leży. Kupuję ją bez wahania.

– Taka sukienka wymaga odpowiedniej oprawy – oznajmia Jeff. – A ja chyba znam odpowiednie miejsce.

Przebieramy się do kolacji, ja w nową kieckę, Jeff w swój najszykowniejszy garnitur. Dzięki hotelowemu konsjerżowi udaje nam się bez kolejki zarezerwować stół w najmodniejszej i najdroższej restauracji w mieście. Za zachętą Jeffa decydujemy się zaszaleć i zamawiamy menu degustacyjne złożone z dziewięciu dań, do tego butelkę cabernet sauvignon. Na deser jest suflet czekoladowy – tak wyborny, że błagam szefa pracowni cukierniczej o przepis.

Po powrocie do hotelu, podkręceni winem i nowym otoczeniem, flirtujemy ze sobą. Robi się coraz bardziej zmysłowo. Nieśpiesznie całuję Jeffa, rozwiązując mu jednocześnie krawat; szorstki jedwab oplata mi palce. Jeff równie nieśpiesznie zajmuje się moją sukienką. Drzę, gdy centymetr po centymetrze rozpina suwak. Wyginam ciało w łuk.

Gdy sukienka opada wreszcie na podłogę, oddech Jeffa robi się cięższy. Chwyta mnie za ramiona, sprawiając mi przy tym lekki ból. W jego oczach płonie pożądanie, dzikość, jakiej od dawna u niego nie widziałam. Wygląda jak obcy człowiek, niebezpieczny i tajemniczy. Przypominają mi się brutalni chłopcy z męskich akademików i zawodnicy drużyny futbolu, z którymi sypiałam po Pine Cottage. Ci, którzy nie bali się ścierać mi majtek jednym szarpnięciem i rzucać mnie na łóżko. Ci, którym było obojętne, kim jestem i czego pragnę.

Całe moje ciało drży. To dobrze rokuje. Właśnie tego potrzebuję.

Lecz nastrój pryska z taką samą samą łatwością, z jaką krawat Jeffa wysuwa mi się z rąk. Nie jestem tego świadoma, dopóki nie wylądujemy w łóżku. Jeff wchodzi we mnie, jak zwykle nieznośnie, irytująco sumienny. Pyta, jak się czuję. I czego chcę.

Chcę, żeby przestał się troszczyć o moje potrzeby.

Chcę, żeby się zamknął i robił to, na co ma ochotę.

Niestety, nic z tego. Seks kończy się jak zwykle: Jeff jest kompletnie wykończony, ja leżę na wznak, czując w brzuchu twardą grudę niezadowolenia.

Później Jeff bierze prysznic. Wraca do łóżka różowiotki i bardzo czuły.

– Dokąd się jutro wybierasz? – zagaduje mnie z roztargnieniem; zmęczenie kołysze go do snu.

– Zobaczyć najważniejsze atrakcje. Instytut Sztuki. Fasolkę\*. Potem może pójde na zakupy.

– Fajnie – mruczy sennie Jeff. – Baw się dobrze.

– Po to przyjechałam – odpowiadam, chociaż to nieprawda.

Nie jestem tu, żeby miło spędzać czas. Ani z powodu Jeffa. Podczas gdy on się kąpał, zmywając z siebie pot i zapach banalnego seksu, ja przez komórkę załatwiałam wynajem samochodu.

Nazajutrz zamierzam pojechać do Indiany i poszukać odpowiedzi na swoje pytania.

\* Słynna rzeźba Anisha Kapoora w Parku Milenijnym w Chicago, ze względu na kształt zwana „fasolką” (The Bean), w rzeczywistości nosi nazwę Bramy Niebios (Cloud Gate).

Chicago od Muncie dzieli odległość mniej więcej trzystu siedemdziesięciu kilometrów, którą pokonuję na tyle szybko, na ile pozwala mi silnik wynajętej toyoty camry. Mój cel: dostać się do domu Lisy i sprawdzić, czego mogę się tam dowiedzieć, a wieczorem wrócić do Chicago. Czekam na długą podróż, w sumie około siedmiu godzin w drodze. Jeśli się pospieszę, Jeff nawet się nie zorientuje.

Do Muncie mam dobry czas: jadę równym tempem i zatrzymuję się tylko w niewielkim sklepie całodobowym przy autostradzie międzystanowej numer 65. To jedno z tych żalonych, pospolitych miejsc udających, że należą do większej sieci, podczas gdy z każdego kąta skrzeczy smutna rzeczywistość. Puszki z napojami gazowanymi lepią się do palców, płytki posadzki są porysowane, a na stojakach piętrzą się rozbierane czasopisma w osłonkach z przezroczystego plastiku. Kupuję butelkę wody, batonik z muesli i opakowanie serowych krakersów. Śniadanie mistrzów.

Na ladzie tkwi stojak ze srebrzystymi zapalniczkami. Gdy upalony trawą sprzedawca rozdziera świeży rulon monet i wytrząsa jego zawartość do kasy, szybko chwytam jedną i chowam do kieszeni. Chłopak przyłapuje mnie na tym, jednak uśmiecha się, mruga porozumiewawczo i pozwala mi odejść.

Wracam do samochodu i ruszam w dalszą drogę, odczytując godzinę z kąta padania promieni słonecznych na płaską wstęgę asfaltu. Za oknami miga surowy, wiejski krajobraz. Domy mają odarte z farby drewniane fasady i przechylone ganki. Ogołoczone z kolb kukurydzy pola ciągną się kilometrami, z ziemi sterczą uschnięte łodygi. Przydrożne tablice informują o zjeździe do miasteczek o zaskakująco egzotycznie brzmiących nazwach. Paryż. Brazylia. Peru.

Gdy szeroko otwarte, żółte oko słońca znajduje się dokładnie nad moją głową, wjeżdżam do Muncie i rozglądam się w poszukiwaniu adresu, który Lisa dała mi na wypadek, gdybym zdecydowała się do niej napisać.

Odnajduję jej dom w cichej bocznej uliczce, przy której rosną platan i stoją parterowe domy. Ten należący do Lisy wyróżnia się na tle innych: okiennice ma świeżo pomalowane, na ganku od frontu zauważam nowiutkie meble ogrodowe. Pośrodku starannie przystrzyżonego trawnika znajduje się okrągły klomb, w nim zaś, niczym wielki grzyb, tkwi wykonane z włókna szklanego poidełko dla ptaków.

Na podjeździe parkuje kombi z naklejką związku zawodowego policjantów na tylnym zderzaku. Z całą pewnością nie należy do Lisy.

Zatrzymuję się przy krawężniku i przeglądam w lusterku wstecznym. Chcę się upewnić, że zamiast niezdrowej fascynacji moja twarz wyraża uprzejme zainteresowanie. Jeszcze w hotelu skrupulatnie dobrałam strój, który delikatnie balansuje między stylem niezobowiązującym a żalobnym: czarne dżinsy, ciemnofioletowa bluzka, czarne płaskie pantofle.

Biegnąc przez podwórko ścieżką wyłożoną kamiennymi płytami dochodzę do drzwi frontowych. Kiedy naciskam dzwonek, jego dźwięk powraca echem z głębi domu.

Kobieta, która mi otwiera, ma na sobie monochromatyczny strój: luźne



jasnobrązowe spodnie i beżową koszulkę polo. Wysoka i koścista, w młodości mogła być podobna do Katharine Hepburn. Teraz jednak jej piwne oczy otacza siateczka zmarszczek. Swoim wyglądem przywołuje na myśl ubogie mieszkanki Oklahomy z fotografii Walkera Evansa – chude, twarde i umęczone.

Doskonale wiem, kim jest.

To Nancy.

– W czym mogę ci pomóc? – odzywa się głosem suchym jak wiatr znad Wielkich Równin.

Nie zastanawiałam się wcześniej, co zrobię ani powiem. Najważniejsze było dotarcie do celu. Teraz, gdy go osiągnęłam, nie mam pojęcia, jaki powinien być mój następny krok.

– Dzień dobry – mówię. – Nazywam się...

Nancy kiwa głową.

– Quincy. Wiem.

Przygląda się moim paznokciom, niechlujnie pomalowanym na czarno. Jej uwagę zwracają czerwone jak po oparzeniu, pokryte strupami knykcie mojej prawej ręki. Chowam ją głęboko do kieszeni.

– Przyjechałaś na pogrzeb? – pyta.

– Myślałam, że już została pochowana.

– Dopiero jutro.

Powinłam się domyślić, że będzie opóźnienie. Trzeba było przeprowadzić sekcję zwłok i kluczowe, jak się okazało, badania toksykologiczne.

– Lisa dużo o was obu myślała – oznajmia Nancy. – Wiem, że ucieszyłaby się z twojej obecności na pogrzebie.

Podobnie jak przedstawiciele prasy, którzy, jak przypuszczam, ściągają tutaj tłumnie, by trzaskaniem migawek zakłócać wykonanie psalmu dwudziestego trzeciego.

– To chyba nie najlepszy pomysł – odpowiadam. – Obawiam się, że swoją osobą mogłabym zakłócić przebieg uroczystości.

– W takim razie chętnie posłucham, po co przyjechałaś. Żaden ze mnie geniusz, ale wiem jedno: Muncie od Nowego Jorku dzieli trochę więcej niż rzut kamieniem.

– Przyjechałam dowiedzieć się czegoś więcej o Lisie – mówię. – Poznać szczegóły.

Wnętrze domu Lisy jest schludne i przygnębiające. Większość powierzchni zajmuje salon, jadalnia oraz kuchnia połączone w jedno ogromne pomieszczenie. Pokrywająca ściany boazeria nadaje temu miejscu duszną, staroświecką atmosferę. To dom owdowiałej staruszki, a nie czterdziestodwuletniej kobiety.

Nic nie świadczy o tym, że popełniono tutaj morderstwo. Brak gliniarzy zdejmujących odciski palców i ponurych techników kryminalistyki ślęczących nad dywanem z pęsetkami w rękach. Te działania zostały już zakończone – oby przyniosły spodziewane rezultaty.

Stery kartonowych pudeł piętrzą się w salonie, który ogołocoło z części przedmiotów. Na niskich stolikach widać odcisnięte w kurzu okrągłe ślady po spakowanych wazonach i misach.

– Rodzina Lisy poprosiła o zgodę na spakowanie jej rzeczy – wyjaśnia Nancy. –

Nie chcę więcej przestępować progu tego domu. Trudno im się dziwić.

Siedzimy przy owalnym stole w części jadalnej. Przed Nancy leży laminowana podkładka. Przypuszczam, że w tym miejscu Lisa jadała posiłki. Jednoosobowe nakrycie. Rozmawiamy, popijając herbatę z kubków ozdobionych wieńcem drobnych różyczek wokół krawędzi.

Moja rozmówczyni przedstawia się jako Nancy Scott. Od dwudziestu pięciu lat służy w policji stanowej w Indianie i za rok planuje przejść na emeryturę. Nigdy nie wyszła za mąż i samotnie opiekuje się dwoma owczarkami niemieckimi, które dawniej pracowały jako psy policyjne.

– Byłam jedną z pierwszych osób, które weszły wtedy do tego akademika – opowiada. – I pierwszą, która zdała sobie sprawę, że Lisa żyje, w przeciwieństwie do reszty. Inni policjanci – poza mną na miejsce przyjechali sami mężczyźni – tylko rzucili okiem na ciała i od razu założyli najgorsze. Ja właściwie też. Ależ to był potworny widok! Krew. Wszędzie krew.

Urywa, przypomniawszy sobie, z kim rozmawia. Skinieniem głowy daję jej znak, żeby mówiła dalej.

– Wystarczyło mi jedno spojrzenie na Lisę, aby stwierdzić, że jeszcze żyje. Nie wiedziałam, jak długo to potrwa, ale jakoś udało jej się z tego wyjść. Z miejsca zapałałam do niej sympatią. Ta dziewczyna była urodzoną wojowniczką.

– Dlatego się do siebie zbliżyłyście?

– Lisę i mnie połączyło to samo, co ciebie i Franka.

Frank. Dziwnie się czuję, słysząc jego imię. Dla mnie to po prostu Coop.

– Wiedziała, że w każdej sprawie może do mnie zadzwonić – ciągnie Nancy. – Że zawsze ją wysłucham i pomogę na tyle, na ile potrafię. Taka relacja wymaga sporej dozy delikatności. Druga strona musi czuć, że ma w tobie oparcie, ale ty nie możesz się za bardzo angażować. Musisz zachować dystans. Tak jest lepiej.

Myślę o Coopie i wszystkich niewidzialnych murach, jakie wznosił między sobą a mną. Skinienie głowy – tak, uścisk – nigdy. W moim mieszkaniu zjawił się dopiero, gdy nie miał innego wyjścia. Niewykluczone, że usłyszał od Nancy tę samą gadkę na temat konieczności zachowania dystansu. Nie wygląda mi na kobietę, która zachowuje swoje opinie dla siebie.

– Tak naprawdę zaprzyjaźniłyśmy się dopiero jakieś pięć lat temu – dodaje. – Zbliżyłam się także do jej bliskich. Zapraszali mnie na Święto Dziękczynienia i rodzinne przyjęcia urodzinowe.

– Wygląda na to, że są bardzo sympatyczni – zauważam.

– Owszem. Naturalnie ciężko to wszystko przechodzą. Ten ból pozostanie z nimi już do końca życia.

– A co pani czuje? – pytam.

– Wściekłość. – Nancy upija łyk herbaty. Wrzątek parzy jej usta, więc ściąga wargi, po czym zaciska je w linijkę. – Wiem, że powinno mi być smutno i jest. Ale przede wszystkim wściekam się jak diabli. Ktoś odebrał nam Lisę. Po tym wszystkim, co przeszła.

Doskonale wiem, co ma na myśli. Zabójstwo Lisy ma gorzki smak porażki. Tak

jakby Ocalała mimo wszystko dała się pokonać śmierci.

– Od początku podejrzewała pani, że to było morderstwo?

– A żebyś wiedziała! Lisa nigdy by się nie zabiła, to pewne. Nie po tym, jak desperacko musiała walczyć o życie i jak świetnie sobie poradziła z tym, co ją spotkało. To ja zleciłam badania toksykologiczne. I niech szlag trafi konflikt interesów. Oczywiście miałam rację. W jej żołądku były tabletki, ale w całym domu nie znaleźliśmy żadnego opakowania, w którym mogłaby je trzymać. Dopiero *wtedy* śledczy przyjrżeli się nacięciom na jej nadgarstkach, chociaż od tego powinni byli zacząć.

– Kiedy rozmawialiśmy przez telefon, powiedziała pani, że policja nie ma żadnych świadków. Coś się w tej sprawie zmieniło?

– Nie.

– A co z motywem?

– Nadal nic nie mamy.

– Brzmi to tak, jakby pani nie wierzyła, że kiedykolwiek złapiecie sprawcę.

– Bo nie wierzę – przyznaje z westchnieniem Nancy. – Zanim ci kretyni zrozumieli, co się naprawdę stało, było już za późno. Miejsce zbrodni zostało zanieczyszczone. Ja pakowałam te cholerne pudła, krewni i przyjaciele Lisy mi pomagali. Kotłowaliśmy się tutaj, zacierając potencjalne ślady i przywlekając na butach Bóg wie co.

Nachyla się nad stołem i wbija wzrok w blat.

– Przez cały czas ten cholerny ślad po winie tutaj był. Pamiątka po kieliszku, o którego istnieniu nie mieliśmy pojęcia, bo ten, kto zabił Lisę, zabrał go ze sobą. Pewnie leży teraz gdzieś rozbity na poboczu drogi. Wyrzucony przez okno samochodu.

Dotychczas opierałam dłonie płasko na blacie. Teraz cofam je odruchowo.

– Policja szukała już odcisków palców – uspokaja mnie Nancy. – Niczego nie znaleźli. Podobnie w łazience. Żadnych śladów na nożu czy na telefonie Lisy. Wszystko wytarte do czysta.

– Żaden z jej znajomych o niczym nie wie?

– Rozpytujemy, ale to nie takie proste. Lisa lubiła otaczać się ludźmi. Była bardzo *towarzyska*.

Nancy nawet nie ukrywa swojej dezaprobaty. Ostatnie słowo wypluwa z taką miną, jakby pozostawiło niesmak w jej ustach.

– Pani zdaniem to błąd – zgaduję.

– Uważałam, że jest zbyt ufna. Po tym, przez co przeszła, zawsze chciała wszystkim pomagać. Głównie innym dziewczynom. Takim, które miały kłopoty.

– Jakie kłopoty?

– Z trudnych środowisk. Skonfliktowanym z rodzicami. Ukrywającym się przed chłopakiem, który je bił. Lisa wszystkie przygarniała, troszczyła się o nie, pomagała im stanąć z powrotem na nogi. Według mnie usiłowała w ten sposób wypełnić pustkę, którą pozostawiła w jej życiu tamta noc w akademiku.

– Pustkę? – powtarzam.

– Lisa w zasadzie z nikim się nie umawiała – wyjaśnia Nancy. – Niewielu mężczyzn budziło jej zaufanie, zresztą nie bez powodu. Jak większość dziewcząt marzyła pewnie, że kiedyś wyjdzie za mąż, zajdzie w ciążę, zostanie mamą. Koszmar

w akademiku na zawsze jej to odebrał.

– Nie chodziła na randki?

– Z rzadka – odpowiada Nancy. – Nigdy nie było to nic poważnego. Większość facetów, słysząc, co ją spotkało, brała nogi za pas.

– Nie wspominała pani o żadnym z nich? Może któryś ją napastował? A może jakaś dziewczyna, z którą się zaprzyjaźniła, sprawiała jej kłopoty?

W istocie mam na myśli konkretną osobę. Sam. Czy Lisa kiedykolwiek wspominała o Samancie Boyd?

– Nic mi o tym nie wiadomo. – Nancy opróżnia swój kubek i znacząco spogląda na mój; wyraźnie liczy, że dopiję herbatę, a potem sobie pójdę. – Na długo przyjechałaś, Quincy?

Zerkam na zegarek. Kwadrans po pierwszej. Najpóźniej o wpół do trzeciej muszę ruszyć w drogę, o ile chcę wrócić do Chicago, nie wzbudzając podejrzeń Jeffa.

– Mam jeszcze godzinę. – Rozglądam się po częściowo ogołoconym pokoju, patrzę na oparte o ścianę złożone kartony. – Może pani pomoże?

Proponuję, że zajmę się sypialnią Lisy, Nancy zaś skończy tymczasem pakować rzeczy z salonu. Przystaje na to, chociaż zanim się zgodzi, przygryza wargi, jakby nie była pewna, czy można mi zaufać. Później jednak podaje mi dwa kartonowe pudła.

– Pakuj wszystko, jak leci, bez segregowania – mówi, kierując mnie w głąb korytarza. – Rodzina sama się tym zajmie. Mamy jedynie opróżnić dom.

Znalazłszy się wreszcie poza zasięgiem jej wzroku, ociągając się na korytarzu, zaglądając kolejno do wszystkich trzech przyległych pomieszczeń.

Pierwsze to pokój gościnny, skromnie umeblowany i nieskazitelnie czysty. Wstępuję do środka i obchodzę go dokoła, przesuwając palcem wskazującym po toalecie, łóżku i stoliku nocnym. Nie znajduję żadnych śladów bytności Sam, choć z łatwością mogę ją sobie wyobrazić palącą przy otwartym oknie, jak to zapewne robi w tej chwili w moim mieszkaniu.

Wracam na korytarz i zatrzymuję się przy łazience. Tam nie jestem w stanie wejść. Byłoby to jak naruszenie spokoju grobowca. Zresztą przez uchylone drzwi i tak wszystko widać. Umywalka, wanna, sedes – wszystko tonie w jasnym błękitcie. Tu i ówdzie wciąż widać srebrzyste smugi proszku daktyloskopijnego, używanego do zdejmowania odcisków palców. Wytrącona z równowagi gapię się na wannę. To w niej umarła Lisa.

Wyobrażam sobie, jak leży w zabarwionej na różowo wodzie. A potem wyobrażam sobie Sam, stojącą w drzwiach tak jak ja teraz. Przygląda się. Upewnia, że zadanie zostało wykonane.

Gdy czuję, że nie zniosę tego ani chwili dłużej, odrywam wzrok od wanny i idę do sypialni Lisy, ze wszystkich sił próbując otrząsnąć się z chłodu, jaki mnie nagle ogarnął. Pokój jest cały w pastelowych odcieniach: kremowa wykładzina, różowe zasłony, różowa kapa na łóżku. W kącie stoi pokryta kurzem bieżnia, na jej uchwytych wiszą ubrania.

Ciekawe, czy któraś z naszych rozmów z Lisą była stąd prowadzona; niemal widzę, jak Lisa udziela mi rad wyciągnięta na łóżku albo maszerując po bieżni z telefonem w ręku. Powraca wspomnienie jej głosu w słuchawce.

„Nie zmienisz tego, co się stało. Jedyne, na co masz wpływ, to jak sobie z tym poradzisz”.

Podchodzę do komody, na której piętrzą się akcesoria do włosów i plastikowe pojemniki na przybory do makijażu. Jest tam także staroświeckie pudierko na biżuterię. Gdy unoszę wieczko, ze środka wyskakuje porcelanowa baletnica w tiulowej spódniczce i zaczyna się obracać.

Z boku komody stoi kilka fotografii w plastikowych, udających drewniane ramkach. Lisa z Nancy na plaży mrużą oczy od słońca. Lisa przy choince z parą starszych ludzi, którzy, jak sądzę, są jej rodzicami. Lisa nad Wielkim Kanionem i w barze, z neonem za plecami i czyjąś dłonią z czerwonym sygnetem na ramieniu. Lisa na przyjęciu urodzinowym ze śladami tortu na twarzy.

Jedną po drugiej opróżniam szuflady komody, wygarniając staniki, skarpetki i babcine majtki. Szybko je chowam, starając się stłumić w sobie wyrzuty sumienia na

myśl, że bądź co bądź myszkuję w cudzych rzeczach. Mam wrażenie, jakbym dopuszczała się profanacji. Albo włamała się do domu Lisy, żeby go splądrować.

Tak samo jest, kiedy otwieram szafę i zaczynam wyjmować ubrania, skromne kostiumy i żałosne kwieciste sukienki, które przed laty wyszły z mody. Nagle znajduję to, na co liczyłam: wciśnięty w kąt szafy szary sejf, częściowo zasłonięty przez kosz piknikowy. Nie jest duży i ma tylko jedną szufladę. Zauważam w niej zamek podobny do tego, który tkwi w mojej sekretnej szufladzie w domu. Otacza go podobna siatka zarysowań świadczących o tym, że został wyłamany.

Teraz nie mam już wątpliwości, że Sam tutaj była. Rysy wokół zamka to jej robota. Na pewno.

Palcami odruchowo muskam łańcuszek, na którym wisi kluczyk do mojego skarbczyka. Nawet tutaj, z dala od domu, nadal go noszę. Jego dotyk daje mi poczucie normalności, choć przecież za sprawą Sam całe moje życie stanęło do góry nogami.

Pociągam za szufladę, a ta się wysuwa. W środku leżą równo trzy teczki.

Ta na wierzchu jest niebieska i niepodpisana. Otwieram ją i widzę coś w rodzaju albumu. Całe strony skserowanych wycinków prasowych, artykułów z czasopism, tekstów wydrukowanych z internetu. Wszystkie dotyczą masakry w akademiku Lisy. Niektóre zdania podkreślono niebieskim długopisem. Na marginesach mnożą się znaki zapytania i smutne buźki.

Pozostałe teczki są koloru czerwonego i białego. Jedna dotyczy Sam, druga – mnie. Nie muszę nawet zaglądać, żeby odgadnąć ich zawartość. Matematyka nie kłamie. Trzy Ocalałe, trzy teczki.

Teczka Sam jest czerwona. W środku znajduję relacje z wydarzeń w motelu Nightlight Inn, w tym kopię artykułu z „Time’a”, który przeraził mnie jako dziecko. Tutaj także widnieją notatki Lisy. Słowa, całe zdania oraz ich fragmenty nagryzmołone gęsto na marginesach.

Na dnie teczki kryją się dwa wycinki z gazet, oba bez widocznych dat.

*HEMLOCK CREEK, Pensylwania: Policja nadal prowadzi dochodzenie w sprawie śmierci dwojga turystów, którym w ubiegłym miesiącu zadano śmiertelne ciosy nożem. Śledczy znaleźli ciała Tommy’ego Currana, lat 24, oraz Suzy Pavkovic, lat 23, w namiocie rozbitym na gęsto zalesionym obszarze trzy kilometry za miastem. Obie ofiary miały liczne rany klute. Choć na terenie obozowiska wykryto ślady walki, nic nie wskazuje, aby coś zginęło. Policja wyklucza zatem motyw rabunkowy napaści.*

*Makabryczna zbrodnia wzbudziła niepokój wielu mieszkańców tego małego miasteczka. Zaledwie rok wcześniej przy Valley Road, rzadko uczęszczanej drodze dojazdowej do szpitala psychiatrycznego w Blackthorn, znaleziono ciało uduszonej 20-letniej kobiety, której tożsamości nie udało się ustalić. Śledczy są przekonani, że zabito ją gdzie indziej, a zwłoki porzucono w lesie.*

*Zdaniem policji nie ma podstaw przyjmować, że coś łączy obie te sprawy.*

*HAZLETON, Pensylwania: Mężczyzna zginął wczoraj od ciosu nożem w domu,*

*który dzielił z żoną i pasierbicą. Wezwana na miejsce policja z Hazleton znalazła martwego Earla Potasha, lat 46, w kuchni dwurodzinnego budynku przy Maple Street. Ofierze zadano liczne rany klute w brzuch oraz klatkę piersiową. Policja uznała incydent za morderstwo. Śledztwo jest w toku.*

Przyciskam dłoń do czoła. Jest rozpalone. To z powodu wzmianki o Blackthorn w pierwszym artykule. Ta nazwa nieodmiennie sprawia, że cała pocę się ze zdenerwowania. Nie pamiętam już od kogo, ale słyszałam o morderstwach popełnionych w tamtych lasach. Dokonano ich mniej więcej na rok przed Pine Cottage, w tej samej okolicy. Dlaczego Lisa zachowała te wycinki w teczce poświęconej Sam, jest dla mnie niepojęte.

Drugi artykuł niczego nie wyjaśnia, chowam więc oba do teczki i odkładam na bok. Pora na białą teczkę.

Moją teczkę.

Otwieram ją i zatrzymuję wzrok na leżącej na wierzchu kartce papieru. Widnieje na niej moje imię i numer telefonu. Wszystko powoli zaczyna mi się układać w głowie. Już wiem, gdzie Sam zdobyła mój numer telefonu, który przydał się w noc jej aresztowania.

Pod kartką znajduję wycinki poświęcone Pine Cottage, spięte różowym spinaczem do papieru. Przerzucam je, nawet na nie nie patrząc, w obawie, że znowu zobaczę Jego zdjęcie. Zamiast tego natrafiam na anonim.

*Tamten anonim.*

Ten, który zaniepokoił nawet samego Coopa.

*NIE PØWINNAŚ BYŁA PRZEŻYĆ.*

*PØWINNAŚ BYŁA UMRZEĆ W TEJ CHACIE.*

*TWØIM PRZEZNACZENIEM BYŁØ ZØSTAC ZŁØŻØNĄ W ØFIERZE.*

Pod wpływem szoku czuję, że brakuje mi powietrza. Zaczynam ciężko dyszeć i zaraz się opanowuję w obawie, że ściągnę do pokoju Nancy. Wytrzeszczonymi oczami wpatruję się w anonimowy list i te przeklęte, poprzekreślane zera, które zdają się na mnie gapić z kartki.

Jedno pytanie nie daje mi spokoju. To najbardziej oczywiste.

Skąd, do cholery, Lisa wzięła kopię tego listu?

Po nim pojawia się inne, jeszcze bardziej niepokojące.

*Po co go przechowywała?*

Pod anonimem, również spięty spinaczem, spoczywa stenogram policyjnego przesłuchania. U góry widnieje moje nazwisko i data. Tydzień po Pine Cottage. U dołu dostrzegam starannie wypisane na maszynie nazwiska dwóch ludzi, o których od lat nie myślałam – detektywa Cole'a i detektywa Freemonta.

W drugim końcu korytarza rozlega się głos Nancy. Przemieszcza się, jest coraz bliżej.

– Quincy?

Z trzaskiem zamykam teczkę. Unoszę tył bluzki, przyciskam teczkę do kręgosłupa i wsuwam ją za pasek spodni na tyle głęboko, aby nie wypadła, gdy będę się poruszać. Potem upycham bluzkę w spodniach, licząc, że Nancy nie zauważy, że wcześniej była wypuszczona.

Pozostałe dwie teuczki wrzucam z powrotem do szuflady sejfu i zamykam ją na ułamek sekundy przed wejściem Nancy. Jej wzrok pada na kartony, potem na mnie, gramoląc się z klęczek przed szafą Lisy.

– Powinnaś się już zbierać – mówi.

Powraca spojrzeniem do kartonów: są tylko częściowo wypełnione. Z jednego zwisają džinsy Lisy.

– Przepraszam, że nie zrobiłam więcej – odzywam się. – Pakowanie jej rzeczy okazało się trudniejsze, niż sądziłam. Uświadomiło mi, że naprawdę odeszła.

Bierzemy każda po pudle i zanosimy do salonu. Puszczam Nancy przodem. Kiedy żegnamy się przy drzwiach, boję się, że zechce mnie przytulić, i sztywnieję na myśl o jej kościstych dłoniach natrafiających na sterczącą zza paska teczkę. Lecz ona do czułości podchodzi podobnie jak Coop. Nawet nie podaje mi ręki. Ściąga tylko wargi, uwidaczniając okalające je zmarszczki.

– Trzymaj się, skarbie – rzuca.



## TYDZIEŃ PO PINE COTTAGE

Dobry Glina i Zły Glina wpatrywali się w Quincy, oczekując od niej czegoś, czego nie potrafiła im dać. Detektyw Freemont, ten stary buldog, wyglądał na mocno sponiewieranego, jakby od wielu dni nie spał. Quincy zauważyła, że miał na sobie tę samą marynarkę, co podczas ich pierwszej rozmowy, wciąż z tą samą rzucającą się w oczy plamą po musztardzie. Dla odmiany detektyw Cole ani trochę nie stracił na atrakcyjności, nawet pomimo udającej wąsik szczeciny nad górną wargą. Rzadkie włoski połyskiwały, kiedy się do niej uśmiechnął.

– Zapewne się pani denerwuje – powiedział. – Niepotrzebnie.

Mimo to Quincy denerwowała się, i to bardzo. Raptem dwa dni po wyjściu ze szpitala znów trafiła na posterunek, przywieziona przez poirytowaną matkę na wózku inwalidzkim, ponieważ chodzenie nadal sprawiało jej ból.

„Tyle zachodu – narzekała w samochodzie Sheila Carpenter. – Czy oni nie rozumieją, jaki to dla nas kłopot?”

Kiedy zadzwonił telefon, matka akurat sprzątała na piętrze i podniosła słuchawkę ręką obleczoną w gumową rękawicę. Kłopot czy nie, przed wyjściem z domu nie omieszkała się przebrać w kwiecistą sukienkę. Quincy, ku zgrozie matki, pojechała na przesłuchanie w piżamie i szlafroku.

– Czy coś się stało? – zapytała, spoglądając z wózka na obu mężczyzn i zachodząc w głowę, po co ją tutaj wezwali.

– Mamy jeszcze kilka pytań – wyjaśnił Cole.

– Powiedziałałam już wszystko, co wiem – jęknęła Quincy.

Freemont pokiwał głową z ubolewaniem.

– Czyli tyle co nic.

– Proszę tego nie traktować jak nękania – rzekł Cole. – Po prostu chcielibyśmy mieć pewność, że wiemy wszystko na temat tego, co wydarzyło się w chacie. Ze względu na rodziny ofiar. Na pewno to pani rozumie.

Quincy wołała nie myśleć o pogrążonych w żałobie rodzicach, rodzeństwie i przyjaciółach. Matka Janelle odwiedziła ją w szpitalu. Rozdygotana, z czerwonymi oczami, oczekiwała od Quincy zapewnienia, że jej córka nie cierpiała, że w chwili śmierci nie odczuwała żadnego bólu. „Niczego nie poczuła – skłamała Quincy. – Na sto procent”.

– Rozumiem – zwróciła się do Cole’a. – Chcę wam pomóc. Naprawdę.

Policjant sięgnął do stojącej przy nogach aktówki, wyjął teczkę i położył na stole. Na niej zaś umieścił połyskujący metalicznie prostokąt. Magnetofon.

– Zadamy pani teraz kilka pytań – oznajmił. – Jeżeli nie ma pani nic przeciwko temu, chcielibyśmy nagrywać naszą rozmowę.

Wpatrzona w magnetofon Quincy poczuła ukłucie niepokoju.

– Oczywiście – odparła z wyczuwalnym drżeniem w głosie.

Cole nacisnął czerwony przycisk nagrywania, po czym odezwał się:

– Proszę jak najdokładniej opisać nam, co zapamiętała pani z wydarzeń tamtej nocy.

– Całej nocy? Czy od momentu, kiedy Janelle zaczęła krzyczeć? Bo niewiele pamiętam z tego, co się działo później.

– Całej nocy.

– No więc...

Quincy zawahała się nieco i zmieniła pozycję na wózku w taki sposób, żeby mieć przed sobą przeszklone drzwi pokoju. Zamknięto je po tym, jak na czas przesłuchania jej matka została wyproszona na korytarz. Przez kwadratową szybę widać było tylko fragment ściany w kolorze kości słoniowej i róg plakatu przestrzegającego przed niebezpieczeństwami jazdy w stanie nietrzeźwym. Ani śladu matki czy kogokolwiek innego.

– Wiemy, że na imprezie był alkohol – wtrącił Freemont. – I marihuana.

– Owszem – przyznała Quincy. – Ale ja nie piłam. Ani nie paliłam trawy.

– Grzeczna dziewczynka, co? – zakpił Freemont.

– Tak.

– Jednak w chacie trwała impreza? – upewnił się Cole.

– Tak.

– W której uczestniczył Joe Hannen?

Quincy wzdrygnęła się na dźwięk Jego nazwiska. Zadane nożem rany, wciąż jeszcze pozszywane, zaczęły boleśnie pulsować.

– Tak.

– Czy tego wieczoru coś się wydarzyło? – spytał Freemont. – Coś go zdenerwowało? Ktoś go sprowokował? Próbował nękać? Skrzywdził w sposób, który mógł wywołać agresywną reakcję?

– Nie – odpowiedziała Quincy.

– A czy coś zdenerwowało *panią*?

– Nie – powtórzyła z naciskiem, w nadziei, że dzięki temu jej kłamstwo zabrzmi trochę bardziej wiarygodnie.

– Przyjrzelśmy się wynikom pani obdukcji w związku z podejrzeniem napaści na tle seksualnym – rzekł Freemont.

Miał na myśli specjalistyczne badania, którym poddano Quincy zaraz po tym, jak założono jej szwy. Niewiele z nich zapamiętała. Tylko tyle, że gdy ze wzrokiem wbitym w sufit starała się powstrzymać łkanie, pielęgniarka spokojnie opisywała kolejne etapy procedury.

– Wynika z nich, że odbyła pani tamtej nocy stosunek płciowy. Tak było?

Quincy skinęła krótko głową, czując, że jej policzki płoną ze wstydu.

– Za swoją zgodą? – drażył Freemont.

Quincy ponownie przytaknęła; rumieniec ogarnął również jej czoło i kark.

– Na pewno? Jeżeli było inaczej, może nam pani śmiało powiedzieć.

– Było – potwierdziła Quincy. – To znaczy stosunek odbył się za moją zgodą. Nie zostałam zgwałcona.

Detektyw Cole odchrząknął; podobnie jak jej śpieszno mu było zmienić temat.

– Idźmy dalej. Proszę opowiedzieć, co się stało po tym, jak pani przyjaciółka Janelle wyszła z lasu, a pani została ugodzona w bark. Jest pani pewna, że nie pamięta

niczego, co później nastąpiło?

– Całkowicie pewna.

– Mimo to proszę spróbować – zachęcił ją Cole. – Niech się pani chwilę zastanowi.

Quincy zamknęła oczy, już chyba po raz setny usiłując przywołać choćby strzęp wspomnienia tego, co wydarzyło się w owej brakującej godzinie. Wzięła kilka głębokich wdechów, za każdym razem czując, jak napinają się założone jej szwy. Rozboliła ją głowa. Kolejna migrena niczym balon rozpychała od środka jej czaszkę. Przed oczami miała jedynie mrok.

– Przykro mi – powiedziała płacząco. – Nic nie pamiętam.

– Zupełnie nic? – Freemont nie ustępował.

– Zupełnie. – Quincy drżała na całym ciele. Czowała napływające jej do oczu łzy. –

Nic a nic.

Freemont skrzyżował ramiona na piersi i prychnął poirytowany. Cole tylko jej się przyglądał przez zmrużone powieki, jakby dzięki temu mógł coś wyraźniej zobaczyć.

– Chce mi się pić – oznajmił nagle, zwracając się do Freemonta. – Hank, bądź tak miły i przynieś mi kawę z automatu, dobrze?

Jego prośba najwyraźniej zaskoczyła Freemonta.

– Poważnie mówisz?

– Tak. Bardzo proszę. – Cole zerknął na Quincy. – Wolno pani pić kawę?

– Nie wiem.

– Lepiej nie ryzykujemy – stwierdził. – Kofeina w połączeniu z zażywaniem przez panią lekami może dać wybuchową mieszankę, dobrze mówię? Nie chcielibyśmy pani zaszkodzić. Co to, to nie.

Ostatnie zdanie wzbudziło czujność Quincy. Wypowiedziano je tak sztucznym tonem, że nie mogło być szczere. Przystojna twarz Cole'a, jego ciepłe, dwuznaczne uśmiechy, wszystko było jedynie zasłoną dymną.

Po wyjściu Freemonta okazało się, że miała rację.

– Muszę ci to oddać – rzucił Cole. – Jesteś naprawdę niezła.

– Nie wierzy mi pan.

– Ani trochę. Ale prędzej czy później poznamy prawdę. Pomyśl o tym, Quincy.

Wyobraź sobie, jak się poczują rodzice twoich przyjaciół na wieść, że przez cały ten czas ich okłamywałaś. Nieładnie.

Mówiąc to, mrugnął porozumiewawczo. Jakby dawał Quincy do zrozumienia, że wie, co ona ukrywa.

– Możesz do znużenia powtarzać, że niczego nie pamiętasz – dodał. – Ale oboje wiemy, że to nieprawda.

W Quincy stopniowo dokonywała się kolejna przemiana. Twardniała wewnątrz. Jak galwanizowana stal. Wyobraziła sobie, że jej skóra zmienia się w metal, gładki i lśniący. Staje się tarczą broniącą ją przed oskarżeniami Cole'a. Dodającą sił.

– Przykro mi, jeśli moja utrata pamięci pana denerwuje – odparła. – Może mnie pan wypytywać do znużenia, lecz dopóki nie wróci mi pamięć, odpowiedź będzie zawsze taka sama.

– Niewykluczone, że tak zrobię – stwierdził Cole. – Zacznę cię odwiedzać w domu.

Co miesiąc. Albo i co tydzień, do diabła! Twój rodzice pewnie wkrótce zaczną się zastanawiać, czemu ten przystojny detektyw wciąż cię nachodzi i stale zadaje te same pytania.

Quincy posłała mu wyzywający uśmiech.

– Nie aż taki przystojny.

– Na twoim miejscu bym się nie uśmiechał – zauważył Cole. – Sześć osób nie żyje, Quincy. Ich rodzice żądają wyjaśnień. Zaś jedyną ocalałą jesteś ty, chucherko twierdzące, że niczego nie pamięta.

– Naprawdę uważa pan, że to ja ich zabiłam?

– Jestem przekonany, że coś ukrywasz. Być może kogoś chronisz. Chętnie zmienię zdanie, jeżeli w końcu usłyszę, co widziałaś tamtej nocy, włącznie z tym, o czym tak skwapliwie zapomniałaś.

– Powiedziałałam wam wszystko, co wiem. Skąd pomyśl, że kłamię?

– Bo nic tutaj nie trzyma się kupy – mruknął Cole. – Twoje odciski palców były na nożu, którym zabito twoich przyjaciół.

– Nie tylko moje. – Piers Quincy wezbrała gniewem na myśl, ile razy ów nóż przechodził z rąk do rąk. Wszyscy go dotykali – Janelle, Amy i Betz na pewno. On również. – Może pan zapomnieli, ale ja także zostałam zaatakowana. Trzykrotnie.

– Dwie rany klute w bark i jedna w brzuch – zachnął się Cole. – Żadna niezagrażająca życiu.

– To już nie moja wina.

– Chcesz usłyszeć, co spotkało innych?

Cole sięgnął po leżącą na stole teczkę. Gdy ją otworzył, Quincy ujrzała fotografie. *Swoje* fotografie. Zrobione jej aparatem. Policja naturalnie znalazła go w chacie i zgrała zachowane na karcie zdjęcia.

Śledczy podsunął jej jedno. Przedstawiało Janelle z wysuniętym językiem, wdzięczącą się do obiektywu przed Pine Cottage.

– Janelle Bennett – rzekł. – Cztery rany klute. Po jednej w serce, płuco, bark oraz brzuch. Do tego poderżnięte gardło.

Pancerz ochronny, który wcześniej na sobie czuła, rozpułynał się bez śladu. Nagle znów była kompletnie bezbronna.

– Niech pan przestanie – wymamrotała.

Cole zignorował jej prośbę i położył na stole następną fotografię. Tym razem przedstawiającą Craiga stojącego dumnie na szczycie głazu, do którego wybrali się na wycieczkę.

– Craig Anderson. Sześć ran klutych o głębokości od pięciu do piętnastu centymetrów.

– Błagam!

Na kolejnym zdjęciu Rodney i Amy obejmowali się w lesie. Quincy pamiętała, co powiedziała w chwili, kiedy je im robiła: „Buzi buzi do zdjęcia”.

– Rodney Spelling – ciągnął nieubłaganie Cole. – Cztery rany klute. Dwie w brzuch. Jedna w ramię. Jedna w serce.

– *Dosyć!* – wrzasnęła Quincy na tyle głośno, by do pokoju wpadli Freemont i drugi

nieumundurowany policjant, który czekał za drzwiami. Quincy natychmiast go poznała. Funkcjonariusz Cooper otoczył ją swoim błękitnym spojrzeniem dającym poczucie bezpieczeństwa. Na sam jego widok przepełniła ją ulga.

– Co się tutaj dzieje? – zapytał surowo. – Quincy, wszystko w porządku?

Quincy spojrzała na niego, dzielnie walcząc ze łzami; nie chciała, żeby policjanci widzieli ją płaczącą.

– Niech pan mu powie – poprosiła. – Niech pan mu powie, że nie zrobiłam nic złego. Że jestem dobrym człowiekiem.

Funkcjonariusz Cooper podszedł do niej. Myślała, że ją przytuli i nie miała nic przeciwko temu. Chciała się poczuć bezpieczna w czyichś ramionach. Zamiast tego położył jej na ramieniu swoją dużą, mocną dłoń.

– Jesteś wspaniała – rzekł, zwracając się do niej, lecz patrząc twardo na detektywa Cole'a. – Potrafisz o siebie zawalczyć.

Wielka dwunaczepowa ciężarówka przetacza się z łoskotem, trąbiąc głośno, i podmuch powietrza wstrząsa zaparkowaną na pasie awaryjnym autostrady toyotą camry. Siedzę z przodu na fotelu pasażera, z nogami w otwartych drzwiach samochodu. Podsufitowa lampka bladą poświatą otacza moje dłonie i trzymaną w nich teczkę.

Mam przed sobą zapis swojej rozmowy z Freemontem i tym dupkiem Cole'em. Muszę tylko rzucić okiem na kilka pierwszych zdań, żeby przypomnieć sobie całą resztę.

*COLE: Proszę jak najdokładniej opisać nam, co zapamiętała pani z wydarzeń tamtej nocy.*

*CARPENTER: Całej nocy? Czy od momentu, kiedy Janelle zaczęła krzyczeć? Bo niewiele pamiętam z tego, co się działo później.*

*COLE: Całej nocy.*

Ciskam stenogram przesłuchania na bok – nie mam ochoty dalej tego czytać. Ani od nowa przeżywać tamtego spotkania. Raz aż nadto wystarczył.

Pod stenogramem znajduję kilka stron e-maili, wydrukowanych i spiętych zszywką. Wszystkie wysłano w tym samym czasie, przed trzema tygodniami.

*Panno Milner,*

*oczywiście wiem, kim Pani jest i co spotkało Panią przed laty. Proszę przyjąć spóźnione wyrazy współczucia wraz z zapewnieniem o moim szczerym podziwieniu dla odwagi oraz siły, jakie prezentowała Pani przez ostatnie lata. Z tego też powodu pozwalam sobie załączyć zapis naszej nagranej rozmowy z panną Carpenter, o którą Pani prosiła. W przeciwieństwie do innych rozumiem Pani zainteresowanie osobą panny Carpenter. Przeżyłyście podobny koszmar. Od czasu moich spotkań z panną Carpenter minęło sporo czasu, lecz doskonale je pamiętam. Wspólnie z kolegą kilkakrotnie ją przesłuchiwaaliśmy po tragedii w Pine Cottage. Obaj byliśmy zdania, że coś ukrywa. Przeczucie mówiło mi, że jakieś zdarzenie poprzedziło tragiczne zajścia, do których doszło tamtej nocy w chacie. Coś, co panna Carpenter pragnęła zachować w tajemnicy. Mój partner sądził wręcz, że miała ona jakiś związek ze śmiercią swoich przyjaciół. Nie podzielałem jego podejrzeń wówczas i nie podzielałm ich obecnie, szczególnie w świetle wyczerpujących zeznań złożonych w tej sprawie przez funkcjonariusza Coopera. Mimo to po dziś dzień uważam, że panna Carpenter ukrywa jakieś fakty związane z tym, co miało miejsce w Pine Cottage. Jedyne ona wie, co to może być.*

*Z poważaniem,*

*detektyw Henry Freemont*

*W sprawie masakry w Pine Cottage powiedziałem już wszystko, co miałem do powiedzenia. Moja opinia na temat Quincy Carpenter nie uległa zmianie.*

*Cole*

Nic w treści obu e-maili mnie nie dziwi, może tylko zaskakująca elokwencja detektywa Freemonta. Cole nadal uważa mnie za winną. Freemont się waha. Jednak już sam fakt istnienia tych listów budzi moje zaskoczenie, większe nawet niż widok teczek ukrytych w szafie Lisy. To twardy dowód, że interesowała się moją przeszłością. W dodatku ni mniej, ni więcej jak na kilka tygodni przed swoją śmiercią.

Usiłuję sobie wmawiać, że jednego z drugim nic nie łączy, ale to niemożliwe. Związek istnieje. Wiem to.

Pod korespondencją od Cole'a i Freemonta znajdują jeszcze dwa wydruki e-maili. W przeciwieństwie do poprzednich, stanowią dla mnie prawdziwy wstrząs.

*Miło Cię znów słyszeć, Liso, jak zwykle zresztą. Jak zwykle też mam nadzieję, że masz się dobrze. Quincy świetnie sobie radzi, więc twoje pytania dotyczące wydarzeń w Pine Cottage trochę mnie zaskoczyły. Niemniej jednak jestem Ci wdzięczny, że nie zadałaś ich bezpośrednio Quincy i liczę, że w przyszłości zachowasz podobną dyskrecję. Mogę jedynie powtórzyć to, co od początku powtarzałem: Quincy Carpenter przeżyła niewyobrażalny koszmar, o czym dobrze wiesz i co potrafisz zrozumieć. Jest wojowniczką. Podobnie jak ty. Głęboko wierzę, że nie kłamie, mówiąc, że niewiele z tamtej nocy pamięta. Jako psycholog dziecięcy chyba najlepiej powinnaś wiedzieć, że wyparcie to częsty mechanizm obronny. Biorąc pod uwagę wszystko, co spotkało Quincy, nie sposób winić jej umysłu za to, że wolał zapomnieć.*

*Franklin Cooper*

*PS Nie wspomnę Nancy o Twoich poczynaniach. Z pewnością nie byłaby nimi zachwycona.*

W pierwszej chwili ogarnia mnie rozczarowanie na myśl, że Coop nie pokwapił się poinformować mnie o swoich niedawnych kontaktach z Lisą. Wydaje mi się, że powinnam o nich wiedzieć, zwłaszcza po tym, jak została zamordowana. Mięknię jednak, czytając po raz drugi, jak żarliwie mnie bronił. To takie podobne do Coopa: ton e-maila jest stanowczy, uprzejmy, a zarazem nie zdradza żadnych osobistych uczuć. Dociera do mnie, dlaczego mi o nim nie wspomniał: po prostu nie chciał mnie martwić.

O ile list Coopa jest dla mnie zaskoczeniem, o tyle drugi przypomina uderzenie obuchem w głowę.

*Witaj, Liso! Dziękuję, że napisałaś najpierw do mnie, a nie bezpośrednio do*

*Quincy. Masz rację. Lepiej będzie, jeśli utrzymamy to w tajemnicy. Nie ma sensu jej niepokoić. Niestety obawiam się, że niewiele mogę Ci pomóc. Nasze stosunki z Quincy ostatnio znacznie się rozluźniły, ale tak to już jest! Wiecznie zapracowana! Gdybyś miała ochotę porozmawiać, podam ci mój numer telefonu. Zadzwoń, kiedy będziesz mogła.*

*Sheila*

Jestem w takim szoku, że w pierwszej chwili nie wierzę, aby ten e-mail mógł być prawdziwy. Zamykam oczy, spodziewając się, że zniknie, gdy ponownie je otworzę. Jednak nadal tam jest: czarne litery na białej jak śnieg kartce.

Co za suka!

Wściekła, wyskakuję z samochodu i staję na poboczu drogi. Pod moimi stopami zgrzytają okruchy szkła. Najprawdopodobniej jakaś rozbita butelka po winie, jednak nie potrafię się pozbyć wrażenia, że to zaginiony kieliszek z domu Lisy. Wyrzucony z okna rozpędzonego samochodu przez kierowcę, w którym wciąż buzowała adrenalina po dokonanych zabójstwie.

Wygrzebuję z kieszeni zapalniczkę i przykładam do dolnego rogu teczki. To zwykła tandeta – dopiero po kilku podejściach udaje mi się wykrzesać z niej płomień. Nic dziwnego, że koleś ze stacji benzynowej pozwolił mi ją ukraść. Pewnie rozdają je za darmo.

Podpalona teczka tli się przez chwilę – żar potrzebuje czasu, aby się w nią wgryźć. Wkrótce jednak brzegiem tektury pomyka ogień. Gdy grozi mi oparzenie, wypuszczam teczkę z palców, ta zaś jeszcze w powietrzu zajmuje się migotliwym płomieniem. Kierowca przejeżdżającej ciężarówki na ten widok zaczyna trąbić, ale gna dalej. Teczka dopala się na ziemi, a podmuchy powietrza, wzniecane przez mknące jezdnią auta, rozwiewają popiół na wszystkie strony.

Upewniwszy się, że wszystkie papiery zostały zniszczone, z uchwytu na kubek wyjmuję butelkę wody i polewam nią resztki teczki. Płomienie gasną z sykiem, pojawia się dym.

Zniszczenie dowodów to bułka z masłem.

Zadanie, które mnie teraz czeka, będzie znacznie trudniejsze.

Wsiadam do samochodu i ponownie wyjeżdżam na autostradę międzystanową numer 65, kierując się na północ. Prowadzę jedną ręką, drugą wybieram numer w komórce. Potem odkładam aparat na fotel pasażera i przełączam na głośnik. Sygnał połączenia rozbrzmiewa głośno i wyraźnie we wnętrzu samochodu. Ten dźwięk przywodzi mi na myśl coroczne telefony z okazji Dnia Matki, kiedy w poczuciu winy odliczam kolejne sygnały, modląc się, aby nikt nie podniósł słuchawki. Dzisiaj ktoś ją podnosi.

– Quincy? – rozlega się głos matki, wyraźnie zaszokowanej, że do niej dzwonię. – Czy coś się stało?

– Owszem, stało się – odpowiadam. – Dlaczego nic nie wiem o tym, że kontaktowała się z tobą Lisa Milner?



Po drugiej stronie zapada cisza. Na tyle długa, że zaczynam podejrzewać, iż matka się rozłączyła. Mijają sekundy, a ja słyszę tylko świst wiatru owiewającego karoserię samochodu. Wreszcie matka się odzywa. Głos ma mdły i pozbawiony jakiejkolwiek modulacji – dźwiękowy odpowiednik roztopionych lodów waniliowych.

– Cóż to za dziwne pytanie, Quincy.

Parskam gniewnie.

– Widziałam twój e-mail, mamó. Wiem, że podałaś jej swój numer telefonu. Zadzwoiła?

Kolejna pauza. Nim matka odpowie, z głośnika dobiegają trzaski zakłóceń.

– Wiedziałam, że się zdenerwujesz.

– Kiedy ze sobą rozmawialiście? – chcę wiedzieć.

– Och, nie pamiętam.

– Pamiętasz, mamó. Mów, i to zaraz.

Znowu milczenie. I znowu zakłócenia.

– Około dwóch tygodni temu – odpowiada matka.

– Czy Lisa wspominała, skąd to nagle zainteresowanie moją osobą?

– Mówiła, że się martwi.

Przechodzi mnie dreszcz.

„Quincy, muszę z Tobą porozmawiać. To bardzo ważne. Błagam, nie zlekceważ tego”.

– Mną? Czy o mnie?

– Tego nie powiedziała, Quincy.

– O czym więc rozmawialiście?

– Pytała, co u ciebie. Odparłam, że znakomicie. Wspomniałam o twoim blogu, pięknym mieszkaniu, o Jeffie.

– O czym jeszcze?

– Pytała... – Matka urywa, nad czymś się zastanawia i kontynuuje: – Pytała, czy odzyskałaś jakieś wspomnienia. O tamtej nocy.

Wzdrygam się, czując na plecach kolejny dreszcz. Podkręcam ogrzewanie w nadziei, że to coś pomoże.

– Skąd taki pomysł?

– Nie wiem – stwierdza matka.

– I co jej powiedziałaś?

– Prawdę. Że niczego nie pamiętam.

Tyle że to nie jest prawda. Już nie. Coś sobie przypomniałam. Tak jakbym zajrzała do tamtych wydarzeń przez dziurkę od klucza.

Biorę głęboki wdech, wciągam do płuc zakurzone, gorące powietrze z samochodowej klimatyzacji. W ogóle mnie nie rozgrzewa. Wysusza mi tylko gardło na pieprz, sprawiając, że zaczyna drapać. Zachrypniętym głosem zadaję następne pytanie:

– Czy Lisa wspominała, dlaczego ją to interesuje?

– Powiedziała, że ostatnio dużo o tobie myślała. I że chciała sprawdzić, czy u ciebie wszystko w porządku.

– To dlaczego po prostu do mnie nie zadzwoniła?

Skontaktowała się za to z Cole'em, Freemontem, Coopem i moją matką. Ze wszystkimi, tylko nie ze mną. Kiedy w końcu się odezwała, było już za późno.

– Nie wiem, Quincy – odpowiada matka. – Pewnie nie chciała cię niepokoić. A może...

Jeszcze jedna pauza. Milczenie się przedłuża. Do tego stopnia, że niemal namacalnie wyczuwam dystans między mną a matką. Wyobrażam sobie te wszystkie pola, miasta i miasteczka dzielące autostradę w Indianie od jej oślepiająco białego domku w hrabstwie Bucks.

– Mamo? – przerywam tę nieznośną ciszę. – Może co?

– Chciałam powiedzieć, że może Lisa obawiała się, że nie będziesz z nią zupełnie szczerą.

– Chyba tego nie powiedziała?

– Nie – przyznaje matka. – Nic z tych rzeczy. Odniosłam jednak wrażenie... Mogę się mylić, ale wydawało mi się, że ona coś wie. Albo podejrzewa.

– W związku z czym?

Matka ścisza głos.

– Z wydarzeniami tamtej nocy.

Wiercę się za kierownicą; nagle robi mi się nieznośnie gorąco. Na czoło występują krople potu. Ocieram je i wyłączam ogrzewanie w samochodzie.

– Skąd wzięło się to wrażenie?

– Kilkakrotnie podkreśliła, jakie miałaś szczęście. Że tak szybko doszłaś do siebie. Nie odniosłaś poważnych ran, zwłaszcza w porównaniu z tym, co spotkało innych.

W ciągu ostatnich dziesięciu lat matka nigdy nie rozmawiała ze mną aż tyle o Pine Cottage. Cztery nędzne zdania. Gdyby nie tragiczne okoliczności, uznałabym to za coś w rodzaju spektakularnego przesilenia w naszych stosunkach.

– Mamo – mówię – czy Lisa sugerowała, że miałam coś wspólnego z tym, co działo się w Pine Cottage?

– Niczego nie sugerowała...

– Dlaczego więc uważasz, że miała jakieś podejrzenia?

– Nie wiem, Quincy.

Za to ja wiem. Ma swoje własne podejrzenia. Nie sądzi, abym wymordowała pozostałych, ale – nie mam co do tego żadnych wątpliwości – podobnie jak Cole i Freemont zastanawia się, dlaczego jako jedynej udało mi się przeżyć. W głębi duszy przypuszcza, że coś przed nią ukrywam.

Myślę o tym, jak patrzyła na mnie tamtego dnia przed laty, kiedy zdemolowałam kuchnię. Oczami pociemniałymi z bólu. W jej źrenicach drżał lęk. Bóg mi świadkiem, że chciałabym zapomnieć to jej spojrzenie tak samo, jak zapomniałam ową feralną godzinę w Pine Cottage. Wymazać je z pamięci. Zepchnąć w mrok, żeby już więcej mnie nie prześladowało.

– Dlaczego nic mi o tym nie powiedziałaś?

– *Próbowałam* – odpowiada matka, udając święte oburzenie. – Telefonowałam do ciebie przez dwa dni z rzędu. Ale nie oddzwoniłaś.

– Mamo, rozmawiałaś z Lisą przed dwoma tygodniami – mówię. – Powinnaś była natychmiast mnie zawiadomić!

– Chciałam cię chronić. To mój obowiązek jako matki.

– Nie przed czymś takim!

– Zależy mi, żebyś była szczęśliwa, Quincy – dodaje matka. – Nigdy niczego więcej nie pragnęłam. Tylko żebyś była szczęśliwa, zadowolona z życia i normalna.

W tym ostatnim słowie zawierają się wszystkie jej nadzieje i moje niepowodzenia. Ma niszczycielską siłę granatu, wrzuconego w sam środek rozmowy. Tyle że to ja wybucham.

– Nie jestem normalna, mamo! – wrzeszczę, a mój głos odbija się od przedniej szyby auta. – Po tym, co mnie spotkało, nie sposób, żebym była normalna!

– Ależ jesteś! – upiera się matka. – Miałaś pewien problem, zajęłyśmy się nim i teraz wszystko jest w jak najlepszym porządku.

Czuję wzbierające w oczach łzy. Siłą woli próbuję je powstrzymać, lecz to na nic: spływają mi po policzkach, gdy mówię:

– Nic nie jest w porządku, mamo. Wierz mi.

Ton matki łagodnieje. W jej głosie pobrzmiewa coś, czego od lat nie słyszałam – troska.

– Dlaczego nic mi nie powiedziałaś, Quincy?

– Bo to nie był mój obowiązek – odpowiadam. – Sama powinnaś zauważyć, że coś jest nie tak.

– Zachowywałaś się, jakby było dokładnie na odwrót.

– Bo mnie do tego zmusiałaś, mamo. Wciskając mi pigułki i odmawiając rozmów na temat tego, co się stało. To twoja wina. Przez ciebie jestem... sama nie wiem jaka.

Solidnie popieprzona, ot co.

Do tego stopnia, że mogłabym jej długo wyliczać, pod iloma względami zawiodłam jako człowiek. Prawdopodobnie grozi mi aresztowanie. Równie prawdopodobne jest, że ukrywam morderczynię Lisy w mieszkaniu, na którego zakup było mnie stać wyłącznie dlatego, że ktoś wymordował moich przyjaciół. Jestem uzależniona od xanaxu. Oraz wina. Udaję, że nie odczuwam przygnębienia. Gniewu. Ani samotności. Nawet będąc z Jeffem, czuję się czasami potwornie samotna.

Najgorsze, że nigdy nie zdałabym sobie z tego sprawy, gdyby w moim życiu nie pojawiła się Sam. Oczywiście nie obyło się bez prowokacji z jej strony – tych wszystkich testów, prób i wyzwania, które zmusiły mnie do ujawnienia części prawdy o sobie i przypomnienia szczegółów tego, o czym najchętniej bym zapomniała.

Nagle dociera to do mnie z całą mocą. Jestem niczym gwóźdź uderzony młotkiem: drżąca, bezwolna, zapadająca się coraz głębiej w coś, z czego nie ma ucieczki.

– Mamo, jaki głos miała Lisa, kiedy rozmawialiście przez telefon?

– Jak to jaki? Brzmiała dokładnie tak, jak mogłam się spodziewać.

– Potrzebuję konkretów – mówię. – Miała szorstki głos? Zachrypnięty?

– Prawdę mówiąc, nie zwróciłam na to uwagi. – Matka jest wyraźnie

zdezorientowana. Wyobrażam sobie, jak z oszołomieniem wpatruje się w aparat telefoniczny. – To ty z nią przed laty rozmawiałaś. Nie wiem, jaki powinna mieć głos.

– Proszę cię, mamó, skup się! Może coś jednak zwróciło twoją uwagę.

W słuchawce po raz ostatni zapada głębokie milczenie. Zaciskam dłonie na kierownicy i modlę się, żeby coś sobie przypomniała. W przeszłości Sheila Carpenter zawiodła mnie wiele, wiele razy, teraz jednak staje na wysokości zadania.

– Robiła długie przerwy – oznajmia, nieświadoma zawartej w tych słowach ironii. – Lisa mówiła, milkła, potem znowu mówiła. Podczas każdej pauzy słychać było stłumiony wydech.

– Jakby westchnienie?

– Cichszy.

Nie musi nic więcej dodawać. Właściwie wiem już wszystko.

– Mamó, muszę kończyć.

– Poradzisz sobie? – pyta jeszcze matka. – Powiedz mi, że będziesz na siebie uważała.

– Będę. Obiecuję.

– Nie wiem, o co chodzi, ale mam nadzieję, że się na coś przydałam.

– Tak, mamó – zapewniam. – Dziękuję. Pomogłaś mi bardziej, niż możesz to sobie wyobrazić.

Mam już pewność, że pauzy, na które zwróciła uwagę matka, nie były westchnieniami, tylko odgłosem zaciągania się.

To zaś znaczy, że matka nie rozmawiała z Lisą.

Tylko z Sam.

Ciekawską, dociekliwą Sam. Która wie o mnie więcej, niż daje po sobie poznać. Od początku wiedziała. Dlatego zjawiała się tak niespodziewanie. Nie zależało jej wcale na spotkaniu ze mną. Ani na pieniądzach.

Usiłuje odkryć prawdę o wydarzeniach w Pine Cottage. Dowiedzieć się, jaką rolę w nich odegrałam.

Rozłączam się i opuszczam szybę, wpuszczając do środka ostre podmuchy rześkiego powietrza typowego dla Środkowego Zachodu. Mocniej obejmuję palcami kierownicę i wciskam w podłogę pedał gazu. Patrząc, jak wskazówka prędkościomierza pnie się coraz wyżej: sto dziesięć kilometrów na godzinę, sto dwadzieścia. Niebezpiecznie zbliża się do stu trzydziestu.

Choćbym nie wiem jak pędziła, nic to nie pomaga. Wciąż czuję się jak mucha schwytna w utkaną przez Sam pajęczynę. Uświadamiam sobie, że mam tylko dwa wyjścia, żeby się uwolnić: mogę uciec albo walczyć.

Wiem już, co wybiorę.

Po powrocie do hotelu zmieniam swoją rezerwację. Jest wolne miejsce na lot z Chicago do Nowego Jorku o ósmej wieczorem. Postanawiam z niego skorzystać.

Jeff naturalnie nie rozumie, skąd ten pośpiech. Podczas gdy ja upycham rzeczy w walizce, on zasypuje mnie pytaniami. Na każde udzielam dwóch odpowiedzi: na głos kłamie, w myślach mówię prawdę.

– Czy to ma coś wspólnego z Sam?

– Nie.

Oczywiście, że tak.

– Quincy, czy ona zrobiła coś złego?

– Jeszcze nie.

Owszem, zrobiła coś strasznego. Obie zrobiłyśmy.

– Dlaczego musisz wracać jeszcze dzisiaj?

– Chcę jak najszybciej znaleźć się w domu.

Bo Sam wie o mnie różne rzeczy. Okropne rzeczy. Tak jak ja wiem okropne rzeczy o niej. Muszę na dobre pozbyć się jej ze swojego życia.

– Może powinienem wrócić z tobą?

– Jesteś kochany, ale nie ma takiej potrzeby. Masz tu jeszcze sporo spraw do załatwienia.

Nie możesz ze mną wrócić, Jeff. Okłamałam cię. W wielu sprawach. Gdybyś odkrył prawdę, uciekłbyś ode mnie, gdzie pieprz rośnie.

Gdy spakowana podchodzę do drzwi, Jeff łapie mnie za rękę i mocno do siebie przyciąga. Pragnę ponad wszystko pozostać tu, gdzie jestem, bezpieczna w jego objęciach. Ale to niemożliwe. Nie, kiedy w moim życiu nadal jest Sam.

– W porządku? – pyta.

– Tak – odpowiadam.

Nie. Bez względu na to, co myślisz, nic nigdy nie będzie w porządku.

Samolot jest nieduży i prawie pusty. Nierentowne połączenie, istniejące wyłącznie po to, aby przewoźnik mógł się załapać na lotnisku JFK na bardziej intratne poranne loty. Mam dla siebie cały rząd, więc po starcie wyciągam się na wolnych fotelach. Leżę i ze wszystkich sił staram się nie myśleć o Sam. Na próżno. Nie potrafię zignorować podejrzeń, które oblażą mnie na podobieństwo pajaków. Wyobrażam sobie, jak wrzuca tabletki do kieliszka Lisy i obserwuje, jak te znikają w jej żołądku, potem zaś czeka, aż zaczną działać. Widzę, jak z nożem w ręku przecina jej żyły i obgryzając paznokcie, patrzy na swoje dzieło.

Czy byłaby do tego zdolna?

Może.

Tylko *dla czego* miałyby popełnić taką zbrodnię?

Wiem, że szukała informacji na mój temat. Być może namówiła Lisę do pomocy, lecz ta nabrała wątpliwości. Odmówiła i zagroziła, że wyrzuci ją z domu. Teraz moja kolej; modłę się tylko, żeby skutek był inny.

Jakimś cudem udaje mi się przespać większość drogi, choć nawet to nie przynosi większej ulgi. Śni mi się Sam, siedząca sztywno na kanapie w moim salonie. Ja tkwię na krześle naprzeciwko niej.

„Zabiłaś Lisę Milner?” – pytam.

„A ty tamtych ludzi w Pine Cottage?” – odpowiada pytaniem na pytanie.

„Unikasz odpowiedzi”.

„Ty też”.

„Myślisz, że ich zabiłam?”

Sam uśmiecha się; szminka ma tak jaskrawy odcień, że wygląda, jakby jej usta były

umazane krwią.

„Jesteś wojowniczką. Zrobisz wszystko, żeby przetrwać. Tak samo jak ja”.

Personel pokładowy budzi mnie, gdy podchodzimy do lądowania w Nowym Jorku. Prostuję oparcie fotela i otrząsam się z resztek snu. Wyglądam przez okno; nocne niebo i oświetlenie w kabinie sprawiają, że przypomina owalne lustro. Z trudem rozpoznaję wpatrujące się we mnie odbicie. Nie pamiętam już, kiedy ostatnio wydawało mi się znajome.

## PINE COTTAGE

godzina 22.14

W zaciszu sypialni Craig błyskawicznie pozbył się spodni. Quincy zauważyła ich brak dopiero, kiedy się na niej znalazł. Pijany całował ją, podciągał do góry sukienkę i pocierał kroczeniem o wnętrze jej ud. Gdy sięgnął do piersi, nakryła jego dłonie swoimi, skinieniem głowy wyrażając przyzwolenie.

Była gotowa. Janelle na wszystko ją przygotowała. Wiedziała, czego się spodziewać. Była westalką, dziewicą rzuconą na ołtarz. Całą wieczność na to czekała.

Nagle oddech Craiga stał się urywany i ciężki, a jego ruchy bardziej gwałtowne. Nadmiar alkoholu i wypalona marihuana sprawiły, że zrobił się brutalny. Gdy wcisnął kolana pomiędzy jej nogi, aby rozewrzeć je siłą, Quincy zeszywniała.

– Zaczekaj – wymamrotała.

– Rozluźnij się – wysapał Craig. Z twarzą wciśniętą w zagłębienie szyi Quincy zachłannie całował jej skórę, szczypał zębami.

– Próbuję.

– Musisz się bardziej postarać.

Ponowił próbę rozwarcia jej nóg swoimi kolanami. Quincy mocniej zacisnęła uda, czując, jak drżą jej mięśnie.

– Przestań.

Craig nakrył jej usta wargami, uciszając protesty natarczym językiem. Przygniatał ją swoim ciężarem, krępował ruchy, sapiąc jak byk, wciąż atakował zacisnięte uda dziewczyny. Quincy miała wrażenie, że za chwilę ją udusi. W końcu przeniósł ręce z jej piersi na kolana i spróbował w ten sposób je rozewrzeć.

– *Przestań!* – powtórzyła Quincy, głośniejszym razem. – Nie żartuję.

Odepchnęła Craiga i wysliznąwszy się spod niego, usiadła oparta plecami o zagłówek. Uśmiech na twarzy Craiga utrzymywał się jeszcze przez chwilę, zanim dotarło do niego, co się dzieje.

– Myślałem, że coś uzgodniliśmy – rzucił.

– Tak było.

– Więc w czym problem?

Quincy nie wiedziała, czy w ogóle jest jakiś problem. Czowała pulsujące w ciele pożądanie; pragnęła, aby Craig znów się na niej znalazł, a potem w niej, głęboko. Mimo to jakaś drobna jej cząstka wiedziała, że to nie powinno w ten sposób wyglądać. Jeżeli teraz nie przestaną, ich zbliżenie będzie pośpieszne i prostackie, zupełnie jakby wykonywali kolejne głupie polecenie Janelle.

– Chcę, żeby mój pierwszy raz był wyjątkowy.

Myślała, że Craig to zrozumie. Że dostrzeże, ile to dla niej znaczy. Zamiast tego odparł:

– Ten jest za mało wyjątkowy? Ja miałem gorzej.

Potwierdził tym samym to, co Quincy od dawna podejrzewała, a o co nigdy nie ośmieliła się zapytać. Dla Craiga to nie był pierwszy raz. Już to z kimś przeżywał. Ta

rewelacja sprawiła, że poczuła się zdradzona – tylko odrobinę, za to boleśnie.

– Myślałem, że wiesz – mruknął Craig, czytając w jej myślach.

– Zakładałam po prostu, że też nigdy tego nie robiłeś.

– Nie mówiłem, że jestem prawiczką. Przykro mi, jeśli tak uważałaś, ale to nie moja wina.

– Wiem – przytaknęła Quincy.

Zastanawiała się, ile dziewcząt znalazło się przed nią w takiej samej sytuacji i ile z nich zwyczajnie ustąpiło pod presją Craiga. Miała nadzieję, że któraś mu się oparła. Że nie jest jedyna.

– Nie okłamałem cię, Quincy. Musisz znaleźć jakąś lepszą wymówkę, jeśli chcesz mi teraz odmówić.

– Nie odmawiam – zaczęła się wycofywać Quincy, wściekła na siebie, że to robi. – Po prostu myślałam...

– Że będą świece, kwiaty i romantyczna atmosfera?

– Że to będzie coś znaczącego – dokończyła. – Dla ciebie to nie jest ważne?

Nagle zawstydzony, Craig zsunął się z łóżka. Obciągając koszulę, żeby zasłonić krocze, drugą ręką szukał porzuconych na podłodze spodni. Jego zachowanie powinno wystarczyć Quincy za odpowiedź. Mimo to wyciągnęła rękę i próbowała wciągnąć go z powrotem do łóżka, zanim się ubierze.

– To nie musi stanowić problemu – powiedziała. – Nadal chcę spędzić z tobą tę noc. Kto wie, co się wydarzy.

Pomimo jej wysiłków Craig znalazł pod łóżkiem spodnie i wbił stopy w nogawki.

– Nic się nie wydarzy. Dałaś mi to dość jasno do zrozumienia.

– Proszę cię, wróć do łóżka. Potrzebuję tylko trochę więcej czasu do namysłu.

– Myśl sobie, ile chcesz. – Craig zapiął rozpiorek i podszedł do drzwi. – Ja mam już dosyć myślenia.

Wyszedł z pokoju i dołączył do bawiących się przyjaciół, zostawiając Quincy zwiniętą w kłębek na łóżku. Wielkie łyżki kapowały na pożyczoną białą suknię i rozlewały się, znacząc jedwab ciemnymi plamami.



Docieram do domu dobrze po północy. Zamiast czuć się wypoczęta po drzemce w samolocie, jestem rozespana i osłabiona. Gdy przekręcam klucz w zamku, ręce mi się trzęsą – po części ze znużenia, po części z niepewności. Nie wiem, co czeka na mnie w mieszkaniu. Wyobrażam sobie, że po otwarciu drzwi zastanę wewnątrz ogołoczone ze wszystkiego, co posiadamy, zaś na nagiej podłodze będzie leżał postdatowany przeze mnie czek. Co i tak byłoby lepsze niż widok Sam czekającej na mnie w półmroku holu z nożem w dłoni.

Za progiem porzucam bagaże, uwalniając ręce na wypadek, gdybym musiała się bronić. Nigdzie jednak nie widać Sam ściskającej nóż. Ani podającej mi w kieliszku wino nafaszerowane chemią. Szybki rzut oka pozwala stwierdzić, że wszystko wygląda tak, jak w dniu naszego wyjazdu. Mieszkanie jest ciemne i najwyraźniej nikogo w nim nie ma. Emanuje atmosferą opuszczenia, jakby ktoś dopiero co się stąd wyniósł, pozostawiając wspomnienie swojej bytności wirujące w powietrzu na podobieństwo drobinek kurzu.

– Sam? To ja.

Serce wali mi w piersi w oczekiwaniu na odpowiedź, która nie nadchodzi.

– Postanowiłam wcześniej wrócić – dodaję, ogarnięta nagłą nadzieją. – Przyleciałam wieczornym samolotem.

Wędruję po mieszkaniu, zapalając światła w kolejnych pomieszczeniach. W kuchni, jadalni, salonie. Ani śladu kradzieży. Ani śladu Sam.

Odeszła. Jestem tego pewna. Prysnęła z miasta, jak na to liczyłam. Zabierając ze sobą swoje tajemnice i zostawiając mnie z moimi.

Przetrząsam torebkę w poszukiwaniu komórki. Po wylądowaniu wysłałam do Jeffa SMS-a z informacją, że bezpiecznie doleciałam i że zadzwonię, jak wszystko załatwię. Teraz wszystko jest już załatwione, a ja stoję na korytarzu z telefonem w dłoni, gotowa nacisnąć „połącz”.

W tym samym momencie zauważam, że drzwi do pokoju gościnnego są nadal zamknięte. Przez szczelinę u dołu sączy się światło; gdy przed nimi stoję, pada wprost na moje stopy. Ze środka słychać stłumioną muzykę.

Serce ściska mi się ze strachu.

Sam nadal tu jest.

– Sam?

Sięgam do gałki, a ta ustępuje pod naciskiem. Zamek nie jest zablokowany. Bez wahania popycham drzwi i zaglądam do środka.

Pokój jest skąpany w czerwono-złotym świetle. Czerwona poświata pada z nocnej lampki. Źródłem złotej są stojące obok świece. Muzyka dobiega ze starego odtwarzacza płyt CD, wyciągniętego ze schowka. Peggy Lee zmysłowym głosem nuci *Fever*.

W łagodnym półmroku dostrzegam siedzącą na krawędzi łóżka Sam. Przynajmniej wydaje mi się, że to ona. Wyglądem tak diametralnie różni się od Sam, którą znam, że z trudem ją rozpoznaję. Ma na sobie sukienkę, ale zupełnie inną od tej, w której zobaczyłam ją po raz pierwszy. Tamta była czarna i tandetna, ta jest czerwona,

rozszerzana u dołu, z półrękawkami i głębokim wycięciem ukazującym kuszący dekolt. Na nogach ma dopasowane kolorystycznie szpilki. Zaczesane do góry włosy odsłaniają bladą szyję.

Nie jest sama.

Obok niej siedzi mężczyzna w świeżo wyprasowanej koszulce polo i spodniach khaki. Jego poznaję z łatwością.

To Coop.

Ręką muska szyję Sam, pieści jasną skórę pod jej podbródkiem. Ona również go dotyka – palcem wskazującym obrysowuje imponujący lewy biceps. Siedzą blisko siebie, twarzą w twarz, ułamki sekund dzielą ich od pocałunku.

Co tu się, kurwa, dzieje?!

Tak mam ochotę zawołać, lecz z moich ust wydobywa się tylko pierwsze słowo. Dłoń Sam zsuwa się z ramienia Coopa. Ręka policjanta pozostaje na szyi dziewczyny, podczas gdy on kamienieje z zaskoczenia. Od czasu naszego pierwszego spotkania na drodze obok Pine Cottage nie widziałam go tak wstrząśniętego. Wyraz twarzy ma identyczny jak tamtej koszmarniej nocy. Może mniej w nim napięcia, mniej przerażenia, ale jednak. Wygląda jak nieco przykurzona kopia oryginału.

– Quincy – jąka. – Tak mi...

– Wynoś się.

Udaje mu się wstać i zrobić krok w moją stronę.

– Pozwól mi wytłumaczyć.

– Wynoś się – powtarzam przez zaciśnięte zęby.

– Ale...

– *Wynocha!*

W okamgnieniu rzucam się na niego: policzkuję go raz za razem – jedną ręką, drugą zaś drapię go po twarzy. Wkrótce moje dłonie zaciskają się w pięści i zaczynam go okładać, nie dbając o to, w co uderzam, byle tylko w coś trafić. I trafiam, wymierzając cios za ciosem, podczas gdy Coop stoi nieruchomo i biernie je przyjmuje. Chwilę później rozdziela nas Sam, która spada na mnie niby czerwona błyskawica, i przygważdża do ściany.

– Idź – syczy do Coopa.

Ten jeszcze się waha, patrzy, jak zawodzę, walcząc i bijąc głową o ścianę, coraz mocniej i mocniej.

– Wypierdalaj! – wrzeszczy Sam.

Tym razem Coop ulega i wymyka się z pokoju, a ja, wstrząsana łkaniem, osuwam się na podłogę. Ból sprawia, że zginam się wpół, rękoma obejmując brzuch. Mam wrażenie, jakby ktoś wbijał ostry nóż w moje wnętrzności, dźgając bez opamiętania.

## PINE COTTAGE

godzina 22.56

Wypłakawszy wszystkie łzy, Quincy udała się na poszukiwanie Janelle. Potrzebowała tego połączenia szorstkości oraz współczucia, jakie tylko przyjaciółka mogła jej zaoferować. Pod tym względem była jak chodzący papier ścierny: łagodna i brutalna, potrafiła jednocześnie koić i zadawać ból.

W salonie zastała duet „Ramdy” wciśnięty w jeden z foteli. Amy siedziała na kolanach Rodneya i swoim gibkim ramieniem obejmowała go za szyję. Całowali się. Na widok ich otwartych ust łąpczywie chwytających powietrze Quincy pomyślała o pływakach.

– Gdzie jest Janelle?

Żeńska połowa duetu podniosła głowę, łapiąc ze świstem powietrze, poirytowana, że ktoś im przeszkadza.

– Co?

– Janelle. Widzieliście ją?

Amy pokręciła głową, po czym wróciła do przerwanej czynności.

Quincy wyszła przed chatę. Deski tarasu trzeszczały pod jej stopami. Noc była pogodna, księżyc w pełni nadawał drzewom bladoszary odcień. Przystanąła na schodach tarasu, nasłuchując dźwięków mogących ją naprowadzić na trop Janelle. Na przykład odgłosu kroków na trawie. Albo gardłowego śmiechu, tak charakterystycznego, że wyłowiłaby go z najgęstszego tłumu. Niczego nie usłyszała, poza pojedynczym trzepotem skrzydeł wśród drzew i dalekim, smętnym pohukiwaniem sowy.

Zamiast wrócić do środka, Quincy poszła przed siebie. Ciągnęło ją do lasu. Wkrótce znalazła się na tej samej ścieżce, którą wcześniej wędrowali; wśród liści wciąż widać było wydeptane ślady ich stóp. O tym, żeby zawrócić, pomyślała dopiero, gdy teren zrobił się bardziej stromy. Ale wtedy było już za późno. Nie wiedzieć czemu czuła, że musi iść dalej. Można to nazwać przecuciem. Instynktem. Czy wręcz pewnością, której nagły przypływ podniósł jej ciśnienie.

Była już blisko szczytu wzniesienia, gdy jej oczom ukazał się spoczywający tam wielki głaz. Swoim ogromem powodował wyłom w gęstwinie koron drzew, tworząc coś na kształt dziury w parasolu. Łała się tamtędy księżycowa poświata, a jej blask srebrzył ciała dwóch znajdujących się na głazie osób.

Jedną z nich była Janelle.

Drugą – Craig.

Chłopak Quincy leżał na wznak. Zmiętą koszulę podłożył sobie pod głowę jak prowizoryczną poduszkę. Ściągnięte do kostek spodnie pętały nogi. Siedząca mu na biodrach Janelle ujeżdżała go. Każdy ruch powodował delikatne falowanie sukienki. Jedwabna tkanina to obnażała, to zakrywała nagie uda Craiga. Górę sukienki miała opuszczoną, a odsłonięte piersi tak blade, że aż jaśniały blaskiem w świetle księżyca.

– Tak! – jęczała, a każde słowo było jak tchnienie mieszające się z nocnym powietrzem. – Tak, tak, tak!

Wściekłość i ból przeszły brzuch Quincy, jakby czyjaś olbrzymia dłoń zamknęła się na jej wnętrznościach i miażdżyła je w zaciśniętej pięści.

Mimo to nie potrafiła odwrócić wzroku. Nie kiedy Janelle tak jęczała, nie kiedy poruszała się tak gwałtownie – z desperacją raczej niż z namiętnością. Ten widok, tak piękny i groteskowy zarazem, ranił Quincy do żywego.

Potem chwycił ją płacz i Quincy zakryła ręką usta, żeby stłumić wydobywające się z nich łkanie. Chociaż nie obeszloby jej, gdyby tamci je usłyszeli. Chociaż najbardziej na świecie pragnęła krzyknąć ile sił w płucach i niechby wiatr porwał ze sobą jej obłąkańczy lament.

Lecz bezlitosna dłoń wewnątrz niej wciąż się zaciskała, potęgując jej wściekłość, jej ból. Z powrotem zanurzyła się w las, czując świeże łązy napływające w miejsce tych, które zdążyły obeschnąć. Zbiegała ze zbocza, ścigana jękami Janelle, które odbijały się echem wśród gałęzi niczym szydercze nawoływanie jakiegoś ptaka.

*Tak, tak, tak!*

– Dlaczego? – pytam, leżąc nadal na podłodze.

Sam zbywa moje pytanie milczeniem i przechodzi przez pokój, żeby wyłączyć odtwarzacz. Następnie pochyla się nad plecakiem, wyjmując z niego czarne dzinsy i wciąga pod czerwoną sukienkę.

– *Dlaczego?*

– Bo nie było innego wyjścia – odpowiada Sam.

– Wcale nie – mówię, dźwigając się do klęku. – Tak ci się tylko wydawało.

Doskonale wiedziała, jak bardzo mnie to zrani, kiedy się dowiem. Nie mam też wątpliwości, że osobiście by o to zadbała. To jej kolejny pomysł, żeby mnie sprowokować, obudzić z letargu, rozwścieczyć.

Palcami chwytam się ściany, usiłując stanąć na nogach. Wciąż się pode mną uginają, więc opieram się o nią i wbijam wzrok w Sam, która zdjęła tymczasem sukienkę i właśnie wciąga przez głowę swoją koszulkę Sex Pistols. Siada na łóżku, zrzuca szpilki krzyczące „Przeleć mnie!” i zastępuje je glanami.

– Jesteś chora – mówię jej. – Wiesz o tym, prawda? Nie potrafisz znieść myśli, że jedna z nas może wieść normalne życie. Że przynajmniej jedna może być naprawdę szczęśliwa.

Sam podchodzi do okna, otwiera je gwałtownie i zapala papierosa. Wydmuchując dym, odpowiada:

– Wydaje ci się, że mnie rozgryzaś, co?

– Żebyś wiedziała! Zjawiłaś się tutaj, zobaczyłaś, że jestem normalna i zrównoważona, i postanowiłaś wszystko spieprzyć!

– Zrównoważona? Przez ciebie Bogu ducha winny facet wylądował w szpitalu. Leży w cholernej śpiączce.

– To twoja wina! Chciałaś, żebym to zrobiła!

– Powtarzaj to sobie, Quinn. Jeżeli musisz kłamać, żeby ze sobą wytrzymać, rób tak dalej i wierz, w co chcesz.

Odwracam wzrok, nie wiedząc, w co mam wierzyć.

Mam wrażenie, że siła grawitacji przestała działać i wszystko, co dawniej w moim życiu było pewne i stabilne, wiruje w powietrzu poza moim zasięgiem.

– Dlaczego Coop? – chcę wiedzieć. – Jesteśmy na Manhattanie. Mogłaś wybierać spośród miliona facetów. Dlaczego akurat on?

– Żeby się zabezpieczyć.

– Przed kim?

– Rano znowu była tu tamta policjantka – mówi Sam. – Hernandez. Chciała z tobą porozmawiać. Kiedy odparłam, że wyjechałaś, zapowiedziała, że jeszcze wróci i że nie powinnaś była wyjeżdżać z miasta.

Mój nagły wyjazd w towarzystwie chłopaka-prawnika musiał wzbudzić podejrzenia. To oczywiste.

– Nie wiedziałam, co robić – ciągnie Sam – więc zadzwoniłam do Coopa.

Przerażona wciągając ze świstem powietrze.

– Chyba mu nie powiedziałaś, co się stało w parku?

Sam przewraca oczami i wypuszcza z ust następny kłęb dymu.

– Skąd. Oświadczyłam, że powinniśmy się lepiej poznać. Że byłoby dobrze, gdyby tutaj wpadł. No i wpadł.

– A ty go uwiodłaś.

– Tego bym nie powiedziała – mruczy Sam. – Był więcej niż chętny.

– Dlaczego więc to zrobiłaś?

Sam wzdycha ze znużeniem. Wygląda na wyczerpaną. Zmęczoną życiem. Kompletnie pokonaną.

– Sądziłam, że obu nam to pomoże – wyznaje. – Zwłaszcza tobie. Jeżeli policji uda się nas połączyć z tym pobiciem, dobrze będzie mieć kogoś po swojej stronie. Kogoś innego niż Jeff.

– Gliniarza – stwierdzam ponuro; powoli zaczynam rozumieć. – Takiego, który obroni nas przed swoimi kolegami po fachu. Zbyt zaślepionego emocjami, żeby zrobić, co do niego należy, i wydać nas policji. Choćby nawet coś podejrzewał.

– Bingo – przytakuje Sam. – Dla ciebie to żadna nowość, no nie?

– Nigdy nie próbowałam zaciągnąć Coopa do łóżka.

Sam prychnął pogardliwie; z jej nozdrzy bucha dym.

– Jakby to było najważniejsze! Wykorzystujesz go od lat. Esmesujesz z nim o różnych porach dnia i nocy. Oczekujesz, że stawi się na każde wezwanie. Od czasu do czasu z nim flirtujesz, żeby podtrzymać jego zainteresowanie.

– To nie tak – bronię się. – Nigdy bym go tak nie potraktowała.

– Stale to robisz, Quinn. Jestem tego świadkiem.

– Nie celowo.

– Serio? – uśmiecha się krzywo Sam. – Mam uwierzyć, że ta wasza dziwna, chora relacja nie ma nic wspólnego z tym, co się wydarzyło w Pine Cottage? Że nigdy, choćby przez ułamek sekundy, nie zauważyłaś, że owinęłaś go sobie wokół palca?

– Nie – odpowiadam.

Sam gasi papierosa i zapala kolejnego.

– Kłamstwa, kłamstwa, kłamstwa.

– Chcesz pogadać o kłamstwach? Proszę bardzo. – Z gniewem odpycham się od ściany i prostuję plecy. – Okłamałaś mnie, mówiąc, że nigdy nie poznałaś Lisy. Nie tylko ją poznałaś, na dodatek mieszkałaś w jej domu.

Sam, która właśnie się zaciąga, zamiera z policzkami wciągniętymi do środka. W jej ustach zbiera się dym. Kiedy rozchyła wargi, wydobywa się spomiędzy nich obłoczek gęstego jak mgła, szarego dymu.

– Oszalałaś.

– To żadna odpowiedź – stwierdzam. – Przyznaj chociaż, że tam byłaś.

– Niech ci będzie. Byłam.

– Kiedy?

– Kilka tygodni temu – mówi. – Ale to już wiesz.

– Po co tam pojechałaś? Lisa cię zaprosiła?

Sam zaprzecza ruchem głowy.

– Po prostu zjawiałaś się niezapowiedziana, tak jak tutaj?

– Uhm. W przeciwieństwie do ciebie grzecznie się ze mną przywitała, kiedy powiedziałam, kim jestem.

– Długo zostałaś?

– Około tygodnia.

– Lisa chętnie cię przyjęła?

Niepotrzebnie pytam. Oczywiście, że Lisa chętnie przygarnęła Sam. W końcu po to żyła: żeby brać pod swoje skrzydła młode kobiety po przejściach i opiekować się nimi. Sam była z nich wszystkich prawdopodobnie najbardziej poraniona.

– Owszem – przyznaje teraz. – Z początku nawet się cieszyła. Ale po tygodniu miała mnie serdecznie dosyć.

Bez trudu domyślam się powodu. Sam zjawiała się zniecka z plecakiem wyładowanym butelkami burbona i zapewnieniami o siostrzanych uczuciach. Lisa bez namysłu udostępniła jej swój pokój gościnny. Jednak Sam to nie wystarczyło. Zaczęła węszyć, dociekać. Zapewne próbowała wybić Lisę z jej samozadowolenia. Wzbudzić w niej gniew, uczynić z niej wojowniczkę.

Lisa jej na to nie pozwoliła. Ja – owszem. Każda z nas zapłaciła inną cenę.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi, jak naprawdę było?

– Bo wiedziałam, że od razu zrobisz z igły widły. Zaczynasz podejrzewać różne rzeczy.

– Dlaczego? – nie ustępuję. – Masz coś do ukrycia? Zabiłaś Lisę, Sam?

No proszę: pytanie, które od kilku dni nie dawało mi spokoju, nareszcie padło. Stało się faktem. Sam kręci głową z politowaniem.

– Biedna, żałosna Quincy. Jesteś bardziej popieprzona, niż myślałam.

– Powiedz mi, że nie miałaś nic wspólnego z jej śmiercią – żądam.

Sam rzuca papierosa na drewnianą podłogę i ostentacyjnie zgniata go czubkiem buta.

– Czego bym nie powiedziała, i tak mi nie uwierzysz.

– Dotychczas nie dałaś mi powodu, żebym ci zaufała – stwierdzam. – Dlaczego teraz miałyby się to zmienić?

– Nie zabiłam Lisy – oświadcza Sam. – Możesz mi wierzyć albo nie. Mam to w dupie.

Z głębi mojej kieszeni dobiega stłumiony sygnał SMS-a.

– To pewnie twój chłopak – mówi z nieskrywanym obrzydzeniem Sam. – Jeden z dwóch.

Zerkam na wyświetlacz komórki. Faktycznie, wiadomość od Coopa.

*Musimy pogadać.*

Stojąca przy oknie Sam pyta:

– Który to?

Nie odpowiadam, co samo w sobie stanowi odpowiedź. Wpatruję się w wyświetlacz i serce ściska mi się na myśl o ponownym spotkaniu z Coopem. Nie tylko

dzisiaj. W ogóle.

Sam wtyka między wargi następnego papierosa, mamrocząc:

– Biegnij do swojego policjancika, Quincy Carpenter. Tylko pamiętaj, uważaj, co mu powiesz. Moje sekrety są twoimi sekretami. A te ostatnie mogłyby śmiertelnie przerazić funkcjonariusza Coopera.

– Idź do diabła – rzucam.

Sam zapala i uśmiecha się szeroko.

– Już się z nim zakolegowałam, skarbie.



## PINE COTTAGE

godzina 23.12

Gdy zdyszana Quincy dotarła do chaty, z trudem łapała oddech. Udręczone płuca paliły ją od wysiłku i ostrego nocnego powietrza. Pomimo chłodu jej skórę pokrywała cienka warstewka potu, zimnego i lepkiego.

Wnętrze Pine Cottage tonęło w ciszy i bałaganie. Wszędzie wały się brudne naczynia i butelki z resztkami alkoholu na dnie. W salonie nikogo nie było. Nawet ogień zgasł w kominku i tylko ledwie wyczuwalne w powietrzu ciepło oraz zapach drzewnego dymu świadczyły o tym, że wcześniej wesoło płonął.

Spać. O tym jedynie marzyła. Zasnąć, obudzić się i zapomnieć o wszystkim, czego była świadkiem. Czuła, że to możliwe. Umysł już teraz jej podpowiadał, że coś jej się pokręciło i widziała to, czego nie widziała. Może Janelle była z kimś innym. Na przykład z Joem. Może Quincy tylko się wydawało, że na głazie leżał Craig i wchodził w nią z twarzą wykrzywioną w ekstazie.

W głębi duszy wiedziała jednak, że się nie myli.

Otarła łzy i przekradła się w głąb korytarza, mijając po drodze pusty pokój Janelle. Ulokowana w sypialni naprzeciwko Betz już się położyła; zamknięte drzwi skrywały żalosne piętrowe łóżko. Drzwi do pokoju Rodneya i Amy również były zamknięte, co wcale nie tłumiliło dobiegającego ze środka chłopotu łóżka wodnego. Odgłosom coraz silniejszego falowania wtórowały sporadyczne postękiwania Rodneya.

Quincy skręciła do pokoju Craiga.

Pieprzyć go.

Teraz to był jej pokój.

Okazało się jednak, że nie był pusty. Ktoś leżał na łóżku – niewyraźny kształt w rozpraszającym przez księżyc półmroku. Ręce założył za głowę. Za brudnymi szklami okularów majaczyły szeroko otwarte oczy.

– Nie wiedziałem, gdzie mam się położyć – odezwał się.

Quincy wpatrywała się w niego, zazdroszcząc mu spokoju i całkowitej nieświadomości. Pociągnęła nosem i otarła łzę, zanim ta zdążyła stoczyć się po policzku.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

– Musisz stąd iść – odparła.

Chłopak usiadł. W skrytych za okularami oczach błysnęła troska.

– Coś się stało – odgadł.

– Co ty nie powiesz? – burknęła Quincy, siadając obok niego na łóżku. Kapnęła kolejna łza. Tym razem nie zdołała jej powstrzymać.

– Widziałem, jak wychodzili razem – powiedział. – Do lasu.

– Wiem.

– Przykro mi.

Dotknął jej ramienia; gest był tak niespodziewany, że Quincy aż się cofnęła.

– Idź sobie – poprosiła.

– On na ciebie nie zasługuje.

Kiedy ponownie dotknął jej ramienia, pozwoliła mu na to. Ośmielony, przesunął dłoń z ramienia na talię Quincy, a ona znowu się nie bronila.

– Jesteś od niego lepsza – wyszeptał. – Od nich obojga. I taka ładna.

– Dziękuję.

– Mówię poważnie.

Quincy odwróciła się twarzą do niego, wdzięczna za towarzystwo. Wydawał się taki szczerzy. I taki niedoświadczony. Istne przeciwieństwo Craiga.

Nachyliła się i pocałowała go. Miał rozpalone wargi i skwapliwie oddał jej pocałunek. Ostrożnie, nieśmiało wsunął język do ust dziewczyny. Sprawił, że niemal zapomniała o tym, co zobaczyła w lesie. O ujeżdżającej Craiga Janelle, której ciało emanowało bólem i pożądaniem.

Ale to jej nie wystarczyło. Quincy chciała zapomnieć całkowicie.

Bez słowa wspięła się na niego, zdziwiona, jak mocny jej się wydał. Niczym powalone drzewo. Krzepki młody dąb. Zdjęła mu sweter pachnący jakimś silnym środkiem odkażającym. Woń buchnęła jej w nos, gdy cisnęła sweter na podłogę i zaczęła ściągać przez głowę koszulkę.

Przywarła ustami do jego wąskiej piersi, gładząc dłońmi mlecznobiałą skórę. Błądą i zimną. Zupełnie jakby dotykała ducha.

Zrzuciła majtki i zsunęła mu do kolan sztruksowe spodnie.

Na podłodze obok łóżka stał plecak Craiga. W środku był zapas prezerwatyw. Quincy wyjęła jedną z opakowania i podała Joemu, kładąc kondom na jego drżącej dłoni.

– Jesteś pewna? – zapytał.

– Tak.

– Powiedz, jeśli zaboli – szepnął. – Nie chcę cię skrzywdzić, tylko sprawić ci przyjemność.

Quincy wzięła głęboki wdech i opuściła biodra, przygotowując się w duchu na rozkosz i ból, wiedząc, że jedno nieodłącznie towarzyszy drugiemu.

Tak już miało pozostać: rozkosz i ból, splecione ze sobą na zawsze.

Coop przesyła mi SMS-em adres hotelu kilka przecznic od mojego mieszkania wraz z numerem pokoju, w którym się zatrzymał. Nie wiem, czy zarezerwował go przed przyjazdem do miasta na spotkanie z Sam, czy później. Postanawiam o to nie pytać.

Przed drzwiami waham się, niepewna, czy zdołam ponownie spojrzeć mu w oczy. Wiem, że nie mam na to ochoty. Wolałabym być wszędzie, byle nie w tym mrocznym korytarzu hotelowym z jego brzęczącą maszyną do lodu i zaduchem płynu do czyszczenia wykładzin. Ale tyle nas łączy. Bez względu na to, co zrobił Coop, muszę dać mu szansę, aby się wytłumaczył ze swego postępowania.

Pukam i drzwi, skrzypiąc, otwierają się pod moją ręką. Gdy w progu staje Coop, pięść nadal mam zaciśniętą.

– Quincy. – Krótkie, zawstydzone skinienie głową. – Wejdz. Jeżeli chcesz.

Tylko przeszłość mnie tutaj trzyma. Moja przeszłość, w której Coop odegrał kluczową rolę. Nie da się zaprzeczyć, że gdyby nie on, nie miałabym w ogóle żadnej przeszłości. Wchodzę więc do pokoju, który okazuje się wstrząsająco ciasny. Pomieszczenie przypomina nieco większy schowek, do którego ktoś zdołał wcisnąć łóżko oraz komódkę. Łóżko od ściany dzieli może z pół metra, przez co ciężko jest mi wyminąć Coopa, gdy ten zamyka za mną drzwi.

W pokoju nie ma krzeseł. Zamiast usiąść na łóżku, wolę stać.

Wiem doskonale, co powinnam zrobić, a mianowicie wyznać Coopowi całą prawdę. O tym, co zrobiła Sam. I co *ja* zrobiłam. Może wtedy udałoby mi się powrócić do normalności. Nie, żeby moje życie po Pine Cottage kiedykolwiek było normalne.

Nie potrafię jednak zwierzyć się Coopowi. Nie mogę nawet na niego patrzeć.

– Załatwmy to szybko – mówię, krzyżując ramiona na piersiach, przenosząc ciężar ciała na lewą nogę i wypychając gniewnie biodro do przodu.

– Będę się streszczał – obiecuje Coop.

Niedawno musiał brać prysznic, bo maleńką łazienkę nadal wypełnia para. Krótko ostrzyżone włosy są wilgotne, zresztą całe ciało Coopa zdaje się emanować pachnącą mydłem wilgocią.

– Chciałbym się wytłumaczyć – mówi. – Z mojego postępowania.

– Co robisz w wolnym czasie, to nie moja sprawa – oświadczam. – Przecież nic dla mnie nie znaczysz.

Coop wzdryga się na te słowa, a we mnie budzi się przyjemne poczucie władzy. Też potrafię go zranić. Do krwi.

– Quincy, oboje wiemy, że to nieprawda.

– Czyżby? Gdybyśmy coś dla siebie znaczyli, nie poszedłbyś do mojego mieszkania i nie próbował zerznąć Sam pod moją nieobecność.

– Nie po to tam byłem.

– Odniosłam inne wrażenie.

– Zadzwoiła do mnie, Quincy – mówi Coop. – Powiedziała, że się o ciebie martwi, więc przyjechałam. Bo coś mi w tym wszystkim nie grało. Nie ufam jej, Quincy.

Odkąd się zjawiała. Wyraźnie coś kombinuje, a ja chcę odkryć co.

– Uwodzenie to ciekawa metoda prowadzenia przesłuchania – zauważam. – Często z niej korzystasz?

– To, co widziałas, nie było przeze mnie zaplanowane, Quincy. Po prostu się stało. Teatralnie przewracam oczami, jak to miała w zwyczaju robić Janelle.

– Wymówka stara jak świat.

– Fakt – przyznaje Coop. – Nawet nie wiesz, jaki jestem samotny, Quincy. Potwornie samotny. Mieszkam sam jak palec w domu dla pięciu osób. Z niektórych pomieszczeń nie korzystam od lat. Stoją puste, zamknięte na klucz.

Jego wybuch zamyka mi usta. Po raz pierwszy Coop tak się przede mną otworzył. Wygląda na to, że mamy ze sobą więcej wspólnego, niż mogłabym przypuszczać. Jednak nie zamierzam się nad nim litować. Nie jestem jeszcze gotowa mu wybaczyć.

– Dlatego chciałeś, żebym przyszła? – pytam. – Żeby wzbudzić moje współczucie?

– Nie. Zaprosiłem cię tutaj, bo muszę ci coś powiedzieć. Istnieje powód... – urywa i odkasłuje. – Powód, dla którego starałem się być zawsze w pobliżu. Służyć ci w dzień i w nocy. Quincy...

Instykt podpowiada mi, co zaraz usłyszę. Kręcę głową. Każda moja myśl krzyczy: „Nie, Coop! Proszę cię, nie mów tego!”.

Lecz on i tak wyznaje:

– Kocham cię.

– Przestań – błagam, tym razem na głos. – Nic więcej nie mów.

– Kiedy to prawda. Dobrze o tym wiesz, Quincy, Myślę, że zawsze wiedziałas. Jak sądzisz, dlaczego przyjeżdżam tutaj na każde wezwanie? Żeby cię zobaczyć. Być z tobą. Nieważne, czy spędzam z tobą minutę czy godzinę. Samo to, że cię widzę, wynagradza mi długą podróż.

Robi krok w moją stronę, a ja cofam się i więznę w kącie pomiędzy ścianą a komodą. Coop nie zatrzymuje się, jest coraz bliżej, staje tuż przede mną.

– Nigdy nie znałem nikogo podobnego do ciebie, Quincy – odzywa się. – Możesz mi wierzyć, bo mówię prawdę. Jesteś taka silna. Prawdziwa wojowniczką.

Spogląda na mnie, a jego błękitne oczy wprawiają moje kolana w drżenie. Dotyka kciukiem mojego policzka, zsuwa go w dół ku ustom.

– Coop – szepczę, gdy jego paznokieć delikatnie drapie moje wargi. – Przestań.

– Ty też to czujesz – odpowiada chrapliwie. – Wiem, że tak.

Wyobrażam go sobie przytulonego do Sam, pieszczącego jej szyję, przybliżającego usta do jej ust. Nienawidzę go za to, co dziś zrobił. Powinien być mój, tylko mój.

– Nieprawda.

– Kłamiesz.

W pokoju jest gorąco. A właściwie duszno i parno. Szumiący pod oknem klimatyzator niewiele pomaga. No i jest jeszcze Coop, którego ciało, tuż obok mnie, emanuje całkiem innym rodzajem żaru.

– Muszę już iść – mówię.

– Wcale nie.

Przysuwa się bliżej, więc go odpycham, uderzam w pierś. Pod koszulką jest

całkiem spocony. Pod naciskiem mojej dłoni tkanina przywiera do jego skóry.

– Czego ode mnie chcesz, Coop? Powiedziałeś, co miałeś do powiedzenia. Czego jeszcze chcesz?

– Ciebie – odpowiada cicho. – Chcę ciebie, Quincy.

Wbrew temu, co powiedziałam Sam, nieraz zastanawiałam się, co mogłoby sprawić, że uległabym Coopowi. Największe wrażenie zawsze robiły na mnie te błękitne oczy. Przenikliwością przypominają lasery, nic im nie umyka. Jednak ostatecznie to jego głos mnie zniewala. Wypowiedziane niemal szeptem wyznanie pociąga mnie w ramiona Coopa.

Obejmujemy się po raz pierwszy od Pine Cottage. Wtedy pierwszy raz poczułam jego mocny uścisk. Spodziewam się, że wspomnienie tamtej nocy zbruka tę chwilę, ale nie. Dzięki niemu jest jeszcze słodsza.

Przy nim czuję się bezpieczna.

Zawsze tak było.

Całuję go, chociaż wiem, że nie powinnam. Oddaje pocałunek: jego wargi są chciwe, spragnione. Kąsają. Tłumione latami pożądanie wybucha, a my w rezultacie zaspokajamy raczej potrzebę niż namiętność. Więcej w tym bólu niż przyjemności.

Wkrótce łądujemy w łóżku. Gdzie indziej nie ma zresztą miejsca. Sama nie wiem, kiedy pozbywam się ubrania. Zupełnie jakby samo ze mnie opadło. Z Coopem jest podobnie.

Dobrze wie, czego chce.

A ja – niech Bóg się nade mną zmiłuje – pozwalam mu to wziąć.

## PINE COTTAGE

godzina 23.42

Joe nadal spał, gdy Quincy wysliznęła się z łóżka i na palcach przeszła przez pokój, zbierając po drodze pantofle, sukienkę i majtki. Każdy krok powodował ból. Ilekroć się schylała, czuła ostre pieczenie między nogami. Mimo wszystko było lepiej, niż się obawiała. Znajdowała w tym pewne pocieszenie.

Ubierała się pośpiesznie. Dopiero teraz poczuła panujące w pomieszczeniu przenikliwie zimno. Zupełnie jakby miała gorączkę: cała się trzęsła, chociaż skórę miała rozpaloną do białości.

Wyszła na korytarz i zamknęła się w łazience, nie zwracając sobie głowy zapalaniem światła. Nie miała ochoty zobaczyć swojego odbicia w jaskrawym oświetleniu. Zamiast tego wpatrywała się w ciemne lustro i własne zatarte rysy. Stała się cieniem.

Przyszła jej do głowy wyliczanka, zapamiętana chyba ze szkoły podstawowej. Zobaczyła samą siebie, jak w egipskich ciemnościach żeńskiej szatni wyśpiewuje z koleżankami: „Krwawa Mary, Krwawa Mary, Krwawa Mary”.

– Krwawa Mary – powiedziała do swojego pozbawionego oczu odbicia.

Po wyjściu z łazienki zawahała się przed wejściem do salonu w obawie, że Craig i Janelle mogli tymczasem wrócić, pijani i rozchichotani, udający, że nic między nimi nie zaszło. Przez chwilę nasłuchiwała, lecz w chacie panowała niczym niezmacona cisza. Dopiero wtedy ośmieliła się zrobić krok naprzód.

Z salonu przeszła do kuchni i stanęła, rozważając swój kolejny ruch. Czy powinna się z nimi skonfrontować? Zażądać powrotu do domu? A może poszukać kluczyków Craiga i odjechać jego SUV-em, pozostawiając ich samych na pastwę losu, bez komórek?

Uśmiechnęła się na tę myśl. Zdążyła już wejść w drugi etap żałoby, ten, o którym słyszała zaledwie przed trzema dniami na wykładzie z psychologii. Janelle jak zwykle go opuściła, a ponieważ Quincy nie przekazała jej dotychczas swoich notatek, nie wiedziała, na czym ten etap polega. W przeciwieństwie do Quincy.

Buzował w niej gniew.

Piekielny, nieokiełznany gniew.

Quincy czuła, że pali ją od środka. Jak zgaga, tylko bardziej. Pulsował w niej, przenikał ręce i nogi.

Podeszła do zlewu, gotowa wykorzystać tę ognistą energię w jakimś pożytecznym celu. Tak jak zrobiłaby to jej matka. Dobra, stara, pasywno-agresywna Sheila Carpenter, która zamiast wrzasnąć, sprzątała, naprawiała zamiast niszczyć. Nigdy, przenigdy nie mówiła, co tak naprawdę czuje.

Quincy nie chciała iść w jej ślady. Nie zamierzała sprzątać bałaganu, którego narobili inni. Chciała się wściec, do cholery! I *była* wściekła. Tak bardzo, że chwyciła ze zlewu brudny talerz i była gotowa trzasnąć nim o blat.

Powstrzymał ją rzut oka na własne odbicie. Z szyby nad kuchennym zlewem patrzyła na nią blada twarz. Tym razem nie mogła udawać, że jej nie dostrzega. Widziała

ją bardzo wyraźnie.

Oczy czerwone od łez. Wykrzywione usta. Skóra zaróżowiona z gniewu, rozpacz i wstydu, że oto właśnie oddała się całkiem obcemu mężczyźnie.

To nie była Quincy, którą znała, tylko ktoś całkiem inny. Ktoś, kogo nie poznawała.

Wokół gęstniała ciemność. Quincy czuła, jak nadciąga. Czarna fala podmywająca brzeg. Po chwili całkiem ją otoczyła, wypełniając kurczącą się kuchnię. Jedyne, co Quincy widziała, to wpatrzone w nią własne odbicie w szybie. Obca twarz. Wkrótce ją także pochłonął mrok.

Odłożyła talerz do zlewu i wzięła do rąk co innego.

Nóż.

Nie wiedziała, dlaczego go chwyciła. A już z pewnością nie miała pojęcia, co z nim zrobić. Wiedziała jedynie, że miło jest go trzymać w dłoni.

Ściskając nóż, opuściła Pine Cottage tylnym wyjściem i trzema szybkimi krokami pokonała taras. Na zewnątrz najbliższe chaty drzewa majaczyły szaro niczym straż strzegąca spokoju w lesie.

Przechodząca Quincy zamachnęła się na jeden z pni płaskim ostrzem. Impet uderzenia jeszcze długo wibrował w jej dłoni i ramieniu, gdy zagłębiała się w las.

Huk zatrzasniętych drzwi odbija się echem w korytarzu i wytrąca mnie z głębokiego jak śmierć snu. Otwieram oczy i gwałtownie wciągam w płuca powietrze; jest suche i drapie mnie w język. Ukośny promień porannego słońca pada wprost na poduszkę. Oślepiający i ciepły nakłuwa moją siatkówkę jak igła. Przewracam się na bok, przeklinając światło, i sięgam rękami na drugą połowę łóżka.

Jest pusta.

Dopiero teraz przypominam sobie, gdzie jestem.

Z kim.

I co zrobiłam.

Wyskakuję z łóżka, czując, że kręci mi się w głowie, a cały pokój wiruje. Z trudem docieram do mikroskopijnej łazienki i osuwam się na posadzkę, mając pod gołym tyłkiem lodowate kafelki. Podciągam kolana pod brodę. Myśli mam mgliste, w głowie chaos. Czuję się tak, jakbym będąc częścią tego świata, wcale do niego nie należała.

Uświadamiam sobie, że to kac. Kac moralny. Od lat go nie miałam.

Wspomnienia napływają stopniowo, jakby w rytm tykania zegara. Cyk, cyk, cyk. W ciągu minuty wszystko mi się przypomina. Każdy wulgarny, plugawy szczegół.

Coopa naturalnie już nie ma. Niewykluczone, że to on trzasnął drzwiami, chociaż podejrzewam, że raczej wymknął się po cichu, żeby mnie nie obudzić. W zasadzie mu się nie dziwię.

Przyzwoitości starczyło mu na tyle, żeby zostawić liścik, pośpiesznie nagryzmołony na kartce z hotelowej papeterii. Zauważyłam ją obok telewizora, kiedy człapałam do łazienki.

Przeczytam go – jak tylko pozbieram się z podłogi.

Jestem obolała, ale to nawet przyjemne. Ciało dostało to, czego chciało. Czasami czuję się tak po joggingu: wykończona, zaspokojona i odrobinę niespokojna, czy aby nie przesadziłam.

Tym razem nie mam najmniejszych wątpliwości, że przesadziłam na całego.

Spoglądam na swoje dłonie. Większość nałożonego przez Sam czarnego lakieru zeszła, zostały jedynie odpryski. Pod paznokciami mam coś ciemnego. Najprawdopodobniej także lakier, a może fragmenty skóry Coopa zdarte, kiedy drapałam go po plecach, błagając, żeby mocniej mnie rznął. Na rękach wciąż wyczuwam jego zapach. Woń potu, nasienia i delikatny aromat wody Old Spice.

Dźwigam się na nogi i podchodzę do miniaturowej umywalki. Ochlapuję twarz wodą, ze wszystkich sił starając się nie patrzeć w lustro. Boję się tego, co mogłabym zobaczyć. A najbardziej tego, że nic bym nie zobaczyła.

Dwa kroki i znów jestem przy łóżku. Siadam. Liścik od Coopa uparcie tkwi obok telewizyjnego pilota.

Biorę go do ręki i czytam.

*Kochana Quincy, wstyd mi za to, jak się zachowałem. Chociaż bardzo tego pragnąłem, wiem, że to nie powinno się było wydarzyć. Myślę, że najlepiej będzie, jeśli*



*przez dłuższy czas nie będziemy się ze sobą kontaktowali. Przepraszam.*

I tyle. Dziesięć lat opieki, przyjaźni i bałwochwalczego uwielbienia przekreślone za sprawą jednej nocy. Odrzucone z łatwością podobną do tej, z jaką wyrzucam zmięty liścik do stojącego pod ścianą plastikowego kosza na śmieci. Kiedy okazuje się, że nie trafiam i kulka papieru ląduje na podłodze, czołgam się, podnoszę ją i raz jeszcze wyrzucam.

Następnie chwytam kosz i ciskam nim przez całą szerokość pokoju.

Uderza w ścianę i przewraca się, a ja chwytam coś innego. Pilot. Leci w ślad za koszem i roztrzaskuje o zagłówek łóżka.

Szarpię zsuniętą z materaca splątaną pościel i ściągam ją, okręcając tkaninę wokół zaciśniętych pięści, które przyciskam do ust, żeby stłumić łkanie.

Straciłam Coopa.

Zawsze przeczuwałam, że ten dzień kiedyś nadejdzie. Cholera, raz nawet było blisko, zanim tamten list z pogrozkami wciągnął go ponownie na moją orbitę. Sęk w tym, że nie jestem gotowa na życie bez Coopa przybywającego z odsieczą na każde skinienie. Nie jestem pewna, czy potrafię sama dać sobie radę.

Teraz jednak nie mam wyboru. W moim życiu pozostał już tylko Jeff.

Jeff.

Kurwa mać!

Świadomość tego, jak straszliwie go zdradziłam, jest niczym przyprawiający o mdłości cios prosto w brzuch. To go załamie.

Natychmiast postanawiam nigdy, przenigdy nie przyznawać mu się do tego, co zrobiłam. To jedyne wyjście. Spróbuję jakoś zapomnieć o tym zatęchłym pokoju, splątanej pościeli, dotyku Coopa na moich piersiach i jego gorącym oddechu w moim uchu. Wymażę je z pamięci, jak to zrobiłam z Pine Cottage.

Gdy ponownie spojrzę Jeffowi w twarz, niczego się nie domyśli. Zobaczy tylko Quincy, którą – jak sądzi – dobrze zna. Normalną Quincy.

To dobry plan. Siadam prosto, usiłując nie zwracać uwagi na ucisk w żołądku. Będę musiała się do niego przyzwyczać.

Sprawdzam wyświetlacz komórki i zauważam trzy nieodebrane połączenia od Jeffa oraz jedną nieodczytaną wiadomość. Jakie to szczęście, że się nie nagrał. Nie zniosłabym dźwięku jego głosu. Odczytuję jednak SMS-a; z każdego słowa Jeffa przebija troska.

„Dlaczego nie odbierasz telefonu? Wszystko OK?”

Odpowiadam mu.

„Wybacz. Zasnęłam zaraz po powrocie do domu. Zadzwoń później”.

Dopisuję jeszcze „Kocham Cię”, ale zaraz to kasuję w obawie, że wzbudzę jego podejrzenia. Dociera do mnie, że już kombinuję jak oszustka.

Poza telefonami od Jeffa nie odebrałam jeszcze innego połączenia. Jonah Thompson dzwonił do mnie chwilę po ósmej. Mniej więcej godzinę temu. Oddzwaniem, on zaś odbiera po pierwszym sygnale.

– Nareszcie – mówi.

– Mnie też miło cię słyszeć – odpowiadam.

Jonah ignoruje zaczepkę.

– Poszperałem co nieco w życiu Samantha Boyd, znanej także jako Tina Stone.

Myszę, że zainteresuje cię, co znalazłem.

– To znaczy?

– Trudno to wyjaśnić przez telefon – stwierdza Jonah. – Musimy się spotkać.

Wzdycham.

– Fontanna Bethesda. Za dwadzieścia minut. Przynieś kawę.

## PINE COTTAGE

godzina 23.49

Księżyc schował się za chmurami, przez co w lesie zrobiło się jeszcze ciemniej niż dotychczas. Quincy ledwie widziała ścieżkę; ukryta wśród podszytu, ledwie majaczyła pod grubą warstwą liści. Kiedy dotarła do wzniesienia, od razu je wyczuła: mięśnie łydek zareagowały wzmożonym napięciem.

Właściwie nie miała żadnego planu. Po prostu musiała spojrzeć im w oczy. Chciała wdrapać się na głąz, stanąć nad dyszącymi, oblanymi księżycowym światłem ciałami i powiedzieć tym dwojgu, jak bardzo ją zranili.

Nóż doda jej słowom wiarygodności. Jego widok napędzi im stracha.

Chwilę później była już w połowie wzniesienia. Jej serce pompowało rozgrzaną krew. Z ust wydobywał się urywany oddech. W pewnym momencie wspinalczki odniosła wrażenie, że jest obserwowana. Dziwne łaskotanie u nasady karku ostrzegło ją, że nie jest sama w lesie. Zatrzymała się i rozejrzała. Chociaż niczego nie dostrzegła, nadal czuła na sobie czyjś wzrok. Pomyślała o duchach Indian, rzekomo nawiedzających tę okolicę. Powitałaby je z radością: w sytuacji, w jakiej się znalazła, dobrze byłoby mieć po swojej stronie takie mściwe istoty.

Z ciemności dobiegł jakiś dźwięk. Szelest zwinnych kroków na suchych liściach. Quincy uwierzyła na moment, że w lesie naprawdę są duchy i nadciągają ku niej zwartą hordą. Obejrzała się za siebie pewna, że zobaczy je przemykające między drzewami. Lecz ten duch był jak najbardziej człowiekiem. Quincy słyszała jego ciężki oddech. Dyszał z wysiłku bardziej niż ona. Był coraz bliżej. Odwróciła się na pięcie.

Z mroku wyłonił się Joe, całkiem rozbudzony. Musiał się ubierać w pośpiechu, bo sweter założył tyłem na przód. Metka drapała go w jabłko Adama, gdy stał, gapiąc się na Quincy.

– Chcę być teraz sama – odezwała się.

– Nie rób tego – wysapał, nadal ciężko dysząc.

Quincy odwróciła się do niego plecami. Jego widok przyprawiał ją o mdłości. Wciąż czuła go w sobie. Pałący ból między nogami zarazem zawstydzał ją i podniecał.

– Nie wiesz, co zamierzam zrobić.

– Wiem – odparł. – I wiem, że nie warto.

– Skąd możesz wiedzieć?

– Bo sam to kiedyś zrobiłem. Czułem się wtedy tak samo jak ty teraz.

– Zostaw mnie w spokoju.

– Wiem, że chcesz zrobić im krzywdę – rzekł.

Spowijająca Quincy nieprzenikniona ciemność nagle się rozviała, pozostawiając po sobie zawroty głowy i uczucie oszołomienia. Na widok noża w swojej ręce aż się zachłysnęła. Nie mogła sobie przypomnieć, dlaczego go wzięła. Czyżby faktycznie zamierzała go użyć? Skrzywdzić tamtych? Albo siebie?

Cała płonęła ze wstydu. Potrząsnęła głową. Ciemny las zawirował.

– To nie tak jak myślisz – powiedziała.

– Nie?

– Nie zamierzałam...

Umilkła, wiedząc, że cokolwiek powie, będzie kompletnie bez sensu. Brakowało jej słów.

– Powinnaś wrócić do chaty – stwierdził Joe. – Niedobrze jest włóczyć się tu po nocy.

– Oni mnie zranili – poskarżyła się Quincy, znowu wybuchając płaczem.

– Wiem – mruknął. – Dlatego powinnaś natychmiast zawrócić.

Quincy otarła oczy. Nienawidziła siebie za to, że pozwala sobie w jego obecności na łzy. Nienawidziła tego, że jego towarzystwo sprawia jej przyjemność. I tego, że ze wszystkich ludzi w Pine Cottage tylko jemu udało się dostrzec prawdziwą Quincy.

– Dobrze – powiedziała. – A dokąd ty pójdziesz?

Joe wbił wzrok przed siebie, jakby szukał jakiegoś położonego w oddali, ukrytego za drzewami miejsca.

– Do domu – odparł. – Ty też powinnaś.

Skinęła głową.

Wypuściła z ręki nóż.

Wylądował płasko na miękkiej poduszce z liści.

Potem pobiegła z powrotem tam, skąd przyszła, wymijając Joego i starając się nie widzieć, że w świetle księżycy szkła jego okularów są zupełnie nieprzeźrocyste. Jakby zasnuła je mgła.

Dwadzieścia pięć minut po rozmowie z Jonah jestem w Central Parku i pędzę barokowym tunelem prowadzącym na taras Bethesda. Przez bogato zdobione łuki u wylotu tunelu spostrzegam go siedzącego na obramowaniu fontanny. Różowa koszula, niebieskie spodnie, szara sportowa marynarka. Nad nim góruje Anioł Wód; jego rozpostarte skrzydła obsiadło stadko gołębi.

– Przepraszam za spóźnienie – mówię, siadając obok.

Jonah pociąga nosem.

– Faj – krzywi się.

Sama wiem, jak pachnę. Chciałam wziąć prysznic w hotelu, ale zabrakło ciepłej wody, więc tylko ochlapałam się tu i ówdzie przy umywalce, po czym narzuciłam na siebie ciuchy z poprzedniego dnia.

Ubierając się, myślałam o tym, ile kilometrów przebyły moje rzeczy w ciągu ostatniej doby. Z Chicago do Muncie i z powrotem. Potem z Chicago do Nowego Jorku i spartańskiej hotelowej klitki, miejsca mojego ostatecznego upokorzenia. A teraz są w Central Parku, cuchnące i przepocone.

– Ciężka noc? – pyta Jonah.

– Daruj sobie – burczę. – Masz kawę?

U stóp chłopaka stoją dwa kubki, a między nimi torba kurierska, w której – mam nadzieję – kryje się dość informacji, abym zdołała na dobre wykurzyć Sam z mojego życia. W najgorszym razie – z mojego mieszkania.

– Wybieraj – mówi Jonah, podnosząc z ziemi kubki. – Czarna albo biała z cukrem.

– Biała z cukrem. Najchętniej dożylnie.

Podaje mi kubek oznaczony iksem. Jednym haustem opróżniam go do połowy, po czym z ulgą chwytam ustami powietrze.

– Dzięki – mówię. – Bez względu na to, ile dobrych uczynków byś dzisiaj nie spełnił, tego nic nie przebije.

– Dziękować będziesz dopiero za jakąś minutę. – Sięga po torbę.

– Co takiego znalazłeś?

Jonah rozpina suwak i wyjmuje beżową teczkę.

– Prawdziwą bombę.

W teczce znajduje się kilkadziesiąt luźnych kartek. Dziennikarz przerzuca je zwinnymi palcami, ledwie pozwalając mi rzucić okiem na skserowane artykuły i wydrukowane z internetu teksty.

– Na hasło „Samantha Boyd” wyszukiwarka wyrzuca powszechnie znane fakty o motelu Nightlight Inn – zaczyna. – Uratowała się jako jedyna z ofiar. Została Ocalałą. Osiem lat temu zapadła się pod ziemię. Nikt o niej nie słyszał ani jej nie widział, dopóki nie pojawiła się znowu przed kilkoma dniami.

– To już wiem – wtrącam.

– Z Tiną Stone sprawy mają się całkiem inaczej. – Jonah przestaje wreszcie przerzucać papiery. Znalazł wycinek, o który mu chodziło i teraz mi go podaje. – To

artykuł z „Hazleton Eagle”. Sprzed dwunastu lat.

Serce zaczyna mi mocniej bić, gdy biorę go do ręki. Z łatwością go rozpoznaję. Ten sam wycinek był w teczce Lisy.

*HAZLETON, Pensylwania: Mężczyzna zginął wczoraj od ciosu nożem w domu, który dzielił z żoną i pasierbicą. Wezwana na miejsce policja z Hazleton znalazła martwego Earla Potasha, lat 46, w kuchni dwurodzinnego budynku przy Maple Street. Ofierze zadano liczne rany klute w brzuch oraz klatkę piersiową. Policja uznała incydent za morderstwo. Śledztwo jest w toku.*

– Jak to znalazłeś?

– W serwisie LexisNexis. Po wpisaniu w wyszukiwarce: „Tina Stone”.

– Ale co to ma z nią wspólnego?

– Według gazety pasierbica Earla Potasha przyznała się do zabójstwa, tłumacząc, że ojczym przez lata wykorzystywał ją seksualnie. Ponieważ chodziło o molestowanie, sąd nakazał usunięcie jej danych z akt.

Teraz już wiem, dlaczego Lisę zainteresowała ta krótka wzmianka.

– To była ona – domyślam się. – Tina Stone. Zamordowała swojego ojczyma.

Jonah potwierdza stanowczym skinieniem głowy.

– Obawiam się, że masz rację.

Wlewam w siebie resztę kawy w nadziei, że zapobiegnę bólowi głowy, który znów zaczyna rozsadzać mi czaszkę. W chwilach takich jak ta zabiłabym za tabletkę xanaxu.

– Nadal nic z tego nie rozumiem – przyznaję. – Dlaczego Sam miałyby przybrać nazwisko dziewczyny, która zamordowała własnego ojczyma?

– To właśnie jest najdziwniejsze – mówi Jonah. – Wcale nie jestem pewien, że to zrobiła.

Wyjmuje z teczki kilka stron dokumentacji medycznej. U góry widnieje nazwisko Tiny Stone.

– Czy rejestry medyczne nie są przypadkiem utajnione? – zwracam mu uwagę.

– Najwyraźniej nie doceniasz moich możliwości – uśmiecha się Jonah. – Łapówkami można wiele zdziałać.

– To odrażające.

Przeoglądam dokumentację Tiny Stone, począwszy od ubiegłego roku wstecz. Rzadko odwiedzała lekarza, zawsze w trybie pilnym i najczęściej bez ubezpieczenia. Nadgarstek złamany cztery lata temu w wyniku wypadku motocyklowego. Rok wcześniej mammografia; wykryty w trakcie badania guzek okazał się łagodną zmianą. Przed ośmiu laty przedawkowała anitrofilinę. Ta ostatnia informacja na dłuższą chwilę przykuwa mój wzrok.

Na następnej stronie widnieje wzmianka o jeszcze jednej próbie przedawkowania, dwa lata wcześniej. Spoglądam na datę: trzy tygodnie po Pine Cottage.

– To nie może być Sam – oświadczam. – Daty się nie zgadzają. Wiem od niej, że zmieniła nazwisko kilka lat po Pine Cottage.

Gdy w końcu spływa na mnie olśnienie, z wrażenia niemal wpadam do fontanny. Wypuszczam z rąk teczkę. Kartki rozsypują się, zmuszając Jonah do działania: rzuca się

je zbierać, zanim odfruną.

Tkwię nieruchomo, dopóki nie wróci z teczką wetkniętą pod pachę.

– Teraz już rozumiesz?

– Tina Stone i Samantha Boyd – mówię – to nie ta sama osoba.

– Nasuwa się pytanie, która z nich jest teraz w twoim mieszkaniu.

– Nie mam pojęcia.

Muszę się tego dowiedzieć. Natychmiast. Wstaję, żeby odejść, choć nogi się przede mną uginają.

Jonah zatrzymuje mnie. Jego twarz przybiera przepraszający wyraz, gdy mówi:

– Niestety to jeszcze nie wszystko.

Otwiera teczkę i spod stery papierów wyciąga jakąś kartkę.

– Zdarzyło jej się przedawkować.

– Wiem – odpowiadam. – Zanim rzekomo zmieniła nazwisko.

– Zerknij, gdzie do tego doszło.

Jonah wskazuje palcem nazwę zakładu, w którym leczyła się Tina Stone.

Szpital psychiatryczny w Blackthorn. Oddzielony lasem od Pine Cottage.

Sama nazwa tego miejsca sprawia, że robi mi się słabo. Bardziej niż dzisiejszego ranka zaraz po przebudzeniu. Chyba nawet bardziej niż w chwili, gdy dotarło do mnie, że prawie zabiłam Ricardo Ruiza.

Tina Stone była pacjentką w Blackthorn.

W tym samym czasie co On.

Dokładnie wtedy, gdy trafił do Pine Cottage i wybebeszył cały mój świat.

## PINE COTTAGE

północ

Pierwszy krzyk rozległ się w momencie, gdy Quincy dotarła do tarasu. Dobiegł z leśnej gęstwiny i poraził ją, gdy wstępowała na niskie drewniane stopnie. Odwróciła się w stronę, skąd rozbrzmiewał, bardziej zaskoczona niż przestraszona.

Strach miał nadejść później.

Zlustrowała wzrokiem ciemny las za chatą, przenosząc spojrzenie z jednego drzewa na drugie, jakby źródło dźwięku mogło się znajdować za którymś z nich. W głębi duszy wiedziała jednak, z czyich ust się wydobył.

To krzyczała Janelle.

Quincy była tego pewna.

Lasem wstrząsnął kolejny krzyk. Dłuższy niż pierwszy, rozbrzmiewał echem aż pod niebo. Był również znacznie donośniejszy. Na tyle, by spłoszyć sowę siedzącą w koronie pobliskiego drzewa. Ptak przemknął obok tarasu, trzepocząc ciężko skrzydłami, i zniknął gdzieś ponad dachem. Odgłosy jego rejterady zmieszały się z innym dźwiękiem. Ten dla odmiany się przybliżał. Quincy wyraźnie słyszała tupot kroków.

Chwilę potem z lasu wypadł Craig. W oczach miał pustkę, ruchy ciała były gwałtowne i nieskoordynowane. Quincy zauważyła, że jest ubrany w koszulkę i w spodnie, chociaż rozporek miał rozpięty, podobnie jak pasek, którego sprzączka objęła się o nogi.

– Uciekaj, Quincy! – Potknął się i przerażony ruszył w jej stronę. – Musimy uciekać!

Ostatnie słowa wypowiedział już na tarasie, usiłując pociągnąć Quincy za sobą. Jej ręka zmartwiała w jego dłoniach. Nie zamierzała nigdzie się stąd ruszać. Nie bez Janelle.

– Gdzie Janelle? – wykrzyknęła.

Jej głos odbił się echem w lesie, rozbrzmiewając coraz to nowymi wezwaniami, z których każde było słabsze od poprzedniego. Odpowiedział im kolejny krzyk. Słyszając go, Craig jęknął rozpaczliwie i zatańczył w miejscu, jakby usiłował strząsnąć coś z karku.

– No rusz się! – wrzasnął na Quincy.

Lecz ją czwarty z kolei krzyk pociągnął na sam skraj tarasu; stała tam, z czubkami butów wysuniętymi poza krawędź najwyższego stopnia. Za nią Craig usiłował dostać się do środka, lecz na drodze stanęli mu wybiegający z chaty przyjaciele.

– Co to *było*? – chciała wiedzieć Amy. W jej głosie dygotał lęk.

– Gdzie jest Janelle? – włączyła się Betz.

– Nie żyje! – ryknął Craig. – Nie żyje!

Nie miał racji. Quincy wciąż słyszała w mroku jej świszczący oddech. I kroki ciche jak stąpanie kota. Odgłosy potknięć w gąszczu.

Janelle zmaterializowała się znienacka, wychylną zza linii drzew na tyłach chaty niczym jeden z tych indiańskich duchów, o których im opowiadała. Nie tyle stała, co chwiała się, podtrzymywana w pozycji stojącej wyłącznie siłą instynktu. Ciemne, krwawe wykwyty znaczyły jej sukienkę na wysokości barku, klatki piersiowej oraz brzucha.



Obie dłonie trzymała przy szyi, zaciśnięte kurczowo jedna na drugiej. Spod palców buchała krew i niby szkarłatny wodospad ściekała po piersiach dziewczyny.

Wtedy poczuli strach.

Skręcający wnętrzości, paraliżujący mięśnie strach, który stojącym w drzwiach tarasowych uniemożliwił jakikolwiek ruch.

Tylko Quincy nie zamarła – strach popchnął ją naprzód, z tarasu na trawę, którą zaczął już pokrywać szron. Chrząścił pod jej stopami, gdy biegła na spotkanie Janelle. Lodowata wilgoć przesiąkała do wnętrza jej pantofli.

Chwilę później była przy swojej przyjaciółce. Wyciągnęła ręce i chwyciła ją, gdy ta akurat padała na ziemię. Dłonie Janelle oderwały się od szyi, odsłaniając szerokie, poprzeczne cięcie. Lała się z niego krew, lepka i gorąca, plamiąc białą sukienkę Quincy.

Quincy zakryła ranę własnymi rękami. Rytmicznie pompowana przez serce krew łaskotała ją w dłonie. Nagle ciało Janelle zwiotczało i całym ciężarem zawisło na Quincy, zmuszając ją do osunięcia się na kolana. Usiadła na ziemi, trzymając w objęciach bezwładną niczym szmaciana lalka Janelle. Szeroko otwarte oczy przyjaciółki wpatrywały się w nią z paniką, z rozciętego gardła wydobywał się charczący oddech.

– Ratunku! – krzyknęła przeraźliwie Quincy, choć wiedziała, że Janelle już nic nie pomoże. – Na pomoc! Szybko!

Pozostali wciąż tkwili na tarasie. Amy kulila się przy Rodneyu; rąbek jej koszuli nocnej furkotał na wietrze. Betz zaczęła gwałtownie szlochać, odgłos jej łkań wznosił się i opadał. Tylko Craig na nie patrzył. Quincy miała wrażenie, że jego wzrok przewierca jej serce na wylot. Jakby znał wszystkie jej potworne sekrety.

Naraz zobaczyła w jego oczach nowy przyływ paniki.

– Quincy! Uciekaj!

Lecz ona nie mogła się ruszyć. Nie kiedy w jej ramionach właśnie umierała Janelle. Nawet gdy poczuła obok czyjaś obecność. Złowrogą, dyszącą nienawiścią.

Runął na nie, zanim zdążyła się obejrzeć. Jego palce wpiły się w jej włosy, zaciśnęły i szarpnęły z całej siły. Ból przeniknął jej ciało, gdy tamten włókł ją po ziemi. Widziała to, co inni.

Zarys sylwetki.

Wzniesiony do ciosu nóż.

Srebrny błysk.

Ciosy spadły niemal równocześnie, jeden po drugim. Dwa ostre, bolesne dźgnięcia w bark. Pałące jak ogień. Rozdzierające skórę i mięśnie. Aż do kości.

Quincy nie krzyknęła. Za bardzo ją bolało. Zamiast niej krzyczał w niej ból.

Przewróciła się na bok. Janelle stoczyła się z jej kolan i leżały teraz na ziemi obok siebie, twarzą w twarz. Quincy wpatrywała się w martwe oczy przyjaciółki. Między nimi na trawie krew utworzyła kałużę, topiąc szron i delikatnie parując.

On wciąż nad nimi stał. Quincy słyszała równy rytm oddechu. Dłoń ponownie dotknęła jej włosów. Ale tym razem nie szarpała, tylko gładziła.

– Już dobrze, już dobrze – powiedział.

Widziała go kątem oka jako niewyraźny zarys. Cień. Wyczekiwała ostatecznego ciosu, gdy on poruszył się nagle.

Minął ją.

I to, co zostało z Janelle.

Przemknął w stronę Pine Cottage.

Była to ostatnia rzecz, jaką Quincy widziała, zanim na dobre zawiadnęły nią ból, rozpacz i strach. Czarne chmury zaćmiły jej wzrok, przesłaniając świat. Zamknęła oczy, z ulgą witając zapomnienie, pozwalając się porwać ciemności.

Jonah błaga, abym pozwoliła mu pójść ze sobą do domu, ale nie chcę o tym słyszeć. Twierdzi, że to dla mnie zbyt niebezpieczne, i ma rację. Lecz jego obecność tylko by wszystko skomplikowała. To musi się rozegrać pomiędzy mną a Sam.

Albo Tiną.

Czy kim, kurwa, jest.

Wchodząc do mieszkania, po raz kolejny zachowuję najwyższą ostrożność. I po raz kolejny modłę się w duchu, żeby jej nie było.

Ale jest. Stojąc w holu, słyszę dobiegający z przyległej łazienki jednostajny szum wody. Sam bierze prysznic. Podchodzę do drzwi i czekam, dopóki nie usłyszę jakichś odgłosów ze środka. Pokasływania Sam. Chrapliwego odchrząkiwania palaczki. Woda nie przestaje ciec.

Śpieszę do pokoju Sam, gdzie w kącie wciąż stoi jej plecak. Nie mogę go otworzyć. Ręce za bardzo mi się trzęsą.

Biorę kilka głębokich wdechów, marząc o xanaxie, chociaż wiem, że muszę zachować jasność myślenia. Mimo wszystko uzależnienie wygrywa: wpadam do kuchni, wrzucam do ust tabletkę, popijam kilkoma haustami napoju winogronowego i piję dopóty, dopóki xanax nie spłynie mi do żołądka.

Odpowiednio wzmocniona wracam do pokoju Sam. Ruchy rąk mam teraz pewniejsze i bez trudu udaje mi się rozpiąć plecak. Przetrzęsam go, wyciągając na zewnątrz kradzione ciuchy, czarne podkoszulki, zapas majtek i biustonoszy. Spod nich wyłania się butelka burbona – nowa, jeszcze nieotwarta. Wypada na podłogę i toczy się do moich kolan.

Przerzucam rzeczy na dnie plecaka. Szczotka do włosów, dezodorant, puste opakowanie po jakichś pigułkach. Zerkam na etykietę: ambien, nie anitrofilina.

Znajduję iPhone zabrany przez Sam z mojej sekretnej szuflady. Ten sam, który świsnęłam z kawiarni. Jest wyłączony, bateria najpewniej rozładowana. Na samym spodzie moje palce wymacują chłodny, śliski papier. Jakieś czasopismo.

Wyciągam je jednym szarpnięciem i odwracam, aby spojrzeć na okładkę. To zaczytany do imentu egzemplarz „Time’a”; w każdej chwili może się rozlecieć. Zdjęcie na okładce przedstawia podupadły motel w otoczeniu policyjnych radiowozów oraz sosen wirginijskich porośniętych srebrzystymi pędami oplątwy brodaczkowej. Nagłówek – czerwone litery na tle szarosinego nieba – krzyczy: *HORROR W HOTELU!*

To samo wydanie „Time’a” pożerałam z wypiekami na twarzy jako dziecko, drżąc pod kołdrą w obawie przed koszmarami sennymi. Przerzucam strony, dopóki nie znajdę artykułu, który dał początek tyłu dziecięcym łekom. Towarzyszy mu kolejna fotografia motelu Nightlight Inn – wykonane z zewnątrz zdjęcie jednego z pokoi. W otwartych drzwiach majaczy coś białego. Nakryte prześcieradłem ciało jednej z ofiar.

Obok widnieje wąska kolumna tekstu.

*Człowiek myśli, że takie rzeczy zdarzają się tylko w kinie. Nigdy w prawdziwym życiu. A przynajmniej nie na taką skalę. I nie jemu. Ale one się dzieją. Najpierw*

*w akademiku w Indianie. Potem w motelu na Florydzie.*

Wstęp do artykułu brzmi znajomo. Coś mi przypomina. Nie z czasów dzieciństwa, chociaż z pewnością musiałam go wówczas czytać. Wspomnienie jest znacznie świeższe.

Dokładnie to samo powiedziała Sam pierwszej nocy po swoim przyjeździe. Kiedy przytulone gadałyśmy w łóżku, a między nami krążyła butelka burbona. Wielki monolog Sam o Nightlight Inn.

Wielki stek bzdur, jak się okazuje. Słowo w słowo ściągnięty z „Time’a”.

Wpycham jej dobytek z powrotem do plecaka. Wszystko poza tygodnikiem, który zamierzam użyć jako amunicji przeciwko Sam, oraz iPhone’em, który mogłaby wykorzystać przeciwko mnie. Z czasopismem zatkniętym pod pachą, wsuwam telefon za dekolt bluzki i umieszczam bezpiecznie pod ramię stanika.

Upewniwszy się, że zostawiam pokój w takim stanie, w jakim go zastałam, śpieszę do kuchni, biorę napój winogronowy i zanoszę do laptopa. Otwieram go i wchodzę na YouTube, pociągając łyk napoju. W pole wyszukiwania wpisuję „wywiad z Samantha Boyd”. Wyskakuje kilka wersji jedyne go wywiadu telewizyjnego Sam zamieszczonych przez tych samych świrów, którzy prowadzą strony poświęcone spektakularnym zabójstwom. Klikam na pierwszą z brzegu i nagranie zaczyna się odtwarzać.

Na ekranie pojawia się dziennikarka, która wsunęła mi pod drzwi pachnącą perfumami Chanel karteczkę z ofertą płatnej rozmowy przed kamerą. Jej twarz zastygła w łagodnym wyrazie bezstronności. Tylko oczy – czarne i wygłodniałe – ją zdradzają. To oczy rekina.

Tyłem do kamery siedzi ledwie widoczna w kadrze młoda kobieta. Ciemna, zamazana sylwetka. Nie do rozpoznania.

– Pamiętasz, co cię spotkało owej nocy, Samantha? – pyta dziennikarka.

– Oczywiście, że pamiętam.

Ten głos! Zupełnie nie brzmi jak głos znanej mi Sam. Jest mniej wyraźny, a wymowa bardziej niechlujna.

– Często o tym myślisz?

– Stale – odpowiada tamta Sam. – Bez przerwy o nim myślę.

– Mówisz o Calvinie Whitmerze, prawda? O Człowieku-Worku?

Ciemność drga, gdy tamta Sam potakuje ruchem głowy i odpowiada:

– Do tej pory go widzę, wie pani? Kiedy zamykam powieki. Wyciął w worku otwory na oczy. I jeszcze jeden, nieduży, na nos, żeby mieć dopływ świeżego powietrza. Nigdy nie zapomnę łopotu tkaniny, kiedy oddychał. Obwiązał sobie ten worek sznurkiem wokół szyi, żeby mu nie spadł.

Ten fragment też sobie przywłaszczyła. Wyrecytowała mi go, jakby mówiła to po raz pierwszy.

Przewijam nagranie do początku. Kręci mi się w głowie, gdy panna Chanel No. 5 wbija swoje spojrzenie głodnego rekina w tamtą Sam.

– Pamiętasz, co cię spotkało owej nocy, Samantha?

Mrugam oczami, czując pod powiekami pieczenie.

– Oczywiście, że pamiętam.

Głosy w komputerze stają się niewyraźne, dobiegają z bardzo daleka.

– Często o tym myślisz?

Ogarnia mnie dziwna drętwota. Czuję mrowienie – najpierw w dłoniach, potem na ramionach, jakby przebiegały po nich zastępy czerwonych mrówek.

– Stale. Bez przerwy o nim myślę.

Ekran laptopa się zamazuje, twarz dziennikarki gwałtownie traci ostrość. Odwracam głowę i widzę, że cała kuchnia zmieniła się w melanz kolorów. Spoglądam na napój winogronowy, który przybrał fantastyczną barwę neonowego fioletu. Dłonie mam zbyt zmartwiałe, żeby unieść butelkę, więc tylko trącam ją łokciem. Resztki płynu na dnie wirują. A wraz z nim zawieszony w nim drobiną xanaxu, jaśniejące błękitem.

Za moimi plecami rozlega się głos.

– Wiedziałam, że będzie ci się chciało pić.

Obracam się i widzę ją stojącą w kuchni, suchą i ubraną.

W oddali wciąż szumi prysznic, stłumiony jak dobiegający z laptopa głos tamtej Sam. To była zmyłka. Zastawiła na mnie pułapkę.

– Co...?

Nie mogę wydusić z siebie słowa. Język mam pogrubiały, telepie się w moich ustach jak ryba.

– Ciii – mówi ona.

Stała się niewyraźnym cieniem, jak jej imienniczka, która na nagraniu nadal udziela wywiadu. Tamta Sam ożyła. Tyle że to nie jest Sam. Tego przekonania nie zagłuszą nawet tabletki siejące spustoszenie w moim organizmie. Moje myśli osiągnęły niezwykłą jasność. Po raz pierwszy od Bóg wie jak dawna. Może w ogóle po raz pierwszy.

– Tina – bełkoce, walcząc z bezwładem języka. – Tina Stone.

Wykonuje ruch w moją stronę. Reaguję i sięgam do stojącego obok na blacie drewnianego bloku na noże. Moja ręka porusza się jak w zwolnionym tempie. Chwytam największy nóż. Mam wrażenie, że waży pięćdziesiąt kilogramów.

Potykam się; nogi mnie zawodzą, stopy mam ciężkie jak głazy. Udaje mi się wykonać jedno słabiutkie pchnięcie, po czym nóż wypada mi z omdlałych palców. Kuchnia przechyła się, ale wiem, że tak naprawdę to ja się przechyłam, upadam na bok i uderzam czaszką o podłogę, podczas gdy wszystko wokół obłąkańczo wiruje.

## ROK PO PINE COTTAGE

Tina wyszła jako jedna z ostatnich. Siedziała na skrzypiącym łóżku, gapiąc się tępo w drugi koniec pokoju, zajmowany do niedawna przez piromanek imieniem Heather o rzadkich, tłustych włosach. Jej pościel zabrano, pozostawiając tylko nierówny materac z podłużną plamą moczu. Na ścianie obok przez warstwę farby prześwitywały przekleństwa nagryzmołone szminką przez poprzedniczkę Heather, niejaką May. Kiedy ją przenoszono, pozostawiła swój arsenał szminek Tinie.

W sumie Tina spędziła w tym pokoju ponad trzy lata. Wcześniej nigdzie równie długo nie zagrzała miejsca. Nie był to rzecz jasna jej wybór – urzędnicy postanowili za nią.

A teraz i na nią pora. Na korytarzu siostra Hattie zawołała z tym swoim drażniącym wieśniackim akcentem:

– Uwaga, zamykamy! Wszyscy na zewnątrz!

Tina dźwignęła oparty o łóżko plecak. Dawniej należał do Joego. Rodzice zostawili go, kiedy uprzętałi pokój syna po jego śmierci. Teraz to był jej plecak, a w środku znajdował się cały dobytek Tiny, czyli niewiele. Zdumiało ją, jaki jest lekki.

Wyszła z pokoju, nie oglądając się za siebie. Dostatecznie często się przeprowadzała, aby wiedzieć, że długie pożegnania nie ułatwiają odejścia. Nawet jeśli marzyło się o nim od momentu przybycia.

Na korytarzu dołączyła do reszty maruderów, ustawionych do ostatniego odliczania. Tym razem, zamiast sprawdzać obecność, sanitariusze upewniali się, czy nikt nie został w budynku. W południe szpital w Blackthorn na dobre zamykał swoje podwoje.

Większość pacjentów wciąż była zbyt szalona, aby pozwolono im się swobodnie poruszać. Ci – między innymi Heather – już zostali przeniesieni do innych zakładów. Tina należała do nielicznych, których uznano za zdolnych do rozpoczęcia nowego życia. Odsiedziała swój wyrok. Odtąd miała być wolna.

Po tym, jak wszyscy kolejno odliczyli, cała grupa została przeprowadzona przez pustą i pełną przeciągów salę rekreacyjną, którą właśnie ogoławano z mebli. Tina zauważyła, że ze ściany zniknął telewizor, a większość krzeseł stoi spiętrzona w rogu. Jej spojrzenie padło na stół pod zakratowanym oknem, przy którym siadywali razem z Joem i spoglądali na las rozciągający się po drugiej stronie zarośniętego krzakami spłachetka trawnika, wymieniając jedno przez drugie miejsca, gdzie pojedą, jak już się stąd wydostaną.

Tina pozwoliła sobie na to ostatnie spojrzenie i natychmiast tego pożałowała, bo widok przypomniiał jej o Joem. Zabroniono jej o nim myśleć.

A jednak myślała. Bez przerwy. Wyjście ze szpitala niczego nie zmieni.

Zabroniono jej także myśleć o tamtej nocy. O straszliwych rzeczach, do jakich wówczas doszło. O tych wszystkich zabitych młodych ludziach. Ale jak miała o nich nie myśleć? To z ich powodu zamykano szpital. Dlatego musieli stąd odejść.

Ich wyjściu przyglądało się kilku sanitariuszy. Był wśród nich Matt Cromley, ten cholerny kutas z trwałą ondulacją. Dobierał się do Tiny tyle razy, że straciła rachubę.

Przechodząc obok, rzuciła mu wściekłe spojrzenie, on zaś mrugnął porozumiewawczo i oblizał wargi.

Przed szpitalem stała zaparkowana furgonetka, która miała ich zawieźć na dworzec autobusowy. Nikogo nie obchodziło, dokąd później pojedą; było daleko stąd.

Siostra Hattie podała wsiadającej Tinie dużą kopertę. W środku znajdowały się adres biura opieki społecznej, które miało jej pomóc znaleźć pracę, dokumentacja medyczna, wszystkie niezbędne recepty oraz gotówka, która – o czym Tina doskonale wiedziała – mogła wystarczyć na raptem dwa tygodnie.

Pielęgniarka z uśmiechem dotknęła jej ramienia.

– Życzę ci wspaniałego życia, Tino. Nie zmarnuj go.

## DWA LATA PO PINE COTTAGE

W domu nikogo nie ma. Tak przynajmniej wmawiała sobie Tina, pukając po raz kolejny do wyblakłych od słońca drzwi. Nikogo nie ma, więc powinna po prostu sobie pójść.

Ale nie odeszła. Była do cna splukana.

Naprawdę się starała i przez jakiś czas nawet jej się udawało. Dzięki tej miłej kobiecie z opieki społecznej miała pracę, chociaż polegała ona na pakowaniu zakupów w brudnym supermarkecie, oraz dach nad głową w pensjonacie wybudowanym dla ludzi takich jak ona. Pracę niestety straciła z powodu częstego naruszania zasad BHP, w związku z czym nie było jej stać na dalszy pobyt w pensjonacie. Zasiłek dla bezrobotnych ledwie wystarczył na zakup jedzenia oraz biletu na autobus.

A teraz była z powrotem w Hazleton i dobijała się do drzwi dwurodzinnego domku, którego od czterech lat nie widziała, modląc się w duchu, by nikt jej nie otworzył. Gdy tak się stało, nieomal uciekła. Wolalaby umrzeć z głodu niż tutaj wrócić. Zmusiła jednak nogi do pozostania na zużytej wycieraczce.

Kobieta, która stanęła w progu, była grubsza, niż Tina pamiętała. Dupsko miała jak szafa trzydrzwiowa. Na biodrze piastowała niemowlę – wijącego się, zabeczanego i czerwonego na twarzy gówniarza w opadającej pieluszce. Tinie wystarczył jeden rzut oka na małego, żeby ścisnęło jej się serce. Kolejny dzieciak. Biedny. Na starcie ma przesrane.

– Cześć, mamó – przemówiła. – Wróciłam.

Matka spojrzała na nią jak na obcą. Wciągnęła tłuste policzki, wydeła usta.

– To już nie jest twój dom – odparła. – Sama się o to postarałaś.

Serce w niej zamarło, chociaż niczego innego się nie spodziewała. Matka nigdy nie uwierzyła, że Earl robił jej te wszystkie rzeczy. Dotykał, miętosił, wślizgiwał się pod jej kołdrę o trzeciej nad ranem. „Ciii – szeptał, chuchając na nią piwnym oddechem. – Tylko nic nie mów mamie”.

– Proszę cię, mamó – powiedziała. – Potrzebuję pomocy.

Dziecko coraz głośniejszym głosem marudziło. Tina była ciekawa, czy słyszało o swojej przyrodniej siostrze. Zastanawiała się, czy ktokolwiek ją tutaj wspomina.

Przez płacz niemowlęcia przebił się dobiegający z salonu męski głos. Tina nie miała pojęcia, co to za jeden.

– Kto przyszedł?

Matka Tiny spojrzała na nią twardo.

– Nikt ważny.



## TRZY LATA PO PINE COTTAGE

Jak na wtorkowy wieczór, w barze panował tłok. Wszystkie stołki były zajęte. Stoliki również. Nie ma to jak browar za dwa dolce, żeby ściągnąć z trudem na co dzień funkcjonujących alkoholików. Przez ten ścisk Tina całą zmianę nie miała chwili wytchnienia – w zlewie wciąż lądowały puste kufle i upaprane keczupem talerze. Myła je i myła bez końca, z dłońmi zanurzonymi w wodzie, aż skóra na palcach spierzchła i zbielała.

Po skończonej zmianie zdarła z głowy siatkę do włosów, ściągnęła fartuch i wrzuciła obie rzeczy do ustawionego przy tylnym wyjściu kosza na brudną bieliznę. Następnie przeszła do baru na przysługującego pracownikom darmowego drinka, który według szefa miał im wynagradzać skąpą pensję.

Tego wieczoru za kontuarem stał Lyle. Tina lubiła go bardziej od innych. Miał gęste wąsy z podkręconymi końcówkami, seksowny, choć nieprawidłowy zgryz oraz muskularne, owłosione przedramiona. Nawet nie pytał, na co ma ochotę, od razu napełnił kieliszek.

– Burbon dla panny Tiny – powiedział, nalewając też dla siebie.

Stuknęli się.

– Na zdrowie – mruknęła Tina, jednym haustem wychylając zawartość kieliszka.

Zamówiła jeszcze jedną kolejkę. Lyle nalał jej za darmo, chociaż upierała się, że ma czym zapłacić. Nieśpiesznie sączyła burbon, siedząc w głębi baru i obserwując klientów. Tłum stanowił nieokreśloną masę – niekończąca się parada napomadowanych fryzur, brzuchów piwnych i czerwonych nosów. Większość mężczyzn znała z widzenia.

W pewnej chwili dostrzegła kogoś naprawdę znajomego. Wciśnięty w czarny boks obmacywał rudą dziewczynę, która najwyraźniej nie miała ochoty być obmacywana. Minęło kilka lat, ale wyglądał dokładnie tak samo. Nawet żałosna trwała na głowie się nie zmieniła.

Matt Cromley.

Sanitariusz, który molestował Tinę, Heather i Bóg wie ile innych pacjentek szpitala w Blackthorn. Jego widok po tych wszystkich latach otworzył w umyśle Tiny szkatułkę z najgorszymi wspomnieniami. Sprawił, że przypomniały jej się wszystkie te okazje, gdy wciągał ją do schowka na szczotki i wkładał jej rękę w majtki, sycząc do ucha: „Nikomuni słowa, zrozumiano? Mogę ci uprzykrzyć życie. Serio”.

Jedyną osobą, której się zwierzyła, był Joe. Tak się wkurzył, że był gotów zadźgać zasańca. Za podobne przestępstwo wyładował zresztą w Blackthorn – jakiś kretyń w szkole pomaturalnej znęcał się nad nim, a Joe, broniąc się, wbił mu w bok nóż do steków.

Tina odrzuciła propozycję, czego w tej chwili gorzko żałowała. Kutasy pokroju Matta Cromleya nie powinny łązić bezkarnie.

Dlatego też szybko dopiła drinka i wymknęła się do kuchni po kilka potrzebnych rzeczy. Potem dosiadła się do Cromleya i obdarzając go syrenim uśmiechem, powiedziała:

– Witaj, nieznajomy.

Dziesięć minut później znaleźli się razem na zachwaszczonym placyku na tyłach knajpy. Matt jedną rękę trzymał w dżinsach Tiny, drugą zaś brutalnie tarmosił swojego mikroskopijnego wacka.

– Podoba ci się, co? – sapał. – Podoba ci się, jak wujek Matty robi ci dobrze?

Tina przytaknęła, choć prawdę mówiąc jego dotyk przyprawiał ją o mdłości. Ale jakoś wytrzymała. Wiedziała, że to długo nie potrwa.

– Ilu dziewczynom to robiłeś? – zapytała. – W Blackthorn?

– Nie wiem. – Dyszał. Jego głos chrapliwie rozbrzmiewał w jej uszach. – Dziesięciu. Jedenastu. Może dwunastu.

Tina zeszywniała.

– To za nie wszystkie.

Łokciem zdzieliła go w brzuch, aż zgiął się wpół i cofnął, zabierając swoją zimną, obleśną rękę. Potem obróciła się na pięcie i zaczęła okładać go pięściami. Raz za razem. Szybkie, krótkie ciosy w nos. W mgnieniu oka Cromley osunął się na kolana, przykładając dłonie do twarzy, żeby zatamować lejącą się z nosa krew.

Tina kopnęła go. W brzuch. W żebra. W krocze.

Kiedy leżąc na wznak, zwijał się z bólu, wepchnęła mu do ust kuchenną ścierkę. Następnie ściągnęła mężczyźnie dżinsy oraz bieliznę. Zdarła z niego koszulę, szarpiąc materiał na szwach, aż na ramionach pozostały jedynie strzępy. Potem znalezionym pod kuchennym zlewem sznurem skrupowała mu ręce w przegubach i nogi w kostkach. Gdy nie mógł się ruszyć, wyjęła z kieszeni czarny suchościeralny marker zwinięty z tablicy, na której codziennie wypisywano promocje na drinki. Zacisnąwszy zęby na zatyczce, zdjęła ją i na nagim torsie Matta Cromleya wypisała trzy słowa.

*PRZEŚLADOWCA. ZBOCZENIEC. ŚWINIA.*

Odchodząc, zabrała ze sobą jego ciuchy.

## DZIEWIĘĆ LAT PO PINE COTTAGE

Był październik, co znaczy, że wspominała Joego. Zawsze tak było z nadejściem jesieni. Chociaż minęło już dziewięć lat, chłód w powietrzu nieodmiennie sprawiał, że widziała go, przemykającego szpitalnym korytarzem w tym swoim piaskowym swetrze. „Zaczekaj na mnie!” – wyszeptała gorączkowo, usiłując go dogonić.

Co roku miała nadzieję, że coś się zmieni i tamte obrazy zbledną. Ostatnio jednak doszła do wniosku, że się ich nie pozbędzie. Stanowiły część niej samej, równie integralną jak tatuaż na przegubie dłoni.

Korzystając z przerwy, wyszła na dwór zapalić. Przeciągnęła kciukiem po tatuażu, rozkoszując się gładkością ciemnych liter.

### *PRZETRWAŁAM*

Minęło sześć lat, odkąd go zrobiła. Na długo przed tym, zanim trafiła na północ do Bangor. Zafundowała go sobie w nagłym przypływie inspiracji, po tym, jak naznaczyła markerem różowe, kluchowate cielsko Matta Cromleya. I ani razu nie żałowała swojej decyzji. Tatuaż dodawał jej siły, chociaż z czasem zaczęła się martwić, że może zrażać klientów, ci zaś będą jej dawali mniejsze napiwki. O dziwo, większość ludzi zostawiała więcej. Z litości. Dzięki nim mogła sobie pozwolić na zakup samochodu. Żaden szął, ford escort z trzeciej ręki, ale co z tego. Zawsze to cztery kółka.

Restauracja powoli wypełniała się amatorami lunchu. Tina знаła większość gości. Pracowała tu dostatecznie długo, żeby wiedzieć, kim są i co lubią. Dziś tylko jeden był nowy – ubrany na czarno chłopak, na pierwszy rzut oka wielbiciel muzyki gotyckiej. Jego spojrzenie przyprawiało ją o ciarki na plecach. Kiedy podeszła, żeby przyjąć zamówienie, zagadnęła:

– Znam cię?

Chłopak popatrzył na nią.

– Nie, ale ja znam ciebie.

– Nie sądzę.

– Jesteś tą dziewczyną – odparł, nie odrywając wzroku od jej tatuażu. – Tą, która niemal zginęła przed laty w motelu.

Tina strzeliła z gumy do żucia.

– Nie wiem, o czym gadasz.

– Nie bój się, nie zdradzę twojej tajemnicy. – Chłopak zniżył głos do szeptu. – Nie powiem nikomu, że Samantha Boyd to ty.

Po skończonej zmianie Tina poszła prosto do biblioteki, w której można było skorzystać z przestarzałych komputerów. Siedząc wśród emerytów oraz innych pozbawionych dostępu do internetu biedaków, wyszukała nazwisko Samantha Boyd.

Nie były do siebie aż tak podobne, żeby można je wziąć za bliźniaczki. Tina była trochę szczuplejsza od Samantha, oczy też miały inne. Ale podobieństwo niezaprzeczalnie istniało. Byłoby jeszcze większe, gdyby Tina przefarbowała włosy na czarny kolor – taki, jaki miał tamten chłopak z restauracji.

Znowu pomyślała o Joem. Nic na to nie mogła poradzić. Po wpisaniu jego nazwiska na ekranie komputera pojawiło się to samo zdjęcie, które po masakrze w Pine Cottage opublikowały wszystkie gazety. Wszędzie towarzyszyło mu inne – fotografia tamtej dziewczyny.

Quincy Carpenter. Jedynej uratowanej.

Tina zapatrzyła się w twarz Quincy. Przeniosła wzrok na podobiznę Joego. A potem Samantha Boyd, swojego czarnowłosego sobowtóra.

W jej umyśle zaczął kiełkować plan.

## DZIEWIĘĆ LAT I JEDENAŚCIE MIESIĘCY PO PINE COTTAGE

Tina wydobyła plecak z bagażnika swojego escorta i raz jeszcze zapewniła samą siebie, że da radę. Niemal od roku to planowała. Starannie odrobiła pracę domową. Nauczyła się roli na pamięć.

Była gotowa.

Z plecakiem przerzuconym przez ramię pomaszerowała ścieżką ułożoną z kamiennych płyt i nacisnęła dzwonek. Gdy drzwi otworzyła jej blondynka o życzliwym spojrzeniu, Tina dokładnie wiedziała, kto przed nią stoi.

– Lisa Milner? – zapytała. – To ja, Samantha.

– Samantha Boyd? – odparła Lisa ze zdziwieniem w głosie.

Tina przytaknęła.

– Wolę Sam.

Obudziłam się, chociaż moje oczy jeszcze o tym nie wiedzą. Powieki nie chcą się unieść, choćbym nie wiem jak napinała mięśnie twarzy. Usiłuję poruszyć rękoma i otworzyć je palcami, ale nie mogę. Dłonie mam jak z ołowiu, nie jestem w stanie dźwignąć ich z kolan.

– Wiem, że mnie słyszysz – mówi Tina. – Możesz mówić?

– Tak. – Trudno to nawet uznać za szept. – Co...?

Tylko tyle potrafię z siebie wydusić. Myśli są równie niespójne. Przypominają przedzierające się przez błoto ślimaki.

– Zaraz ci przejdzie – dodaje Tina.

Już przechodzi. Powoli, stopniowo wraca mi czucie w całym ciele. Na tyle, aby stwierdzić, że siedzę, a coś przeciągniętego ukośnie przez moją pierś mnie podtrzymuje. Pas bezpieczeństwa. Jestem w samochodzie.

Tina siedzi po mojej lewej stronie. Wyczuwam jej obecność. Słyszę, jak skórzana kierownica poskrzypuje w jej dłoniach, chociaż samochód się nie porusza, a silnik jest wyłączony. Stoimy.

Próbuję się poruszyć, ciałem napieram na pas.

– Dlaczego...?

– Uspokój się – rzuca Tina. – Oszczędzaj siły. Wkrótce będziesz ich potrzebować.

Nie przestaję się wiercić na fotelu. Sięgam do klamki, lecz moje zdrętwiałe palce chwytają jedynie powietrze.

– Mogłaś mi to ułatwić, Quincy – odzywa się znowu Tina. – Wierz mi, wcale nie chciałam wszystkiego tak komplikować. To miało potrwać dzień, góra dwa. Miałam się zjawić i cię zbajerować, żebyś opowiedziała mi wszystko, co pamiętasz o Pine Cottage. A potem zniknąć.

Moje palce wreszcie natrafiają na klamkę. Jakimś cudem udaje mi się za nią pociągnąć. Drzwi auta otwierają się i w twarz uderza mnie gwałtowny październikowy powiew przesycony zapachem lasu. Wychylam się, usiłując stoczyć się na ziemię, lecz pas cały czas mnie trzyma. Mój oszołomiony umysł całkiem o nim zapomniał. Nie żeby miało to jakiegokolwiek znaczenie. Nawet gdybym zdołała go rozpiąć i wydostać się z samochodu, i tak nie dałabym rady uciec. Nie kiedy moje ciało w znacznym stopniu przypomina blok marmuru.

– A ty dokąd? – rzuca Tina, wciągając mnie z powrotem do środka. Kiedy sięga nad moimi udami, żeby zamknąć drzwi, uderzam ją w rękę. Ciosy są tak słabiutkie, że równie dobrze mogłabym przyjacielsko ją poklepywać.

– To nie musi być dla ciebie przykre, mała – mówi. – Chcę tylko poznać prawdę. Co pamiętasz z Pine Cottage?

– Nic – odpowiadam; nareszcie rozwiązał mi się język. Potrafię wręcz wypowiedzieć pełne zdanie: – Niczego nie pamiętam.

– Stale to powtarzasz. Ale ja ci nie wierzę. Lisa wszystko zapamiętała. Opisała to w swojej książce. Podobnie Sam. Opowiedziała dziennikarce całą historię, ze

szczegółami.

Mój umysł zaczyna się rozpędzać, usta idą w jego ślady.

– Jak długo się pod nią podszywałaś?

– Niezbyt długo. Trochę ponad miesiąc. Jak tylko się zorientowałam, że uchodzi mi to płazem.

– Po co?

– Bo musiałam się dowiedzieć, ile *naprawdę* wiesz, Quincy – wyjaśnia. – Po tych wszystkich latach musiałam poznać prawdę. Ale potrzebowałam pomocy. Ani ty, ani Lisa w zwykłych okolicznościach nie zaszczyciłybyście mnie rozmową, postanowiłam więc udawać Sam. Wiedziałam, że to ryzykowne i może się nie udać. Wiedziałam też, że was zaintryguję. Zwłaszcza Lisę. Zrobiła wszystko, co mogła, żeby zdobyć dla mnie jak najwięcej informacji o Pine Cottage. Powiedziałam jej, że to ci pomoże. Że odzyskanie pamięci przyspieszy twój powrót do normalności. Przez kilka dni to kupowała, dopiero później zaczęła mieć wątpliwości.

– Jednak nie dałaś za wygraną – zauważam. – Zadzwoiłaś do mojej matki.

Tina nie wydaje się zaskoczona, że o tym wiem.

– Tak, jak tylko zrozumiałam, że Lisa nic więcej nie zrobi. Zresztą niedługo potem mnie wykopała.

– Odkryła, kim *naprawdę* jesteś – zgaduję. Całe to gadanie dodaje mi sił. Czuję pulsującą wewnątrz ciała energię. Ręce są już lżejsze, podobnie jak nogi. Mogę mówić, nie zastanawiając się nad tym, co robię.

– Pogrzebała w przeszłości i znalazła moje prawo jazdy.

– Dlatego ją zabiłaś?

Tina uderza pięścią w kierownicę, tak mocno, że cały samochód się trzęsie.

– Nie zabiłam jej, Quincy! Na litość boską, lubiłam ją! Kiedy poznałam prawdę, czułam się potwornie.

– Mimo to postanowiłaś do mnie przyjechać.

– Niewiele brakowało, żebym zrezygnowała. Wydawało mi się to kiepskim pomysłem. – Wybucha śmiechem, ironicznym i całkowicie niestosownym. – Jak widać miałam rację.

– Czego chcesz?

– Informacji.

– Na temat?

– Joe Hannena – odpowiada Tina.

To imię i nazwisko są niczym błyskawica, która ostatecznie mnie rozbudza. Oczy otwierają się szeroko, na rzęsach drży różowo-pomarańczowa poświata. Zachód słońca. Błady promień światła pada na deskę rozdzielczą i odbija się od czegoś, co Tina tam umieściła.

Nóż. Z mojej kuchni.

– Nawet nie próbuj po niego sięgać – ostrzega Tina. – Gwarantuję ci, że jestem szybsza.

Przenoszę spojrzenie z noża na przednią szybę, noszącą ślady wycieraczek i plam po mokrych liściach. Przez warstwę brudu dostrzegam drzewa, zwirowy podjazd

i zrujnowaną chatę z powybijanymi oknami po obu stronach porośniętych mchem drzwi.

– Nie – szepczę, zaciskając powieki. – Nie, nie, nie!

Zaprzeczam raz za razem w nadziei, że jeśli powtórzę to wystarczająco wiele razy, wszystko okaże się nieprawdą.

Koszmarem, z którego zaraz się obudzę.

Ale to nie koszmar, tylko rzeczywistość, co stwierdzam, otwierając ponownie oczy.

Tina przywiozła mnie do Pine Cottage.



Czas nie obszedł się łaskawie z budynkiem, zapadniętym na skutek zaniedbania i nieubłaganego procesu butwienia drewna. Bardziej niż dzieło rąk ludzkich przypomina teraz coś ohydneho, wyrosłego na leśnym podłożu. Na przykład trującego grzyba. Gruba warstwa liści pokrywa dach i otacza przechylony komin z polnych kamieni, który sterczy w górę jak zepsuty ząb. Zewnętrzne ściany chaty przybrały barwę spłowiałej szarości. Pokryły je liszczaje mchu, w zagłębieniach drewna tkwią uschnięte samosiejki. Tabliczka nad drzwiami jeszcze się trzyma, chociaż jeden z podtrzymujących ją gwoździ przerdzewiał i napis wisi krzywo.

– Nie wejść do środka! – Głos mam piskliwy, z każdego słowa przebija histeria. – Nie zmusisz mnie, żebym tam weszła!

– Nie musisz – stwierdza Tina, znacznie spokojniejsza ode mnie. – Po prostu powiedz mi prawdę.

– Powiedziałam ci wszystko, co wiem!

Odwraca się ku mnie, z łokciem na kierownicy.

– Quinn, nikt nie wierzy w tę twoją utratę pamięci. Czytałam stenogram przesłuchania. Już tamci gliniarze uważali, że kłamiesz.

– Coop mi wierzy – odpowiadam.

– Tylko dlatego, że chciał cię przelecieć.

– Błagam cię, uwierz mi, kiedy mówię, że niczego nie pamiętam! Przysięgam na Boga, że to prawda!

Tina kręci głową i wzdycha, po czym otwiera drzwi auta, mówiąc:

– W takim razie musimy wejść do środka.

Zaczynam drżeć na całym ciele. W moich żyłach buzuje adrenalina. Zerkam na leżący na desce rozdzielczej nóż i sięgam po niego. Tina robi to samo i wyrywa go z mojej zaciśniętej dłoni.

Faktycznie jest ode mnie szybsza.

Opcja numer dwa – kluczyki. Wyciągam rękę po plastikowy breloczek. Tina i tym razem mnie uprzedza. Wyrywa kluczyki ze stacyjki i wraz z nożem wynosi poza samochód.

– Zaraz wracam! – woła. – Tylko nie próbuj uciekać, bo daleko nie zajdziesz.

Rusza w stronę chaty, zostawiając mnie samą w wozie, rozpaczliwie usiłującą obmyślić jakiś plan. Wbijam kciuk w klamrę na swoim biodrze i pas bezpieczeństwa rozpina się z trzaskiem. Następnie przetrząsam kieszenie w poszukiwaniu komórki.

Zniknęła.

Tina ją zabrała.

Na szczęście mam zapasową. Jej wspomnienie wiruje w moim odurzonym prozkami umyśle niczym roztańczony derwisz. Wsuwam dłoń za dekolt bluzki i wymacuję palcami skradziony iPhone, który nadal tkwi bezpiecznie pod ramięczkiem mojego stanika.

Przez przednią szybę widzę Tinę przed drzwiami chaty. Stoi dokładnie pod

przekrzywioną tabliczką z nazwą „Pine Cottage” i szarpiąc za klamkę, usiłuje dostać się do środka. Kiedy to nic nie daje, napiera na drzwi całym ciałem, wbijając bark w drewno.

Uruchamiam aparat i wstrzymując oddech, sprawdzam poziom baterii. Jest prawie rozładowana, na domiar złego iPhone ledwo łapie zasięg. Pojedyncza kreska pojawia się i znika w krótkich, równych interwałach. Oceniam, że mam szansę wykonać najwyżej jeden telefon.

Oby.

Nie ma sensu dzwonić na policję. Tina usłyszy mój głos i może mi odebrać komórkę. Albo zrobić coś jeszcze gorszego. Nie mogę ryzykować, nawet jeśli wszystko mi mówi, że przed najgorszym i tak nie ucieknę.

Pozostaje wysłanie wiadomości. A to znaczy, że mam do dyspozycji wyłącznie Coopa. Ponieważ telefon nie należy do mnie, nie rozpozna numeru, co zważywszy na wydarzenia minionej nocy może zadziałać na moją korzyść.

Raz jeszcze zerkam w stronę chaty i widzę, że Tina dalej mociuje się z drzwiami. To moja jedyna szansa.

Błyskawicznie esemesuję do Coopa, wyławiając jego numer z mglistych odmętów pamięci. Moje palce śmigają po wyświetlaczu szybko rozładowującej się komórki.

*Tu Quinn, Sam więzi mnie w Pine Cottage, pomocy.*

Naciskam „wyślij” i rozlega się krótki sygnał potwierdzający, że wiadomość jest w drodze. Chwilę później wyświetlacz ciemnieje – bateria wyzionęła ducha. Chowam telefon do kieszeni.

Tinie udało się w końcu sforsować drzwi. Stają otworem, ukazując wnętrze ciemne niczym cuchnąca paszcza jakiegoś potwora, gotowa pożreć mnie w całości. Reflektory samochodu świecą wprost na wejście. Jasne snopy światła przecinają szybko gęstniejący zmierzch i padają na widoczny za progiem skrawek podłogi; zakurzone deski skąpane są w blasku.

Wystarczy jedno spojrzenie w głąb chaty, aby dławiąca moje płuca panika wzrosła w trójnasób. Zupełnie jakby szkło wbijało się w gąbczastą tkankę, odcinając dopływ powietrza. Na widok wracającej Tyny nie mam innego wyjścia, jak tylko uciekać.

Niestety nie potrafię.

Utrzymanie się na nogach to jednak nie to samo co siedzenie. Teraz, gdy wydostałam się wreszcie z samochodu, znów odczuwam działanie leków i odurzona tracę równowagę. Chwieję się na boki. Upadek wydaje się nieuchronny. Lecz Tina jest już przy mnie i podtrzymuje moje słabnące ciało. Nóż gwałtownie zmienia położenie, dotyka mojej szyi, skrobie ostrzem skórę.

– Przykro mi, mała – rozlega się głos Tyny. – Już się z tego nie wywiniesz.

Wlecze mnie w stronę chaty, chociaż walczę, aby wyrwać się z jej uścisku. Wbijam w żwir obcasy, lecz to niczego nie zmienia; jedynym efektem moich działań są bliźniacze koleiny, dowód desperackich prób stawiania oporu. Tina ramieniem blokuje moją rękę – tę, w której trzymam nóż. Nie widzę go, ale zdecydowanie czuję. Ilekroć otwieram usta do krzyku – czyli często – zahaczam podbródkiem o rękojęść.

Kiedy nie krzyczę, usiłuję wyperswadować Tinie, cokolwiek zamierza zrobić.

– Nie możesz – dyszę, plując śliną. – Jesteś taka jak ja. Jesteś Ocalałą.

Tina nie odpowiada, po prostu ciągnie mnie do drzwi chaty oddalonych od nas o niecałe dziesięć metrów.

– Ojczym cię krzywdził, prawda? Dlatego go zabiłaś?

– Coś w tym stylu – przyznaje Tina.

Jej uścisk słabnie. Ledwo zauważalnie, ale jednak. Na tyle, abym zyskała pewność, że coś do niej dociera.

– Wysłali cię do Blackthorn – mówię – chociaż nie byłaś wariatką. Tylko się przed nim broniłaś. Od tamtej pory starasz się to robić. Bronisz kobiety. Krzywdzisz tych, którzy je krzywdzą.

– Przestań gadać – rzuca Tina.

Nie przestaję. Nie mogę.

– W Blackthorn poznałaś Jego.

Nie mówię już o Earlu Potashu. Tina zdaje sobie z tego sprawę, bo odpowiada:

– *On* miał imię, Quincy.

– Byliście ze sobą blisko? Był twoim chłopakiem?

– Przyjacielem – mówi Tina. – Jedyńm, jakiego, kurwa, miałam w całym swoim życiu.

Przestaje mnie ciągnąć i zacieśnia uścisk. Nóż wrzyna się w ciało pod moją brodą. Mam ochotę przełknąć ślinę, ale się powstrzymuję w obawie, że ostrze przebije skórę.

– Wymów jego imię – rozkazuje. – Musisz je wymówić, Quincy.

– Nie mogę – jęczę. – Proszę, nie zmuszaj mnie!

– Możesz. I zrobisz to.

– Błagam. – Wydobywam z siebie ledwo słyszalny szept. – Przestań, proszę.

– Wymów to cholerne imię!

Wbrew swojej woli przełykam ślinę. Ruch w gardle sprawia, że ostrze noża wciska się głębiej w szyję. Czuję ostre pieczenie, jak przy oparzeniu. I gorące pulsowanie. Z oczu tryskają mi łzy.

– Joe. Joe Hannen.

W ślad za tym wzbiera fala wymiotów. Tina trzyma nóż tam, gdzie wcześniej, ja tymczasem pozbywam się całej zawartości żołądka: kawy, napoju winogronowego i fragmentów tabletek, które nie zdążyły się rozpuścić i utworować sobie drogi do mojego krwiobiegu.

Po wszystkim wcale nie czuję się lepiej. Nie licząc ostrza przy szyi, zaledwie kilka kroków dzieli mnie od Pine Cottage. Nadal mnie mdli i kręci mi się w głowie. A przede wszystkim ogarnia mnie skrajne wyczerpanie – jestem jak sparaliżowana.

Tina ponownie pcha mnie w kierunku chaty, a ja nie protestuję. Wola walki całkiem mnie opuściła. Mogę jedynie płakać. Z brody ściekają mi nitki wymiocin.

– Dlaczego? – pytam.

Niepotrzebnie. Już wiem dlaczego. Tina była tu wtedy w nocy. Razem z Nim. Pomogła mu zamordować Janelle i pozostałych. Tak jak pomogła mu zabić tamtych biwakowiczów w lesie. I jak później zabiła Lisę, mimo że się tego wypiera.

– Muszę wiedzieć, ile pamiętasz – odpowiada Tina.

– Ale *dlaczego?*

Bo to pomoże jej zdecydować, czy także powinnam zginąć. Jak Lisa.

Jesteśmy już przy drzwiach, przy tej zdradliwej paszczy. Ze środka wionie chłodem. Delikatnym i drżącym jak szept.

Zaczynam krzyczeć. Z przepalonego żółcią gardła wybucha paniczny wrzask.

– Nie! Błagam, nie!

Wolną ręką chwytam za futrynę, wbijam w drewno paznokcie. Tina szarpie mnie gwałtownie i futryna trzaska pod moimi palcami. Wypuszczam oderwany kawałek, nie przestając krzyczeć ile sił w płucach.

Pine Cottage wita mnie w swoich progach.

Znalazłszy się w środku, milknę.

Nie chcę, aby Pine Cottage wiedziała, że tutaj jestem.

Tina wreszcie mnie puszcza i mocno popycha naprzód. Potykam się i wpadam do salonu, ślizgając się na przegniłych deskach. Wewnątrz panuje błogosławiony mrok. Brudne szyby nie przepuszczają z zewnątrz większości słabnącego z każdą chwilą światła. Przez otwarte drzwi wlewa się żółty blask reflektorów samochodowych, malując na podłodze prostokąt blasku. W samym jego centrum tkwi cień Tiny. Z ramionami skrzyżowanymi na piersi blokuje mi drogę ucieczki.

– Coś sobie przypominasz? – pyta.

Rozglądam się; ciekawość miesza się we mnie z przerażeniem. Ściany chaty znaczą ciemne, wilgotne zacieki. Może to woda, a może krew. Staram się nie patrzeć na nie. Na suficie dostrzegam kolejne plamy, tym razem okrągłe. To z całą pewnością ślady zalania.

Wśród krokwi pełno jest ptasich gniazd i pajęczyn. Całe fragmenty podłogi pokrywają ptasie odchody. W kącie leży wysuszona na wiór zdechła mysz.

Wnętrze zostało całkowicie ogołoczone, a rustykalne meble wywiezione i przy odrobinie szczęścia spalone. Dzięki temu pomieszczenie wydaje się większe, w przeciwieństwie do kominka, który okazuje się mniejszy, niż pamiętam. Jego widok przywodzi mi na myśl klęczących na podłodze Craiga i Rodneya, dwóch chłopców usiłujących odgrywać twardzieli, manipulujących przy rozpałce i zapałkach.

Inne obrazy napływają krótkimi, urywanymi seriami. Tak jakbym przerzucała kanały w telewizorze i zatrzymując się przy każdym na sekundę, rozpoznawała migawki oglądanych kiedyś filmów.

Oto Janelle, tańcząca boso na środku pokoju, tak długo podśpiewująca do wtóru uwielbianej przez nas piosenki, aż nikt już nie był w stanie jej słuchać.

Oto Betz i Amy przygotowujące kurczaka, sprzeczące się, a potem wybuchające śmiechem.

No i On. Gapi się na mnie z drugiego końca pokoju. Brudne szkła okularów nie pozwalają dostrzec wyrazu oczu. Wygląda, jakby wiedział, co się między nami wydarzy.

– Nic – odpowiadam. Puste ściany zwielokrotniają brzmienie mojego głosu. – Nadal nic nie pamiętam.

Tina rusza spod drzwi i jednym szarpnięciem stawia mnie na nogi.

– Rozejrzyjmy się.

Zaciąga mnie do aneksu kuchennego, po którym została pusta wydmuszka. Kuchenkę zdemontowano; tam, gdzie stała, ciemnieje zasłany liśćmi, ziemią i smugami kurzu kwadrat podłogi. Zniknęły także drzwiczki szafek. Widoczne puste półki usiane są mysimi odchodami. Tylko zlew pozostał tam, gdzie był, przerdzewiały na wylot w czterech różnych miejscach. Chwytam jego krawędź, żeby się nie przewrócić. Nogi wciąż odmawiają mi posłuszeństwa. Prawie ich nie czuję, zupełnie jakbym unosiła się na wodzie.

– Nadal nic? – dopytuje się Tina.

– Nic.

Pora na korytarz. Tina idzie przodem, jej palce bezlitośnie ściskają mi ramię jak imadło. Ona tupie, ja płynę.

Zatrzymujemy się w drzwiach pokoju z piętrowym łóżkiem. To sypialnia Betz – pusta, jeśli nie liczyć porzuconej na środku szarej szmaty. To pomieszczenie nie budzi we mnie żadnych wspomnień. Przed dzisiejszym wieczorem nigdy nie przekroczyłam jego progu.

Ponieważ się nie odzywam, Tina ciągnie mnie do pokoju, który miałam dzielić z Janelle. Tak jak w akademiku. Ostało się w nim tylko jedno odarte z materaca łóżko. Odsunięte od ściany prezentuje przeżartą rdzą ramę.

Tutaj wspomnienia są znacznie żywsze. Myślę o sobie i Janelle, mierzących kiecki i gadających o seksie. Wszystko potoczyłoby się inaczej, gdybym nie założyła tamtej białej sukienki, którą mi pożyczyła. I gdybym uparła się spędzić noc tutaj, zamiast w sypialni w głębi korytarza.

Tina obrzuca mnie czujnym spojrzeniem.

– I co?

– Nic. – Zaczynam płakać. To dla mnie zbyt wiele: powrót tutaj, przeżywanie tego wszystkiego na nowo.

Tina nie traci czasu i wciąga mnie do pokoju po drugiej stronie korytarza. Łóżko wodne naturalnie zniknęło. Podobnie jak reszta wyposażenia. W ogólnej pustce jedynym wartym uwagi szczegółem staje się spory fragment pociemniałej, przegniłej podłogi. Ciągnie się aż do drzwi i dalej, pod naszymi stopami, przez całą szerokość korytarza, do ostatniej sypialni.

Mojej sypialni.

Waham się na progu, odwlekając moment wejścia. Nie chcę sobie przypominać, co tutaj robiłam. Z Nim. I co uczyniłam później. Pognałam do lasu jak wariatka, ściskając w rękę nóż. A gdy oprzytomniałam, porzuciłam go na ścieżce. Równie dobrze mogłabym włożyć Mu go do ręki.

To wszystko moja wina.

On i Tina mogli ich zamordować, lecz cała odpowiedzialność spada na mnie.

Nie zabił mnie jednak, chociaż miał okazję. Zadbał, abym przeżyła, zadając mi tylko niegroźne rany, które wzbudziły taką podejrzliwość Cole'a i Freemonta. Oszczędził mnie przez wzgląd na to, co mi wcześniej zrobił. Na co mu pozwoliłam.

Seks z Nim uratował mi życie.

Teraz to wiem.

Od początku wiedziałam.

Tina dostrzega coś w mojej twarzy. Nerwowy skurcz. Drgnienie.

– Przypomniałaś sobie coś nowego.

– Nie.

Kłamię.

Rzeczywiście pojawiło się coś nowego. Strzęp wspomnienia, którego wcześniej nie było.

Leżę w tym pokoju.

Na podłodze.

Szczeliną pod zamkniętymi drzwiami wlewa się woda, jest coraz bliżej, otacza mnie. Moczy mi włosy, ramiona, całe skręcające się w konwulsjach ciało. Przepęnia mnie ból i strach. Obok ktoś siedzi. W jego urywanym oddechu dźwięczą łzy.

„Wszystko będzie dobrze. Damy sobie radę”.

Zza drzwi dobiega przerażający świst. Chlupot kroków. Są tuż, tuż.

Kolejne obrazy. Krótkie migawki. Ktoś wali do drzwi. Szarpie klamką. Nagle – trzask. Drzwi otwierają się, z hukiem uderzają o ścianę. Światło księżyca lśni na ostrzu noża, połyskującym czerwienią.

Krzyczę.

Wtedy.

Teraz.

Oba krzyki rezonują ze sobą, nie wiem sama, który należy do teraźniejszości, a który do przeszłości. Kiedy ktoś mnie chwyta, zaczynam wrzeszczeć i kopać. Walczę, nie wiedząc, kto to jest ani co się ze mną dzieje.

– Quincy. – Przez zgiełk i chaos przebija głos Tiny. – Quincy, o co chodzi?

Podnoszę głowę i patrzę na nią. Wiem już, gdzie jestem i z kim. Nóż w ręku Tiny przypomina mi, że nie mogę jej zawieść.

– Coś sobie przypomniałam – mówię.

Szczegóły.

Nareszcie.

We wspomnieniach balansuję na granicy świadomości. Oczy otwierają się i zamykają, jakbym znajdowała się w zamkniętym pokoju, a ktoś zapalał i gasił w nim światło. Przewracam się na plecy w nadziei, że dzięki temu rany zadane w bark będą mniej bolesne, ale to nic nie daje. Gwiazdy nade mną migoczą i wirują, słyszę dobiegające z tarasu krzyki oraz tumult, gdy tamci w panice tłoczą się przy drzwiach.

„A co z Quinn? – To może być Amy, głos ma płaczący. – Co z nią?”

„Nie żyje”.

Znam ten głos. Na sto procent należy do Craiga.

Drzwi na taras zamykają się z trzaskiem. Zgrzyta zamek.

Chcę spojrzeć, ale nie mogę. Gdy próbuję odwrócić głowę, bark rozdziera nieznosny ból. Coś okropnego, jakbym cała płonęła. Do tego ta krew. Wszędzie jej pełno. Tryska w nierównym rytmie mojego ogarniętego przerażeniem serca.

On zbliża się po trawie do chaty, szron chrzęści pod podeszwami Jego butów. Gdy dociera do tarasu, suchy chrzęst zmienia się w skrzypienie drewna. Ktoś wewnątrz Pine Cottage krzyczy, lecz szyba w oknie tłumi głos.

Rozlega się brzęk tłuczonego szkła.

A potem zgrzyt zamka, skrzypienie otwieranych drzwi, rozpaczliwe krzyki ludzi uciekających w głąb chaty. Stopniowo cichną i słychać już tylko pojedynczy krzyk. To znów Amy. Jej wrzask dobiega przez otwarte drzwi na taras. W pewnym momencie gwałtownie się urywa. Ze środka dobiega potworne rżenie.

Amy milknie na dobre.

Z jękiem zamykam oczy.

Światło znowu gaśnie.

Cuci mnie silne szarpnięcie. Czyjeś dłonie chwytają mnie za ramiona i dźwigają do góry. Ruch sprawia, że ból w rannym barku ponownie się nasila. Krzyczę i zostaję natychmiast uciszona.

„Ciii” – szepcze ktoś.

Otwieram oczy. Po jednej swojej stronie dostrzegam Betz, po drugiej Rodneya. Betz ma na rękach ślady krwi. Wszystko, czego dotyka, zabarwia się na czerwono. Wkrótce mam na sobie krwawe odciski jej dłoni. Rodney także jest zakrwawiony, szkarłatne plamy znaczą jego twarz oraz bark. Na przedramieniu ma opaskę uciskową przesiąkniętą lepka posoką.

„Chodź z nami, Quinn – szepcze. – Wynosimy się stąd”.

Zarzucają sobie moje ręce na ramiona, nie dbając o zadawany mi ból. Mam ochotę wrzeszczeć wniebogłosy, ale posłusznie tłumię krzyk, dławię go w gardle.

Kiedy odchodzimy, przez chwilę widzę Janelle leżącą tam, gdzie ją zostawiłam. Spoczywa na boku, z bezwładnie zwisającą głową i szeroko otwartymi oczami. Jedną rękę ma wyprostowaną przed sobą. Wyciąga ją przez zbryzganą krwią trawę, jakby



blała, bym jej nie porzucała.

Nie zabieramy jej ze sobą i we trójkę ruszamy w stronę chaty. Betz i Rodney odwalają całą robotę, ja po prostu się za nimi wlokę, osłabiona utratą krwi i ogłuszona cierpieniem. Tak bezradna, że Rodney jest zmuszony wnieść mnie po schodkach na taras.

Stawiają mnie na deskach, szepcząc do siebie nad moją głową.

„Jest tam?”

„Nie widzę go”.

„Dokąd poszedł?”

„Nie wiem”.

Milkną i nasłuchują. Ja też wytężam słuch, lecz rejestruję tylko odgłosy nocy – cykanie ostatnich w tym sezonie świerszczy, trzask nagich gałęzi, upiorny szelest spadających liści. Poza tym panuje cisza.

Ponownie ruszamy, tym razem szybciej. Przekraczamy próg tarasu – pod naszymi stopami chrzęści rozbite szkło – i wpadamy pośpiesznie do chaty.

Amy jest tuż za drzwiami, siedzi oparta o ścianę jak porzucona lalka. Nawet ją przypomina. Oczy ma puste, jak z plastiku, ręce opuszczone bezwładnie po bokach.

„Nie patrz – szepcze Rodney; głos mu się załamuje. – To się nie dzieje naprawdę. Nic z tego nie jest prawdziwe”.

Chcę mu wierzyć. W istocie prawie mi się udaje. Zaraz jednak wchodzimy w kałużę krwi; ślizgam się w niej, a z moich ust wydobywa się głośny jęk. Rodney zakrywa mi usta ręką i kręci głową.

Znowu się przemieszczamy. Jesteśmy w salonie i kierujemy się ku oknu przy drzwiach wejściowych.

„Dokąd idziemy?” – szepczę.

Rodney odszeptuje: „Jak najdalej stąd”.

Stajemy we troje przy oknie i czekamy. Na co, tego nie wiem. Aż naraz wszystko staje się jasne.

Przed domem jest Craig. Skulony biegnie w stronę SUV-a, którym nas tu przywiózł. I w którym są wszystkie nasze komórki. Powoli otwiera drzwiczki. Ręce mu drżą. Cofa się gwałtownie, gdy błyska światółko w kabinie. Chwilę potem jest już w środku i odpala silnik.

„Teraz!” – woła Rodney.

Betz jednym szarpnięciem otwiera drzwi chaty. Wypadamy na zewnątrz, prosto w światło reflektorów SUV-a. Nasze cienie ogromnieją na frontowej ścianie Pine Cottage. Odwracam się, żeby na nie spojrzeć – trzy olbrzymie sylwetki, ciemne i groźne.

W tej samej chwili dołącza do nich czwarta. W rękę trzyma nóż, jego cień na ścianie ma niemal metr długości.

Czuję nagle szarpnięcie; ktoś ciągnie mnie z powrotem do chaty. Ktoś inny krzyczy. Betz. Może nawet ja sama.

Wewnątrz Rodney zatrzaskuje drzwi i dosuwa do nich podniszczony fotel. Razem z Betz stajemy w oknie. Reflektory SUV-a omiatają nas, gdy Craig zawraca samochód.

„Odjeżdża! – piszczy Betz. – Zostawia nas!”

Maszynie udaje się pokonać około trzech metrów, po czym uderza w rosnący obok

podjazdu wielki klon. Na przednią szybę sypie się deszcz liści. Z wgniecionej maskownicy z sykiem bucha dym. Silnik krztusi się i gaśnie.

W środku Craig leży na kierownicy, z podbródkiem wciśniętym w klakson. Nocną ciszę przecina jednostajne trąbienie.

Cień z nożem w ułamku sekundy dopada unieruchomionego wozu, jednym szarpnięciem otwiera drzwiczki i wyciąga Craiga z kabiny.

Dźwięk klaksonu ustaje i znów zapada cisza.

Pomimo zderzenia z kierownicą Craig nadal jest przytomny. Nie wydaje jednak żadnego odgłosu, gdy tamten zmusza go, by ukląkł przy samochodzie. Po prostu gapi się przed siebie, w oczach ma przerażenie.

Odwracam się od okna. Czuję zawroty głowy. Opieram się o ścianę i zsuwam po niej w dół, a podłoga wychodzi mi na spotkanie. Zanim wszystko znowu spowije ciemność, rozlega się krzyk Craiga.

Później.

Nie wiem, ile czasu minęło.

Leżę na podłodze jednej z sypialni. Mojej sypialni. Poznają zdobiące ściany ręcznie tkane narzuty. Spod drzwi sączy się woda. Nie wiem, skąd się bierze. Z pękniętej rury? A może to powódź?

Wiem jedynie, że jestem mokra, krwawię i boję się jak jeszcze nigdy w życiu. Gdy z moich ust dobywa się łkanie, Rodney mówi: „Wszystko będzie dobrze. Damy sobie radę”.

Przykucnął obok mnie, ramiona okrył ściągniętą ze ściany narzutą. We włosach ma krew.

„Gdzie Betz?” – szepczę.

Nie odpowiada.

Za drzwiami panuje niczym niezmacona cisza. Nawet świerszcze umilkły. Nie słychać też trzeszczenia drzew ani szelestu liści. Nagle na korytarzu rozlega się jakiś dźwięk.

Odgłos kroków.

Powolnych, ostrożnych kroków. Chlupocze rozlana woda. Każdy taki chlupot kojarzy mi się z mopem mojej matki, śmigającym po kuchennej podłodze.

Chlup, chlup.

Chlup, chlup.

Kroki zatrzymują się tuż za drzwiami.

Patrzę na Rodneya; w oczach mam pytanie, którego nie ośmielam się głośno zadać: „Zamknąłeś drzwi na klucz?”.

Kiwa potakująco głową. Ktoś szarpie za klamkę.

Potem coś uderza o drzwi, które prawie wylatują z futryny. Drewno dygocze pod naciskiem. Strach podrywa mnie na nogi w momencie, gdy napastnik przypuszcza kolejne natarcie. Drzwi stają otworem, a ja widzę lśniący w mroku nóż.

Krzyczę.

Zamykam oczy.

Nóż wbija się w mój brzuch. Wypełnia mnie całą. To jest jak gwałt zadany przy

pomocy stalowego ostrza. Gdy czyjaś ręka wyciąga je ze mnie, ze świstem wciągam powietrze przez zęby i osuwam się na podłogę.

„Quincy, nie!”

Rodney rzuca się naprzód i zasłania mnie własnym ciałem. Nie otwieram oczu. Nie potrafię. Światło znowu gaśnie. Mogę jedynie słuchać odgłosów szamotaniny, która przynosi się na korytarz. Rodney stęka, klnie, walczy.

Nagle rozlega się pojedynczy, zduszony skowyt.

A potem – cisza.

Jeszcze później.

Ponownie budzę się w zalanym wodą pokoju. Moim pokoju.

W chacie panuje cisza. Milczą świerszcze, drzewa i liście. Wszystko albo nie żyje, albo uciekło. Wszystko poza mną.

Siadam. Ból rozciętego brzucha wygrywa z tym promieniującym ze zranionego barku. Obie rany krwawią. Sukienkę mam przesiąkniętą wodą i czerwoną posoką. Przeważnie tym drugim. Krew jest gęstsza.

Jakimś cudem udaje mi się stanąć na bosych stopach – pantofle przepadły Bóg wie gdzie. Zmęczone nogi niosą mnie na korytarz. Udaje mi się tam nie przewrócić, nawet na widok martwej Betz w sąsiednim pokoju, leżącej w kałuży wody z przebitego nożem łóżka wodnego.

Rodney leży w głębi korytarza, również martwy. Staram się na niego nie patrzeć, kiedy przechodzę ponad jego ciałem.

„To się nie dzieje naprawdę – szepczę sama do siebie. – Nic z tego nie jest prawdziwe”.

Dostrzegam Go dopiero po wejściu do salonu, gdy stoję przy kominku, dygocząc z zimna i utraty krwi. Tkwi na czworakach obok Amy, niczym pies obwąchujący padlinę, niepewny, czy warto ją pożreć.

Z głębi Jego gardła wydobywają się dziwne dźwięki. Coś jakby cichutkie skomlenie. Pies cierpi.

Zauważa mnie i odwraca głowę w moją stronę. Obok Niego na podłodze leży nóż, czarny od świeżej krwi. Kuca, chwyta go, unosi nad głowę.

„Miałem odejść – mówi, oddychając ciężko – ale usłyszałem krzyki. Wróciłem i zobaczyłem...”

Reszty nie słyszę, bo w tej chwili myślę wyłącznie, żeby stąd uciec. Zalewają mnie panika, ból i wściekłość, mieszają się ze sobą i bulgoczą we mnie niczym składniki jakiejś reakcji chemicznej. Biegnę.

Wypadam na zewnątrz.

I pędzę do lasu.

Ani na moment nie przestaję krzyczeć.

Wspomnienia powracają wszystkie jednocześnie. Niczym poderwane z grobów zombie rzucają się na mnie całą hordą, chwytają odartymi ze skóry palcami. Staram się z nimi walczyć, na próżno. Jestem osaczona, powalona. Każdy kolejny obraz i dźwięk przyprawia mnie o konwulsje. Tak długo trzymałam je na dystans, a teraz wróciły i wdarły się do mojego umysłu, który odtwarza je raz za razem, jak zapętłony film.

Amy i jej martwe oczy lalki.

Wywlekany z samochodu Craig.

Betz, Rodney oraz ich niemal namacalna panika i desperacja.

Widzieli więcję ode mnie. Całą tę potworność.

Ja jednak widziałam coś, czego oni nie mogli zobaczyć: Jego. Czołgającego się wokół Amy, skomlącego, chwytającego i unoszącego w górę nóż.

Ten obraz powtarza się najczęściej. Jest w nim coś dziwnego, czego do końca nie pojmuję.

Wyrwawszy się z uchwytu Tiny, biegnę w głąb korytarza. Nieustępliwa siła wspomnień mobilizuje osłabłe mięśnie nóg. Oddech mam płytki, serce łomocze w piersi.

Nie zatrzymuję się, dopóki nie znajdę się znowu w salonie. Tam, gdzie zaczęłyśmy. Stoję dokładnie tam, gdzie stałam dziesięć lat wcześniej, wpatrzona w miejsce, gdzie widziałam Go po raz ostatni. Mam niemal wrażenie, że nadal tu jest, od dekady zaklęty w czasie i przestrzeni. Widzę uniesiony nóż w Jego dłoni. Brudne szkła Jego okularów. Ukryte za nimi, okrągłe jak księżyc w pełni oczy wyrażają dezorientację i strach.

Strach przede mną.

On bał się *mnie*.

Myślał, że zrobię mu krzywdę. Że to ja zamordowałam pozostałych.

Padam na kolana z głośnym westchnieniem, wciągam do płuc zakurzone powietrze, krztuszę się.

– To nie on – mówię, wstrząsana nagłym napadem kaszlu. – On ich nie zabił.

Tina dopada mnie. Z jej ręki zwisa zapomniany nóż. Klęka przede mną i z całej siły zaciska dłonie na moich ramionach. Tak mocno, aż boli.

– Jesteś pewna? – Jej głos jest pełen nadziei. Drżącej, nieśmiałej, budzącej litość nadziei. – Powiedz, że jesteś tego pewna.

– Jestem pewna.

Teraz rozumiem już, dlaczego się tutaj znalazłyśmy. Dlaczego Tina odszukała Lisę oraz mnie. Chciała, żebym sobie wszystko przypomniała, chciała dowieść niewinności Joego, raz na zawsze potwierdzić, że nikogo nie skrzywdził.

Zrobiła to wszystko dla niego.

Dla Joego.

– Chciałam z nim pójść – mówi. – Chciałam, żebyśmy uciekli stamtąd razem. Ale zabronił mi. Chociaż poszłam za nim korytarzem aż do wyważonych drzwi. Obiecał, że po mnie wróci. Zostałam więc. Potem usłyszałam, że nie żyje. Że zabił jakichś studentów. Wiedziałam jednak, że to nieprawda.

– Nie miałam pojęcia – mamroczę. – Naprawdę sądziłam, że to był on.

– Więc kto to zrobił? Kto ich wymordował?

Niedowierzanie wzbiera mi w gardle niczym fala zółci. Kaszlę, próbując się jej pozbyć.

– Ktoś inny.

– Ty? – pyta. – To byłaś ty, Quinn?

Bóg mi świadkiem, że ma pełne prawo tak sądzić. Tyle rzeczy zapomniałam. A ona przecież widziała mnie w napadzie furii. Taki był ostatecznie jej cel: sprowokować mnie, rozwścieczyć, przekonać się, do czego jestem zdolna. Nie zawiodłam jej.

– Nie – odpowiadam. – Przysięgam, że to nie ja.

– Więc kto?

Bezradnie kręcę głową. Jestem wykończona, brakuje mi tchu.

– Nie wiem.

Ale wiem. Przynajmniej tak mi się wydaje. Powraca kolejne wspomnienie. Cholerny maruder. Wspomnienie mnie samej biegnącej przez las, spostrzegającej coś przed sobą.

*Kogoś.*

– Coś ci się przypomniało – zgaduje Tina.

Przytakuję. Zamykam oczy. Myślę. Tak intensywnie, że głowa pulsuje mi z wysiłku. A potem nagle to widzę, równie wyraźnie jak w dniu, gdy wszystko się wydarzyło. Biegnę przez las, krzycząc, uderzenie gałęzi w twarz prawie mnie nokautuje. Widzę światła samochodu. W ich blasku majaczy sylwetka mężczyzny.

To policjant. Widzę już jego mundur.

Pokryty jest czymś ciemnym i mokrym. W słabym świetle księżyca wygląda jak wymazany olejem silnikowym. Wiem jednak, że to nie olej. Biegnąc ku niemu, mam pewność, że mundur jest nasiąknięty krwią.

Moją. Janelle. Pozostałych.

Ale jestem zbyt przerażona, żeby trzeźwo myśleć. Zwłaszcza że gdzieś za mną, w lesie, jest Joe. Goni mnie. Wciąż czuję na ustach smak jego warg.

Najkrótszą drogą dopadam policjanta, obejmuję go i przyciskam sukienkę do jego munduru.

Krew do krwi.

„Oni nie żyją – bełkocę bez tchu – Wszyscy. A on nadal tam jest”.

Nagle spośród drzew wypada Joe. Policjant wyciąga pistolet i oddaje trzy strzały. Dwa w klatkę piersiową, jeden w głowę. W mojej pamięci są równie ogłuszające jak wtedy w rzeczywistości.

Słyszę czwarty strzał.

Głośniejszy niż tamte.

To z całą pewnością rzeczywistość.

Huk rozbrzmiewa echem w chacie, wprawia w dygot ściany. Kula wpada przez otwarte drzwi frontowe Pine Cottage. Jest potężnym bytem, ma moc wypełnić całe pomieszczenie swoją obecnością.

Coś gorącego bryzga na moją twarz.

Krzyczę przeraźliwie i gwałtownie otwieram oczy, by ujrzeć upadającą na bok Tinę. Wyrzuca rękę za głowę, knykциями uderza o deski podłogi. Nóż wylatuje z jej palców. Pod jej ciałem dostrzegam kałużę krwi, która gwałtownie się powiększa.

Nie porusza się. Nie jestem nawet pewna, czy żyje.

– Tina? – Potrząsam nią. – Tina?

Od progu dobiega jakiś dźwięk. Czyjs ciężki oddech. Podnoszę wzrok i widzę stojącego w drzwiach Coopa. Pomimo ciemności zauważam błysk jego błękitnych oczu, kiedy opuszcza broń.

– Quincy – mówi. Towarzyszy temu skinienie głowy.

Jakżeby inaczej.

W jednej chwili dostrzegam sygnet. Studencki sygnet z czerwonym kamieniem, który nosi zamiast obrączki. Wydaje się jednocześnie obcy i znajomy. Widziałam go tyle razy, że przestałam go zauważać. Traktowałam go jak coś oczywistego, podobnie jak tyle innych rzeczy, jeśli chodzi o Coopa.

Dlatego nie poznałam go, widząc na komodzie Lisy Milner tamtą fotografię. Nie było na niej twarzy Coopa, tylko jego ramię obejmujące Lisę i dłoń z sygnetem, widocznym, a zarazem niewidocznym.

Teraz nie mogę od niego oderwać wzroku. Niczego poza nim nie widzę, może jeszcze rękę, w której Coop trzyma glocka. Chociaż broń jest opuszczona, palec wskazujący wciąż drży na spuście.

– Jesteś ranna? – pyta.

– Nie.

– Dobrze. To bardzo dobrze, Quincy.

Robi krok w moją stronę, jego długie nogi dwa razy szybciej pokonują dzielącą nas odległość. Jeszcze jeden krok i już jest przy nas, staje nade mną i Tiną. A może tylko nade mną. Tina najprawdopodobniej nie żyje. Trudno to stwierdzić.

Coop mocnym kopniakiem posyła spoczywający obok dłoni Tiny nóż w najdalszy kąt pokoju, gdzie znika wśród cieni.

Nie ma sensu uciekać. Coop ciągle nie zdjął palca ze spustu. Wystarczy jeden strzał, aby mnie zlikwidować. Tak jak Tinę. Nie jestem nawet pewna, czy dałabym radę biec. Rozpacz, proszki i ciężar wspomnień o tamtej nocy całkiem mnie sparaliżowały.

– Z początku przez parę ładnych lat zastanawiałem się, ile wiesz – odzywa się Coop. – Kiedy wezwałaś mnie do siebie tamtego dnia w szpitalu, podejrzewałem, że ze mną igrasz. Że chcesz, abym usłyszał, jak mówisz śledczym, że wszystko sobie przypominałaś. O mały włos nie przyszedłem.

– Więc po co się zjawiałeś?

– Bo chyba już wtedy cię kochałem.

Chwieję się lekko, w głowie kręci mi się z obrzydzenia. Gdy za bardzo przechylam się w lewo, Coop zaciska palec na spuście. Zmuszam się, aby tkwić nieruchomo.

– Ile osób było wcześniej? – pytam. – Przed tamtą nocą?

– Trzy.

Żadnego wahania. Uduszona kobieta na poboczu drogi i tamtych dwoje biwakowiczów zadźganych w namiocie. Wspominał o nich artykuł, który znalazłam w domu Lisy. Domyślałam się, że wiedziała, co się z nimi stało. Dlatego musiała umrzeć.

– To choroba – dodaje Coop. – Musisz to zrozumieć, Quincy. Nigdy nie chciałem zabijać.

Zaczynam łkać. Gdy cieknie mi z nosa, nie dbam o to, aby go obetrzeć.

– To dlaczego zabijałeś?

– Spędziłem w tych lasach całe życie. Na wędrówkach, polowaniu, robieniu rzeczy, na które byłem o wiele za młody. Straciłem dziewictwo na tym wielkim głazie na

wzgórzu. – Coop wzdryga się z niesmakiem na samą myśl. – Ze szkolną zdziwą. Była gotowa zrobić to z każdym, nawet ze mną. Po wszystkim zwymiotowałem w krzakach. Chryste, ale się za siebie wstydziłem. Tak bardzo, że miałem ochotę skrócić jej kark na tym głazie, żeby nikomu nie opowiedziała. Powstrzymał mnie wyłącznie lęk przed przyłapaniem.

Kręcę głową, dotykam palcami skroni. Z każdym jego słowem kawałek mojego serca kruszy się i odpada.

– Przestań, proszę.

Lecz Coop mówi dalej, w jego głosie pobrzmiewa ulga, że wreszcie może mi się zwierzyć.

– Nie przestało mnie to jednak ciekawić. Boże, dopomóż mi! Sądziłem, że wojsko wybije mi z głowy te rzeczy, ale nie. Wszystkie okropieństwa, jakich byłem świadkiem, tylko pogorszyły sprawę. Niedługo po powrocie do domu znów byłem w tych lasach. Siedziałem w samochodzie i pozwalałem robić sobie laskę jakiejś kurwie. Myślała, że złapała stopa do Nowego Jorku. Tym razem już się nie bałem. Wojna zabiła we mnie cały lęk. Wreszcie naprawdę to zrobiłem.

Staram się zachowywać neutralny wyraz twarzy. Zmuszam się, aby nie pokazać po sobie strachu i wstrętu, które we mnie narastają. Nie chcę, aby wiedział, co o nim myślę. Nie chcę go rozwścieczyć.

– Przysięgłem sobie, że to się więcej nie powtórzy – ciągnie Coop. – Że pozbyłem się pokusy. Mimo to nadal wracałem w te lasy, zwykle z nożem. Na widok tamtych dwojga w namiocie wiedziałem już, że nie wyzwoliłem się z choroby.

– A teraz?

– Staram się, Quincy. Naprawdę się staram.

– Tamtej nocy się nie starałeś – mówię. Aż mnie trzęsie, żeby wybuchnąć, pokazać mu, jak bardzo go nienawidzę. Nie mam już serca. Rozpadło się na ostre jak nóż odłamki.

– Wystawiałem się na próbę – odpowiada Coop. – Tak to wyglądało. Parkowałem przy drodze i szedłem pieszo do chaty. Zaglądałem w okna. Za każdym razem obawiałem się, że zobaczę coś, co przywoła moją chorobę, a jednocześnie miałem nadzieję, że tak się stanie. Długo nic się nie działo. Aż spotkałem ciebie.

Mam wrażenie, że zaraz zemdleję. Modlę się, aby tak się stało.

– Tego dnia miałem odszukać gówniarza, który nawiał z wariatkova – opowiada. – Zamiast tego krążyłem po okolicy, gotów na kolejną próbę. Nagle zobaczyłem cię w lesie. Z nożem. Przeszłaś tuż obok mnie, na wyciągnięcie ręki. Jednak za bardzo byłaś wściekła, żeby mnie zauważyć. Taka wściekła, Quincy. I tak straszliwie smutna, że mnie to urzekło.

– Nie zamierzałam zrobić tego, o co mnie podejrzewasz – wtrącam z nadzieją, że mi uwierzy. I że sama też pewnego dnia w to uwierzę. – Porzuciłam nóż w lesie.

– Wiem. Widziałem, jak upadł na ziemię. To było wtedy, gdy zjawił się Joe. Odeszłaś, on także, ale nóż został. A ja go podniosłem.

Coop robi następny krok w moją stronę. Jest już tak blisko, że czuję jego zapach. Mieszanie potu i wody po goleniu. Powracają migawki z minionej nocy. On na mnie. We mnie. Pachnie identycznie jak wtedy.

– Nie chciałem, żeby to wszystko się wydarzyło, Quincy. Musisz mi uwierzyć. Po



prostu byłem ciekaw, dokąd biegłaś z tym nożem. I co mogło do tego stopnia rozwścieczyć równie doskonałą istotę. Dotarłem więc do głazu, zobaczyłem ich i już wiedziałem, co cię zdenerwowało. Parzyli się tam jak jakieś ohydne bydłeta. Właśnie tak wyglądali. Jak dwa postępujące, ohydne bydłeta, które trzeba zlikwidować.

Coop kołysze lekko dłonią z pistoletem, zgina i opuszcza łokieć, jakby nie chciało mu się już do mnie mierzyć.

– Ale wtedy twój chłopak zaczął zwiewać – dodaje. – Craig. Tak się nazywał, prawda? Nie mogłem mu pozwolić uciec, Quincy. Po prostu nie mogłem. W chacie byłaś ty i twoi przyjaciele. Wiedziałem, że muszę pozbyć się was wszystkich.

Płacę coraz gwałtowniej. Twarz zalewają mi łzy wstydu, żalu i szoku.

– Dlaczego mnie oszczędziłeś? Zabiłeś pozostałych, więc dlaczego nie mnie?

– Bo od razu dostrzegłem, że jesteś wyjątkowa – odpowiada powoli Coop, jakby po latach wciąż nie mógł się temu nadziwić. – I miałem rację. Szkoda, że nie widziałaś siebie biegnącej wówczas przez las, Quincy. Już wtedy byłaś silna. Co więcej, przybiegłaś do mnie i chciałaś, żebym ci pomógł.

Jego jasne oczy patrzą na mnie z nieskrywanym zachwytem i podziwem.

– Nie miałem prawa tego niszczyć.

– Nawet wiedząc, że kiedyś mogę sobie wszystko przypomnieć?

– Nawet – przyznaje Coop. – Dotarło do mnie, czego właśnie dokonałem. Stworzyłem nową Lisę Milner. Nową Samanthę Boyd.

– Wiedziałaś, kim były.

– Jasne. Przecież jestem gliną. – Coop wzrusza ramionami. – Ocalałe. Silne, niepokorne kobiety. Jedna z nich była moim dziełem. Moim! Uznałem, że to rekompensuje całe zło, którego się wcześniej dopuściłem. I przysiągłem, że nie dopuszczę, aby spotkała cię jakakolwiek krzywda. Sprawię, że odtąd zawsze już będziesz mnie potrzebować. I tak było. Nawet kiedy mogło się wydawać, że się ode mnie odsuwasz.

Z początku nie wiem, o co mu chodzi. Potem jednak przychodzi olśnienie i przygniata mi barki jak gład. Osuwam się jeszcze bardziej na podłogę.

– Tamten list – mamrocze. – Ty go napisałeś.

– Musiałem – stwierdza Coop. – Za bardzo zaczynałaś się ode mnie oddalać.

Ma rację. Tak było. Uruchomienie bloga, decyzja, żeby zamieszkać z Jeffem, wreszcie fakt, że w końcu stałam się kobietą, jaką zawsze pragnęłam być – wszystko to sprawiło, że Coop pojechał do miasteczka Quincy w stanie Illinois i wysłał stamtąd napisany na maszynie anonim z pogrózkami, wiedząc, że w mgnieniu oka do niego przybiegnę. I nie pomylił się.

W moim umyśle rodzi się pewne pytanie, nabiera kształtów niczym rozkwitający pęk. Boję się je zadać, ale nie mam innego wyjścia.

– Co jeszcze zrobiłeś? Po tamtej nocy? Były inne morderstwa?

– Staralem się grzecznie zachowywać – mówi Coop. – Przez większość czasu.

Przechodzi mnie dreszcz: tyle potworności kryje się w tych trzech krótkich słowach.

– Nie było mi lekko, Quincy. Zdarzały się chwile, gdy niemal ulegałem pokusie.

Ale zawsze wtedy myślałem o tobie i udawało mi się jakoś nad sobą zapanować. Nie mogłem ryzykować, że cię stracę. Dzięki tobie zacząłem się pilnować.

– A Lisa? – chcę wiedzieć. – Co z nią?

Coop zwiesza głowę, jakby odczuwał szczerą skruchę.

– To była smutna konieczność.

Musiała coś podejrzewać. Zaczęło się od przyjazdu Tiny, wypytującej o szczegóły masakry w Pine Cottage. Lisa zgodziła się jej pomóc, bo taka właśnie była – przykładła wielką wagę do szczegółów. Po wyjeździe Tiny nie przestała szperać. Natrafiła na artykuły o popełnionych w tamtych lasach morderstwach, napisała kilka e-maili, dodała dwa do dwóch i wyszło jej, że Joe fizycznie nie byłby w stanie wymordować wszystkich w Pine Cottage. A już z pewnością nie dałby rady komuś tak wysokiemu jak Rodney czy wysportowanemu jak Craig. Jedyłą osobą, która tamtej nocy miała dość siły, aby ich obezwładnić, był Coop.

Dlatego napisała do mnie na krótko przed swoją śmiercią. Chciała mnie przed nim ostrzec.

– Znałeś ją, prawda? – upewniam się. – Dlatego wpuściła cię do środka, poczęstowała winem, zaufała ci.

– Nie ufała mi – rzuca Coop. – Nie tamtego wieczoru. Próbowwała mnie sprowokować, żebym się przyznał.

– Ale kiedyś ci ufała.

Coop potwierdza to leciutkim skinieniem głowy.

– Owszem. Przed laty.

– Byliście kochankami?

Kolejne skinienie głową. Ledwie dostrzegalne.

Nie jestem tym zaskoczona. Znów wracam myślami do fotografii w pokoju Lisy. Do tego, jak ramię Coopa swobodnie ją obejmowało – gest świadczący o głębokiej zażyłości.

– Kiedy? – pytam.

– Niedługo po tym, co się tutaj stało. Poprosiłem Nancy, żeby nas ze sobą skontaktowała. Kiedy dotarło do mnie, że stworzyłem Ocalałą, odczułem potrzebę poznania pozostałych. Chciałem się przekonać, czy są równie silne jak ty.

W jego ustach brzmi to bardzo rzeczowo, jakby jego pokręcone rozumowanie było zupełnie logiczne. Jakbym najlepiej ze wszystkich ludzi mogła zrozumieć owo pragnienie porównania nas ze sobą.

– Przyznaję, że Lisa zrobiła na mnie ogromne wrażenie – dodaje. – Bardzo chciała ci pomóc. Nie zliczę, ile razy pytała mnie, jak sobie radzisz i czy czegoś nie potrzebujesz. Przykro mi z powodu tego, co ją spotkało. Jej troska o ciebie, Quincy, była godna podziwu. Szlachetna wręcz. Nie to, co w przypadku Samantha.

Staram się nie pokazać po sobie, jak wstrząsnęły mną jego słowa. Nie zamierzam dawać mu tej satysfakcji. On jednak nie daje się oszukać i uśmiecha się półgębkiem, bardzo z siebie dumny.

– Tak, poznałem Samantha Boyd – potwierdza. – Prawdziwą, nie tę tanią podróbkę.

Ruchem głowy wskazuje leżącą nieruchomo Tinę i zaciska usta. Przez jedną

okropną chwilę spodziewam się, że na nią splunie. Zamykam oczy, żeby na to nie patrzeć.

– Od początku wiedziałeś, że to nie jest Sam?

– Oczywiście – przyznaje. – Jak tylko zobaczyłem w gazecie wasze wspólne zdjęcie. Faktycznie łączy je pewne podobieństwo. Ale to nie mogła być prawdziwa Samantha Boyd, co do tego nie miałem najmniejszych wątpliwości. Nie wiedziałem tylko, co mam z nią zrobić.

Powracam pamięcią do wczorajszego wieczora, gdy po powrocie do domu zastałam ich razem. Przypominam sobie dłoń Coopa spoczywającą na jej szyi. To, co wyglądało na pieśczołę, mogło być przygrywką do czegoś innego. Coop zamierzał zabić Tinę. Może nawet w moim pokoju gościnnym.

– Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

– Nie mogłem. Musiałbym wtedy wspomnieć, że prawdziwa Samantha Boyd nie żyje.

Wydaję z siebie jęk; strach i ból są zbyt silne, aby je dłużej tłumić. Jęczę coraz głośniej, starając się przerwać tok zwierzeń Coopa. I tak za dużo usłyszałam. Wiem już, że zabił także Samanthę Boyd. Wcale nie zapadła się pod ziemię. To on ją tam posłał.

– Dlaczego? – zawodzę.

– Bo nie była taka jak ty, Quincy. Nie zasługiwała, aby wymieniać ją jednym tchem z tobą. Polecałem na to jej zadupie na Florydzie tylko po to, żeby się z nią spotkać. Na miejscu czekała na mnie tłusta słabeuszka, typowa przedstawicielka białej hołoty. Nie tak sobie wyobrażałem Samanthę Boyd. Nie mogłem uwierzyć, że to ta sama dziewczyna, która przeżyła masakrę w motelu. Była potulna, wystraszona i zupełnie do ciebie niepodobna. W dodatku łatwa. Praktycznie sama rozłożyła przede mną nogi. Lisa przynajmniej wykazała pewną powściągliwość.

Nagle wszystkie elementy układanki składają się w jedną całość. Nieistotne z pozoru drobiazgi zaczynają do siebie pasować. Jak nanizane na sznurek koraliki, jedno wydarzenie wiąże się z drugim, domykając krąg.

Coop przespał się z całą naszą trójką.

Z Sam, Lisą i ze mną.

Dwie pierwsze zginęły.

Jestem ostatnią, która pozostała przy życiu.

Nie przestaję płakać. Rozpacz spada na mnie jak pięść, wyciska łzy z oczu.

– Nawet o ciebie nie spytała – ciągnie Coop, jakby to w jakiś sposób usprawiedliwiało jej zabójstwo. – Samancie Boyd, drugiej z Ocalałych, tak śpieszno było zedrzyć ze mnie spodnie, że nie zadała sobie trudu, aby zapytać, jak sobie radzisz.

– A jak sobie radziłam, Coop? – Moje słowa są równie gorzkie jak łzy. – Dobrze?

Opuszcza broń i wsuwa ją ostrożnie do kabury. Przesłupuje nad ciałem Tiny, podchodzi bliżej i klęka obok na podłodze. Jego błękitne oczy patrzą prosto na mnie.

– Radziłaś sobie świetnie.

– A teraz?

Drzę na myśl o tym, że może mnie dotknąć. Nie chcę się dowiedzieć, co to będzie za dotyk.

– Nadal może być wspaniale – odpowiada. – Możesz o wszystkim zapomnieć.

O dzisiejszym dniu. I o tamtej nocy sprzed dziesięciu laty. Raz już zapomniałaś. Znowu możesz to zrobić.

Coś kłuje mnie w nogę. Coś ostrego.

– A jeśli nie potrafię? – pytam.

– Potrafisz. Pomogę ci.

Ryzykuję zerknięcie w bok, na podłogę i zauważam leżący obok scyzoryk, którego ostrze czuję. Ten sam, który wypadł z kieszeni Rocky’ego Ruiza i który zabrała Tina. Teraz popycha go w moją stronę – jakimś cudem nadal żyje i wbija we mnie spojrzenie nabiegłego krwią oka.

Z rękawa jej kurtki łypie tatuaż. Chociaż jest odwrócony, wyraźnie go odczytuję.

*PRZETRWAŁAM*

– Możemy gdzieś wyjechać – mówi Coop. – Tylko we dwoje. Zacząć nowe życie razem.

Wydaje się przy tym taki szczery. Jakby sam niemal wierzył, że to możliwe. Ale tak nie jest. Oboje o tym wiemy.

Mimo to ciągnę tę grę. Kiwam głową. Najpierw z wolna, potem szybciej, gdy Coop nachyla się i dotyka mojego policzka.

– Dobrze – zgadzam się. – Tak zrobimy.

Potakuję, dopóki mnie nie pocałuje. Najpierw w czoło, potem w obydwie policzki. Gdy jego wargi dotykają moich, siłą woli zmuszam się, żeby nie zwymiotować, nie jęknąć ani się nie wyrwać. Oddaję pocałunek, zsuwając zarazem prawą rękę na podłogę.

– Quincy – szepcze Coop. – Moja słodka, śliczna Quincy.

Jego dłonie obejmują moją szyję i ściskają ją delikatnie, żeby nie sprawić mi bólu. On też płacze. Jego łzy mieszają się z moimi, gdy wzmacnia uścisk.

Wyczuwam palcem ostrze noża, przesuwam po nim opuszką. Cała dygoczę.

Coop nie przestaje mnie dusić. Kciukami odnajduje tchawicę i naciska. Potem znów mnie całuje. Wdmuchuje mi powietrze do płuc, jednocześnie je z nich wyciskając. Cały czas płacze i z jękiem powtarza moje imię.

– Quincy. Słodka, kochana Quincy.

Moje palce odnajdują uchwyt noża i zaciskają się na nim.

Brakuje mi tchu. Nie mam już czym odдыchać, chociaż Coop nadal mnie całuje, dysząc przeprosiny tuż obok moich ust.

– Wybacz – szepcze.

Unoszę nóż.

On wciąż mnie dusi, całuje, przeprasza.

– Tak mi przykro, ogromnie przykro...

Spodziewam się, że jego ciało stawia większy opór, jakby mogło być zbudowane z czegoś innego niż skóra i miękkie tkanki. Jednak nóż wchodzi w bok jak w masło, a Coop zdumiony zamiera.

– Quincy.

Tylko jedno słowo, a ileż się w nim kryje. Szok, poczucie zdrady i, jak przypuszczam, odrobina podziwu.

Nie odrywa rąk od mojej szyi, dopóki nie wyszarpnę noża. Z rany tryska krew, lepka i gorąca. Coop próbuje się ode mnie odsunąć, ale jestem szybsza. Zadaję kolejny cios, tym razem w sam środek brzucha.

Przekręcam go, a ciałem Coopa wstrząsa bolesny spazm. Z jego ust wydobywają się krople śliny zmieszanej z krwią.

Rękami nakrywa moje dłonie, usiłując wyjąć ostrze. Zaciskam zęby, stękam i przytrzymuję nóż na miejscu. Czując, że uścisk słabnie, ostatni raz przekręcam go w ranie.

– Quincy – powtarza Coop; w głębi gardła bulgocze mu krew.

Odpowiadam pojedynczym skinieniem głowy, upewniając się, że to zobaczy, zanim oczy uciekną mu w głąb czaszki. Chcę, żeby wiedział, że jestem kimś więcej niż uratowaną z masakry dziewczyną, więcej niż wojowniczką, za jaką mnie zawsze uważał.

Stworzył mnie, ulepił z krwi, bólu i lodowatej stali.

Jestem pieprzoną Ocalałą.

## CZTERY MIESIĄCE PO PINE COTTAGE

Beż to nie był kolor Tiny. Rozmywała się w nim, twarz i tkanina więziennego uniformu miały niemal identyczny odcień. Jeżeli pominąć bladość, wyglądała świetnie. Te same ostre rysy. Ten sam prowokujący język ciała. Tylko włosy się zmieniły. Były teraz krótsze i ciemnobrązowe, nie kruczoczarne.

– Kiedy stąd wyjdiesz, będziesz całkiem inną osobą – stwierdziła Quincy.

– Zobaczymy – mruknęła Tina. – Piętnaście miesięcy to sporo czasu.

Obie wiedziały, że to może potrwać krócej. Albo i nie. Zważywszy na niecodzienne okoliczności, wszystko było możliwe. Długość wyroku zaskoczyła Quincy – w przeciwieństwie do Tiny. Zdumiewające, na ile sposobów policja może człowieka dopaść za udawanie kogoś innego. Podszywanie się. Kradzież tożsamości. I z tuzin innych paragrafów. Zarzuty postawione Tinie były tak różnorodne, w dodatku obejmujące terytoria kilku stanów, że Jeff liczył się nawet z dwuletnim wyrokiem dla niej.

Quincy miała nadzieję, że nie będzie tak źle. Tina dość już przeszła, choć zaklinała się, że niczego nie żałuje.

Być może w pewnym sensie istotnie było warto, przede wszystkim jeśli chodzi o oczyszczenie dobrego imienia Joe Hannena. Informacja o jego niewinności poszła w świat, na czym Tinie od początku zależało.

Mimo to o mały włos zginęłaby z Jego ręki – nowej osoby, której imienia Quincy nie była w stanie wymówić. Wystrzelona przez Niego kula o kilka milimetrów minęła lewe płuco Tiny. Jeszcze mniej dzieliło ją od serca. Utrata krwi okazała się na tyle duża, by przez pewien czas niepokoić lekarzy, lecz ostatecznie wszystko dobrze się skończyło. Tina wyzdrowiała w samą porę, żeby zacząć odsiadkę.

– Wiesz, że nie musisz tego robić – powtórzyła po raz kolejny Quincy. – Wystarczy słowo, a do wszystkiego się przyznam.

Rozejrzała się po pokoju widzeń, pełnym kobiet w beżowych strojach oraz ich gości. Znad sąsiednich stołów niosły się ściszone rozmowy w rozmaitych językach. Przez zakratowane okno Quincy widziała śnieżne zasy pod wysokim ogrodzeniem zwieńczonym drutem kolczastym. Nie wiedziała, jak Tina może znieść pobyt w tym miejscu, choć usłyszała, że nie jest tak źle. Tina twierdziła, że więzienie przypomina jej szpital w Blackthorn.

– Twoje zeznania nie skrócą mi wyroku – zachnęła się. – Poza tym miałas rację. Sprowokowałam cię do pobicia Rocky'ego Ruiza.

Rocky wybudził się ze śpiączki mniej więcej w tym samym czasie, gdy Quincy po raz ostatni wbijała nóż w Jego ciało. Niewiele pamiętał, mniej na skutek odniesionych obrażeń, bardziej dlatego, że w chwili napaści był pod wpływem cracku. Wiedział tylko, że został zaatakowany. Wbrew woli Quincy Tina wzięła winę na siebie. Rocky nie protestował, a detektyw Hernandez nie naciskała. Jeff zaproponował układ z prokuraturą, na mocy którego Tina miała odsiedzieć wyrok jednocześnie za pobicie i oszustwo.

– Do niczego mnie nie zmuszałaś – odparła Quincy. – Sama odpowiadam za swoje decyzje.

Mówiła prawdę. Tym, nad czym nie panowała, były konsekwencje dokonanych wyborów.

– Znaleźli już prawdziwą Samanthę? – zainteresowała się Tina. – Stale wypytuję strażników o nowiny.

– Nie. – Quincy mocno zaakcentowała swoją odpowiedź. – Nadal nie natrafili na jej ciało.

Gdy wyszło na jaw, że Samantha Boyd została zamordowana, policja na Florydzie rozpoczęła szeroko zakrojoną akcję poszukiwawczą. Od czterech miesięcy Quincy śledziła doniesienia o przeszukiwaniu bagien oraz jezior i rozkopywaniu pustych działek. Jednak Floryda to duży stan i szanse, że zwłoki kiedykolwiek zostaną odnalezione, były bliskie zeru.

Z czasem Quincy doszła do wniosku, że może to i lepiej. Dopóki nie było ciała Sam, miała poczucie, że poza nią na świecie jest jeszcze jedna Ocalała. Że nie jest ostatnia.

– A co u Jeffa? – zagadnęła ją Tina. – Jak sobie radzi?

– Widujesz go chyba częściej ode mnie – zauważyła Quincy.

– Może. Kiedy znów go zobaczę, powiem, że go pozdrawiasz.

Quincy wiedziała, że to niczego nie zmieni. Jeff postawił sprawę jasno tamtej niezdolnie długiej nocy, gdy przyznała mu się do wszystkich swoich występków. Serce się jej krajało, gdy patrzyła, jak miota się między miłością a gniewem, współczuciem i wstrętem. W pewnej chwili po prostu przypadł do niej, błagając, aby podała mu jeden rozsądny powód, dla którego zdecydowała się z Nim przespać.

Quincy nie potrafiła żadnego podać.

Dlatego uznała, że nawet gdyby Jeff zdołał jej w jakiś sposób wybaczyć, najlepiej będzie, jeżeli się rozstaną. Nie pasowali do siebie. Od początku powinni byli zdawać sobie z tego sprawę.

– Dzięki, to miło – zwróciła się do Tyny. – Przekaż, że życzę mu jak najlepiej.

Mówiła szczerze: Jeff potrzebował kogoś normalnego. A ona musiała się skoncentrować na swoim życiu. Na początek przywrócić swój blog do stanu użyteczności. Ograniczyć picie. I odstawić xanax.

Dzień po wyprowadzce Jeffa matka Quincy przyjechała z dłuższą wizytą. Robiły w tym czasie wszystko, co powinny były robić lata temu. Rozmawiały. Płakały. Wybaczały. Wspólnie spuściły w toalecie niebieskie tabletki. Teraz, ilekroć Quincy odczuwała potrzebę, aby je zażyć, wypijała łyk napoju winogronowego, próbując oszukać w ten sposób swój wyposzczony mózg. Czasami się udawało. Czasami nie.

– Czytałam twój wywiad – wspomniała Tina.

– Ja jeszcze nie zdążyłam – odrzekła Quincy. – Jak wypadł?

– Jonah się spisał.

Po drugiej części „masakry w Pine Cottage” Quincy udzieliła tylko jednego wywiadu na wyłączność Jonah Thompsonowi. Czuli, że w pewnym sensie na to zasłużyli, pomagając jej na swój wazeliniarski sposób. Temat podchwyciły największe redakcje od Trenton po Tokio. Każdy chciał wyszarpać coś dla siebie. Skoro jednak Quincy uparcie milczała, musieli się zadowolić osobą Jonah, który potrafił zrobić z tego zainteresowania dobry użytek. Od poniedziałku zaczął pracę w „New York Timesie”. Quincy miała

nadzieję, że są tam gotowi na jego przybycie.

– Cieszę się, że wywiad się udał – stwierdziła.

Pokój widzeń zaczął się wyludniać. Pora odwiedzin dobiegała końca. Quincy wiedziała, że też powinna się zbierać, jednak wciąż miała w głowie jedno pytanie, które pchało jej się na usta.

– Podejrzywałaś, że to On ponosił winę za Pine Cottage?

– Nie – przyznała Tina, doskonale wiedząc, o kogo chodzi. – Wiedziałam tylko, że to nie mógł być Joe.

– Przepraszam, że przez tyle lat go obwiniałam – powiedziała Quincy. – I że sprawiłam ci przez to tyle bólu.

– Nie przepraszaj. Uratowałaś mi życie.

– A ty moje.

Patrzyły na siebie w milczeniu, dopóki stojąca przy drzwiach strażniczka nie oznajmiła, że pora kończyć odwiedzin. Quincy wstawała, gdy Tina zagadnęła ją:

– Myślisz, że jeszcze mnie kiedyś odwiedzisz? Żeby pogadać?

– Nie wiem. A chciałabyś?

Tina wzruszyła ramionami.

– Nie wiem.

Przynajmniej były wobec siebie uczciwie. W pewnym sensie zawsze tak było, nawet kiedy kłamały.

– Pożyjemy, zobaczymy – mruknęła Quincy.

Wargi Tyny wygięły się leciutko, o włos od uśmiechu.

– Będę czekać, mała.

Quincy wracała do miasta wynajętym samochodem, mrużąc oczy w blasku zachodzącego słońca, którego promienie odbijały się od zwałów śniegu na poboczu drogi. Krajobraz za oknem był w najlepszym razie nijaki. Nudny ciąg sklepów, kościołów i komisów samochodowych z autami upstrzonymi przez przejeżdżające solarki. Jedno miejsce zwróciło jej uwagę – srebrzysta witryna wciśnięta między pizzerię a zamknięte na weekend biuro podróży. W oknie świecił różowy neon:

*TATUAŻE*

Niewiele myśląc, Quincy skręciła na podjazd, zgasła silnik i weszła do środka. Metaliczne brzmienie dzwonka nad wejściem obwieściło jej przybycie. Siedząca przy kasie dziewczyna miała mocno umalowane, rubinowe usta i całą konstelację różowych gwiazdek wytatuowaną na szyi. Kolor włosów zaś identyczny jak niegdyś Tina.

– Mogę w czymś pomóc? – zagadnęła.

– Tak – potwierdziła Quincy. – Chyba tak.

Godzinę później tatuaż był gotowy. Bolało, ale mniej, niż Quincy się obawiała.

– Podoba się? – spytała dziewczyna z różowymi gwiazdkami.

Quincy obróciła ramię, aby obejrzeć efekty jej pracy. Tusz wciąż był wilgotny, a skóra podrażniona, lecz ciemny napis był doskonale widoczny na tle brzoskwiniowego meszku na jej przegubie. Krwawe kropeczki znaczyły krawędź każdej litery; skojarzyły się Quincy z żarówkami na markizie. Mimo to słowo z łatwością dawało się odczytać.



## PRZETRWAŁAM

– Jest idealny – oznajmiła, podziwiając tatuaż. Odtąd na zawsze miał być jej częścią. Równie trwały jak blizny.

Wciąż się w niego wpatrywała, gdy na ekranie telewizora w salonie pojawiła się wiadomość z ostatniej chwili. Wcześniej kilka razy rzuciła na niego okiem, gdy czarny tusz włączany był pod jej skórę, bardziej skoncentrowana na bólu niż na prezentowanych wydarzeniach. Teraz jednak patrzyła jak zaklęta, niezdolna oderwać wzroku od tego, co widziała.

W pewnym domu w Modesto w stanie Kalifornia znaleziono ciała martwych nastolatków, obwieściła prezenterka. W sumie zabito dziewięć osób.

Quincy wypadła z salonu jak burza i pognała do miasta.

Resztę wieczoru spędziła, przerzucając w mieszkaniu kanały informacyjne w poszukiwaniu najnowszych doniesień na temat tego, co media zdążyły już ochrzcić „masakrą w Modesto”. Ośmioro zamordowanych było uczniami ostatniej klasy szkoły średniej, uczestnikami domówki urządzonej pod nieobecność rodziców jednego z nich. Dziewiątą ofiarą okazał się szkolny dozorca, który zjawił się nieproszony z naostrzonym sekatorem. Tylko jednej osobie udało się przeżyć – osiemnastoletniej Hayley Pace, która zdołała uciec, zabijając wcześniej człowieka, który wymordował jej przyjaciół.

Quincy nawet się nie zdziwiła, gdy któryś z prezenterów wymienił jej nazwisko. Bądź co bądź było to pierwsze tego typu zdarzenie od czasu Pine Cottage. Dziennikarze przez całą noc próbowali dobijać się do niej na komórkę, a liczba nieodebranych połączeń i SMS-ów lawinowo rosła.

O trzeciej nad ranem Quincy wyłączyła telewizor. O piątej dotarła na lotnisko. Gdy zegar wybił jedenastą, była już w samolocie, w drodze do Modesto. Wciąż czuła bolesne pulsowanie w miejscu, gdzie przegub jej ręki zdobił świeżo zrobiony tatuaż.

Zaczekała na początek konferencji prasowej, żeby niepostrzeżenie dostać się do szpitala. Zebrane przy wejściu sępy z mediów były zbyt przejęte najnowszym oświadczeniem na temat stanu zdrowia Hayley, wygłaszanym przez jej lekarzy oraz rodziców, żeby zauważyć, jak Quincy przemyka się do środka, ukryta za zakupionymi w lotniskowym sklepiku wielkimi okularami przeciwsłonecznymi.

Wewnątrz bez trudu zdołała namówić matczyną kobietę w informacji, aby ta podała jej numer sali Hayley.

– Jestem jej kuzynką – skłamała. – Właśnie przyleciałam z Nowego Jorku i muszę jak najszybciej się z nią zobaczyć.

Szpitalna sala Hayley była ciemna, ponura i wypełniona kwiatami na podobieństwo kaplicy. Jakby ciało dziewczyny miało zaraz spocząć w relikwiarzu.

Gdy Quincy weszła, Hayley nie spała. Siedziała wsparta na poduszkach – przeciętnej urody, ładna, ale bez przesady. Proste brązowe włosy i zadziorny mały nosek. Łatwo byłoby ją przegapić w tłumie.

Gdyby nie oczy.

Zielone i błyszczące jak szmaragdy. To one kazały Quincy wejść głębiej do środka. Biła z nich siła i inteligencja, pomimo ogromu cierpienia. Quincy dostrzegła w tych

oczach część siebie. Część Tiny również.

Promieniały.

– Jak się czujesz? – zapytała, podchodząc do łóżka.

– Boli mnie – odparła nieco bełkotliwie Hayley, odurzona zabójczą mieszanką znużenia, środków przeciwbólowych i rozpacz. – Wszędzie.

– To naturalne – stwierdziła Quincy. – Z czasem minie.

Hayley nie odrywała wzroku od jej twarzy.

– Kim jesteś? – zapytała.

– Nazywam się Quincy Carpenter.

– Czego chcesz?

Quincy chwyciła jej dłoń i delikatnie ścisnęła.

– Jestem tutaj po to – powiedziała – żeby cię nauczyć, jak być Ocalałą.

## PODZIĘKOWANIA

Pisanie książki to samotnicza praca. Wydanie jej zaś to sport zespołowy, a ja miałam szczęście stać się częścią wspaniałej, międzynarodowej drużyny zaangażowanych ludzi, obejmującej swoim zasięgiem kilka kontynentów.

Podziękowania należą się mojej agentce, Michelle Brower, której entuzjazm dla *Ocalałych* pomógł mi ustanowić nowy rekord w pisaniu na czas, Chelsey Heller, dzięki której moja powieść trafiła w ręce wydawców na całym świecie, oraz wszystkim pracownikom agencji Kuhn Projects i Zachary Shuster Harmsworth. Szczególnie dziękuję Annie Hwang z Folio Literary Management, która zmierzyła się z nieskładną roboczą wersją mojego tekstu.

Dziękuję wszystkim z wydawnictwa Dutton, zwłaszcza mojej cudownej, nieocenionej redaktorce Mayi Ziv, z którą zawsze wspaniale się pracuje, Madeline Newquist za to, że wszystko grało jak w zegarku, Christopherowi Linowi za rewelacyjny projekt okładki oraz Rachelle Mandik za zaoszczędzenie mi wstydu z powodu niedociągnięć gramatycznych. Serdeczne podziękowania kieruję również do mojego brytyjskiego wydawcy Ebury; na szczególną wdzięczność zasłużyła redaktorka Emily Yau, która od początku nie kryła entuzjazmu dla mojej książki.

Pragnę też gorąco podziękować moim koleżankom pisarkom: Hester Young, Carli Norton oraz Sophie Littlefield za błogosławieństwo, którego udzieliły wcześniejszej wersji tej powieści. Wasza akceptacja miała dla mnie ogromne znaczenie.

Na koniec chciałabym złożyć podziękowania wszystkim krewnym i przyjaciołom, którzy wspierali mnie emocjonalnie w mrocznym okresie, gdy powstawały *Ocalałe*, a zwłaszcza Sarze Dutton. Niech Twoje domki z piernika zawsze zdobywają najwyższe wyróżnienia. Jeśli zaś chodzi o Ciebie, Mike'u Livio, żadne słowa nie wyrażą mojej wdzięczności. Nic nie byłoby możliwe bez Twojej cichej siły i niesłabnącego przekonania, że mimo wszystko jestem w stanie dokonać tego, co zamierzyłam. Tak też się stało i Tobie w całości to zawdzięczam.

## O AUTORCE

Urodzona w Pensylwanii Riley Sager jest pisarką, redaktorką oraz graficzką. Mieszka w Princeton w stanie New Jersey.